

Przeczytaj | Słowa

TEDDY DRATCHETT STRAŻ! STRAŻ!

ŚWIAT DYSKU

Terry Pratchett

STRAŻ! STRAŻ!

Mogą być nazywani Gwardią Pałacową, Strażą Miejską albo Patrolem. Niezależnie od nazwy, racja ich istnienia - w każdym dziele fantasy heroicznej - jest taka sama. To znaczy, mniej więcej w rozdziale trzecim (albo w dziesiątej minucie filmu) mają wbiec do komnaty, po kolei i pojedynczo atakować bohatera i ginąć. Nikt ich nigdy nie pyta, czy mają na to ochotę.

Książka poświęcona jest tym wspaniałym ludziom.

A także Mike'owi Harrisonowi, Mary Gentle, Neilowi Gaimanowi i wszystkim pozostałym, którzy pomagali i śmiali się z pomysłu L-przestrzeni; szkoda, że w końcu nie wykorzystaliśmy paperbacku Schrödingera...

Tu właśnie odeszły smoki.

Leżą...

Nie są martwe i nie są uśpione. Nie czekają, gdyż czekanie implikuje cel. Być może odpowiednim słowem jest...

...drzemią.

I chociaż zajmowana przez nie przestrzeń w niczym nie przypomina normalnej przestrzeni, jest jednak ciasno upakowana. Nie znajdzie się nawet

cał sześcienny nie wypełniony szponem, pazurem, łuską, czubkiem ogona...
Rezultat przypomina trochę te dziwaczne rysunki, gdzie gałki oczne powoli
zdają sobie sprawę, że przestrzeń między smokami to w rzeczywistości
kolejny smok.

Mogłyby wzbudzić skojarzenie z puszką sardynek, gdyby ktoś
uwierzył, że sardynki są wielkie, okryte łuską, dumne i aroganckie.

Zapewne gdzieś jest też klucz.

W zupełnie innej przestrzeni poranek wstał w Ankh-Morpork,
najstarszym, największym i najbrudniejszym ze wszystkich miast. Rzadka
mżawka siąpiła z szarego nieba, akcentując spowijającą ulice mgłę znad
rzeki. Szczury rozmaitych gatunków zajmowały się swymi nocnymi
sprawami. Pod osłoną wilgotnego płaszcza nocy skrytobójcy mordowali,
złodzieje kradli, dziewczki uliczne stały na ulicach.

A pijany kapitan Vimes z Nocnej Straży zatoczył się wolno, delikatnie
osunął do rynsztoka przed Strażnicą i legł nieruchomo, gdy niezwykle
światłne litery skwierczały nad nim od wilgoci i zmieniały kolory...

Miasto jest jak... jak... jak... Coś. Kobieta. Kobieta... Właśnie. Kobieta.
Rycząca, wściekła, wielusetletnia. Ciągnie cię, pozwala się tego... kochać, a
potem kopie cię w... w... w to tam. To tam w gębie. Język. Migdałki. Zęby.
To właśnie robi. Jest jak... no, pani pies. Szczeniaczka. Kwoka. Suka. A
potem ją nienawidzisz i kiedy już myślisz, że wyrzuciłeś ją... je... ze swojego,
swojego czegoś tam, wtedy akurat otwiera przed tobą wielkie, bijące,
przegniłe serce i wytrąca cię z rowu... rów... równo... czegoś. Wagi. Właśnie.
To jest to. Człowiek nigdy nie wie, na czym stoi. Leży. I tylko jednego jest
pewien: nie może jej opuścić. Bo jest... bo jest twoja, jest wszystkim, co
masz, nawet w rynsztoku...

Szacowna ciemność spowiła szacowne budynki Niewidocznego Uniwersytetu, najwspanialszej uczelni magicznej. Jedynym światłem był słaby oktarynowy płomyk w małym oknie nowego skrzydła Magii Wysokich Energii, gdzie bystre umysły badały samą ośnię wszechświata, nie dbając, czy mu się to podoba, czy nie.

Oczywiście, paliło się też światło w Bibliotece. Biblioteka była największym zbiorem magicznych tekstów w całym multiversum. Spoczywały tam na półkach tysiące woluminów pełnych okultystycznej wiedzy.

Podobno, ponieważ wielkie ilości magii potrafią mocno odkształcić zwykły świat, Biblioteka nie przestrzegała normalnych zasad czasu i przestrzeni. Podobno ciągnęła się po wieczność. Podobno całymi dniami można by wędrować wśród odległych regałów, podobno gdzieś tam żyły całe plemiona zagubionych studentów, podobno niezwykle istoty czały się w zapomnianych wnękach, a polowały na nie istoty jeszcze dziwniejsze[1].

Rozsądni studenci, poszukujący co odleglejszych tomów, pamiętali o robieniu kredą znaków na półkach i uprzedzali kolegów, by zaczęli ich szukać, gdyby nie wrócili na kolację.

A że magię tylko z grubsza da się uwięzić, książki w Bibliotece też były czymś więcej niż tylko drewnem przerobionym na papier.

Pierwotna magia strzelała iskrami z ich grzbietów, uziemiając się nieszkodliwie w miedzianych przewodach, w tym właśnie celu przybitych do półek. Delikatne desenie błękitnego ognia pełzały po regałach i rozbrzmiewał dźwięk - jakby papierowy szept - podobny do wydawanego przez kolonę szpaków. To w ciszy nocy rozmawiały ze sobą książki.

Słysać też było czyjeś chrapanie.

Światło z półek nie tyle rozjaśniało, ile podkreślało ciemność, ale wprawny obserwator potrafiłby może rozpoznać w fioletowym migotaniu stare i odrapane biurko pod centralną kopułą. Chrapanie dochodziło spod

niego, z miejsca gdzie obszarpany koc ledwie okrywał coś, co przypominało stos worków z piaskiem, a w rzeczywistości było samcem orangutana.

I bibliotekarzem.

Obecnie niewielu już ludzi wyrażało zdziwienie, że jest małą. Przemiana nastąpiła w wyniku magicznego wypadku, zawsze możliwego w miejscach, gdzie trzyma się razem tak wiele magicznych ksiąg. Uważano, że i tak wyszedł z niego obronną ręką. W końcu zachował ten sam - zasadniczo - kształt. Pozwolono mu też zachować funkcję, którą pełnił dość sprawnie, chociaż „pozwolono” nie jest chyba właściwym określeniem. To raczej sposób, w jaki potrafił zawinąć górną wargę, odsłaniając przed senatem Uniwersytetu nieprawdopodobnie żółte kły, sprawił jakoś, że kwestia następcy na to stanowisko nigdy nie weszła pod obrady.

Po chwili jednak zabrzmiał też inny dźwięk, dźwięk obcy - odgłos otwieranych drzwi. Czyjeś stopy przemknęły po podłodze i kroki ucichły między zatłoczonymi półkami. Księgi zaszeleściły z oburzeniem, a kilka co większych grimoire'ów zabrzączało łańcuchami.

Bibliotekarz spał głęboko, kołysany szumem deszczu.

Pół mili dalej, w objęciach rynsztoka, kapitan Vimes otworzył usta i zaczął śpiewać.

Okryta czernią postać przemknęła przez ciemne uliczki, skacząc od bramy do bramy, aż dotarła do posępnego, mrocznego portalu. Od razu było widać, że żadne zwykłe wrota nie stają się tak posępne bez szczególnego wysiłku. Wyglądały, jakby architekt otrzymał specjalne instrukcje. Chcemy czegoś groźnego, w ciemnym dębie, usłyszał. Dlatego proszę umieścić jakiegoś niemiłego gargulca nad bramą, docisnąć łuk, jakby nastąpił na niego olbrzym, i każdemu jasno dać do zrozumienia, że te wrota nie odpowiadają „dzyń dzyń”, kiedy się przycisnie dzwonek.

Postać wystukała skomplikowany kod na ciemnym drewnie. We wrotach otworzyło się małe zakratowane okienko i wyjrzało podejrzliwe oko.

- „Poważna sowa pohukuje wśród nocy” - powiedział przybysz, usiłując wykręcić z wody swoją szatę.

- „Ale wielu szarych książąt podąża smętnie do ludu bez władców” - zaintonował głos z drugiej strony kratki.

- „Hurra, niech żyje córka siostry starej panny” - odparowała ociekająca wodą postać.

- „Dla kata wszyscy klienci są tego samego wzrostu”.

- „Zaprawdę jednak, róża tkwi w kolcu”.

- „Kochająca matka gotuje fasolową zupę dla zbłąkanego syna”. Zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem deszczu.

- Co? - zapytał po chwili przybysz.

- „Kochająca matka gotuje fasolową zupę dla zbłąkanego syna”.

Tym razem cisza trwała dłużej. Wreszcie mokra postać zapytała ponownie:

- Jesteś pewien, że źle zbudowana wieża nie drży cała od przelotu motyla?

- Nie. Zupa fasolowa i koniec. Przykro mi.

Krople deszczu opadały z sykiem wśród krępującego milczenia.

- A co z uwięzionym wielorybem? - spróbował jeszcze przemoczony gość, usiłując wykorzystać skromną osłonę mrocznego portalu.

- Co z nim?

- Nie powinien znać głębin przepastnych, skoro już musisz wiedzieć.

- Aha... Uwięziony wieloryb... Szukasz Świetlistego Bractwa Hebanowej Nocy. To trzecia brama stąd.

- A kim ty jesteś?

- Jesteśmy Oświeconym i Starożytnym Bractwem Ee.

- Myślałem, że spotykacie się przy Melasowej - stwierdził po namyśle przemoczony gość.

- Niby tak. Ale sam wiesz, jak to jest. We wtorki przychodzi tam klub płaskorzeźby . Trochę pomieszali rozkład.

- No tak. Bywa. W każdym razie dziękuję.

- Nie ma za co.

Okienko zatrzasnęło się.

Postać w czerni przez chwilę spoglądała na nie gniewnie, po czym pobrała wzdłuż ulicy. Rzeczywiście, znalazła kolejny portal. Jego budowniczy nie trudził się ze zmianą planów.

Zapukał. Otworzyło się małe, zakratowane okienko.

-Tak?

- Słuchaj no: „Poważna sowa pohukuje wśród nocy”, zgadza się?

- „Ale wielu szarych książąt podąża smętnie do ludu bez władców”.

- „Hurra, niech żyje córka siostry starej panny”, tak?

- „Dla kata wszyscy klienci są tego samego wzrostu”.

- „Zaprawdę jednak, róża tkwi w kolcu”. Na dworze leje jak z cebra. Wiesz o tym, prawda?

- Owszem — przyznał głos tonem kogoś, kto wie, ale to nie on stoi na

deszczu.

Przybysz westchnął.

- „Uwięziony wieloryb nie zna głębin przepastnych” - powiedział. - I co, lepiej ci teraz?

- „Źle zbudowana wieża drży cała od przelotu motyla”. Gość chwycił pręty kraty, podciągnął się i syknął:

- A teraz mnie wpuść. Jestem przemoczony. Minęła kolejna wilgotna chwila.

- Te głębiny... Powiedziałeś „przepastne” czy „przejasne”?

- Przepastne. Tak powiedziałem. Przepastne głębiny. Ponieważ leżą, najkrócej mówiąc, głęboko. To ja, brat Palcy.

- Dla mnie brzmiało to jak „przejasne” - mruknął z powątpiewaniem niewidoczny odźwierny.

- Chcecie tę przeklętą książkę czy nie? Mnie nie zależy. Mogę wracać do domu, do łóżka.

-Jesteś pewien, że były przepastne?

- Posłuchaj uważnie - rzekł z naciskiem brat Palcy. - Dobrze wiem, jakie głębokie są te piekielne głębiny. Wiedziałem, jak są przepastne, kiedy ty byłeś jeszcze żalosnym neofitą. A teraz otwierasz czy nie?

- No... No dobrze. Szczękneły zdejmowane sztaby.

- Mógłbyś je trochę popchnąć? - odezwał się głos. - Wrota Wiedzy, Przez Które Nie Mogą Przejść Nie Znający Prawdy, strasznie się zacinają od wilgoci.

Brat Palcy pchnął ramieniem, przecisnął się do środka, obrzucił niechętnym spojrzeniem brata Odźwiernego i szybko poszedł dalej.

Pozostali czekali na niego w Wewnętrznym Sanktuarium. Stali pod ścianami niepewni, jak zwykle ludzie nie przyzwyczajeni do noszenia na co dzień czarnych szat ze złowróżbnymi kapturami.

Najwyższy Wielki Mistrz skinął mu głową.

- Brat Palcy, tak? - zapytał.

- Tak, Najwyższy Wielki Mistrzu.

- Czy masz to, po co zostałeś posłany? Brat Palcy wyjął spod szaty pakunek.

- Była tam, gdzie mówiłem - stwierdził. - Żadnych kłopotów.

- Dobra robota, bracie Palcy.

- Dziękuję, Najwyższy Wielki Mistrzu.

Najwyższy Wielki Mistrz uderzył młotkiem. Wszyscy w sali ustawili się w trochę nieregularny krąg.

- Rozpaczynam obrady Wyjątkowej i Najwyższej Łoży Świetlistego Bractwa - zaintonował. - Czy Wrota Wiedzy zostały zaryglowane przed heretykami i nie znającymi prawdy?

- Zamknięte na głucho - potwierdził brat Odźwierny. - To przez wilgoć. W przyszłym tygodniu przyniosę hebel i zaraz je...

- Dobrze, dobrze - przerwał mu nieco rozdrażniony Najwyższy Wielki Mistrz. - Wystarczyło powiedzieć „tak”. Czy potrójny krąg jest ściśle i równo nakreślony? Czy są tutaj wszyscy, którzy Są Tutaj? A temu, co nie zna prawdy, powiadam, że lepiej, by go tu nie było, gdyż zabrany zostanie z tego miejsca, a jego gaskin przecięty, jego moule rozrzucone na cztery wiatry, jego welchet rozdarty na strzępy hakami, jego figgin nabity na kolec... Tak, o co chodzi?

- Przepraszam, czy powiedziałaś „Świetliste” Bractwo? Najwyższy Wielki Mistrz spojrzał gniewnie na samotną postać z wyciągniętą w górę

ręką.

- Tak, Świetliste Bractwo, strażnik świętej wiedzy od czasów, jakich żaden człowiek nie...

- Od lutego - odpowiedział brat Odźwierny. Najwyższy Wielki Mistrz odniósł wrażenie, że brat Odźwierny nie rozumie, o co tu naprawdę chodzi.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - powiedziała zmartwiona postać. - Obawiam się, że pomyliłem stowarzyszenia. Chyba źle skreśliłem... Już wychodzę, jeśli wolno...

- A jego figgin nabity na kolec - powtórzył z naciskiem Najwyższy Wielki Mistrz, zagłuszając skrzypienie wilgotnego drewna, gdy brat Odźwierny usiłował otworzyć mroczny portal. - Skończyliśmy już? Czy jeszcze ktoś nie znający prawdy zabłądził tu w drodze gdzie indziej? - dodał z gorzką ironią. - Dobrze. Świetnie. Bardzo się cieszę. Chyba wolno mi spytać, czy zabezpieczono Cztery Strażnice? Bardzo dobrze. A Spodzień Świątości? Czy ktoś pamiętał, żeby go oczyścić? Ach, ty? Odpowiednio? Sprawdzę, jeśli wolno... W porządku. Czy przewiązano okna Czerwonymi Powrozami Intelktu, wedle starożytnych nakazów? Doskonale. Teraz możemy ruszać dalej.

Troszkę zawiedziony, tonem kogoś, kto przejechał palcem po górnej półce w spiżarni synowej i nie znalazł ani pyłka, Wielki Mistrz podjął rytuał.

Co za banda, myślał. Gromada nieudaczników, których żadne inne tajne stowarzyszenie nie dotknęłoby nawet dziesięciostopowym Berłem Władzy. Tacy wyłamują sobie palce przy najprostszym tajnym uścisku dłoni.

Ale jednak są to nieudacznicy pełni potencjalnych możliwości. Niech inne stowarzyszenia biorą wykształconych, sprawnych, ambitnych i pewnych siebie. On przyjmie tych żałosnych, pełnych żółci i złości, którzy wiedzą, że na pewno osiągnęliby sukces, gdyby tylko dać im szansę. Przyjmie tych, u których zalew jadu i złośliwości tamowały tylko cienkie mury niezdarności i lekkiej paranoi.

I głupoty. Wszyscy złożyli przysięgę, myślał, ale ani jeden nie spytał,

co to takiego „figgin”.

- Bracia - powiedział głośno. — Mamy dzisiaj do omówienia sprawy wielkiej wagi. W naszych rękach spoczywa los rządów, nie, spoczywa sama przyszłość Ankh-Morpork.

Przysunęli się bliżej. Najwyższy Wielki Mistrz poczuł znajomy dreszcz władzy. Wsłuchiwali się w jego słowa. To uczucie warte było przebierania się w głupie szaty.

- Czy nie wiemy doskonale, że miasto jest w mocy ludzi zepsutych, którzy tuczą się nieuczciwie zdobytymi bogactwami, kiedy lepszych od nich odsuwa się i zmusza do nędznej służby?

- Dobrze wiemy! - oświadczył z zapalem brat Tynkarz, kiedy zdążyli w pamięci przetłumaczyć sobie mowę Mistrza. - Ledwie w zeszłym tygodniu w Gildii Piekarzy próbowałem wykazać mistrzowi Critchleyowi, że...

Nie wzrokiem - gdyż pilnował, by kaptury braci okrywały im twarze mistycznym cieniem — ale jednak Najwyższy Wielki Mistrz zdołał uciszyć brata Tynkarza mocą oburzonego milczenia.

- A przecież nie zawsze tak było - podjął. - Kiedyś panował tu wiek złoty, kiedy ludzie godni władzy i szacunku byli należycie wynagradzani. Wiek, kiedy Ankh-Morpork było nie tylko dużym miastem, ale wielkim. Wiek rycerski. Wiek, kiedy... Słucham, bracie Strażnico?

Krępa figura w czarnej szacie opuściła rękę.

- Czy mówicie o dniach, kiedy mieliśmy królów?

- Zgadłeś, bracie - przyznał Najwyższy Wielki Mistrz, trochę zirytyowany tym niezwykłym przejawem inteligencji. -I...

- Ale załatwili to ze sto lat temu - dodał brat Strażnica. - Była chyba taka wielka bitwa czy coś w tym rodzaju. A potem mieliśmy tylko rządzących wielmożów, takich jak Patrycjusz.

- Tak jest. Bardzo dobrze, bracie Strażnico.

- Nie ma już królów. To właśnie chciałem powiedzieć.

-Jak właśnie stwierdził brat Strażnica, linia...

- To, co mówiliście, Mistrzu, o rycerstwie, naprowadziło mnie na właściwy trop.

- Rzeczywiście, i...

- Kiedy ma się królów, to jest też rycerskość - ciągnął z satysfakcją brat Strażnica. - I rycerze. Oni nosili takie...

- Jednakże - wtrącił ostro Najwyższy Wielki Mistrz - może się okazać, że linia królów Ankh nie wygasła, jak dotychczas podejrzewano, i że progenitura tej linii żyje obecnie. Na to wskazują moje badania starych zwojów.

Przerwał wyczekująco, jednak pożądany efekt jakoś nie występował. Poradzili sobie chyba z „wygasaniem”, ale już z „progenitura” stanowczo przesadził.

Brat Strażnica znowu podniósł rękę.

- Słucham.

- Chcecie powiedzieć, że jakiś tam następca tronu kręci się gdzieś po świecie?

- To może być prawdą, owszem.

- Tak... Oni robią takie *rzeczy* — stwierdził brat Strażnica tonem człowieka dobrze znającego temat. - Stale się zdarza coś takiego. Można o tym przeczytać. Fanty, tak ich nazywają. Taki fant czał się gdzieś na pustkowiu przez całe wieki i przekazuje z pokolenia na pokolenie tajemny miecz, znamię i tak dalej. A potem, kiedy stare królestwo go potrzebuje, pojawia się i wyrzuca wszystkich uzurpatorów, jacy akurat się trafią. No i wszyscy się cieszą.

Najwyższy Wielki Mistrz poczuł, że szczeka opada mu ze zdumienia. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo.

- Tak, zgadza się - potwierdziła postać, o której Najwyższy Wielki Mistrz wiedział, że jest bratem Tynkarzem. - Ale co z tego? Powiedzmy, że taki fant się zjawia, podchodzi do Patrycjusza i mówi „No co, to ja jestem królem, oto moje znamię zgodnie z zamówieniem, a teraz wynocha”. I co na tym zyska? Oczekiwana długość życia około dwóch minut i tyle.

- Chyba nie słuchałeś - uznał brat Strażnica. - Najważniejsze, żeby fant przybył, kiedy królestwo jest w potrzebie. Jasne? Wtedy wszyscy go poznają, jasne? Zanoszą go do pałacu, uleczy parę osób,

ogłosi pół dnia wolnego, rozda trochę skarbów i Bob jest twoim wujem.

- Musi jeszcze ożenić się z księżniczką - wtrącił brat Odźwierny. - Ponieważ jest świniopasem.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Czy ktoś wspominał, że jest świniopasem? - zapytał brat Strażnica. — Ja nie mówiłem. O co chodzi z tymi świniopasami?

- On ma rację — poparł kolegę brat Tynkarz. - On jest na ogół świniopasem, gajowym albo kimś takim. To dlatego że jest w tym, no... W kognito. Muszą udawać, rozumiecie, że są niskiego pochodzenia.

- Niskie pochodzenie to nic takiego - oświadczył bardzo mały brat. Wyglądał, jakby składał się tylko z chodzącej czarnej szaty z nieświeżym oddechem. — Mam tego mnóstwo. W naszej rodzinie pasanie świń uważaliśmy za elegancką robotę.

- Przecież w waszej rodzinie nie płynie królewska krew, bracie Szambowniku - odparł brat Tynkarz.

- Ale by mogła - mruknął posępnie brat Szambownik.

- I dobrze - burknął nadąsany brat Strażnica. - Może być. Ale w

kluczowym momencie, rozumiecie, wasz prawdziwy król zrzuca płaszcz i mówi „O!”, a jego zasadnicza królewskość aż bije w oczy.

- A w jaki sposób dokładnie? - chciał wiedzieć brat Odźwierny.

- .. .też mogę mieć królewską krew - mamrotał brat Szambownik. - Nie mają prawa mówić, że nie mogę mieć królewskiej...

- Po prostu bije i już. Każdy, kto go zobaczy, od razu wie.

- Ale najpierw muszą uratować królestwo - przypomniał brat Tynkarz.

- No tak - zgodził się niechętnie brat Strażnica. - To jest najważniejsze.

- Tylko przed czym?

- ...mam takie samo prawo jak wszyscy, żeby mieć królewską krew...

- Przed Patrycjuszem? - zgadywał brat Odźwierny. Brat Strażnica, jako nieoczekiwany ekspert od spraw królewskich, pokręcił głową.

- Właściwie to Patrycjusz nie jest żadnym zagrożeniem - stwierdził. - Nie nadaje się na tyrana jako takiego. Nie jest taki zły jak niektórzy przed nim. Znaczy, on właściwie nie uciska.

- Mnie uciskają bez przerwy - oznajmił brat Tynkarz. - Mistrz

Critchley, gdzie pracuję, uciska mnie rano, w południe i wieczorem, krzyczy na mnie i w ogóle. I jeszcze ta baba w sklepie z jarzynami. Też mnie uciska.

- Dobrze mówi - potwierdził brat Odźwierny. - Mój gospodarz strasznie mnie uciska. Wali w drzwi i ciągle gada o czynszu, co to go podobno nie zapłaciłem. Ohydne kłamstwo... A sąsiedzi uciskają mnie co noc, chociaż im tłumaczę, że cały dzień pracuję, a człowiek musi znaleźć chwilę, żeby nauczyć się gry na trąbie. To jest ucisk, nie ma co. Jeśli nie jęczę pod butem tyrana, to już nie wiem, kto jęczy.

- Jeśli tak to ująć... - powiedział wolno brat Strażnica. — Myślę, że

szwagier uciska mnie *przez* cały czas. Kupił sobie nowego konia i bryczkę. A ja nie mam bryczki. I gdzie tu sprawiedliwość? Założę się, że król by nie pozwolił na taki ucisk, i żeby żony uciskały ludzi pretensjami, dlaczego nie mamy nowego powozu jak nasz Rod-ney i w ogóle.

Najwyższy Wielki Mistrz słuchał tego z lekkim zawrotem głowy. Czuł się jak ktoś, kto wprawdzie słyszał, że istnieją lawiny, ale kiedy upuścił śnieżkę na szczycie góry, nawet nie pomyślał, że może doprowadzić do tak wstrząsających rezultatów. Przecież wcale nie musiał im podpowiadać.

- Król na pewno miałby coś do powiedzenia o gospodarzach - westchnął brat Odźwierny.

- I wypędziłby ludzi z modnymi bryczkami - dodał brat Strażnica. - Zresztą pewnie kupionymi za kradzione pieniądze.

- Myślę - wtrącił Najwyższy Wielki Mistrz, popychając rozmowę w pożądanym kierunku - że mądry król zakazałby modnych bryczek jedynie tym, którzy nie zasługują na nie.

W dyskusji nastąpiła przerwa: zebrani bracia w pamięci dzielili wszechświat na zasłużonych i nie zasłużonych, po czym ustawiali się po odpowiedniej stronie.

- Tak by było uczciwie - przyznał wreszcie brat Strażnica. - Ale brat Odźwierny właściwie ma rację. Nie wyobrażam sobie, żeby taki fant wypełnił swoje przeznaczenie z powodu brata Tynkarza, któremu się wydaje, że kobieta ze sklepu z warzywami dziwnie na niego patrzy. Bez urazy.

- I jeszcze oszukuje na wadze — oświadczył brat Tynkarz. - I...

- Tak, tak, tak - przerwał im Najwyższy Wielki Mistrz. - Istotnie, słusznie myślący obywatele miasta Ankh-Morpork jęczą pod butem tyrana. Król jednak zwykle objawia się w okolicznościach bardziej dramatycznych. Na przykład w czasie wojny.

Wszystko szło znakomicie. Z pewnością przy całym ich egoizmie i głupocie ktoś okaże się dostatecznie inteligentny i zasugeruje, co trzeba.

- Było chyba jakieś dawne proroctwo albo co - rzekł brat Tynkarz. - Dziadek mi opowiadał. - Oczy mu się zaszkliły od dramatycznego wysiłku umysłowego. - „Oto przybędzie król, niosący Prawo i Porządek, nie znający niczego prócz Prawdy; będzie Chronił i Służył ludowi swym Mieczem”. I nie patrzcie tak na mnie, przecież nie ja to wymyśliłem.

- Wszyscy je znamy. I dużo nam z tego przyjdzie - mruknął brat Strażnica. - Znaczy, niby co robi? Wjedzie z Prawem, Prawdą i całą resztą jak Czterech Jeźdźców Apokalipsy? „Hej tam, ludzie!” - zapiszczał. - „To ja, król, a tam jest Prawda, właśnie poi konia”. Niezbyt rozsądne, co? Nie, nie można ufać starym legendom.

- Dlaczego nie? - spytał zirytowany brat Szambownik.

- Bo są legendarne. Po tym sieje poznaje.

- Śpiące królewny są niezłe - stwierdził brat Tynkarz. - Tylko król może je zbudzić.

- Nie bądź głupi - upomniał go surowo brat Strażnica. - Nie mamy króla, więc skąd weźmiemy królewnę? To chyba oczywiste.

- Oczywiście, w dawnych czasach wszystko było proste — oświadczył z zadowoleniem brat Odźwierny.

- Dlaczego?

- Wystarczyło zabić smoka.

Najwyższy Wielki Mistrz złożył dłonie i wzniósł cichą modlitwę do dowolnego boga, który akurat słuchał. Nie mylił się co do tych ludzi. Prędzej czy później te zbłąkane małe mózdzki doprowadzą ich tam, gdzie powinni się znaleźć.

- Bardzo ciekawy pomysł! - zawołał.

- Nic z tego - mruknął ponuro brat Strażnica. - Nie ma już wielkich smoków.

- Ale mogą być.

Najwyższy Wielki Mistrz splótł palce.

- Co mówiliście? — Brat Strażnica nie dosłyszał.

- Powiedziałem, że mogą być.

Z głębi kaptura brata Strażnicy zabrzmiał nerwowy chichot.

- Jak to? Prawdziwe? Z wielkimi łuskami i skrzydłami?

-Tak.

- Oddechem jak palenisko?

-Tak.

- Z tymi ogromnymi pazurami na łapach?

- Ze szponami? Oczywiście. Ile tylko chcecie.

- Co to znaczy: ile tylko chcemy?

- Miałem nadzieję, że to oczywiste, bracie Strażnico. Jeśli chcecie smoków, będziecie mieli smoki. Możecie sprowadzić tu smoka. Teraz. Do miasta.

- Ja?

- Wy wszyscy - wyjaśnił Najwyższy Wielki Mistrz. - To znaczy my. Brat Strażnica zawahał się.

- Nie wiem, czy to dobry...

- I wykona każdy wasz rozkaz.

To ich zaciekało. To ich zachęciło. Te słowa upadły przed ich chytrymi, małymi mózdkami niby kawał mięsa w psiarni.

- Możecie to powtórzyć? - poprosił po namyśle brat Tynkarz.

- Możecie nim kierować. Możecie mu rozkazywać, a on wszystko wykona.

- Co? Prawdziwy smok?

Najwyższy Wielki Mistrz westchnął cichutko pod osłoną kaptura.

- Tak, prawdziwy. Nie mały, pokojowy smok bagienny, ale prawdziwa bestia.

- Ale myślałem, że one są... no wiecie... mitami. Najwyższy Wielki Mistrz pochylił się lekko.

- Były mitami i były rzeczywiste - oznajmił głośno. - I fala, i częstka.

- Tutaj już nie rozumiem - wyznał brat Tynkarz.

- W takim razie pokażę. Poproszę o księgę, bracie Palcy. Dziękuję. Bracia, muszę wam wyznać, że kiedy pobierałem nauki u Tajemnych Mistrzów...

- U kogo, Najwyższy Wielki Mistrzu? - przerwał brat Tynkarz.

- Dlaczego nie słuchałeś? Nigdy nie słuchasz. Powiedział: Tajemnych Mistrzów! - odpowiedział brat Strażnica. - Wiesz, szacowni mędracy, co mieszkają na jakiejś górze i w sekrecie wszystkim rządzą. Nauczyli go, co należy i teraz może chodzić przez ogień i w ogóle. On też nas nauczy, prawda, Najwyższy Wielki Mistrzu? - zakończył przymilnie.

- Aha, Tajemni Mistrzowie! - zawołał brat Tynkarz. - Przepraszam. W mistycznych kapturach. No jasne. Tajemni. Już pamiętam.

Kiedy już będę rządził miastem, pomyślał Najwyższy Wielki Mistrz, wszystko to się skończy. Stworzę nowe tajne stowarzyszenie ludzi bystrych i inteligentnych... chociaż nie nazbyt inteligentnych, ma się rozumieć. Bez przesady. Obalimy zimnego tyrana, zapoczątkujemy nową erę oświecenia, braterstwa i humanizmu. Ankh-Morpork zmieni się w utopię, a tacy ludzie

jak brat Tynkarz upieką się na wolnym ogniu, jeśli tylko będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, a będę. I jego figgin[2] też.

- A więc, jak już mówiłem, kiedy pobierałem nauki od Tajemnych Mistrzów... - podjął.

- To wtedy, kiedy kazali wam chodzić po ryżowym papierze, zgadza się? - wtrącił uprzejmie brat Strażnica. - Zawsze uważałem, że to niezła sztuka. Odkąd nam o tym opowiedzieliście, Najwyższy Wielki Mistrzu, zbieram ten papier z opakowań makaroników. Właściwie to zabawne. Chodzę po nim bez żadnych problemów. To pokazuje, co człowiekowi daje wstąpienie do właściwego tajnego stowarzyszenia. Nie ma co.

Kiedy brat Tynkarz znajdzie się na ruszcie, pomyślał Najwyższy Wielki Mistrz, nie będzie tam sam.

- Twoje kroki na drodze ku oświeceniu są przykładem dla nas wszystkich, bracie Strażnico - powiedział głośno. - Gdybym jednak mógł kontynuować... Pośród wielu sekretów...

- ...z samego Serca Istnienia - odpowiedział brat Strażnica.

- ...z samego Serca, jak słusznie zauważył brat Strażnica, Istnienia, znalazło się też obecne miejsce pobytu smoków szlachetnych. Przekonanie, że wymarły, jest całkowicie błędne. Po prostu znalazły inną niszę ewolucyjną. I można je stamtąd przywołać. Ta księga... - podniósł tom w górę - ..zawiera szczegółowe instrukcje.

- Tak zwyczajnie są w książce? - zdziwił się brat Tynkarz.

- Nie w zwykłej książce. To jedyny egzemplarz. Szukałem go przez długie lata. Karty pokrywa własnoręczne pismo Tubala de Malachita, wielkiego badacza smoków. Spisał wszystko osobiście. Przywoływał smoki wszelkich rozmiarów. I wy też możecie.

Zapadła niezręczna cisza.

- Ehem... - odezwał się w końcu brat Odźwierny.

- To mi trochę przypomina... no wiecie... magię - mruknął brat Strażnica nerwowym tonem człowieka, który domyślił się, pod którym z trzech kubków ukryty jest groszek, ale woli tego nie zdradzać. - Znaczy, nie chciałbym kwestionować waszej najwyższej mądrości i w ogóle, ale... no... niby magia...

Umilkł.

- Tak - zgodził się z zakłopotaniem brat Tynkarz.

- Chodzi no... o magów - dodał brat Palcy. - Pewnieście tego nie wiedzieli, kiedyście siedzieli u tych szacownych pustynników w górach. Ale tutaj, kiedy magowie przyłapią kogoś na takich zabawach, spadają na niego niczym tona cegłówek.

- Nazywają to demarkacją - wyjaśnił brat Tynkarz. - Niby że wy nie płaczecie mistycznych, złożonych jakim tam przyczynowości, a oni nie kładą tynków.

- Nie dostrzegam tu problemu - oświadczył Najwyższy Wielki Mistrz. W rzeczywistości dostrzegał go aż nazbyt wyraźnie. To była ostatnia przeszkoda. Wystarczy pomóc ich małym mózdzkom ją pokonać, a będzie trzymał świat w rękę. Ich ogłupiająco nieinteligentny egoizm do tej pory nie zawiódł go ani razu. Z pewnością nie zawiedzie i teraz...

Bracia niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Wreszcie odezwał się brat Szambownik.

- Ha! Magowie! Co oni wiedzą o ciężkiej pracy? Najwyższy Wielki Mistrz odetchnął głęboko. Uff... Atmosfera złośliwej niechęci wyraźnie zgęstniała.

- Nic, trudno zaprzeczyć - przyznał brat Palcy. - Chodzą tylko i zadzierają nosa; są za dobrzy dla takich jak my. Widywałem ich, kiedy pracowałem na Uniwersytecie. Tyłki na milę szerokie, mówię wam. Czy kto widział, żeby się zajmowali uczciwą pracą?

- Na przykład złodziejstwem? - wtrącił brat Strażnica, który jakoś nie

lubił brata Palcego.

- Pewno, tłumaczę wszystkim - brat Palcy demonstracyjnie zignorował pytanie - że niby nie wolno robić żadnych czarów, bo tylko oni wiedzą, jak nie zakłócać harmonii wszechświata i czego tam jeszcze. Kupa bzdur, moim zdaniem.

- No więc... - zaczął brat Tynkarz. - Właściwie to nie wiem. Jak się źle wszystko pomiesza, to człowiek kończy po kostki w mokrym tynku. A jak się coś pokręci z magią, to podobno okropne potwory wyłazą z desek i przeszywają człowieka na wylot.

- Owszem, ale to magowie tak mówią - stwierdził w zadumie brat Strażnica. - Prawdę mówiąc, nie znoszę ich. Może po prostu dobrali się do łatwych zysków i nie chcą, żeby reszta się dowiedziała. Bo jak się dobrze zastanowić, to przecież tylko machają rękami i coś wołają.

Bracia zastanowili się dobrze. Rzeczywiście, brzmiało to rozsądnie. Gdyby to oni dobrali się do łatwych zysków, na pewno by nie chcieli się z nikim dzielić.

Najwyższy Wielki Mistrz uznał, że nadszedł właściwy moment.

- Zatem zgadzamy się, bracia? Jesteście gotowi do praktyk magicznych?

- Chodzi o praktykę? - upewnił się z wyraźną ulgą brat Tynkarz. - Praktyka mi nie przeszkadza. Dopóki nie musimy czarować naprawdę...

Najwyższy Wielki Mistrz uderzył pięścią w księgę.

- Będziemy rzucać prawdziwe zaklęcia! Doprowadzimy miasto do porządku! Przywołamy smoka! - krzyknął. Odstąpili.

- A potem - zapytał brat Odźwierny - kiedy już ściągniemy tu smoka, prawowity król się pojawi? Tak po prostu?

- Tak! - obiecał Najwyższy Wielki Mistrz.

- Na pewno — poparł go brat Strażnica.

- To rozsądne. Z powodu Przeznaczenia i nieuchronnych działań Losu.

Po chwili wahania nastąpiło ogólne kiwanie kapturami. Tylko brat Tynkarz był trochę niepewny.

- Jeszcze jedno... - powiedział. - Nie wyrwie się spod kontroli, prawda?

- Zapewniam cię, bracie Tynkarzu, że możesz się wycofać, kiedy tylko zechcesz - odpowiedział gładko Najwyższy Wielki Mistrz.

- No to... niech będzie — zgodził się z ociąganiem brat Tynkarz. - Tylko na chwilę. A czy możemy go zatrzymać tak długo, żeby spalił, na przykład, tyrańskie sklepy z warzywami?

Aha...

Zwyciężył. Znowu powrócą smoki. I król. Nie taki jak dawni królowie. To król, który robi to, co mu się każe.

- To zależy - odparł Najwyższy Wielki Mistrz - od tego, jak bardzo mi pomożecie. Na początek potrzebujemy wszelkich magicznych przedmiotów, jakie zdołacie dostarczyć...

Niech lepiej nie widzą, że druga połówka książki de Malachita jest zwęgloną bryłą. Autor nie był dostatecznie silny.

On sam poradzi sobie lepiej. I nic, ale to nic nie zdoła go powstrzymać.

Zagrzechotał grom...

Podobno bogowie grają żywotami ludzi. Ale w jakie gry, dlaczego i kim są poszczególne pionki, o co toczy się rozgrywka i jakie są reguły... Kto wie?

Lepiej o tym nie myśleć.

Zagrzechotał grom...

Wypadła szóstka.

A teraz wycofajmy się na chwilę z mokrych ulic Ankh-Morpork, przefruńmy nad porannymi mgłami Dysku i zogniskujmy obraz na młodym człowieku, zmierzającym do miasta z całą otwartością, szczerością i niewinnością góry lodowej, dryfującej po ruchliwym torze żeglutowym.

Ten młody człowiek nazywany jest Marchewą. Nie z powodu włosów, które ojciec zawsze ścinał mu krótko dla Higieny. To z powodu jego sylwetki - szerokiej u góry, zwężającej się ku dołowi; taką sylwetkę zyskuje chłopiec dzięki zdrowemu trybowi życia, pożywnemu jedzeniu i świeżemu górskiemu powietrzu potężnymi porcjami wciągane do płuc. Kiedy napina mięśnie ramion, inne mięśnie muszą się najpierw odsunąć.

Chłopiec ów niesie też miecz wręczony mu w tajemniczych okolicznościach. Bardzo tajemniczych okolicznościach. Aż dziw zatem, że jest w tym mieczu coś nieoczekiwanego: nie jest magiczny. Nie ma imienia. Kiedy się nim macha, człowieka nie wypełnia poczucie mocy, tylko wyrastają mu bąble na dłoniach. Można by uwierzyć, że miecz ten był używany tak często, aż zatracił inne swe cechy i stał się kwintesencją miecza: długim kawałkiem metalu z bardzo ostrymi krawędziami. I nie ma wypisanego na klindze przeznaczenia.

Jest właściwie unikatem.

Zagrzechotał grom.

Miejskie rynsztoki bulgotały cicho, niosąc ze sobą szczątki

nocy, czasami protestujące słabo.

Docierając do nieruchomej postaci kapitana Vimesa, woda rozdzielała się i opływała go dwoma strumykami. Vimes otworzył oczy. Minęła chwila spokoju, zanim wspomnienia uderzyły go jak łopata.

To był zły dzień dla Straży. Przede wszystkim mieli pogrzeb Herberta Gaskina. Biedny stary Gaskin. Złamał jedną z podstawowych zasad strażniczej służby. A nie była to zasada, którą ktoś taki jak Gaskin może złamać dwukrotnie. Dlatego musieli go złożyć w wilgotnej ziemi, a deszcz bębnił o wieko trumny i nikt go nie żałował prócz trzech żyjących jeszcze członków Nocnej Straży, grupy ludzi najbardziej w całym mieście pogardzanej. Sierżant Colon miał łzy w oczach. Biedny stary Gaskin.

Biedny stary Vimes, myślał Vimes.

Biedny stary Vimes w rynsztoku... Ale od tego przecież zaczął. Biedny stary Vimes, któremu woda wlewa się pod półpancerz. Biedny stary Vimes, patrzący, jak płynie obok reszta zawartości rynsztoka. Pewnie nawet biedny stary Gaskin ma w tej chwili lepszy widok.

Pomyślmy... Po pogrzebie ruszył w miasto, a potem był pijany. Nie, nie pijany... Chodzi o dwa słowa... Bardzo pijany - to jest to. Ponieważ cały świat wyginał się jakoś i skręcał jak nierówne szkło, a wracał do zwykłej postaci tylko wtedy, kiedy oglądało się go przez dno butelki.

Coś jeszcze... Co to było?

Aha. Wieczór. Pora na służbę. Ale nie dla Gaskina. Trzeba znaleźć kogoś nowego. Ale nowy już przecież idzie. Jakiś wieśniak z prowincji. Napisał list. Prostak ze wsi...

Vimes zrezygnował i osunął się z powrotem. Woda w rynsztoku falowała spokojnie.

Nad nim skwierczały w deszczu i migotały świetliste litery.

Nie tylko świeże górskie powietrze dało Marchewie jego potężną budowę. Pomogło też dorastanie w kopalni złota krasnoludów i praca po dwanaście godzin na dobę przy wyciąganiu wózków na powierzchnię.

Trochę się garbił. To z kolei było skutkiem dorastania w kopalni złota krasnoludów, które uważały, że pięć stóp to odpowiednia wysokość dla sklepienia.

Zawsze wiedział, że jest inny. Na przykład bardziej posiniaczony. Aż raz stanął przed nim ojciec (a sięgał mu do pasa) i powiedział, że Marchewa naprawdę nie jest -jak zawsze wierzył - krasnoludem.

To straszne, w wieku prawie szesnastu lat odkryć, że należy się do niewłaściwego gatunku.

- Nie chcieliśmy ci wcześniej mówić, synu - rzekł ojciec. - Mieliśmy nadzieję, że z tego wyrośniesz.

- Z czego wyrosnę? - zdziwił się Marchewa.

- Z rośnięcia. Ale twoja matka uważa, to znaczy oboje uważamy, że czas już, byś wyruszył między swoich. Znaczący, to nie w porządku trzymać cię tutaj bez towarzystwa osób twojego wzrostu. - Ojciec przekręcił obłuzowany nit w hełmie: wyraźny znak, że był zmartwiony. - Ehm - dodał.

- Przecież to wy jesteście swoi! - zawołał zrozpaczony Marchewa.

- W pewnym sensie, owszem - zgodził się ojciec. - Ale w innym, który jest sensem bardziej precyzyjnym i dokładnym, wcale nie. Rozumiesz, chodzi o te historie z genetyką. I chyba lepiej by było, żebyś wyruszył gdzieś i zobaczył kawałek świata.

- Jak to? Na dobre?

- Ależ nie! Oczywiście, że nie. Wracaj i odwiedzaj nas, kiedy tylko zechcesz. Ale sam wiesz, chłopak w twoim wieku, uwięziony tu

na dole... Tak być nie powinno. Znaczy... Nie jesteś już dzieckiem. Nie możesz prawie cały czas chodzić na kolanach i w ogóle. Nie.

- A kto to są dla mnie „swoi”? - zapytał zdumiony Marchewa. Stary krasnolud odetchnął głęboko.

- Jesteś człowiekiem - oświadczył.

- Co? Takim jak pan Varneshi? - Pan Varneshi raz w tygodniu pokonywał górskie drogi zaprzężonym w woły wózkiem i handlował z krasnoludami. -Jednym z Dużych Ludzi?

- Masz sześć stóp i sześć cali, synu. On ma tylko pięć stóp. - Krasnolud nerwowo bawił się obluzowanym nitem. - Sam widzisz, jak to jest.

-Tak, ale... Ale może jestem po prostu wysoki jak na swój wzrost - tłumaczył rozpaczliwie Marchewa. - W końcu istnieją przecież niscy ludzie. Dlaczego nie może być wysokich krasnoludów?

Ojciec poklepał go pocieszająco po kolanie.

- Musisz spojrzeć w twarz faktom, mój chłopcze. Lepiej ci będzie na powierzchni. Masz to we krwi. No i sufit nie jest tam taki niski. Nie będziesz sobie przecież rozbijał głowy o niebo, pomyślał.

- Chwileczkę! - zawołał Marchewa. Jego czoło zmarszczyło się od umysłowego wysiłku. - Jesteś krasnoludem, tak? I mama jest krasnoludem. Więc ja też powinienem być krasnoludem. To chyba oczywiste.

Krasnolud westchnął. Miał nadzieję wyjaśnić to stopniowo, w ciągu kilku miesięcy, delikatnie. Ale nie miał już czasu.

- Usiądź, synu - poprosił. Marchewa usiadł.

- Chodzi o to - powiedział smętnie ojciec, kiedy szeroka, otwarta twarz chłopca znalazła się nieco bliżej jego własnej - że pewnego dnia znaleźliśmy cię w lesie. Raczkowałeś niedaleko szlaku... Hm. — Zazgrzytał obluzowany nit. Krasnolud mówił dalej: — Widzisz... Stały tam takie wozy. Palily się, można powiedzieć. I martwi ludzie. Hm, no tak. Wyjątkowo martwi. Z

powodu bandytów. To była ciężka zima, tamta zima, i różni tacy chowali się po górach... Zabraliśmy cię, oczywiście, a potem, no wiesz, zima trwała długo i mama się do ciebie przyzwyczaiła, i... W każdym razie jakoś nie poprosiliśmy Varneshiego, żeby o ciebie popytał. Tak to w skrócie wyglądało.

Marchewa przyjął wieści spokojnie, głównie dlatego że prawie nic nie zrozumiał. Poza tym, o ile wiedział, dzieci znajduje się raczkujące przy szlaku, to normalna metoda przychodzenia na świat. Krasnoluda uznaje się za zbyt młodego, by mu[3] tłumaczyć techniczne elementy całego procesu, dopóki nie osiągnie dojrzałości[4].

- No dobrze, tato - powiedział, pochylając się, żeby jego usta znalazły się na poziomie ucha krasnoluda. - Ale wiesz, że ja i... Znasz Blaszkę Skałokruszównę? Jest śliczna, tato, a brodę ma tak miękką jak... jak... jak coś bardzo miękkiego. Lubimy się i...

- Tak - odparł chłodno krasnolud. - Wiem. Jej ojciec ze mną rozmawiał.

A jej matka z twoją matką, a potem ona rozmawiała ze mną. Długo rozmawiała. Nie o to chodzi, że cię nie lubią; jesteś porządnym chłopcem i dobrym robotnikiem. Byłby z ciebie świetny zięć. A nawet czterech dobrych zięciów. W tym problem. Zresztą ona ma dopiero sześćdziesiątkę. To nie uchodzi. Nie wypada.

Słyszał o dzieciach wychowywanych przez wilki i zastanawiał się, czy przywódca stada też czasem musi rozwiązywać takie trudne sytuacje. Może prowadzi dzieciaka na jakąś cichą polankę i mówi: „Posłuchaj, synu. Na pewno zastanawiałeś się, dlaczego nie jesteś taki owłosiony jak wszyscy...”.

Omówił tę sprawę z Varneshim. Porządny chłop z tego Varneshiego. Naturalnie, znał jego ojca. I dziadka też, jeśli dobrze pamiętał. Ludzie jakoś nie wytrzymywali zbyt długo, pewnie z wysiłku pompowania krwi na taką wysokość.

- To poważny problem, królu[5]. Nie ma co - stwierdził człowiek, kiedy razem popijali na ławeczce przy drugim szybie.

- Dobry z niego chłopak, nikt nie zaprzeczy - zapewnił król. -Szczery charakter. Uczciwy. Nie błyskotliwy może, ale kiedy mu się powie, że ma coś zrobić, nie spocznie, dopóki nie skończy. Posłuszny.

- Mógłbyś mu odrąbać nogi - zaproponował Varneshi.

- Nie z nogami spodziewam się kłopotów - odparł posępnie król.

- Aha. No tak. W takim razie mógłbyś...

-Nie.

- Nie - zgodził się Varneshi po namyśle. - Hm... No to powinienś wysłać go w świat. Niech spotka jakichś ludzi. - Oparł się wygodnie. - Widzisz, królu, masz u siebie kaczkę - dodał tonem światowca.

- Chyba nie powinienem mu tego mówić. Nawet w to, że jest człowiekiem, nie bardzo chce uwierzyć.

- Chodzi mi o kaczkę wychowaną wśród kurcząt. Na farmach to dobrze znane zjawisko. Okazuje się, że nie potrafi dobrze dziobać, ale też nie ma pojęcia, jak się pływa. — Król słuchał uprzejmie. Krasnoludy rzadko zajmują się rolnictwem. - Ale wystarczy go posłać, żeby zobaczył inne kaczki, żeby zamoczył stopy, a przestanie biegać za kurczętami. I Bob jest twoim wujem.

Varneshi wyglądał na człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

Kiedy ktoś sporą część życia spędza pod ziemią, wykształca sobie bardzo dosłowny umysł. Krasnoludy nie używają porównań i metafor. Skały są twarde, a ciemność ciemna. *Zaczni*j mącić sobie w głowie dziwacznymi opisami, a kłopotów tylko czekać - oto ich motto. Ale po dwustu latach rozmów z ludźmi król zdobył zestaw precyzyjnych narzędzi myślowych, niemal wystarczających, by rozwiązywać problemy porozumienia.

- Moim wujem jest przecież Bjorn Wręcemocny - zauważył po chwili.

- Na jedno wychodzi.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, gdy król poddawał to stwierdzenie

dokładnej analizie.

- Chcesz powiedzieć — rzekł w końcu, ważąc każde słowo - że powinniśmy wysłać Marchewę, żeby był kaczką między ludźmi, ponieważ Bjorn Wręcemocny jest moim wujem.

- To już dorosły chłopak. Ktoś taki duży i silny ma wiele możliwości.

- Słyszałem, że krasnoludy wyruszają czasem do pracy w Wielkim Mieście. I posyłają pieniądze swoim rodzinom, co jest godne pochwały i słuszne.

- No właśnie. Załatw mu posadę w... - Varneshi zastanowił się chwilę. — W Straży albo gdzie. Mój pradziadek służył w Straży, wiesz? Zawsze mówił, że to świetna praca dla dużych chłopów.

- Co to jest Straż? - zapytał król.

- No... - zaczął Varneshi niezbyt precyzyjnie, jak ktoś, kogo rodzina od trzech pokoleń nie podróżowała dalej niż na dwadzieścia mil. — Zajmują się pilnowaniem, żeby ludzie przestrzegali prawa i robili, co im się każe.

- To słuszna troska - przyznał król. Ponieważ zwykle to on wydawał rozkazy, miał też bardzo stanowcze poglądy na temat ludzi robiących to, co im się każe.

- Oczywiście, nie biorą byle kogo - stwierdził Varneshi, sięgając w głębinę swych wspomnień.

- Nie powinni do tak ważnego zadania. Napiszę do ich króla.

- Oni tam chyba nie mają króla. Tylko jakiegoś człowieka, który im mówi, co robić.

Król krasnoludów przyjął to spokojnie. Tak przecież - w pięćdziesięciu siedmiu procentach - brzmiała definicja królowania, przynajmniej jeśli o niego chodziło.

Marchewa wysłuchał wieści bez protestów, jakby to były instrukcje

dotyczące ponownego otwarcia szybu czwartego albo cięcia drewna na stemple. Wszystkie krasnoludy są z natury obowiązkowe, poważne, rozsądne, posłuszne i myślące; ich jedyną drobną wadą jest skłonność, by po jednym drinku rzucać się na wrogów z okrzykiem „Airrrrrgh!” i odrąbywać im nogi pod kolanami. Marchewa nie widział powodów, by zachowywać się inaczej. Pójdzie do tego miasta -cokolwiek oznacza to słowo - i niech zrobią z niego mężczyznę.

Brali tylko najlepszych, zapewniał Varneshi. Strażnik musi być doświadczonym wojownikiem, czystym w myśli, mowie i uczynkach. Z pokładów anegdot przodka wywlekał opowieści o pościgach dachami przy świetle księżyca, o straszliwych bitwach ze złoczyńcami, które to bitwy jego pradziadek oczywiście wygrywał mimo wielkiej przewagi liczebnej wroga.

Marchewa musiał przyznać, że brzmiało to ciekawiej niż górnictwo.

Po namyśle król napisał do władcy Ankh-Morpork, z szacunkiem pytając, czy Marchewa może liczyć na miejsce wśród najlepszych.

W kopalni rzadko pisywano listy. Praca ustała i cały klan siedział dookoła w nabożnym milczeniu, a pióro skrzypiało na papierze. Przedtem król posłał jeszcze do Varneshiego ciotkę, żeby bardzo uprzejmie zapytała, czy pan Varneshi widzi możliwość użyczenia odrobiny wosku. Siostra pobiegła w dolinę, do wioski, by zapytać panią Garlick, czarownicę, jak się kończy pisać rekomendację.

Minęło kilka miesięcy.

I wreszcie przyszła odpowiedź. List był dość zabrudzony, ponieważ pocztę w Ramtopach zwykle wręczano pierwszemu, który zmierzał mniej więcej we właściwym kierunku. Był też krótki. Stwierdzał bez ogródek, że podanie zostało przyjęte i niech Marchewa stawia się na służbę niezwłocznie.

- To wszystko? - zdziwił się chłopiec. - Myślałem, że będą jakieś testy i w ogóle. Żeby sprawdzić, czy się nadaję.

- Jesteś moim synem - wyjaśnił król. - Napisałem to. Naturalnie, że się nadajesz. Pewnie nawet na oficera.

Wyciągnął spod krzesła worek, pogrzebał w nim i wręczył Marchewie długi kawał metalu - bardziej miecz niż piłę, ale tylko trochę bardziej.

- Jest chyba twoją prawowitą własnością - rzekł. - Kiedy znaleźliśmy. .. wozy, tylko ten miecz tam pozostał. Bandyci, rozumiesz. A tak między nami... - Skinął, żeby Marchewa się pochylił. - Pokazaliśmy go czarownicy. Na wypadek, gdyby był magiczny. Ale nie jest. Chyba najbardziej niemagiczny miecz, jaki widziała. Tak mówiła. Normalnie mają odrobinę magii, niby z powodu magnetyzmu. Tak myślę. Ale jest nieźle wyważony.

Podał miecz synowi.

Sięgnął do worka jeszcze raz.

- Masz jeszcze to. - Wyjął kamizelę. - Będzie cię chronić.

Marchewa wziął ją ostrożnie. Utkano ją z wełny ramtopowych owiec, cieplej i miękkiej jak szczecina wieprza. Była to jedna z legendarnych krasnoludzkich kamizel, które wymagają zawiasów.

- Chronić od czego? - zapytał.

- Od zimna i różnych takich - odparł król. - Mama uważa, że powinienes ją nosić. I jeszcze... tego... To mi coś przypomniało: pan Varneshi prosił, żebyś zajrzał do niego po drodze w doliny. Ma coś dla ciebie.

Mama i tato machali mu na pożegnanie, dopóki nie zniknął im z oczu. Blaszką nie. To zabawne. Miał wrażenie, że ostatnio go unika. Wziął miecz i przywiązał sobie na plecach, kanapki i czystą bieliznę wsadził do worka, a świat ułożył - mniej więcej - u stóp. W kieszeni miał słynny list od Patrycjusza, człowieka, który rządził wielkim i pięknym miastem Ankh-Morpork.

Przynajmniej mama tak o nim mówiła. Istotnie, miał na samej górze

imponujące godło, ale podpisał się jakiś „Łupin Zygzak, Sekr, w/z”.

Wszystko jedno. Nawet jeśli listu nie podpisał sam Patrycjusz, to jednak ktoś, kto dla niego pracował. A przynajmniej w tym samym budynku. Zapewne Patrycjusz wiedział o liście. Ogólnie. Może nie o tym konkretnie liście, ale zdawał sobie sprawę z istnienia listów jako takich.

Marchewa maszerował wytrwale po górskich ścieżkach, płosząc chmary trzmieli. Po jakimś czasie odwiązał miecz i kilka razy na próbę pchnął przestępcze pnie drzew i bezprawne zgromadzenia kłujących pokrzyw.

Varneshi siedział przed chatą i nawlekał na nitkę grzyby do suszenia.

- Witaj, Marchewo — powiedział, prowadząc chłopca do środka. - Nie możesz się pewnie doczekać, kiedy zobaczysz miasto? Marchewa zastanowił się nad tym.

- Nie - odparł.

- Zaczynasz się wahać?

- Nie. Szedłem sobie po prostu - wyznał szczerze chłopiec. - Nie myślałem o niczym szczególnym.

- Ojciec dał ci miecz, jak widzę - zauważył Varneshi, szukając czegoś na brudnej półce.

- Tak. I wełnianą kamizelkę dla ochrony przed zimnem.

- Owszem, słyszałem, że w dolinach bywa wilgotno. Ochrona. To bardzo ważne. - Odwrócił się i dodał dramatycznym tonem: - To należało do mojego pradiadka.

Była to dziwaczna, w przybliżeniu półkulista konstrukcja otoczona paskami.

- Czy to jakaś proca? - spytał Marchewa, kiedy z uprzejmym zainteresowaniem zbadał urządzenie. Varneshi wyjaśnił, co to jest.

- Ochronia przed czym? - zdziwił się Marchewa.

- Służę do walki - wymamrotał zakłopotany Varneshi. - Powinieneś nosić to cały czas. Ośłania twoje vitalne części. Marchewa przymierzył.

- Trochę za małe, panie Varneshi.

- Bo widzisz, tego nie nosi się na głowie.

Varneshi objaśnił szczegóły, budząc tym coraz większe zdumienie, a potem grozę Marchewy.

- Mój pradziadek mawiał - dokończył Varneshi - że gdyby nie to, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

- Ciekawe, co chciał przez to powiedzieć? Varneshi kilka razy otworzył i zamknął usta.

- Nie mam pojęcia - wykrztusił wreszcie załamany.

W każdym razie wstydlivy przedmiot znajdował się w tej chwili na samym dnie tobołka Marchewy. Krasnoludy rzadko widują takie rzeczy. Upiorny ochraniacz stanowił znak świata równie obcego, jak ciemna strona księżyca.

Pan Varneshi dał mu jeszcze jeden prezent: niewielką, ale bardzo grubą książkę, oprawną w skórę, która przez lata nabrała twardości drewna.

Nazywała się *Prawa i Przepisy Porządkowe miast Ankh i Morpork*.

- Ona także należała do mojego pradziadka - wyjaśnił kupiec. - Zawiera to, co każdy strażnik wiedzieć powinien. Musisz znać wszystkie prawa - oznajmił z godnością - żeby być dobrym oficerem.

Varneshi powinien pamiętać, że przez całe życie nikt tak naprawdę Marchewy nie okłamał ani nie wydał mu polecenia, którego nie powinien rozumieć jak najdosłowniej. Chłopiec przyjął książkę z powagą. Nie przyszło mu nawet do głowy, że kiedy już zostanie oficerem Straży, nie będzie dobrym oficerem.

Pokonał pięćset mil i - co zaskakujące - droga przebiegła mu całkiem spokojnie. Ludzi mających sporo powyżej sześciu stóp wzrostu i prawie tyle samo w barach rzadko spotykają w drodze jakieś przygody. Najwyżej jacyś obcy wyskakują czasem na nich zza skał, a potem mówią niepewnym tonem:

- Eee... przepraszam. Wziąłem pana za kogoś innego.

Prawie całą drogę czytał.

A teraz leżało przed nim Ankh-Morpork.

Był trochę rozczarowany. Spodziewał się wysokich wież, wyrastających ponad krajobrazem. I sztandarów. Ankh-Morpork nie wyrastało. Raczej kuliło się przy ziemi, jakby się bało, że ktoś mu ją ukradnie. I nie było żadnych sztandarów.

Przy bramie stał strażnik. W każdym razie nosił kolczugę, a przedmiot, o który się opierał, wyglądał na pikę. Musiał być strażnikiem.

Marchewa zasalutował i pokazał mu list. Mężczyzna przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Mm? - zapytał w końcu.

- Myślę, że powinienem *znaleźć* pana Łupina Zygzaka, Sekr. w/z — odparł Marchewa.

- A co to znaczy „w/z”? - zapytał podejrzliwie strażnik.

- Może „Wskazany Zapał”? - Marchewa sam się nad tym zastanawiał.

- Nic nie wiem o żadnym Sekr. - oświadczył strażnik. - Potrzebny ci kapitan Vimes z Nocnej Straży.

- A gdzież on zamieszkuje?

- O tej porze szukałbym go Pod Kiścią Winogron przy Łatwej. - Strażnik obejrzał Marchewę od stóp do głów. - Wstępujesz do służby, co?

- Mam nadzieję, że okażę się godny.

Strażnik obrzucił go spojrzeniem, które można by określić jako staromodne. Wręcz neolityczne.

- Co takiego przeskrobałeś? - zapytał.

- Nie rozumiem.

- Musiałeś coś zrobić.

- Mój ojciec napisał list — wyjaśnił z dumą Marchewa. — Zostałem zgłoszony na ochotnika.

- Niech mnie lichy porwie - mruknął strażnik.

Znowu nastała noc i Bractwo zebrało się za mrocznym portalem.

- Czy Koła Cierpienia wirują należycie? - zapytał Najwyższy Wielki Mistrz.

Ustawione w kręgu Świetliste Bractwo przestąpiło z nogi na nogę.

- Bracie Strażnico? - rzucił Najwyższy Wielki Mistrz.

- Nie do mnie należy kręcenie Kołami Cierpienia - wymamrotał brat Strażnica. - To robota brata Tynkarza. On ma kręcić Kołami Cierpienia...

- Nie, do licha, to nie moja sprawa! Moja sprawa to oliwienie

Osi Wszechświatowej Cytryny! - zawołał oburzony brat Tynkarz. - Zawsze mówiłeś, że tym mam się zajmować...

Najwyższy Wielki Mistrz westchnął w głębi swego kaptura. Zaczynała się kolejna kłótnia. Jak z tych szumowin ma wykuć Erę Racjonalizmu?

- Zamknijcie się, dobrze! - warknął. - Kręgi Cierpienia właściwie nie będą dzisiaj potrzebne. Przestańcie obaj! A teraz, bracia, czy przynieśliście przedmioty zgodnie z poleceniem?

Odpowiedzią był ogólny pomruk.

- Złóżcie je w Kręgu Przywołania - rozkazał Najwyższy Wielki Mistrz.

Był to nędzny zbiór. Przynieście magiczne przedmioty, powiedział. A tylko brat Palcy znalazł coś interesującego; wyglądało jak rodzaj ozdoby ołtarza. Lepiej nie pytać, skąd pochodziło. Najwyższy Wielki Mistrz podszedł i trącił nogą jeden z obiektów.

- Co to jest? - spytał.

- Amulet! - zapewnił brat Szambownik. - Bardzo potężny. Kupiłem od jednego człowieka. Gwarantowany. Chroni przed ugryzieniem krokodyla.

- Jesteś pewien, bracie, że nie będzie ci potrzebny? - zapytał ironicznie Najwyższy Wielki Mistrz.

Reszta braci zachichotała posłusznie.

- Dość tego, bracia! - Najwyższy Wielki Mistrz odwrócił się. - Przynieście magiczne przedmioty, nakazałem. Nie tanie błyskotki i śmiecie. Na bogów, to miasto aż ocieka magią. - Wyciągnął rękę. - Co to?

- Kamienie - wyjaśnił niepewnie brat Tynkarz.

- To widzę. Dlaczego są magiczne? Brat Tynkarz zaczął dygotać.

- Mają dziury, Najwyższy Wielki Mistrzu. Wszyscy wiedzą, że kamienie z dziurami są magiczne.

Najwyższy Wielki Mistrz wrócił na swoje miejsce w kręgu. Rozłożył ręce.

- W porządku, świetnie, doskonale - rzekł tonem pełnym znużenia. - Jeśli w ten sposób mamy to załatwić, to w ten sposób załatwimy. A kiedy

przywołamy smoka długości sześciu cali, wszyscy będziemy wiedzieli, z jakiej przyczyny. Prawda, bracie Tynkarzu? Bracie Tynkarzu! Przepraszam, nie dosłyszałem. Bracie Tynkarzu!

- Powiedziałem, że tak, Najwyższy Wielki Mistrzu - wyszeptał brat Tynkarz.

- Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że zrozumieliście. Odwrócił się i sięgnął po księgę.

- A teraz - zaczął - kiedy jesteście gotowi...

- Ehm... - Brat Strażnica z wahaniem podniósł rękę. - Gotowi do czego, Najwyższy Wielki Mistrzu?

- Do przywołania, oczywiście. Na bogów, myślałem...

- Ale nie powiedziałeś nam, co powinniśmy robić, Najwyższy Wielki Mistrzu - jęknął brat Strażnica.

Wielki Mistrz zastanowił się. To prawda, ale nie miał zamiaru się przyznawać.

- Ależ naturalnie — powiedział. - To oczywiste. Musicie zogniskować swoją koncentrację. Myślcie intensywnie o smokach — przetłumaczył. - Wszyscy.

- To wszystko? - zdziwił się brat Odźwierny.

-Tak.

- Nie musimy śpiewać starożytnego runa ani nic?

Najwyższy Wielki Mistrz przyjrzał mu się surowo. Brat Odźwierny wyglądał tak wyzywająco, jak to tylko możliwe dla anonimowego cienia w czarnym kapturze. Nie po to wstąpił do tajnego stowarzyszenia, żeby nie śpiewać starożytnych run. Nie mógł się już doczekać.

- Możesz, jeśli masz ochotę — zgodził się Najwyższy Wielki Mistrz. -

A teraz wszyscy... Tak, o co chodzi, bracie Szambowniku? Niski brat opuścił rękę.

- Nie znam żadnego starożytnego runa, Wielki Mistrzu. Nie takie, które by można śpiewać...

- To nuć!

Otworzył księgę.

Zaskoczyło go odkrycie, na stronach za stronami wypełnionymi nabożnymi tekstami, że samo Przywołanie jest tylko jednym krótkim zdaniem. Nie inkantacją, nie krótkim wierszem, ale zestawieniem pozbawionych znaczenia sylab. De Malachit twierdził, że wywołują one interferencję w falach rzeczywistości, ale stary dureń pewnie wymyślił to na poczekaniu. Na tym właśnie polega kłopot z magami: chcą wszystko przedstawić tak, żeby wydawało się trudne. Tak naprawdę potrzebna jest tylko siła woli. A tej Bractwu nie zabraknie. Samolubna i jadowita siła woli, owszem, pełna złośliwości, ale jednak potężna na swój sposób...

Tym razem nie będą próbować niczego skomplikowanego. Najlepiej gdzieś, gdzie nikt nie zwróci uwagi...

Bracia wokół śpiewali to, co każdy uważał za mistyczne wersety. Efekt był całkiem niezły, jeśli tylko człowiek nie zważał na słowa.

A tak, słowa...

Zerknął na kartkę i wyrecytował je głośno.

Nic się nie stało.

Mrugnął.

Kiedy znów otworzył oczy, znalazł się w ciemnym zaułku, z żołądkiem pełnym ognia. I był bardzo zły.

To była chyba najgorsza noc w życiu Zebbo Mooty'ego, złodzieja trzeciej kategorii. I nie ucieszyłby się ani trochę, gdyby wiedział, że będzie to także jego ostatnia. Padał deszcz, więc ludzie siedzieli w domach i nie mógł wykonać normy. Stał się zatem odrobinę mniej czujny, niż byłby w innej sytuacji.

Nocą na ulicach Ankh-Morpork czujność jest pojęciem absolutnym. Nie istnieje coś takiego jak średnia czujność. Człowiek jest albo bardzo czujny, albo martwy. Może chodzić i oddychać, ale już jest martwy mimo to.

Zebbo usłyszał z pobliskiego zaułka stłumione dźwięki, wysunął z rękawa obszytą skórą pałkę, odczekał, aż ofiara zbliży się do rogu, wyskoczył, powiedział „O żeż...” i zginął.

Zginął niezwykłą śmiercią. Od setek lat nikt nie zginął w ten sposób.

Kamienny mur za jego plecami zapłonął czerwienią żaru, po czym z wolna pociemniał.

Zebbo był pierwszym człowiekiem, który zobaczył smoka z Ankh-Morpork. Nie pocieszyło go to zbyt, ponieważ był już trupem.

- ... ty - dokończył.

Jego bezcielesna jaźń spojrzała na niewielki stosik sadzy, która - wiedział to z dziwną, nieznaną dotąd pewnością - była tym, od czego się właśnie odłączył. Oglądanie własnych doczesnych szczątków było wrażeniem niezwykłym. Uznał, że nie aż tak przerażającym, jak by sądził, gdyby ktoś go zapytał — powiedzmy - dziesięć minut temu. Szok odkrycia, że jest się martwym, łagodzi nieco fakt, że jednak wciąż istnieje ktoś, kto może stwierdzić własną śmierć. Zaułek przed nim znowu był pusty.

- To naprawdę bardzo dziwne - uznał Mooty. WYJĄTKOWO DZIWNE, ISTOTNIE.

- Widziałeś? Co to było? - Mooty zerknął na ciemną postać wy-

nurzającą się z cieni. - A skąd ty się tu wzięłeś? - dodał podejrzliwie. ZGADNIJ, odparł głos. Mooty przyjrzał się uważnie.

- O żeż ty! - powiedział. - Nie sądziłem, że przychodzisz po takich jak ja.

PRZYCHODZĘ PO KAŻDEGO.

- To znaczy... osobiście i w ogóle.

CZASAMI. W SZCZEGÓLNYCH PRZYPADKACH.

- No tak. A ten był szczególny, nie ma co. Przecież to wyglądało na jakiegoś wściekłego smoka! Jak niby człowiek powinien się zachować? Nikt się przecież nie spodziewa smoka za rogiem!

A TERAZ, JEŚLI POZWOLISZ ZE MNĄ... Śmierć położył mu na ramieniu kościstą dłoń.

- A wiesz, wróżka powiedziała mi kiedyś, że umrę w łóżku, otoczony rozpaczającymi wnucętami - przypomniał sobie Mooty, maszerując za ciemną postacią. -1 co ty na to?

SADZĘ, ŻE SIĘ MYLIŁA.

- Wściekły smok... - burczał Mooty. - W dodatku zionął ogniem! Czy bardzo cierpiałem?

NIE. ZGON BYŁ PRAKTYCZNIE NATYCHMIASTOWY.

- To dobrze. Nie chciałbym pamiętać, jak się męczyłem. - Mooty rozejrzał się dookoła. -1 co teraz? - zapytał.

Za nimi deszcz spłukiwał w błoto niewielką kupkę popiołu.

Najwyższy Wielki Mistrz otworzył oczy. Leżał na plecach, a brat Szambownik szykował się do sztucznego oddychania metodą usta-usta. Sama myśl o tym wystarczyła, by przeciągnąć człowieka przez granicę świadomości.

Usiadł, próbując otrząsnąć się z wrażenia, że waży kilka ton i jest pokryty łuską.

- Udało się - wyszeptał. - Smok przybył! Czułem go! Bracia spojrzeli po sobie nawzajem.

- Nic nie widzieliśmy - oświadczył brat Tynkarz.

- A ja chyba coś zauważyłem - zapewnił lojalnie brat Strażnika.

- Nie, nie tutaj! - burknął Najwyższy Wielki Mistrz. - Chyba nie chcielibyście, żeby się tutaj zmaterializował? Był na zewnątrz, w mieście. Tylko przez kilka sekund...

Wyciągnął rękę.

- Patrzcie!

Bracia obejrżeli się lękliwie, w każdej chwili oczekując palącego ognia kary.

Na środku kręgu powoli rozsypywały się w proch magiczne przedmioty. Na ich oczach rozpadł się amulet brata Szambownika.

- Wyssane do sucha - szepnął brat Palcy. - Niech mnie lichy...

- Wydałem na ten amulet trzy dolary - wymruczał brat Szambownik.

- To dowodzi, że się udało! - stwierdził Najwyższy Wielki Mistrz. - Nie rozumiecie, durnie? Działa! Możemy przywoływać smoki!

- Koszt w magicznych przedmiotach może być dość wysoki -zauważył z powątpiewaniem brat Palcy.

- ...trzy dolary, nic mniej. Żaden śmieć...

- Potęgi — rzekł głucho Najwyższy Wielki Mistrz — nie zdobywa się tanio.

- To prawda - przytaknął brat Strażnica. - Nie tanio. Szczera prawda. - Raz jeszcze zerknął na stosik zużytej magii. - A niech mnie - westchnął. - Dokonałiśmy tego, słowo daję! Wzięliśmy się do roboty i wyszła nam magia!

- Widzicie — wtrącił brat Palcy. - Mówiłem, że to nic trudnego.

- Wszyscy spisaliście się znakomicie — pochwalił ich Najwyższy Wielki Mistrz.

- ...powinno być sześć dolarów, ale powiedział, że gardło sobie poderżnie i sprzeda mi za trzy...

- Właśnie - przyznał brat Strażnica. -Już wiemy, o co w tym chodzi. I nic się nam nie stało! Prawdziwa magia! I nie pożarły nas jakieś stwory wyłazące z desek, co, bracie Tynkarzu? Ani jednego nie zauważyłem.

Pozostali bracia kiwali głowami. Prawdziwa magia. Nic trudnego. Niech cała reszta świata lepiej teraz uważa.

-Jedną chwileczkę - odezwał się brat Tynkarz. - A gdzie się podział smok? Znaczy, przywołaliśmy go w końcu, czy nie?

- Zabawne, że zadajesz takie głupie pytania - odpowiedział mu brat Strażnica.

Najwyższy Wielki Mistrz strzepnął pył ze swej mistycznej szaty.

- Przywołaliśmy go - zapewnił. - A on przybył. Ale tylko na tak długo, dopóki wystarczyło magii. Potem wrócił. Jeśli chcemy, żeby został dłużej, potrzebujemy więcej magii. Rozumiecie? I tę magię musimy zdobyć.

- ..nieprędko znowu zobaczę trzy dolary...

- Cisza!

Kochany ojcie [pisał Marchewa].

Dotarłem wreszcie do Ankh-Morpork. Jest tu zupełnie inaczej niż w domu. Myślę, że Miasto trochę się zmieniło od czasów, kiedy mieszkał tu pradziadek pana Varneshiego. Wydaje mi się, że ludzie nie odróżniają Dobra od Występku.

Znalazłem kapitana Vimesa w zwykłej karczmie. Pamiętam, jak mówiłeś, że porządny krasnolud nie odwiedza takich miejsc, ale on nie wychodził, więc to ja musiałem wejść. Kapitan leżał z głową na stole. Kiedy do niego przemówiłem, odparł: Spróbuj inaczej, mały, nie weźmiesz mnie na takie sztuczki. Potem kazał mi znaleźć sobie nocleg i wieczorem stawić się w Strażnicy u sierżanta Golona. Powiedział, że każdy, kto chce wstąpić do Straży, powinien sobie zbadać głowę.

Pan Varneshi nic o tym nie wspominał. Może przyczyną jest Higiena.

Poszedłem na spacer. Mieszka tu wielu ludzi. Znalazłem takie miejsce, które nazywają Mroki. A potem zobaczyłem, jak kilku mężczyzn próbuje okraść młodą Damę. Przeszkodziłem im. Nie umieli walczyć, jak należy, a jeden próbował mnie kopnąć w Części Witalne, ale zgodnie z radami miałem Ochraniacz i bardzo go zabolalo. Wtedy Dama podeszła do mnie i spytała, czy interesuje mnie Łóżko. Odparłem, że tak.

Zabrała mnie do swojego domu, gdzie poza tym zamieszkują chyba Ważne Osoby, tuż pośród mieszkańców, gdyż dom ów nazywa się zamtuzem. Prowadzi go pani Palm. Dama, o której sakiewkę chodziło, ma na imię Reet, powiedziała: Żałujcie, że go nie widzieliście, ich było trzech; to zadziwiające. Pani Palm rzekła, że to na koszt firmy. I jeszcze dodała: Jaki wielki ochraniacz. Poszedłem więc na górę i zasnąłem, choć mieszkańcy tego domu mocno hałasowali. Reet budziła mnie raz czy dwa i pytała, czy nie mam na nic ochoty, ale niestety, nie mieli jabłek. Tak więc spadłem na cztery łapy, jak tutaj mówią, chociaż nie wiem, jak to możliwe, bo przecież Rozsądek nakazuje spadać na dwie nogi.

Muszę przyznać, że jest tu wiele do zrobienia. Kiedy szedłem na

spotkanie z sierżantem, zobaczyłem budynek zwany Gildią Złodziei! Spytałem o niego panią Palm, a ona odpowiedziała, że oczywiście, i wyjaśniła, że tam spotykają się przywódcy Złodziei w Mieście. Trafiłem do Strażnicy i znalazłem sierżanta Golona, bardzo grubego człowieka. Kiedy wspomniałem mu o Gildii Złodziei, kazał mi Nie Być Idiotą. Myślę, że nie mówił poważnie. Powiedział jeszcze: Nie martw się Gildią Złodziei, ty musisz tylko chodzić Nocą po ulicach i krzyczeć: Już Dwunasta i Wszystko Jest W Porządku. Zapytałem, co robić, kiedy nie wszystko jest w porządku, a on poradził, żebym wtedy poszukał innej ulicy.

To nie jest właściwe Dowodzenie.

Otrzymałem kolczugę. Jest zardzewiała i marnie wykonana.

Za bycie strażnikiem dostaje się pieniądze, dwadzieścia dolarów na miesiąc. Kiedy już mi dadzą, zaraz wam je wyślę.

Mam nadzieję, że jesteście zdrowi i że Szyb Piąty jest już czynny. Dziś po południu obejrzę sobie tę Gildię Złodziei. To Skandal. Jeśli coś z tym zrobię, będzie to Piórem na moim Kapeluszu. Zaczynam się już uczyć, jak oni tu mówią.

Twój kochający syn Marchewa

PS Przekaż ucałowania Blaszcze. Tęsknię za nią.

Lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, zasłonił dłonią

oczy.

- Co zrobił?

- Prowadził mnie ulicami - oświadczył Urdo van Pew, obecny przewodniczący Gildii Złodziei, Włamywaczy i Zawodów Pokrewnych. - W biały dzień! Ze związanymi rękami!

Postąpił o krok w stronę siedzącego na twardym krześle Patrycjusza i pogroził palcem.

- Wie pan doskonale, że trzymamy się Budżetu - rzekł. - Tak mnie poniżyć! Jak zwykłego przestępcę! Oczekuję oficjalnych przeprosin — dokończył. — W przeciwnym razie miasto grozi kolejny strajk. Będziemy do niego zmuszeni, wbrew naszej obywatelskiej postawie.

To palec... Palec był błędem. Patrycjusz przyglądał mu się lodowato. Van Pew podążył za jego spojrzeniem i szybko opuścił rękę. Patrycjusz nie należał do ludzi, którym można grozić palcem -chyba że ktoś chce liczyć tylko do dziewięciu.

- I powiadasz, że to był tylko jeden człowiek?

- Tak! To znaczy... - Van Pew zawahał się.

Kiedy się lepiej zastanowić, to rzeczywiście dziwne.

- Przecież są was tam setki - przypomniał spokojnie lord Vetinari. - Gęsto was tam, jak... wybacz porównanie... jak złodziei.

Van Pew kilka razy otworzył i zamknął usta. Szczera odpowiedź brzmiała: Tak, i gdyby ktoś próbował się zakraść czy przemknąć, źle by skończył. Ale ten wkroczył do budynku, jakby był właścicielem. To wszystkich zmyliło. I jeszcze to, jak tłukł ludzi i nakazywał im wrócić na Drogę Cnoty.

Patrycjusz kiwnął głową.

- Załatwię tę sprawę jak najszybciej - obiecał.

To było dobre określenie. Zmuszało ludzi do zastanowienia. Nie byli pewni, czy załatwi sprawę natychmiast, czy załatwi ją krótko. I nikt nie śmiał zapytać.

Van Pew cofnął się.

- Oficjalne przeprosiny, zaznaczam - przypomniał. - Muszę dbać o

swoje stanowisko.

- Oczywiście. Nie pozwól mi cię zatrzymywać - odparł Patrycjusz, raz jeszcze nadając słowom własne, indywidualne znaczenie.

— Oczywiście. Dobrze. Dziękuję.

- W końcu, masz przecież tyle pracy...

- No... Naturalnie, mnóstwo pracy. - Ztodziej zawahał się. Ta uwaga Patrycjusza miała w sobie kolce. Człowiek odruchowo czekał, aż ukłuje. - Ehm... — rzucił, oczekując jakiejś wskazówki.

- ...Skoro prowadzi się tak wiele przedsięwzięć.

Po twarzy przewodniczącego przemknął wyraz paniki. Przypadkowe rozbłyśki poczucia winy rozjaśniły mu umysł. Nie chodziło o to, co zrobił, ale o czym Patrycjusz się dowiedział. Ten człowiek miał oczy wszędzie, a żadne z nich nie były tak przerażające, jak para lodowato błękitnych, tkwiących po obu stronach jego nosa.

- Nie całkiem rozumiem...

- Niezwykły dobór obiektów. - Patrycjusz sięgnął po kartkę papieru. — Na przykład kryształowa kula, należąca do wróżki przy Stromej. Niewielki ornament ze świątyni Offlera, Boga Krokodyla. I tak dalej. Drobiazgi.

- Obawiam się, że nie wiem... - zaczął prezes złodziei. Patrycjusz pochylił się lekko.

- Chyba nie ma mowy o nielicencjonowanych kradzieżach? — zapytał[6].

- Natychmiast się tym zajmę! - wykrztusił Van Pew. - Proszę na mnie polegać.

Patrycjusz uśmiechnął się słodko.

- Jestem pewien, że nie doznam zawodu - zapewnił. - Dziękuję za

wizytę. Nie wahaj się, gdybyś chciał wyjść.

Złodziej wycofał się powoli. Z Patrycjuszem zawsze tak wygląda, pomyślał z goryczą. Człowiek przychodzi do niego z całkowicie uzasadnioną skargą, a potem wycofuje się tyłem, w ukłonach, z ulgą, że w ogóle może stąd wyjść. Trzeba oddać Patrycjuszowi sprawiedliwość, stwierdził niechętnie. Bo jeśli nie, wyśle ludzi, którzy sami ją wezmą.

Kiedy zniknął, lord Vetinari sięgnął po mały dzwonek z brązu i przywołał swojego sekretarza. Człowiek ów nazywał się Łupin Wonse. Zjawił się z piórem w dłoni.

O Łupinie Wonse dało się powiedzieć jedno: był elegancki. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby dopiero co zakończono jego produkcję. Nawet włosy nosił tak gładko uczesane i wypomadowane, że wyglądały jak namalowane na głowie.

- Straż ma chyba jakieś problemy z Gildią Złodziei - poinformował Patrycjusz. - Był tu Van Pew i skarżył się, że funkcjonariusz Straży go aresztował.

- Za co, sir?

- Najwyraźniej za to, że jest złodziejem.

- Funkcjonariusz Straży? - Sekretarz nie mógł uwierzyć.

- Wiem. Ale zbadaj tę sprawę, dobrze?

Patrycjusz uśmiechnął się do siebie.

Trudno było zgłębić dziwaczne poczucie humoru lorda Vetinari. Ale wizja czerwonego ze złości, gniewnego szefa złodziei jakoś nie mogła go opuścić.

Jednym z wielkich dzieł Patrycjusza, wkładem w sprawne funkcjonowanie Ankh-Morpork, była — we wczesnym okresie jego administracji - legalizacja starożytnej Gildii Złodziei. Przestępczość towarzyszy nam od zawsze, rozumował, więc skoro nie można się jej pozbyć, niech to

przynajmniej będzie przestępczość zorganizowana.

Zachęcił więc Gildię, by wyszła z cienia, wybudowała wielki dom cechowy, zajęła miejsca na bankietach i w towarzystwie, założyła studium zawodowe z uroczystym wręczeniem dyplomów, certyfikatami Związku Gildii Miejskich i wszystkim, co należy. W zamian za praktyczną likwidację Straży zgodzili się - próbując zachować powagę - na utrzymanie przestępczości na corocznie określonym poziomie. W ten sposób każdy może snuć rozsądne plany na przyszłość, tłumaczył lord Vetinari, a z chaosu życia codziennego zniknie przynajmniej część elementu niepewności.

Potem, jakiś czas później, Patrycjusz raz jeszcze wezwał przywódców złodziei. Aha, przy okazji, jest jeszcze jedna sprawa. Co to takiego... Ach, już wiem...

Wiem, kim jesteście, powiedział. Wiem, gdzie mieszkacie. Wiem, jakimi końmi jeździcie. Wiem, gdzie się cheszą wasze żony. Wiem, gdzie wasze śliczne dzieci - ileż to mają lat? Coś podobnego, ależ ten czas leci! - wiem, gdzie się bawią. Dlatego nie zapomnicie o naszej umowie, prawda? I uśmiechnął się.

Oni także, jeśli można to nazwać uśmiechami.

Rezultaty tych działań okazały się pozytywne dla wszystkich. W krótkim czasie przywódcy złodziei dorobili się brzuchów, zaczęli nosić herby i spotykać się w przyzwoitym budynku, a nie w zadymionych norach, które nikomu się nie podobały. Złożony system youcherów i pokwitowań gwarantował, że chociaż każdy podlegał zainteresowaniu Gildii, nikt nie ściągał go na siebie zbyt wiele, co uznano za postęp — szczególnie obywatele dostatecznie zamożni, by stać ich było na bardzo rozsądne ceny, jakie ustaliła Gildia za życie bez kłopotów. Istniało na to dziwaczne, cudzoziemskie słowo: po-lisa. I chociaż nikt nie wiedział, co lisy mają z tym wspólnego, weszło do mowy potocznej.

Straży się to nie podobało, ale fakt był oczywisty: złodzieje o wiele lepiej kontrolowali przestępczość. Nic dziwnego, Straż musiała ciężko pracować, aby ograniczyć przestępczość choćby odrobinę, podczas gdy Gildii wystarczyło pracować mniej.

I tak miasto prosperowało, a Straż zanikała niczym nieużywany organ. Aż pozostało w niej tylko kilku bezrobotnych, których nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł traktować poważnie.

Na pewno nikt nie chciał, żeby nagle zaczęli zwalczać przestępczość. Jednak widok tak nękanego przewodniczącego złodziei wart był ryzyka.

Tak przynajmniej uważał Patrycjusz.

Kapitan Vimes zapukał do drzwi - bardzo delikatnie, ponieważ każde stuknięcie odbijało mu się echem po czaszce. - Wejść.

Vimes zdjął hełm, wcisnął go pod pachę i pchnął drzwi. Ich skrzypienie było niczym tępa piła przeciągnięta po mózgu.

Zawsze czuł się niepewnie w obecności Łupina Wonse'a. Kiedy się nad tym zastanowić, to czuł się niepewnie także w obecności lorda Vetinari, ale to co innego, to wychowanie. I zwykły strach, naturalnie. Podczas gdy Wonse'a znał od czasów wspólnego dzieciństwa na Mrokach. Chłopak już wtedy był obiecujący. Nigdy nie został przywódcą gangu. Nigdy. Do tego brakowało mu siły i wytrzymałości. Zresztą jaki sens ma stanowisko przywódcy gangu? Za plecami każdego przywódcy stoi paru poruczników walczących o awans.

Przywódca bandy to funkcja nie gwarantująca dostatecznie długich perspektyw. Ale w każdym gangu jest błady chłopak, któremu pozwala się zostać, ponieważ to właśnie on ma najlepsze pomysły, zwykle związane ze staruszkami i nie zamkniętymi sklepami. To było naturalne miejsce Wonse'a w porządku świata.

Vimes stał wtedy w drugim szeregu, był młodocianym potakiwaczem. Pamiętał Wonse'a jako chudego dzieciaka, zawsze wlokącego się z tyłu w spodniach po starszym bracie, podbiegającego truchtem, żeby dotrzymać kroku większym chłopcom. I stale miał nowe pomysły, dzięki czemu nie

nudzili się, więc go nie dręczyli, co było ich ulubioną rozrywką, kiedy nie mieli nic lepszego do roboty. Takie życie okazało się znakomitym ćwiczeniem przed rygorami dojrzałości i Wonse opanował je znakomicie.

Tak, obaj zaczęli w rynsztoku. Ale Wonse szedł w górę, podczas gdy Vimes - sam to przyznawał - jedynie czołgał się wzdłuż. Za każdym razem, kiedy do czegoś dochodził, mówił to, co myślał, albo coś niewłaściwego. Zwykle jedno i drugie naraz.

To był powód jego zakłopotania w towarzystwie Wonse'a: tykanie jasnego zegara ambicji.

Vimes nigdy nie miał ambicji. Była czymś, co trafiało się innym.

- To ty, Vimes.

- Sir - powiedział sztywno Vimes.

Nie zasalutował, żeby się nie przewrócić. Żałował, że nie miał czasu na wypicie kolacji.

Wonse przerzucił papiery na biurku.

- Dzieją się dziwne rzeczy, Vimes. Obawiam się, że wpłynęły skargi na ciebie.

Wonse nie miał okularów. Gdyby je nosił, teraz spoglądałby na Vimesa ponad nimi.

- Sir?

- Jeden z twoich ludzi z Nocnej Straży. Jak się zdaje, aresztował przewodniczącego Gildii Złodziei.

Vimes zakołysał się lekko i spróbował skoncentrować uwagę. Nie był przygotowany na coś takiego.

- Przepraszam, sir - powiedział. - Chyba źle zrozumiałem.

- Mówiłem, Vimes, że jeden z twoich ludzi aresztował przewodniczącego Gildii Złodziei.

-Jeden z moich ludzi?

-Tak.

Rozbiegane szare komórki Vimesa desperacko usiłowały się przegrupować.

- Funkcjonariusz Straży? Wonse uśmiechnął się chłodno.

- Związał go i zostawił przed pałacem. Obawiam się, że to śmierzcząca sprawa. Była też notka... o, tu jest... „Ten człowiek obwiniony jest o popełnienie Przestępstwa z Paragrafu 14 (c) Ogólnej Ustawy Karnej z roku 1678, przeze mnie, Marchewę Żelaznywładssona”.

Vimes spojrzał na niego zezem.

- Czternaście ce?

- Najwyraźniej.

- Co to znaczy?

- Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia - przyznał Wonse oschle. -A to imię... Marchewa?

- Przecież my nie robimy takich rzeczy! - zapewnił Vimes. -Nie można biegać po mieście i aresztować Gildii Złodziei. Przez cały dzień nie mielibyśmy czasu na nic innego!

- Wydaje się, że ów Marchewa jest innego zdania. Kapitan pokręcił głową i skrzywił się boleśnie.

- Marchewa? Jakoś nie kojarzę.

Bełkotliwy ton pewności wystarczył nawet Wonse'owi, który na moment zwątpił.

- Był całkiem... — Zawahał się. - Marchewa, Marchewa... -mruknął. - Słyszałem już to imię. Widziałem je zapisane. - Zamyślił się. - To ten ochotnik! Pamiętasz, pokazywałem ci!

Vimes przyglądał mu się tępo.

- Czy nie chodzi o ten list od jakiegoś, nie jestem pewien, od krasnoluda?

- O służbie dla społeczeństwa i pilnowaniu bezpieczeństwa na ulicach. Prosił, żeby jego syna uznano za odpowiedniego na jakieś skromne stanowisko w Straży. - Sekretarz zaczął przekładać papiery.

- Co takiego przeszkrobał? - spytał Vimes.

- Nic. W tym problem. Nic zupełnie.

Vimes zmarszczył czoło, gdy jego myśli układały się wokół szokującej koncepcji.

- Ochotnik? - zapytał.

-Tak.

- Nie musiał się zaciągnąć?

- Chciał się zaciągnąć. Powiedziałeś, że to pewnie jakiś żart, a ja, że chciałbym wciągnąć do Straży jakieś mniejszości etniczne. Przypominasz sobie?

Vimes próbował. Nie było to łatwe. Niejasno zdawał sobie sprawę, że pił, aby zapomnieć. Zadanie było trudne, ponieważ nie pamiętał już, o czym właściwie chce zapomnieć. Pod koniec pił już, żeby zapomnieć o piciu.

Ciąg chaotycznych zbitek obrazów, których nie zaszczycił nawet nazwą wspomnień, nie podsunął mu żadnej wskazówki.

- Tak powiedziałem? - zapytał bezradnie. Wonse złożył dłonie na biurku.

- Proszę posłuchać, kapitanie — rzekł. -Jego Lordowska Mość żąda wyjaśnień. Nie chciałbym mu tłumaczyć, że kapitan Nocnej Straży nie ma pojęcia, co się dzieje wśród ludzi pod jego, że użyję tego niezbyt precyzyjnego określenia, jego komendą. Takie *rzeczy* prowadzą tylko do kłopotów, do pytań i temu podobnych. A tego byśmy sobie nie życzyli, prawda? Prawda?

- Nie, sir - mruknął Vimes. W głębi jego umysłu podskakiwało skromnie niejasne wspomnienie kogoś przemawiającego z zapalem Pod Kiścią Winogron. Ale przecież nie był to krasnolud! Chyba że ostatnio bardzo drastycznie zmieniono warunki kwalifikacji.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Wonse. - Przez pamięć starych czasów i tak dalej. Dlatego ja wymyślę, co mu powiedzieć, a pan, kapitanie, postara się odkryć, co się dzieje, i położyć temu kres. Proszę udzielić temu krasnoludowi krótkiej lekcji, co to znaczy być strażnikiem. Zgoda?

- Cha, cha - odpowiedział uprzejmie Vimes.

- Nie rozumiem.

- Och... Myślałem, że to był etniczny żart. Sir.

- Posłuchaj, Vimes. Jestem niezwykle wyrozumiały. W danych okolicznościach. A teraz idź i załatw tę sprawę. Czy to jasne?

Vimes zasalutował. Czarna depresja, zawsze przyczajona i gotowa wykorzystać jego trzeźwość, ruszyła w stronę języka.

- Oczywiście, panie sekretarzu - rzekł. - Nauczy się, osobiście tego dopilnuję, że aresztowanie złodziei jest sprzeczne z prawem.

Żałował, że to powiedział. Gdyby nie mówił takich *rzeczy*, lepiej by mu się powodziło. Byłby kapitanem Gwardii Pałacowej, waż-

na figurą. Zesłanie go do Straży miało być drobnym żarcikiem Patrycjusza. Ale Wonse czytał już jakiś nowy dokument na biurku. Jeśli zauważył sarkazm, nie dał tego po sobie poznać. - Bardzo dobrze - rzucił

tylko.

Kochana mamó [pisał Marchewa],

Ten dzień był o wiele lepszy. Poszedłem do Gildii Złodziei, aresztowałem głównego Złoczyńcę i zaciągnąłem go do Pałacu Patrycjusza. Myślę, że więcej nie będzie sprawiał kłopotów. Pani Palm powiedziała, że mogę mieszkać na strychu, bo zawsze dobrze jest mieć w domu mężczyznę. W nocy jacyś ludzie Pod Wpływem Alkoholu bardzo głośno Naruszali Porządek w pokoju jednej z Dziewcząt. Musiałem z nimi porozmawiać, a oni Stawiali Opór i jeden próbował mnie skrzywdzić kolanem, ale miałem swój Ochraniacz i pani Palm powiedziała, że pękła mu Rzepka, ale nie muszę płacić za nową.

Nie rozumiem niektórych obowiązków w Straży. Mam partnera, nazywa się Nobby. Uważa, że jestem zbyt gorliwy. Mówi, że powinienem się jeszcze wiele nauczyć. Chyba ma rację, bo doszedłem tylko do strony 326 w Prawach i Przepisach Porządkowych miast Ankh i Morpork.

Ściskam was serdecznie.

Twój syn Marchewa

PS Ucałowania dla Blaszkii.

Nie chodziło tylko o samotność, raczej o życie na odwrót.

Tak, to jest to, myślał Vimes.

Nocna Straż wstawała, kiedy reszta świata kładła się do łóżek, a szła spać, kiedy świt rozjaśniał pejzaż. Człowiek całe życie spędza na wilgotnych, mrocznych ulicach, w świetle cieni. Nocna Straż przyciągała ludzi, z tych czy innych powodów zdradzających skłonności do takiego trybu życia.

Dotarł do Strażnicy. Budynek był stary i zaskakująco obszerny, wbity

między garbarnią a warsztat krawca, który wytwarzał podejrzane kostiumy ze skóry. Kiedyś musiał być imponujący, ale spora jego część stała się z czasem niezdatna do zamieszkania. Patrolowały ją jedynie sowy i szczury. Motto nad drzwiami, napisane w starożytnej mowie miasta i niemal zatarte przez czas, brud i mech, dało się jednak odcyfrować:

FABRICATI DIEM, PVNC[7]

Tłumaczyło się - według sierżanta Golona, który bywał w obcych krainach i uważał się za językowego eksperta - na „Chronić i służyć”.

Tak... Dawniej służba strażnicza musiała naprawdę coś znaczyć.

Sierżant Colon, myślał Vimes, potykając się w stęchłej ciemności. Oto człowiek, który lubi noc. Sierżant Colon trzydzieści lat szczęśliwego małżeństwa zawdzięczał temu, że pani Colon pracowała cały dzień, a on całą noc. Porozumiewali się liścikami. Zanim wyszedł na służbę, przygotowywał jej herbatę, a ona rano zostawiała mu w piekarniku gorące śniadanie. Mieli trójkę dorosłych dzieci, zrodzonych, jak się domyślał Vimes, dzięki wyjątkowo przekonującemu stylowi pisania.

Natomiast kapral Nobbs... No cóż, ktoś taki jak Nobby ma mnóstwo powodów, by nie dać się widzieć innym ludziom. Nad tym nie trzeba się specjalnie zastanawiać. Istniał tylko jeden powód, by nie twierdzić, że Nobby bliski jest królestwa zwierząt: taki, że królestwo zwierząt by wstało i odeszło jak najdalej.

Był jeszcze on sam, kapitan Vimes. Chudy, nieogolony zbiór złych nawyków, zamarynowanych w alkoholu. I to cała Nocna Straż. Ich trójka. Kiedyś liczyła dziesiątki, setki ludzi. A teraz - tylko trzech.

Potykając się, wszedł na schody, wymacał drogę do swojego gabinetu, osunął się na prehistoryczny skórzany fotel z wytartym siedzeniem, sięgnął do dolnej szuflady, znalazł butelkę, chwycił zębami korek, szarpnął, wypluł,

pociągnął. Zaczął swój dzień pracy.

Świat zogniskował się wolno.

Życie to tylko chemia. Tu kropla, tam strużka, a wszystko się zmienia. Niewielki łyk sfermentowanych soków i nagle człowiek zdolny jest przeżyć kolejne parę godzin.

Dawno temu, kiedy była to przyzwoita dzielnica, jakiś ambitny właściciel oberży zapłacił magowi sporą sumę za świecący napis, z każdą literą w innym kolorze. Napis działał nierówno i na deszczu często następowało spięcie. W tej chwili E było jaskrawo różowe i migotało nieregularnie.

Vimes przyzwyczał się do tego. Napis wydawał się częścią życia.

Przez chwilę obserwował migotanie światła na popękanym tynku, po czym uniósł nogę i ciężko tupnął sandałem w podłogę. Dwa razy.

Po kilku minutach stłumione sapanie dało mu znać, że sierżant Colon wspina się po schodach.

Vimes odliczał w milczeniu. Na szczycie schodów Colon zawsze zatrzymywał się na sześć sekund, żeby złapać oddech.

W siódmej sekundzie otworzyły się drzwi. Zza framugi wysunęło się okrągłe jak księżyc oblicze sierżanta.

Sierżanta Golona można by opisać tak: był człowiekiem, który - gdyby został wojskowym - w naturalny sposób ciążyłby do stanowiska sierżanta. Trudno by go sobie wyobrazić jako kaprała. Albo kapitana, skoro już o tym mowa. Gdyby nie trafił do wojska, wyglądałby jak stworzony do fachu, powiedzmy, rzeźnika, specjalisty od kiełbas; kogoś, u kogo szeroka, rumiana twarz i skłonność do pocenia się nawet na mrozie były właściwie rzeczą naturalną i pożądaną.

Colon zasalutował i bardzo starannie położył na biurku Vimesa pomiętą kartkę papieru. Wygładził ją.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedział. - Wczorajsze meldunki i w ogóle. I jeszcze ma pan oddać cztery pensy w Klubie Herbacianym.

- O co chodzi z tym krasnoludem, sierzancie? - spytał Vimes. Colon zmarszczył czoło.

- Jakim krasnoludem... ?

- Tym, który wstąpił do Straży. Nazywa się... Marchewa, czy jakoś tak.

- On? - Colon rozdziawił usta. - On jest krasnoludem? Zawsze uważałem, że nie można ufać tym kurduplom. Nabrał mnie, kapitanie. Musiał nakłamać co do swojego wzrostu. - Colon wierzył w wyższość ludzi wysokich, przynajmniej w kontaktach z niższymi od siebie.

- Wiecie, że dziś rano aresztował przewodniczącego Gildii Złodziei?

- Za co?

- Za to, jak zrozumiałem, że jest przewodniczącym Gildii Złodziei.

- A czy to przestępstwo? - zdziwił się sierżant.

- Myślę, że sobie porozmawiam z tym Marchewą - uznał Vimes.

- Nie widział go pan, sir? Mówił, że się panu zameldował.

-Ja... tego... musiałem być akurat zajęty. Mam sporo roboty.

- Oczywiście, sir - zgodził się uprzejmie Colon. Vimes zachował jeszcze tyle wstydu, że odwrócił wzrok i udał, że przegląda stosy papierów na biurku.

- Musimy go zdjąć z ulicy, i to jak najszybciej - wymamrotał. - Jak nie, gotów nam jeszcze zamknąć szefa Gildii Skrytobójców tylko za to, że zabija ludzi. Gdzie on jest?

- Posłałem go z kapralem Nobbsem, kapitanie. Kazałem pokazać, jak tu wszystko działa.

- Wypuściliście świeżego rekruta z Npbbym? - rzucił zniechęcony Vimes.

- Pomyślałem, sir... - zająknął się Colon. - Kapral Nobbs to doświadczony człowiek. Może go wiele nauczyć...

- Miejmy nadzieję, że chłopak uczy się z oporami. - Vimes wbił sobie na głowę zardzewiały żelazny hełm. - Idziemy.

Wychodząc ze Strażnicy, zauważyli drabinę pod ścianą oberży. Tęgi mężczyzna na szczycie klął pod nosem, mocując się ze świecą literą.

- To E źle działa! - zawołał Vimes.

- Co?

- To E. A T skwierczy na deszczu. Trzeba je naprawić.

- Naprawić? A tak, naprawić. Właśnie tym się zajmuję. Naprawiam.

Strażnicy poczłapali przez kałuże. Brat Strażnica wolno pokręcił głową i mocniej chwycił śrubokręt.

Takich ludzi jak kapral Nobbs spotyka się we wszystkich siłach zbrojnych. Chociaż w stopniu encyklopedycznym opanowują wszelkie szczegóły regulaminów, zawsze się starają, by nie awansować powyżej - powiedzmy - kaprała. Nobbs zwykle mówił kątem ust. Palił bez przerwy, ale - co ciekawe - Marchewa zauważył, że każdy papieros Nobby'ego niemal natychmiast stawał się niedopałkiem i pozostawał tym niedopałkiem w nieskończoność. Chyba że został wetknięty za ucho, będące rodzajem nikotynowego cmentarzyska słoni. Przy rzadkich okazjach, kiedy Nobbs wyjmował niedopałek z ust, trzymał go w stulonej dłoni.

Był niski i krzywonogi. Przypominał trochę szympansa, którego nigdy nie zapraszają na herbatkę.

Trudno określić jego wiek. Ale sądząc po cynizmie i zmęczeniu światem, będących odpowiednikiem datowania węglem dla ludzkiej osobowości, miał jakieś siedem tysięcy lat.

- Ta trasa jest prosta - oświadczył, kiedy szli mokrą ulicą przez dzielnicę kupców. Nacisnął klamkę jakichś drzwi. Były zamknięte. -Mnie się trzymaj - dodał - a zobaczysz, jak trzeba się zachowywać. A teraz sprawdź drzwi po drugiej stronie.

- Aha. Rozumiem, panie kapralu. Musimy sprawdzić, czy ktoś nie zostawił otwartego sklepu.

- Szybko się uczysz, synu.

- Mam nadzieję, że uda się przyłapać złoczyńcę na gorącym uczynku - rzekł z zapalem Marchewa.

- No... tak - mruknął niepewnie Nobby.

- Ale jeśli znajdziemy otwarte drzwi, to powinniśmy chyba wezwać właściciela - mówił dalej Marchewa. - A jeden z nas zostanie, żeby pilnować towarów. Prawda?

- Tak? - Nobby rozpromienił się. - Ja to załatwię. Nie masz się o co martwić. A ty możesz iść i poszukać ofiary. Znaczy się właściciela. Sprawdził następne drzwi. Klamka ustąpiła pod naciskiem.

- W górach - powiedział Marchewa - kiedy złapali złodzieja, wieszali go za...

Urwał, z roztargnieniem stukając w klamkę. Nobby znieruchomiał.

- Za co? - zapytał z pełną grozy fascynacją.

- Nie pamiętam. Mama mówiła, że to i tak dla nich za mała kara. Kradzież jest Zła.

Nobby przeżył wiele słynnych rzezi, nie będąc tam, gdzie miały miejsce. Puścił klamkę i poklepał ją przyjaźnie.

- Mam! - krzyknął Marchewa. Nobby podskoczył.

- Co masz?

- Przypomniałem sobie z tym wieszaniem.

- Tak? - szepnął słabym głosem Nobby. - I co?

- Wieszali ich za ratuszem - wyjaśnił Marchewa. - Czasem na parę dni. Więcej już nie kradli, to pewne. I Bjorn Wręcemocny jest twoim wujem.

Nobby oparł piękę o ścianę i sięgnął za ucho po niedopałek. Kilka spraw, uznał, należy wyjaśnić od razu.

- Dlaczego musiałeś zostać strażnikiem, chłopcze? - zaczął.

- Wszyscy mnie o to pytają - odparł Marchewa. - Wcale nie musiałem. Chciałem. To robi ze mnie Mężczyznę.

Nobby nigdy nikomu nie patrzył prosto w oczy. Teraz wpatrywał się zdumiony w prawe ucho Marchewy.

- Znaczy, nie uciekasz przed niczym i w ogóle? - upewnił się.

- Dlaczego miałbym przed czymś uciekać? Nobby zmieszał się na chwilę.

- Hm... Zawsze coś się znajdzie. Może... Może niesłusznie cię o coś oskarżyli? Może... - uśmiechnął się. - Na przykład ze sklepów tajemniczo zniknęły pewne drobiazgi, a ciebie o to obwiniali, bez żadnych dowodów, oczywiście. Albo w twoich rzeczach znaleźli pewne przedmioty, a ty nie miałeś pojęcia, skąd się tam wzięły. Takie historie... Nobby'emu możesz powiedzieć. A może... — Kaprał szturchnął Marchewę w bok. - Może poszło o coś innego, co? Szersze la fem, co? Wpakowałaś dziewczynę w kłopoty?

- Ja... - zaczął Marchewa, ale przypomniał sobie, że owszem, należy mówić prawdę nawet takim dziwnym osobom jak Nobby, który wyraźnie nie wiedział, o co w niej chodzi. A prawda była taka, że przysporzył Blaszcze kłopotów, chociaż dlaczego i w jaki sposób, pozostawało dla niego

tajemnicą. Chyba za każdym razem, kiedy wychodził z groty Skałokruszów, słyszał, jak ojciec i matka na nią krzyczą. Wobec niego zawsze byli uprzejmi, ale chyba samo spotkanie się z nim sprowadzało na Blaszkę kłopoty.

- Tak - przyznał.

- Aha. To częsty przypadek - stwierdził z mądrą miną Nobby.

- Przez cały czas - uzupełnił Marchewa. - Właściwie to każdego wieczoru.

- A niech mnie - mruknął z podziwem kaprał. Zerknął na Ochraniacz. - Dlatego kazali ci to nosić?

- Nie rozumiem.

- Nie przejmuj się. Każdy ma swój mały sekretik. Albo duży, jak się okazuje. Nawet kapitan. Jest z nami tylko dlatego, że został Nisko Uderzony przez kobietę. Tak mówi sierżant. Nisko Uderzony.

- Ojej - westchnął Marchewa. To musiało boleć.

- Ale moim zdaniem to dlatego, że mówi, co myśli. I powiedział to o jeden raz za dużo, do Patrycjusza. Tak słyszałem. Powiedział, że Gildia Złodziei to tylko banda złodziei czy coś w tym rodzaju. Dlatego jest z nami. Ale naprawdę nie wiadomo. - Przyjrzał się w zadumie chodnikowi. - Gdzie się zatrzymałeś, chłopcze?

- U takiej starszej pani. Nazywa się Palm... Nobby zakrztusił się dymem, który poleciał mu nie tam, gdzie powinien.

- Na Mrokach? - wykrztusił. - Tam śpisz?

-Tak.

- Co noc?

- No, właściwie to co dzień. Tak.

- I przybyłeś, żebyśmy zrobili z ciebie mężczyznę?

-Tak!

- Nie wiem, czyby mi się podobała okolica, skąd pochodzisz.

- Proszę posłuchać, panie kapralu. - Marchewa zgubił się już zupełnie. - Przyszedłem, bo pan Varneshi mówił, że to najlepsza praca na świecie, pilnowanie prawa i wszystko. Miał rację, prawda?

- No... Co do tego... Znaczy, pilnowania Prawa... Znaczy, kiedyś tak, zanim mieliśmy te Gildie i całą resztę... Prawo, rozumiesz, teraz to jeszcze nie wszystko, znaczy... Sprawy są bardziej... Sam nie wiem. W zasadzie masz tylko potrząsać dzwonkiem i się nie wychylać.

Nobby westchnął. Potem odsapnął, zdjął z pasa klepsydrę i zerknął na przesypujące się szybko ziarnka piasku. Zaczepił ją z powrotem, zsunął z dzwonka skórzaną tłumik i zadzwonił raz czy dwa, niezbyt głośno.

- Już dwunasta - szepnął. - I wszystko jest w porządku.

- To już koniec? — zapytał Marchewa, kiedy umilkły ciche echa.

- Mniej więcej. Mniej więcej. - Kapral zaciągnął się niedopałkiem.

- Żadnych pościgów po dachach w świetle księżyca? Żadnego skakania na kandelabry? Nic?

- Raczej nie. Nigdy nie robiłem czegoś takiego. Nikt nigdy mi

o tym nie wspominał. - Nobby dmuchnął dymem. - Od biegania po dachach człowiek może się przeziębować na śmierć. Jeśli nie masz nic przeciw temu, wolę się trzymać dzwonka.

- Mogę też spróbować? — poprosił Marchewa.

Nobby był nieco wyprowadzony z równowagi. Tylko z tego powodu popełnił błąd i bez słowa wręczył Marchewie dzwonek.

Marchewa obejrzał go dokładnie, po czym energicznie pomachał nim nad głową.

-Już dwunasta! - ryknął. -1 wszystkoojeeest w porząąąądkuu!

Echa odbijały się po całej ulicy, aż wreszcie stłumiła je przerażająca, ciężka cisza. Gdzieś w ciemnościach zaszczekały psy. Zapłakało dziecko.

- Psst - syknął Nobby.

- Ale wszystko jest w porządku, prawda?

- Nie będzie, jeśli nie przestaniesz tak hałasować! Oddaj dzwonek!

- Nie rozumiem - wyznał Marchewa. - Proszę spojrzeć, w tej książce, którą dał mi pan Varneshi...

Sięgnął po *Prawa i Przepisy Porządkowe*. Nobby zerknął tylko i wzruszył ramionami.

- Nigdy o nich nie słyszałem - burknął. - A teraz lepiej zamknij paszczę. Nie możesz tak wrzeszczeć. Różni tacy mogliby usłyszeć. Chodź. Tędy.

Złapał Marchewę za ramię i pociągnął go ulicą.

- Jacy różni? - protestował Marchewa, opierając się lekko.

- Różni niedobrzy.

- Ale przecież jesteśmy Strażą!

- No właśnie! I nie chcemy się mieszać do spraw takich ludzi. Pamiętaj, przecież, co się stało z Gaskinem.

- Nie pamiętam, co się stało z Gaskinem! - oznajmił zdumiony Marchewa. - Kto to jest Gaskin?

- Służył przed tobą - mruknął Nobby. Przygarbił się. - Biedak. Mogło

się to przytrafić każdemu z nas. - Podniósł głowę i spojrzał na Marchewę. - A teraz przestań, słyszysz? To mi działa na nerwy. Pościgi w świetle księżyca, akurat.

Chyłkiem ruszył dalej. Normalnym sposobem poruszania się kaprała było skradanie się, a w tej chwili, skradając się chyłkiem, sprawiał niezwykle wrażenie okulałego kraba.

- Ale... ale... — Marchewa był oszołomiony. - W tej książce piszą...

- Nie interesują mnie żadne książki - warknął Nobby. Marchewa był załamany.

- Przecież to jest Prawo...

Coś mu przerwało, niemal ostatecznie: topór, który wyfrunął z niskich drzwi obok i odbił się od muru po drugiej stronie ulicy. Równocześnie rozległ się dźwięk łamanego drewna i tłuczonego szkła.

- Hej, kapralu! - zawołał poruszony Marchewa. - Tam się biją! Nobby zerknął tylko.

- Oczywiście, że się biją - stwierdził. - To bar krasnoludów. Najgorszy z możliwych. Trzymaj się z daleka, chłopcze. Te małe łobuzy podstawia ci nogę, a potem skopią jak psa. Trzymaj się Nobby'ego, a on...

Chwycił Marchewę za ramię, przypominające pień drzewa. Miał wrażenie, że próbuje pociągnąć za sobą kamienicę.

Marchewa zbladł.

- Krasnoludy piją? I biją się?

- Pewno. Bez przerwy. I wyrażają się słowami, których nie użyłbym nawet wobec mojej najdroższej matki. Nie chciałbyś się z nimi spotykać, to banda... Nie wchodź tam!

Nikt nie wie, dlaczego krasnoludy, które w domu, w górach prowadzą spokojne, uporządkowane życie, zapominają o nim natychmiast, gdy tylko przeniosą się do miasta. Coś nachodzi nawet najbardziej nieskazitelnego górnika rudy i każe mu stale chodzić w kolczudze, nosić topór, zmieniać nazwisko na coś w rodzaju Gardłolapa Łydkopacza i zapijać się do ponurej nieprzytomności. Może powodem jest właśnie to, że w domu prowadzą życie spokojne i uporządkowane. Zapewne pierwszym marzeniem każdego młodego krasnoluda, który - po siedemdziesięciu latach pracy dla ojca gdzieś na dnie szybu — trafia do wielkiego miasta, jest najpierw napić się porządnie, a potem komuś dołożyć.

Bójka należała do tych przyjemnych krasnoludzkich walk z setką uczestników i półtorej setki sprzymierzeńców. Wrzaski, przekleństwa i brzęk toporów o stalowe hełmy mieszały się z głosami pija-

nej grupy przy kominku, która - kolejny krasnoludzki zwyczaj - śpiewała o złocie.

Nobby wpadł na Marchewę, który obserwował całą scenę ze zgrozą.

- Przecież tak tu wygląda co noc - powiedział Nobby. - Nie wtrącać się; tak mówi sierżant. To są ich ludowe obyczaje czy jakoś tak. Nie wolno się wtrącać w ludowe obyczaje.

-Ale... ale... - jękał się Marchewa. - To przecież mój lud. W pewnym sensie. Jak im nie wstyd tak się zachowywać! Co sobie ludzie pomyślą?

- Myślimy, że to wredne małe dranie - wyjaśnił kapral. - A teraz chodź.

Ale Marchewa wszedł już w kłębiący się tłum. Przyłożył dłonie do ust i krzyknął coś w języku, którego Nobby nie rozumiał. Praktycznie każdy język, nie wyłączając jego ojczystego, pasowałby do tego opisu, ale w tym przypadku był nim krasnoludzki.

- *Gr'duzk! Gr'duzk! aaK'zt ezem ke bur'k tze zim?*[8]

Walczący znieruchomieli. Setka brodatych twarzy zwróciła się w stronę przygarbionego Marchewy. Irytacja mieszała się na nich z zaskoczeniem.

Pogięty dzban odbił się od jego półpancerza. Marchewa sięgnął w dół i bez widocznego wysiłku podniósł wyrywającą się postać.

- *J'uk, ydtruz-t'rud-eztuza, huds'zddzek drez'huk, huzukruk't b'tduz g''ke'k me'ek b'tduzt'be'tk kce'drute ke'hkt'd. aaDb'thuk?*[9]

Żaden z krasnoludów nie słyszał jeszcze tylu naraz słów Dawnej Mowy z ust kogoś wyższego niż cztery stopy. Byli zdumieni.

Marchewa postawił agresywnego krasnoluda na podłodze. Miał łyzy w oczach.

-Jesteście krasnoludami! - powiedział. - Krasnoludy nie powinny się tak zachowywać! Popatrzcie na siebie! Jak wam nie wstyd! Setka twardych szczęk opadła zgodnie.

- Tylko popatrzcie. - Marchewa pokręcił głową. - Wyobraźcie sobie wasze biedne, siwobrode matki, pracujące ciężko w wąskich tunelach, jak się zastanawiają, co ich synowie porabiają dziś wieczorem? Wyobraźcie sobie, co by pomyślały, gdyby was teraz zobaczyły. Wasze ukochane matki, które pierwsze was uczyły, jak trzymać kilof...

Nobby, znieruchomiały w progu, przerażony i oszołomiony, zdawał sobie sprawę z coraz głośniejszego pociągania nosami i stłumionych szlochów. Marchewa mówił dalej.

- .. .pewnie myślą sobie: Mój syn gdzieś spokojnie gra w domino...

Krasnolud obok niego, w hełmie ozdobionym sześciocalowymi kolcami, zapłakał cicho, roniąc łyzy do piwa.

- I założę się, że już bardzo dawno żaden z was nie pisał do domu, a

obiecywaliście pisać co tydzień...

Nobby odruchowo sięgnął po brudną chustkę i podał ją kra-snoludowi, który opierał się o ścianę i szlochał głośno.

- Wystarczy - zakończył łagodnie Marchewa. - Nie chciałbym być zbyt surowy, ale od dzisiaj będę tu zaglądał każdej nocy i spodziewam się zobaczyć odpowiednie krasnoludzkie zachowanie. Wiem, jak to jest, mieszkać daleko od domu, ale takich wyczynów nic nie usprawiedliwia. - Dotknął hełmu. - *G'hruk, t'uk*[10].

Uśmiechnął się promiennie i na wpół wyszedł, na wpół wypełzł z baru. Na ulicy Nobby postukał go w ramię.

- Nigdy więcej nie rób mi takich rzeczy - powiedział. - Jesteś w Straży Miejskiej! Mam dość tego całego Prawa!

- Ale to bardzo ważne - odparł z powagą Marchewa, maszerując za Nobbym, który wkradł się w węższą uliczkę.

- Ważniejsze jest pozostawać w jednym kawałku. Krasnoludzkie bary... Jeśli masz choć odrobinę rozsądku, mój chłopcze, zajrzysz tutaj. I siedź cicho.

Marchewa przyjrzał się budynkowi, przed którym stanęli. Był nieco odsunięty od ulicznego błota, a ze środka dobiegały odgłosy solidnego pijaństwa. Nad drzwiami wisiał odrapany szyld z wymalowanym bębniem.

- Tawerna, tak? - upewnił się po namyśle Marchewa. - Otwarta o tej porze?

- A czemu by nie? - Nobby pchnął drzwi. - Bardzo rozsądny pomysł. Pod Załatany Bębnem.

- Znowu pijaństwo? - Marchewa pośpiesznie kartkował książkę.

- Mam nadzieję - odparł Nobby. Skinął głową trollowi, zatrudnionemu tu jako rozgniatajlo[11]. - Dobry wieczór, Detrytus. Pokazuję nowemu, co tu jest ciekawego.

Troll stęknął i pomachał kamienną łapą.

Lokal Pod Załatanym Bębnem jest legendarny jako najśłynniejsza zakazana spelunka na Dysku. Jest też tak znany w mieście, że po niedawnych i nieuniknionych remontach, nowy właściciel poświęcił wiele czasu na odtworzenie oryginalnej patyny brudu, sadzy i trudniejszych do rozpoznania substancji na ścianach, a także sprowadził tonę wstępnie nadgniłej słomy na podłogę. Pijała tutaj zwykła grupa bohaterów, opryszków, najemników, desperados i bandytów, a jedynie mikroskopowa analiza pozwoliłaby odkryć, który jest którym. Gęste kłęby dymu wisiały w powietrzu, być może próbując uniknąć kontaktu ze ścianami.

Gwar rozmów przycichł odrobinę, kiedy do środka weszli dwaj strażnicy, ale po chwili wrócił do zwykłego poziomu. Jacyś kumple pomachali do Nobby'ego.

Kapral zauważył, że Marchewa pilnie pracuje.

- Co robisz? - zapytał zdziwiony. - Tylko bez żadnych opowieści o matkach, jasne?

- Notuję - odparł ponuro Marchewa. - Mam notes.

- I bardzo dobrze. Spodoba ci się tutaj. Codziennie przychodzę tu na kolację.

- Jak pan pisze „w sprzeczności”, panie kapralu? - zapytał Marchewa, przewracając stronę.

- Wcale. - Nobby przeciskał się w stronę baru. W umyśle błysnęła mu rzadka iskierka wielkoduszności. - Czego chcesz się napić?

- Nie sądzę, żeby picie było rzeczą właściwą. Poza tym Mocne Napitki ogłupiają.

Wyczuł na karku czyjś przenikliwy wzrok. Obejrzał się i spojrzał w szerokie, obojętne, łagodne oblicze orangutana, który siedział przy barze z kuflem i miseczką orzeszków przed sobą. Przyjaźnie uniósł naczynie w

stronę Marchewy, po czym opróżnił je hałaśliwie, układając dolną wargę w rodzaj chwytnego lejka i wydając dźwięk jak przy osuszaniu kanału.

Marchewa szturchnął Nobby'ego.

- Tam siedzi jakiś mały... - zaczął.

- Nie mów tego! Nie wymawiaj tego słowa! To bibliotekarz. Pracuje na Uniwersytecie. Wieczorami zagląda tu na kufelek.

- I ludziom to nie przeszkadza?

- A dlaczego niby? - zdumiał się Nobby. - Zawsze za siebie płaci, tak jak wszyscy.

Marchewa raz jeszcze zerknął na małego. W jego mózgu tłoczyły się pytania, na przykład: gdzie trzyma pieniądze? Bibliotekarz pochwycił jego spojrzenie, źle je zrozumiał i delikatnie pchnął w stronę Marchewy miseczkę z orzeszkami.

Marchewa wyprostował się na całą swą imponującą wysokość i zajrzał do notatnika. Popołudnie spędzone na lekturze *Praw i Przepisów Porządkowych* nie poszło na marne.

- Kto jest właścicielem, gospodarzem, dzierżawcą lub dozorcą tego lokalu? - zwrócił się do Nobby'ego.

- Dozorcą? - zastanowił się niski strażnik. - Dzisiaj to będzie chyba Charley. A co?

Wskazał na wysokiego, potężnego mężczyznę o twarzy pokrytej siatką blizn; jej właściciel przerwał równe rozprowadzanie ścierką brudu po kuflach i mrugnął porozumiewawczo do Marchewy.

- Charley, to jest Marchewa - przedstawił kolegę Nobby. - Nocuje u Rosie Palm.

- Niby jak? Codziennie? - zdziwił się Charley. Marchewa odchrząknął.

- Jeśli zarządza pan tym lokalem - zaczął - to moim obowiązkiem jest poinformować, że zabieram pana do aresztu.

- Resztę z czego, przyjacielu? - spytał Charley, wciąż polerując szkło.

- Jest pan aresztowany - wyjaśnił Marchewa. - Zostaną panu przedstawione zarzuty dotyczące: jeden (punkt jeden), że dnia około osiemnastego grune'a w lokalu Pod Załatany Bębem przy ulicy Filigranowej a) podawał pan lub b) zezwalał na podawanie napojów alkoholowych po godzinie 12 (dwunastej) w nocy, naruszając przepisy Ustawy o Lokalach z Wyszynkiem (Godziny Otwarcia) z roku 1678, oraz jeden (punkt dwa) około osiemnastego grune'a w miejscu znanym jako Załatany Bęben przy ulicy Filigranowej podawał pan lub zezwalał na podawanie napojów alkoholowych w naczyniach o pojemności różnej od określonej przez wspomnianą wyżej Ustawę, oraz dwa (punkt jeden) około osiemnastego grune'a w lokalu Pod Załatany Bębem przy ulicy Filigranowej pozwalał pan klientom nosić nagą broń sieczną o długości ostrza powyżej 7 (siedmiu) cali, co narusza przepisy Rozdziału Trzeciego wymienionej Ustawy, i dwa (punkt dwa) około osiemnastego grune'a w lokalu Pod Załatany Bębem przy ulicy Filigranowej podawał pan napoje alkoholowe w lokalu nie przeznaczonym do sprzedaży i/lub konsumpcji wymienionych napojów, naruszając przepisy Rozdziału Trzeciego wyżej wzmiankowanej Ustawy.

Zapadła martwa cisza. Marchewa odwrócił kartkę i czytał dalej.

- Moim obowiązkiem jest także poinformowanie pana, że przed wymiarem sprawiedliwości zamierzam złożyć zeznanie, mogące doprowadzić do przedstawienia kolejnych zarzutów o naruszenie Ustawy o Zgromadzeniach Publicznych (Hazard) z roku 1567, o Lokalach Publicznych (Higiena) z 1433,1456,1463,1465, eee... i 1470 aż do 1690, a także... - zerknął z ukosa na bibliotekarza, który umiał wyczuć kłopoty i w tej chwili starał się jak najszybciej dopić swój kufel — ...Ustawy o Zwierzętach Domowych i Udomowionych (Opieka i Ochrona) z roku 1673.

Milczenie, jakie nastąpiło, niosło w sobie to niezwykle wrażenie nerwowego wyczekiwania, kiedy liczne towarzystwo pragnie się przekonać, co nastąpi za chwilę.

Charley z uśmiechem odstawił szklanę, na której brudne plamy zostały rozsmarowane do jasnego połysku, i spojrzął na Nobby'ego z góry.

Nobby starał się udawać, że jest tu zupełnie sam i że absolutnie nic go nie łączy z nikim, kto akurat mógłby stać obok i przypadkiem nosić taki sam mundur.

- O co mu chodzi ze sprawiedliwością? - spytał Charley. - Nie ma sprawiedliwości.

Zalękniony Nobby wzruszył ramionami.

— Nowy, co? - domyślił się Charley.

- Proszę nie stawiać oporu - zasugerował Marchewa.

- Osobiście nic do was nie mam - zapewnił Nobby'ego Charley. - To tylko... jak jej tam... Wczoraj był tu jeden mag i o tym mówił... Takie nierówne coś edukacyjne... - Zastanowił się. - Krzywa przyswajania wiedzy. Właśnie. Chodzi o krzywą przyswajania wiedzy. Detrytus, rusz swoje ciężkie dupsko i przyjdź tutaj.

Zwykle mniej więcej o tej porze w Załatanym Bębnie ktoś rzuca kuflem. I rzeczywiście, coś takiego się wydarzyło.

Kapitan Vimes biegł ulicą Krótką - najdłuższą w mieście, co ukazuje słynne z subtelności poczucie humoru w Morpork - a sierżant Colon potykał się za nim i protestował. Nobby stał przed Bębniem, przeskakując z nogi na nogę. W chwilach zagrożenia potrafił się przemieszczać z miejsca na miejsce, na pozór omijając dzielącą je przestrzeń, w sposób, który mógłby zawstydzić prosty transponder materii.

- On się tam bije! - zawołał, chwytając kapitana za ramię.

- Całkiem sam? - spytał Vimes.

- Nie, ze wszystkimi! - krzyknął Nobby i podskoczył.

- Aha.

Sumienie podpowiadało: Jest was trzech. On nosi taki sam mundur. To jeden z twoich ludzi. Pamiętaj o biednym Gaskinie.

Inna część umysłu, znienawidzona i pogardzana, która jednak pozwoliła mu przeżyć w Straży ostatnie dziesięć lat, mówiła: Niegrzecznie jest się wtrącać. Zaczekamy, aż skończy, a potem zapytamy, czy potrzebna mu pomoc. Poza tym Straż z zasady nie miesza się do bójek. O wiele prościej jest wkroczyć później i aresztować wszystkich nieprzytomnych.

Z trzaskiem wypadło pobliskie okno, a oszołomiony zabijaka wyładował po drugiej stronie ulicy.

- Sądzę - rzekł kapitan - że trzeba działać szybko.

- Słusznie - przyznał sierżant Colon. - Tutaj człowieka może spotkać krzywda.

Przesunęli się ulicą kawałek dalej, gdzie trzaski pękającego drewna i brzęk tłuczonego szkła nie były tak głośne. Starannie unikali patrzenia sobie w oczy. Od czasu do czasu z tawerny dobiegał wrzask, a niekiedy tajemniczy dźwięk, jakby ktoś kolanem uderzył w gong.

Stali po kostki w zakłopotanym milczeniu.

- Mieliście w tym roku jakieś wakacje, sierżancie? — zapytał w końcu Vimes, kołysząc się lekko na piętach.

- Tak jest, sir. W zeszłym miesiącu wysłałem żonę do Quirmu, do ciotki.

- Podobno ładnie tam o tej porze roku.

- Tak jest.

- Wszystkie te geranie i co tam jeszcze...

Jakaś postać wypadła górnym oknem i zwała się na bruk.

- To chyba tam mają kwiatowy zegar słoneczny, prawda? - zapytał desperacko kapitan.

- Tak, sir. Bardzo ładny, sir. Cały z małych kwiatuszków, sir. Rozległ się odgłos, jakby coś uderzało o coś innego, wiele razy, czymś ciężkim i drewnianym. Vimes skrzywił się nerwowo.

- Chyba nie byłby szczęśliwy w Straży - stwierdził pocieszająco sierżant.

Drzwi Załatanego Bębna wyrywano w bójkach tak często, że niedawno zamontowano je na specjalnie hartowanych zawiasach. Fakt, że następne straszliwe uderzenie wyrwało z muru całe drzwi razem z futryną, dowodził tylko, że zmarnowano sporo pieniędzy. Postać leżąca wśród odłamków spróbowała unieść się na łokciach, stęknęła i opadła.

- Zdaje się, że już po... - zaczął kapitan.

- To ten piekielny troll — przerwał mu Nobby.

- Co? - nie zrozumiał Vimes.

- To troll! Ten, który pilnuje wejścia!

Podeszli z najwyższą ostrożnością.

W samej rzeczy, był to Detrytus, Rozgniatajło Załatanego Bębna.

Bardzo trudno jest zranić istotę, która - praktycznie rzecz biorąc - jest ruchomym głazem. Komuś się to jednak udało. Powalony troll jęczał, jakby pocierał o siebie dwie cegły.

- Warte zapisu w podręczniku - stwierdził niejasno sierżant. Cała trójka obejrzała się i popatrzyła na jasno oświetlony prostokąt, gdzie niedawno tkwiły drzwi. W głębi wyraźnie się uspokoiło.

- Nie myślicie chyba - powiedział sierżant - że on wygrywa? Kapitan

mężnie wysunął podbródek.

-Jesteśmy to winni naszemu koledze i funkcjonariuszowi -oznajmił. -
Musimy wejść i sprawdzić.

Ktoś pisnął im za plecami. Zobaczyli Nobby'ego, podskakującego na jednej nodze i masującego stopę.

- Co z wami, kapralu? - zdziwił się Vimes.

Sierżant Colon zrozumiał. Chociaż Straż zwykle prezentowała ostrożną służalczość, w grupie nie było ani jednego człowieka, który kiedyś tam nie znalazł się po niewłaściwym końcu pięści Detrytusa. Nobby próbował tylko rozegrać zatrzymanie podejrzanego zgodnie z najlepszymi tradycjami policjantów na całym świecie.

- Kopnął go w klejnoty, sir - wyjaśnił.

- Skandal - mruknął niewyraźnie kapitan. Zawahał się. - Czy trolle mają klejnoty?

- Może mi pan wierzyć, sir.

- Coś podobnego... Matka Natura miewa czasem niezwykle pomysły, nieprawdaż...

- Święta racja, sir - przyznał posłusznie sierżant.

- A teraz... - Kapitan dobył miecza. - Naprzód!

- Tak jest!

- Was to także dotyczy, sierżancie.

- Tak jest.

Było to może najostrożniejsze wejście w całej historii wojskowych manewrów, na samym dole skali, na której szczycie znajdują się takie wyczyny jak Szarża Lekkiej Brygady.

Wszyscy trzej wyjrżeli czujnie zza wyłamanych drzwi.

Kilka osób leżało rozciągniętych na podłodze i tym, co pozostało ze stołów. Ci, którzy wciąż jeszcze zachowali przytomność, byli z tego powodu dość nieszczęśliwi.

Marchewa stał pośrodku sali. Jego zardzewiała kolczuga była porwana, stracił hełm, kołysał się lekko na boki, a jedno oko już zaczynało mu puchnąć. Rozpoznał jednak dowódcę. Opuścił na podłogę słabo protestującego klienta, którego trzymał, i zasalutował.

- Melduję posłusznie trzydzieści jeden przypadków Naruszenia Spokoju Publicznego, pięćdziesiąt sześć przypadków Obrażliwego Zachowania, czterdzieści jeden przypadków Utrudniania Funkcjonariuszowi Straży Wykonywania Obowiązków, trzynaście przypadków Rozboju z Użyciem Niebezpiecznego Narzędzia, sześć

przypadków Złośliwego Zwlekania i... i... kapral Nobbs nie pokazał mi, jak działa cokolwiek.

Przewrócił się na plecy, łamiąc stół.

Kapitan Vimes odkaszlnął. Nie był pewien, co właściwie powinni teraz zrobić. O ile wiedział, Straż nigdy jeszcze nie znalazła się w takiej sytuacji.

- Myślę, że trzeba mu dać się napić, sierżancie - rzekł.

- Tak jest.

- I dla mnie coś przynieście.

- Tak jest.

- Sami też się napijcie.

- Tak jest.

- A wy, kapralu, jeśli... Co ty wyprawiasz?

- Przeszukuję ciała, sir - odparł pośpiesznie Nobby. - Może znajdzie jakieś dowody rzeczowe albo co.

- W ich sakiewkach?

Nobby schował ręce za plecami.

- Nigdy nie wiadomo, sir.

Tymczasem sierżant natrafił wśród szczątków na jakimś cudem ocalałą butelkę i wlał większość jej zawartości między wargi Marchewy.

- Co z nimi zrobimy, kapitanie? - zapytał przez ramię.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Vimes i usiadł ciężko. Areszt w strażnicy mógł pomieścić najwyżej sześć bardzo niedużych osób, zresztą wyłącznie takie udawało się zwykle zamknąć. Podczas gdy ci...

Rozejrzał się z rozpaczą. Oto Nork Falownik, leży pod stołem i wydaje z gardła cichy bulgot. Oto Wielki Henri. A tam Łapacz Simmons, jeden z najstraszniejszych zabijaków w mieście. Ogólnie rzecz biorąc, nie byli to ludzie, w pobliżu których warto byłoby się *znaleźć*, kiedy się obudzą.

- Moglibyśmy poderżnąć im gardła, panie kapitanie - zaproponował Nobby, weteran dziesiątków rezydualnych pól bitewnych. Znalazł właśnie nieprzytomnego uczestnika walki, mniej więcej odpowiedniego rozmiaru, i ostrożnie zdejmował mu buty, które wyglądały na całkiem nowe i też mniej więcej odpowiedniego rozmiaru.

- To byłoby całkowicie niesłuszne - stwierdził Vimes. Nie był pewien, jak właściwie należy się zabrać do podrzynania gardła. Ni-

gdy dotąd nie pojawiła się taka możliwość. - Nie - zdecydował. - Myślę, że wypuścimy ich po udzieleniu napomnienia. Ktoś jęknął głośno pod ławką.

- Poza tym - podjął szybko kapitan - powinniśmy jak najprędzej odprowadzić naszego powalonego towarzysza w bezpieczne miejsce.

- Słuszna uwaga - zgodził się sierżant. Na uspokojenie nerwów pociągnął z butelki.

We dwóch zdołali jakoś unieść Marchewę i pokierować jego uginające się nogi na schody. Zgięty pod ciężarem Vimes obejrzał się na Nobby'ego.

- Kapralu Nobbs — wysapał. — Dlaczego kopiecie leżących?

- Tak jest bezpieczniej - wyjaśnił Nobby.

Nobby'emu już dawno wytłumaczono, na czym polega uczciwa walka i że nie należy bić pokonanego przeciwnika. Twórczo przemyślał te reguły w odniesieniu do kogoś mającego cztery stopy wzrostu i mięśnie napięte jak cienka gumka.

- Przestańcie. Udzielicie tym opryszkom napomnienia.

- Ale jak, sir?

- No więc... - Kapitan zastanowił się. Nie miał pomysłu. Nigdy jeszcze tego nie robił. - Wykonajcie polecenie — warknął. - Czy stale muszę wam wszystko tłumaczyć?

Nobby został sam na schodach. Pomrukiwanie i jęki w sali wskazywały, że ludzie zaczynają się budzić. Nobby myślał szybko.

Pogroził cienkim jak słomka palcem.

- Niech to będzie dla was nauczka - powiedział. - Nie róbcie tego więcej.

I rzucił się do ucieczki.

W mroku pośród krokwi bibliotekarz w zadumie poskrobał się po głowie. Życie okazało się pełne niespodzianek. Miał zamiar z zainteresowaniem śledzić rozwój wypadków. Zamyślony, obrał stopami

orzeszka, zakołysał się i zniknął w ciemności.

Najwyższy Wielki Mistrz wzniosł ręce. - Czy Kadzielnice Przeznaczenia zostały rytualnie oczyszczone, aby wszelkie Złe i Nie Skupione Myśli mogły być wygnane z tego Uświęconego Kręgu?

- Jasne.

Najwyższy Wielki Mistrz opuścił ręce.

- Jasne? - powtórzył.

- Jasne - potwierdził z satysfakcją brat Szambownik. - Sam to załatwiłem.

- Powinieneś powiedzieć: Tak, o Najwyższy - upomniał go Najwyższy Wielki Mistrz. - Ile razy mam ci powtarzać, że jeśli nie okażesz odrobiny entuzjazmu...

- Tak jest, masz słuchać, co ci mówi Najwyższy Wielki Mistrz - wtrącił brat Strażnica, spoglądając gniewnie na nieposłusznego brata.

- Przez parę godzin czyściłem te kadzielnice - mruczał brat Szambownik.

- Mówcie dalej, proszę, o Najwyższy Wielki Mistrzu - przerwał mu brat Strażnica.

- Doskonale — zgodził się Najwyższy Wielki Mistrz. - Dzisiaj spróbujemy dokonać kolejnego próbnego przywołania. Ufam, że przynieśliście odpowiednie surowce, bracia?

- ...szorowałem i szorowałem, a teraz nawet mi nie podziękują...

- Wszystko poukładane, Najwyższy Wielki Mistrzu - zapewnił

brat Strażnica.

Istotnie; Wielki Mistrz musiał przyznać, że tym razem bracia wyraźnie przyłożyli się do pracy. Najlepsze miejsce przypadło świetlnemu szyldowi tawerny, którego usunięcie, pomyślał Wielki Mistrz, powinno wzbudzić jakąś reakcję okolicznych mieszkańców. W tej chwili E miało kolor upiornie różowy i na przemian zapalało się i gasło.

- Ja to zdobyłem - oświadczył z dumą brat Strażnica. - Myśleli, że naprawiam albo co, aleja wyciągnąłem śrubokręt i...

- Dobra robota - pochwalił go Najwyższy Wielki Mistrz. - Dowodzi inicjatywy.

- Dziękuję, Najwyższy Wielki Mistrzu - rozpromienił się brat Strażnica.

- ...palce sobie pozdzierałem do krwi, całe są czerwone i popękane. A jeszcze nie oddali mi tych trzech dolarów, nikt nawet nie powiedział...

- Teraz - rzekł Najwyższy Wielki Mistrz, zerkając do księgi - zapoczątkujemy rozpoczęcie. Zamknij się, bracie Szambowniku.

Każde miasto w multiversum ma dzielnicę podobną do Mroków w Ankh-Morpork. Zwykle jest to najstarsza część, gdzie ulice wiernie podążają wzdłuż oryginalnych szlaków średniowiecznych krów idących do wodopoju, a nazywają się Rzeźnicza, Gawronią czy Zaulek Sniggsa...

Tak właśnie wygląda większa część Ankh-Morpork. Ale Mroki są takie jeszcze bardziej -jak rodzaj czarnej dziury w przesiąkającym mury bezprawiu. Ujmijmy to tak: nawet przestępcy bali się tam chodzić ulicami. Straż nie stawiała tam nawet stopy.

Całkiem przypadkiem stawiała tam stopy właśnie teraz. Niezbyt pewne stopy. Mieli za sobą ciężką noc i okres uspokajania nerwów. W tej chwili

zyskali pewną stabilność - każdy z czwórki polegał na trzech kolegach, że utrzymają go w pionie i na właściwym kursie. Kapitan Vimes oddał butelkę sierżantowi.

- Wstyd mi, mi, mi... - Zastanowił się chwilę. - Za was - dokończył. - Pijany prze- prze- prze- przed przełożonym.

Sierżant spróbował odpowiedzieć, ale wydobył z siebie tylko ciąg esów.

- Odprowadzicie się do aresztu. - Kapitan Vimes odbił się od ściany i surowym wzrokiem zmierzył cegły. - Ten mur mnie zaatakował - oznajmił. - Ha! Myślisz, że taki z ciebie twardziel? Jestem przedstawicielem prawa, wyobraź sobie, a my nie- nie...

Mrugnął powoli raz czy dwa.

- Co takiego my nie, sierżancie? - zapytał.

- Nie narażamy się? - odpowiedział Colon.

- Nie, to drugie. Mniejsza z tym. W każdym razie nikomu. -Niewyraźne obrazy przesuwają się w myślach: pokój pełen kryminalistów, ludzi, którzy z niego drwili, których samo istnienie go obrażało i złościło od lat, a teraz leżeli na podłodze i jęczeli. Nie był pewien, jak do tego doszło, ale jakaś niemal zapomniana część osobowości, jakiś o wiele młodszy Vimes w jasnym, lśniąącym półpancerzu i z wielkimi ambicjami, Vimes, którego uważał za dawno utopionego w alkoholu, nagle się ocknął.

- Coś, coś, coś, coś wam powiem, sierżancie, co? - zaproponował.

- Sir...

Wszyscy czterej odbili się łagodnie od kolejnego muru i podjęli wolny marsz. Przypominali kraba.

- To miasto. To miasto. To miasto, sierżancie. To miasto jest, jest, no, jest Kobietą, sierżancie. Właśnie. Kobietą, sierżancie. Starą, zaniedbaną ślicznotą. Ale kiedy się w niej zakochacie, wtedy, wtedy, wtedy da wam kopa

w zęby...

- Niby kobietą? - powtórzył Colon. Myślowy wysiłek wykrzywił mu spoconą twarz.

- Ale jest na osiem mil szerokie, sir. I ma w środku rzekę. I jeszcze dużo domów i takich różnych, sir - tłumaczył rozsądnie.

- Zaraz, zaraz, zaraz. - Vimes niepewnie pogroził sierżantowi palcem. — Nigdy nie nie nie mówiłem, że to mała kobieta, prawda? Bądźcie uczciwy.

Machnął butelką. Kolejna przypadkowa myśl eksplodowała w pianie jego umysłu.

- W każdym razie pokazaliśmy im - stwierdził z dumą, kiedy we czterech zaczęli na ukos wędrować w stronę przeciwnego muru. — Daliśmy im szkołę. Długo zapamiętają tę lekcję, co?

- Pewno - zgodził się sierżant, choć bez entuzjazmu. Wciąż się zastanawiał nad życiem seksualnym zwierzchnika.

Ale Vimesa ogarnął nastrój, w którym nie potrzebował zachęty.

- Ha! - wrzasnął w stronę ciemnych zaułków. - Nie spodobało się wam, co? Posmakowaliście własnego lekarstwa! A teraz butelkujcie się we własnym sosie!

Cisnął pustą butelkę w powietrze.

- Już druga! - ryknął. — I wszystko jest w porządku!

Była to szokująca wiadomość dla rozmaitych mrocznych postaci, od jakiegoś czasu śledzących dyskretnie czterech strażników. Jedynie zdumienie sprawiło, że nie okazali zainteresowania w sposób wyraźny i surowy. Ci ludzie to strażnicy, myślały owe postacie; mają hełmy jak należy i całą resztę, a jednak weszli tutaj, na Mroki. Dlatego obserwowano ich z fascynacją, z jaką stado wilków może się przyglądać garstce owiec, które nie tylko wybiegły na polanę, ale w dodatku skaczą wesoło i meczą. Wynikiem miała być, oczywiście, baranina, ale na razie ciekawość odroczyła nieco egzekucję.

Marchewa uniósł obolałą głowę.

- Gdzie jesteśmy? — wystękał.

- W drodze do domu - wyjaśnił sierżant. Spojrzał na pociętą, nadgryzioną przez robaki i podrapaną nożami tabliczkę na ścianie. - Idziemy teraz, idziemy, idziemy... Aleją Narzeczonej.

- Aleja Narzeczonej nie jest po drodze do domu - wybełkotaj Nobby. - Nie chcemy chodzić Aleją Narzeczonej, to na Mrokach. Jak nas przyłapią w Alei Narzeczonej...

Nastąpiła krótka, straszna chwila, kiedy świadomość dokonała lodowatego dzieła, na które zwykle potrzeba długiego snu i paru kufli czarnej kawy. Wszyscy trzej, jak na bezgłośnie wydany rozkaz, skupili się bliżej Marchewy.

- Co teraz zrobimy, kapitanie? - zapytał Colon.

- Ehem... Możemy wołać o pomoc... - zaproponował niepewnie Vimes.

- Niby tutaj?

- Macie rację...

- Musieliśmy skrócić ze Srebrnej w lewo, zamiast na prawo - domyślił się Nobby.

- Nieprędko drugi raz popełnimy taki błąd - stwierdził kapitan. I natychmiast tego pożałował.

Usłyszeli czyjeś kroki. Z lewej strony ktoś zachichotał.

- Musimy ustawić się w kwadrat - polecił Vimes. Wszyscy spróbowali ustawić się w punkt.

- Zaraz! Co to było?! - zawołał sierżant Colon.

- Co?

- O, teraz znowu. Taki skórzasty odgłos.

Kapitan Vimes starał się nie myśleć o kapturach i garotach.

Wiedział, że istnieje wielu bogów. Każdy fach miał swojego. Był bóg żebraków, bogini nierządnic, bóg złodziei, prawdopodobnie nawet bóg skrytobójców.

Zastanowił się, czy w tym ogromnym panteonie istnieje może bóg skłonny spojrzeć łaskawym okiem na znajdujących się w trudnej sytuacji i w zasadzie niewinnych przedstawicieli prawa, którzy wyraźnie mieli wkrótce zginąć.

Pewnie nie ma, myślał z goryczą. Coś takiego nie jest dostatecznie eleganckie dla bogów. Żaden bóg nie da się złapać na opiece nad jakimś smętnym gnojkiem, który stara się jak może za garść dolarów miesięcznie. Bogowie myślą tylko o chytrych draniach, którzy za ciężką pracę uważają wydłubanie z oprawy Rubinowego Oka Króla Skórka, nie o ofermach bez wyobraźni, którzy co noc szlifują krawężniki...

- Raczej szeleszczący — stwierdził sierżant, który lubił dokładność.

A potem zabrzmiał inny głos...

...głos wulkanu, może głos wrzącego gejzeru, w każdym razie długi i głośny, raczej ryk niż głos, niczym miechy w kuźni Tytanów...

.. .ale nie był tak straszny jak światło, niebieskobiałe i takie, które wypala cienie żyłek z gałek ocznych na całej wewnętrznej powierzchni czaszki.

Jedno i drugie trwało dobre kilkadziesiąt lat. I urwało się.

Ciemność wypełniły fioletowe plamy i — kiedy uszy odzyskały zdolność słyszenia - ciche brzęknięcia.

Przez chwilę strażnicy trwali w absolutnym bezruchu.

- No, no... - powiedział w końcu słabym głosem kapitan. Po kolejnej chwili poleciał bardzo wyraźnie, precyzyjnie artykułując wszystkie spółgłoski:

- Sierzancie, weźcie kilku ludzi i zbadajcie to.

- Co zbadać, sir? - zapytał Colon.

Jednak kapitan zdążył sobie uświadomić, że jeśli sierżant weźmie kilku ludzi, to on, Vimes, zostanie całkiem sam.

- Nie. Mam lepszy pomysł: pójdziemy wszyscy.

Poszli wszyscy.

Teraz, kiedy ich oczy przyzwyczały się już do ciemności, widzieli przed sobą niewyraźne czerwone lśnienie.

Okazało się, że to stygnący szybko mur. Kawałki wyżarzonych cegieł, kurcząc się, odpadały ze stukiem.

Nie to było najgorsze. Najgorsze okazało się to, co zobaczyli na murze.

Popatrzyli na to.

Patrzeli długo.

Do świtu pozostała jeszcze godzina czy dwie i nikt nawet nie sugerował, żeby w ciemności szukać drogi powrotnej. Czekali przy murze. Przynajmniej był ciepły.

Starali się na niego nie patrzeć.

W końcu Colon przeciągnął się niepewnie.

- Uszy do góry, kapitanie - powiedział. - Mogło być gorzej. Vimes dokończył butelkę - bez skutku. Są takie odmiany trzeźwości, których zwyczajnie nie da się naruszyć.

- Pewnie - zgodził się. - To mogliśmy być my.

Najwyższy Wielki Mistrz otworzył oczy.

- Raz jeszcze - oznajmił - osiągnęliśmy sukces.

Wybuchły okrzyki radości. Brat Strażnica i brat Palcy chwycili się pod ręce i podskakiwali dziko w magicznym kręgu. Najwyższy Wielki Mistrz odetchnął głęboko. Najpierw marchewka, pomyślał, a teraz kij. Lubił kij.

- Cisza! — zawołał. - Bracie Strażnico i bracie Palcy, przerwicie ten haniebny pokaz! A reszta niech się uciszy!

Uspokoili się jak rozbrykane dzieci, które właśnie zobaczyły, że do klasy wszedł nauczyciel. A potem uspokoili się o wiele bardziej -jak dzieci, które zobaczyły minę nauczyciela.

Najwyższy Wielki Mistrz odczekał, aż w pełni uświadomią sobie jego gniew. Potem przeszedł między nimi.

- Jak sądzę - rzekł - wydaje się nam, że dokonaliśmy tu czegoś magicznego, co? Hmm? Bracie Strażnico? Brat Strażnica nerwowo przełknął ślinę.

- Tego, no... mówiliście, że tego, znaczy się...

-Jeszcze niczego nie dokonaliście!

- No niby nie, tego... - Brat Strażnica zadygotał.

- Czy prawdziwi magowie skaczą tak po każdym skromnym zaklęciu i czy śpiewają "Jeszcze jeden, jeszcze jeden", bracie Strażnico? No?

- Kiedy my, tego, byliśmy trochę...

Najwyższy Wielki Mistrz odwrócił się na pięcie.

- Czy gapią się lękliwie na deski, bracie Tynkarzu? Brat Tynkarz zwiesił głowę. Nie wiedział, że ktoś to zauważył. Kiedy napięcie osiągnęło odpowiedni poziom, zbliżony do cięciwy, Najwyższy Wielki Mistrz cofnął się o krok.

- Po co ja się przejmuję? - powiedział, kręcąc głową. - Mogłem przecież wybrać każdego. Mogłem poszukać najlepszych. A skończyłem z gromadą dzieciaków.

- Tego, zaraz - wtrącił brat Strażnica. - Przecież żeśmy się starali, znaczy się, naprawdę żeśmy się koncentrowali. Prawda, chłopaki?

- Tak jest - odpowiedzieli chórem.

Najwyższy Wielki Mistrz przyjrzał się im surowo.

- Nie ma w naszym Bractwie miejsca dla braci, którzy nie stoją za nami całkowicie - ostrzegł.

Z niemal dotykálną ulgą bracia -jak przerażone owce, które zobaczyły, że ktoś otworzył bramę w ogrodzeniu i mogą wybiec - zaczęli potakiwać.

- O to nie ma zmartwienia, wasza najwyższość - zapewnił gorąco brat Strażnica.

- Oddanie musi być naszym hasłem - oświadczył Najwyższy Wielki Mistrz.

- Oddanie. Jasne - zgodził się brat Strażnica. Szturchnął brata Tynkarza, który wędrował wzrokiem wzdłuż listwy podłogowej.

- Co? Aha. Tak. Hasłem. Oczywiście - zapewnił brat Tynkarz.

- A także zaufanie i braterstwo - dodał Najwyższy Wielki Mistrz.

- Tak. One też - potwierdził brat Palcy.

- Zatem - podjął Najwyższy Wielki Mistrz -jeśli jest wśród nas ktoś nie dość chętny, mało, nie dość gorliwy, by kontynuować nasze dzieło, niech

wystąpi teraz.

Nikt się nie ruszył.

Mam ich! O bogowie, dobry w tym jestem, myślał Najwyższy Wielki Mistrz. Umiem grać na ich małych umysłach jak na cymbałach. Zadziwiająca jest ta moc przeciętności. Kto by przypuszczał, że słabość jest większą potęgą niż siła? Ale trzeba wiedzieć, jak nią pokierować. A ja wiem.

- Dobrze więc - powiedział. - A teraz powtórzmy Przysięgę.

Poprowadził jękające się, przestraszone głosy, z aprobatą dostrzegając, jak zduszonym tonem wymawiają „figgin”. Czuł też obserwował brata Palcego.

Jest odrobinę bardziej inteligentny od pozostałych, myślał. A przynajmniej odrobinę mniej łatwowierny. Muszę uważać, żeby zawsze wychodzić ostatni. Nie życzyłbym sobie przecież, żeby wpadł na chytry pomysł śledzenia mnie aż do domu.

Trzeba wyjątkowego umysłu, by rządzić takim miastem jak Ankh-Morpork. I lord Vetinari miał taki umysł. W końcu był wyjątkowym człowiekiem. Pomniejszych możnowładców zdumiewał i rozwścieczał do tego stopnia, że już dawno zrezygnowali z prób zamordowania go i teraz tylko walczyli o pozycję między sobą. Zresztą każdy skrytobójca, który zaatakowałby Patrycjusza, miałby wiele kłopotów ze znalezieniem ciała, by wbić w nie sztylet.

Inni możni pożywiali się skowronkami nadziewanymi pawimi języczkami, a lord Vetinari uważał, że szklanka przegotowanej wody i pół kromki suchego chleba jest posiłkiem krzepiącym i eleganckim.

To było przerażające. Zdawało się, że nie ma żadnych wad, a w każdym razie nikt nie zdołał ich odkryć. Można by się spodziewać, że z taką

bladą, końską twarzą będzie miał skłonności do pejczów, igieł i młodych kobiet w lochach. Inni możnowładcy by się z tym pogodzili. W końcu nie ma nic złego w pejczach i igłach, byle z umiarem. Ale Patrycjusz ewidentnie spędzał wieczory na czytaniu raportów, a przy specjalnych okazjach, kiedy uznał, że wytrzyma podniecenie, grywał w szachy.

Ubierał się na czarno. Nie była to czerń szczególnie imponująca, jaką nosili najlepsi skrytobójcy, ale poważna, trochę wytarta czerń człowieka, który rankiem nie chce marnować czasu na zastanawianie się, co włożyć. A trzeba by wstać naprawdę wcześniej, żeby być na nogach przed Patrycjuszem; rozsądniej byłoby w ogóle się nie kłaść.

Był jednak popularny - w pewnym sensie. Pod jego ręką, po raz pierwszy od tysiąca lat, Ankh-Morpork funkcjonowało. Może niezbyt sprawiedliwie czy demokratycznie, ale działało. Dbał o nie tak, jak dba się o ozdobne krzewy, tu podpierając gałąź, tam przycinając niesforny pęd. Mówiono, że tolerował absolutnie wszystko, z wyjątkiem czegokolwiek, co zagrażało miastu[12]. I oto nadeszło...

Przez długą chwilę wpatrywał się w wypaloną ścianę, a krople deszczu ściekały mu z brody i przesiąkały przez ubranie. Za jego plecami kręcił się nerwowo Wonse.

Długa, wąska dłoń o błękitnych żyłkach zbliżyła się do muru i czubki palców obrysowały cienie.

Właściwie nie cienie, ale sylwetki. Zewnętrzny kontur był bardzo wyraźny. Wewnątrz pozostał znajomy deseń cegieł; na zewnątrz jednak coś przetopilo mur w dość estetyczną substancję ceramiczną, nadając starym tynkom gładką, lustrzaną powierzchnię.

Kształty wyrysowane cegłami ukazywały sylwetki sześciu ludzi znieruchomiałych w pozach zaskoczenia. Uniesione ręce wyraźnie ścisnęły noże i jatagany.

Patrycjusz w milczeniu obejrzał kopczyk popiołu pod stopami. Kilka pasemek roztopionego metalu mogło być tymi właśnie groźnymi narzędziami, tak wyraźnie wytrawionymi w murze.

- Hm - powiedział.

Kapitan Vimes z szacunkiem przeprowadził go przez drogę, do Zaułka Pewnego Szczęścia, gdzie wskazał Dowód Rzeczowy A, czyli...

- Odciski stóp - wyjaśnił. - Chociaż to niezbyt dokładne określenie. Należałoby raczej powiedzieć: pazurów. Można się nawet posunąć do nazwania ich szponami.

Patrycjusz przyglądał się śladom w błocie. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Rozumiem — stwierdził w końcu. - A co pan o tym sądzi, kapitanie?

Kapitan miał pewną teorię. W ciągu kilku godzin przed świtem rozważył nawet kilka teorii, poczynając od przekonania, że popełnił błąd, przychodząc na świat.

A potem szary brzask przesączył się nawet na Mroki, a on sam wciąż był żywy i nie ugotowany, więc rozejrzał się z wyrazem idiotycznej ulgi na twarzy i o dwa łokcie od siebie zobaczył te ślady. Nie była to najlepsza chwila na trzeźwość.

- No cóż, sir - zaczął. - Wiem, że smoki wyginęły tysiące lat temu, ale...

- Tak? - Patrycjusz zmrużył oczy.

- Ale, sir - brnął dalej Vimes - kłopot w tym, czy one to wiedzą. Sierżant Colon twierdzi, że słyszał skórzasty odgłos na moment przed, tego... wykroczeniem.

- Uważa więc pan, że wymarły, a może całkiem mityczny smok przyleciał do miasta, wylądował w tym wąskim zaułku, spalił grupę przestępców i odfrunął? Można powiedzieć, że zaprezentował prawdziwie społeczną postawę.

- Jeśli tak pan to ujmuje...

- O ile pamiętam, legendarne smoki to samotnicy, unikający ludzi i

zamieszkujący niedostępne, mało znane tereny. Raczej nie były stworzeniami miejskimi.

- Raczej nie, sir - zgodził się Vimes.

Powstrzymał się od komentarza, *ie* gdyby ktoś szukał naprawdę niedostępnego, mało znanego terenu, to Mroki świetnie pasowały do opisu.

- Poza tym - dodał lord Vetinari - można by się spodziewać, że ktoś go zauważy, prawda?

Kapitan skinął głową w stronę muru i strasznego portretu grupowego.

— Chce pan powiedzieć: poza nimi, sir?

- Moim zdaniem chodzi o jakąś wojnę - zdecydował Patrycjusz. - Pradopodobnie konkurencyjny gang wynajął maga. Drobne lokalne kłopoty.

- Być może powiązane z tymi dziwnymi kradzieżami, sir - podpowiedział Wonse.

- Ale są jeszcze ślady, sir - upierał się Vimes.

- Jesteśmy blisko rzeki - zauważył Patrycjusz. - Może był to, prawdopodobnie, jakiś rodzaj ptaka brodzącego. Zwykły zbieg okoliczności - dodał. - Ale na pańskim miejscu bym je zasypał. Nie chcemy przecież, żeby ludzie wyobrażali sobie nie wiadomo co i wyciągali bzdurne wnioski. Prawda? - zapytał ostro.

Vimes zrezygnował.

- Jak pan sobie życzy, sir —odparł, wpatrując się we własne sandały.

Patrycjusz poklepał go po ramieniu.

— Mniejsza z tym - powiedział. - Tak trzymać. Piękny pokaz inicjatywy. I jeszcze patrol na Mrokach, no, no. Dobra robota.

Odwrócił się i niemal zderzył z osłoniętym kolczugą murem, który

okazał się Marchewą.

wskazuje grzecznie karetę Patrycjusza. Wokół niej stało sześciu członków gwardii pałacowej, uzbrojonych po zęby i czujnych. Z zainteresowaniem śledzili rozwój sytuacji. Vim.es bardzo ich nie lubił. Nosili pióropusze na hełmach. Nienawidził piór na strażnikach. Usłyszał słowa Marchewy.

- Przepraszam bardzo, czy to pański powóz? Patrycjusz zmierzył go obojętnym wzrokiem.

- Istotnie - przyznał. - Kim jesteś, młody człowieku? Marchewą zasalutował.

- Młodszy funkcjonariusz Marchewą, sir.

- Marchewa, Marchewa... Chyba słyszałem gdzieś to imię. Stojący z tyłu Lupine Wonse podszedł szybko i zaszeptał coś Patrycjuszowi do ucha. Władca uśmiechnął się.

- Aha, młody łapacz złodziei. Drobną pomyłką, ale godna pochwały. Nikt nie stoi ponad prawem, co?

- Nie, sir - zgodził się Marchewa.

- Dobrze, bardzo dobrze. A teraz, panowie...

- Chodzi o pański powóz, sir - nie ustępował Marchewa. - Nie mogłem nie zauważyć, że prawe przednie koło, wbrew...

On zaraz arestuje Patrycjusza, powiedział sobie Vimes, a myśl ta pociekła po jego umyśle niczym lodowata struga. Naprawdę chce arestować Patrycjusza. Najwyższego władcę. Arestuje go. To właśnie zamierza. Ten chłopak nie zna znaczenia słowa „strach”. Ale byłoby lepiej, gdyby poznał znaczenie słowa „przeżyć”...

A ja nie potrafię ruszyć ustami...

Jesteśmy martwi. Albo, co gorsza, zatrzymani do dyspozycji Pa-

trycjusza. A wszyscy wiedzą, że on często bywa niedysponowany...

I właśnie w tej chwili sierżant Colon zasłużył na przysłowiowy medal.

- Młodszy funkcjonariusz Marchewa! — krzyknął. - Baa... czność! Młodszy funkcjonariusz Marchewa, w tył zwrot! Naprzód

marsz:

Marchewa wyprostował się niczym stodoła stawiana na łące i ruszył przed siebie ze srogim wyrazem absolutnego posłuszeństwa.

- Bardzo interesujący młody człowiek - stwierdził w zadumie Patrycjusz, spoglądając za maszerującym sztywno Marchewa. - Do pracy, kapitanie. I proszę z całą stanowczością tłumić wszelkie nieodpowiedzialne plotki o smokach, jasne?

- Tak jest, sir.

- Brawo.

Kareta odjechała, stukając na kamieniach, a gwardziści biegli wokół niej.

Kapitan Vimes niejasno zdawał sobie sprawę, że sierżant wrzeszczy za odchodzącym Marchewa, by się zatrzymał.

Myślał.

Popatrzył na ślady w błocie. Z pomocą regulaminowej piki, długości dokładnie siedmiu stóp, zmierzył odciski i odległość między nimi. Gwizdnął pod nosem. Potem ostrożnie ruszył za róg; zaułek

kończył się małymi, zamkniętymi na kłódkę i brudnymi drzwiczkami na tyłach składu drewna.

Coś tu się zupełnie nie zgadza, pomyślał.

Ślady prowadzą z zaułka, ale nie wchodzą do niego. Poza tym w Ankh

rzadko spotyka się ptaki brodzące, przede wszystkim dlatego że ścieki przeżarłyby im nogi, a poza tym łatwiej im spacerować po powierzchni rzeki.

Podniósł głowę. Miriady przecinających się sznurów z bielizną przesłaniały wąski prostokąt nieba równie skutecznie jak sieć.

A zatem, pomyślał, coś wielkiego i ziejącego ogniem wyszło z tego zaułka, ale nie mogło do niego wejść.

A Patrycjusz bardzo się tym martwi.

Kazał mi o tym zapomnieć.

Zauważył coś jeszcze pod murem. Podeszedł, schylił się i podniósł świeżą skorupkę fistaszka.

Przerzucał ją z ręki do ręki, zapatrzony w pustkę.

W tej chwili miał ochotę się czegoś napić. Ale może powinien z tym zaczekać.

Bibliotekarz pospiesznie sunął mrocznymi korytarzami wśród drzemiących regałów.

Dachy miasta należały do niego. Oczywiście, skrytobójcy i złodzieje też czasem z nich korzystali, ale on sam już dawno odkrył, że las kominów, przypór, gargulców i wiatrowskazów jest wygodną i uspokajającą alternatywą ulicy.

Przynajmniej do dzisiaj.

Wydało mu się rzeczą zabawną i pouczającą śledzenie Straży na Mrokach, w miejskiej dżungli, niczym nie zagrażającej trzystufuntowej małpie. Ale kiedy - przesuając się na rękach ponad ciemną uliczką - zobaczył ów koszmar, gdyby był człowiekiem, nie uwierzyłby własnym

oczom.

Jako mała jednak nie miał żadnych wątpliwości. Swoim oczom ufał całkowicie.

W tej chwili chciał rzucić nimi na książkę, która mogła zawierać jakieś wskazówki. Leżała w dziale rzadko ostatnio odwiedzanym. Księgi tam nie były właściwie magiczne. Kurz oskarżycielsko okrywał podłogę.

Kurz, a na nim ślady stóp.

- Uuk? - odezwał się bibliotekarz w ciepłym mroku.

Dalej posuwał się ostrożnie, uświadamiając sobie z poczuciem nieuchronności, że te ślady zmierzały chyba do tego samego celu co on.

Skręcił na rogu i zobaczył...

Sekcję...

Regał...

Półkę...

I szczelinę...

W multiversum można się natknąć na wiele przerażających widoków. Ale dla umysłu dostrojonego do subtelnych rytmów biblioteki niewiele jest rzeczy gorszych niż szczelina w miejscu, gdzie powinna stać książka.

Ktoś ukradł książkę.

W Podłużnym Gabinecie, swoim osobistym sanktuarium, Patrycjusz spacerował nerwowo tam i z powrotem, dyktując ciąg instrukcji.

- I posłać ludzi, żeby pomalowali mur - zakończył. Lupine Wonse uniósł brew.

- Czy to rozsądne, sir?

- Nie wydaje ci się, że fryz upiornych sylwetek wzbudzi komentarze i domysły? - zapytał kwaśnym tonem Patrycjusz.

- Nie tak liczne jak świeża farba na Mrokach - odparł spokojnie Wonse.

Patrycjusz zastanowił się.

- Słuszna uwaga - przyznał. - Poślij ludzi, żeby go zburzyli.

Dotarł do końca pokoju, odwrócił się na pięcie i znowu ruszył przed siebie. Smoki! Jakby mało miał innych, rzeczywistych problemów. ..

- Wierzysz w smoki? - spytał. Wonse pokręcił głową.

- Nie mogą istnieć, sir.

- Tak słyszałem - zgodził się Vetinari. Dotarł do przeciwległej ściany i zawrócił.

- Czy mam zbadać tę sprawę dokładniej? - upewnił się Wonse.

- Tak. Koniecznie.

- I dopilnuję, żeby Straż się tym zajęła. Patrycjusz przerwał swój spacer.

- Straż? Straż? Drogi chłopcze, Straż to banda niekompetentnych darmozjadów pod komendą pijaka. Lata trwało, zanim to osiągnąłem. Straż jest ostatnią rzeczą, jaką powinniśmy się przejmować.

Zastanowił się.

- Widziałeś kiedy smoka, Wonse? Znaczy: jednego z tych wielkich? Och, wiem, mówiłeś, że nie mogą istnieć.

- Są tylko legendą. Zabobonem.

- Hm... - mruknął Patrycjusz. - A w legendach ważne jest, oczywiście, że są legendarne.

- Otóż to, sir.

- Mimo wszystko... - Patrycjusz znieruchomiał i przez chwilę przyglądał się Wonse'owi. - Mniejsza z tym - mruknął. — Zbadaj to. Nie życzę sobie żadnych smoków. Takie *rzeczy* budzą niepokój mieszkańców. Skończ z tym.

Kiedy został sam, stanął przy oknie i ponuro spojrzał na miasto. Znowu padał deszcz.

Ankh-Morpork! Hałaśliwe miasto setki tysięcy dusz! I - jak zauważył Patrycjusz - dziesięć razy większej liczby mieszkańców. Deszcz lśnił na dachach i wieżyczkach, nie zdając sobie sprawy, na jak rojny, nienawistny świat opada. Deszcze mające więcej szczęścia spadały na owce w górach, szeleściły cicho wśród lasów czy też -odrobinę kazirodczo - rozchłapywały kroplami powierzchnię morza. Deszcz spadający na Ankh-Morpork sam sprowadzał na siebie kłopoty. W Ankh-Morpork wyczyniali z wodą straszne rzeczy. Picie było tylko początkiem jej problemów.

Patrycjusz lubił przeświadczenie, że patrzy na miasto, które funkcjonuje. Nie piękne miasto, nie miasto sławne czy miasto z dobrą kanalizacją, a już zwłaszcza nie miasto architektonicznie doskonałe. Nawet najbardziej patriotycznie nastawieni obywatele *zgadzali* się, że z góry Ankh-Morpork wygląda, jakby ktoś w kamieniu i drewnie próbował osiągnąć efekt kojarzony zwykle z chodnikami przed nocnymi barami.

Ale funkcjonowało. Toczyło się zgrabnie przed siebie, niczym żyroskop na krawędzi krzywej załamania. A to - jak święcie wierzył

Patrycjusz - dlatego że żadna z grup nie stała się nigdy dość potężna, by je przewrócić. Kupcy, złodzieje, skrytobójcy, magowie - wszyscy ścigali się z całych sił, nie pojmując, że wyścig wcale nie jest konieczny. I z pewnością nie ufając sobie dostatecznie, by przystanąć i pomyśleć, kto

wyznaczył tory i kto trzyma flagę startową.

Patrycjusz nie lubił słowa „dyktator”. Urażało go. Nigdy nikomu nie mówił, co ma robić. Nie musiał - to właśnie było najpiękniejsze. Spora część jego pracy polegała na takim zaaranżowaniu spraw, by aktualny stan trwał nadal.

Oczywiście, rozmaite grupy usiłowały go obalić, co było właściwe, słuszne i dowodziło zdrowia i aktywności społeczeństwa. Nikt nie mógłby mu zarzucić braku rozsądku w tej kwestii. Zresztą czy nie on sam stworzył większość z tych grup? A najlepsze, że prawie cały swój czas poświęcały na kłótnie między sobą.

Natura ludzka, zwykł powtarzać Patrycjusz, to wspaniała rzecz. Kiedy już się odkryje, gdzie ma odpowiednie dźwignie.

Miał złe przeczucia co do tego smoka. Jeśli w ogóle istniało stworzenie nie posiadające żadnych dźwigni, był to właśnie smok. Trzeba będzie jakoś uporządkować tę sprawę.

Patrycjusz nie uznawał zbędnego okrucieństwa[13]. Nie uznawał bezsensownej zemsty. Ale głęboko wierzył w potrzebę porządkowania spraw.

To zabawne, ale kapitan Vimes myślał dokładnie o tym samym. Stwierdził, że nie podoba mu się, kiedy obywateli - nawet tych z Mroków - zamienia się w zwykłe ozdoby ceramiczne.

W dodatku dokonano tego w obecności Straży - mniej więcej. Jakby ta Straż nic nie znaczyła, jakby była tylko nieistotnym szczegółem. To napełniało go goryczą. W dodatku było prawdą, co jeszcze pogarszało sprawę.

Dodatkowo irytował go fakt, że nie wykonał rozkazu. Oczywiście,

zasypał ślady. Ale w dolnej szufladzie jego starego biurka, ukryty pod stosem pustych butelek, leżał gipsowy odlew. Vimes czuł, jak wpatruje się w niego przez trzy warstwy drewna.

Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło. A teraz jeszcze mocniej podpiłowywał gałąź, na której siedział.

Przyjrzał się swoim - z braku lepszego słowa - detektywom. Poprosił dwóch starszych, by przyszli po cywilnemu, żeby nie rzucać się w oczy. To oznaczało, że sierżant Colon, który przez całe życie nosił mundur, pociał się teraz i cierpiał w ubraniu, które wkładał na pogrzeby. Natomiast Nobby...

- Zastanawiam się, czy dostatecznie mocno podkreśliłem, żeby nie rzucać się w oczy - rzekł kapitan.

- Tak się ubieram po pracy, szefuniu - odparł z wyrzutem Nobby.

- Sir - poprawił go sierżant Colon.

- Mój głos też jest po cywilnemu. To się nazywa: inicjatywa. Vimes powoli obszedł kaprała dookoła.

- Czy wasze cywilne ubranie nie doprowadza staruszek do omdlenia i nie zachęca małych chłopców, żeby biegali za wami po ulicy?

Nobby niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Nie znał się na ironii.

- Nie, sir, szefuniu — odparł. - Tak się teraz chodzi.

Co było mniej więcej prawdą. Obecna moda w Ankh zalecała szerokie kapelusze z piórami, krezy, rozcięte dublety obszyte złotą taśmą, rozszerzane u dołu pantaloney i wysokie buty z ozdobnymi ostrogami. Problem w tym, myślał Vimes, że większość modnisiów wkładała między te elementy trochę więcej ciała, podczas gdy o kaprału Nobbsie można było powiedzieć tyle, że gdzieś tam tkwił.

Co może nawet się przydać. W końcu nikt przecież nie uwierzy, widząc go na ulicy, że ma przed sobą funkcjonariusza Straży, który stara się nie rzucać w oczy.

Vimesowi przyszło do głowy, że nic nie wie o życiu Nobbsa poza godzinami pracy. Nie pamiętał nawet, gdzie kaprał mieszka. Znał go od tylu lat, a nigdy nie zdawał sobie sprawy, że w życiu prywatnym Nobbs jest odrobinę papugą. Bardzo niską papugą, to prawda, może papugą często bitą czymś ciężkim, ale jednak. Tak to bywa: nigdy nic nie wiadomo.

Wrócił do spraw służbowych.

- Wy dwaj - zwrócił się do Nobbsa i Golona - macie wieczorem wmieszać się dyskretnie, czy też demonstracyjnie w waszym przypadku, kaprału, między ludzi i... tego... pilnować, czy nie zauważycie czegoś niezwykłego.

- Niezwykłego jak co? - zapytał sierżant.

Vimes zawahał się. Sam właściwie nie był pewien.

- Cokolwiek — wyjaśnił. — Adekwatnie.

- Aha... — Sierżant ze zrozumieniem pokiwał głową. - Adekwatnie.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Może ludzie widzieli jakieś dziwne zdarzenia - przerwał je w końcu kapitan. — Może wybuchły jakieś niewyjaśnione pożary. Albo pojawiły się ślady. No wiecie - dokończył rozpaczliwie. - Znaki smoków.

- Znaczy się, na przykład stosy złota, na których ktoś spał - domyślił się sierżant.

- I dziewice przykute do skały - dodał Nobbs z miną znawcy.

- Widzę, że jesteście ekspertami - westchnął Vimes. - Postarajcie się.

- To wmieszanie się między ludzi - upewnił się ostrożnie sierżant - będzie wymagać zaglądania do tawern, picia i tym podobnych, prawda?

- W pewnym zakresie.

- Aha - mruknął z zachwytem Colon.

- Z umiarem.

- Bardzo słusznie, sir.

- I na własny koszt.

- Och!...

- Ale zanim wyruszyście... - dodał jeszcze kapitan. - Czy któryś z was zna kogoś, kto może cokolwiek wiedzieć o smokach? To znaczy czegoś poza sypianiem na złocie i tym o młodych kobietach.

- Magowie pewnie wiedzą — odpowiedział Nobby.

- Oprócz magów - oświadczył stanowczo Vimes. Magom nie można ufać. Każdy strażnik wiedział, że nie wolno ufać magom. Byli jeszcze gorsi od cywili. Colon zastanowił się przez chwilę.

-Jest taka lady Ramkin - przypomniał. - Mieszka przy Alei Scoone'a. Hoduje smoki bagienne. Wie pan, kapitanie, te małe pasku-dy, co je ludzie trzymają w domach.

- Ach, ona... - mruknął ponuro Vimes. - Chyba już ją widziałem. To ta, co ma z tyłu karety nalepkę „Zarżyj, jeśli kochasz smoki”?

- Właśnie ona. Jest psychiczna - ocenił sierżant.

- A co ja mam robić, sir? - zapytał Marchewa.

- Ehm... Ty dostaniesz najważniejsze zadanie - zapewnił pośpiesznie Vimes. - Zostaniesz tutaj i będziesz pilnował gabinetu.

Twarz Marchewy rozciągnęła się w szerokim, niedowierzającym uśmiechu.

- To znaczy, że będę tu dowodził, sir?

- W pewnym sensie. Ale nie wolno ci nikogo aresztować, rozumiesz? - dodał nerwowo.

- Nawet gdyby łamali prawo, sir?

- Nawet wtedy. Zanotuj tylko.

- W takim razie poczytam swoją książkę — postanowił Marchewa. -1 wypoleruję hełm.

- Zuch chłopak - pochwalił go kapitan.

To chyba bezpieczne, myślał. Nikt tu przecież nie przychodzi, nawet żeby zgłosić zaginięcie psa. Nikt nawet nie pamięta o Straży. Trzeba całkiem stracić rozum, żeby zwrócić się do Straży o pomoc, pomyślał rozgoryczony.

Aleja Scoone'a była szeroka, porośnięta drzewami i leżała w niezwykle eleganckiej części Ankh, położonej dostatecznie wysoko nad rzeką, by nie docierał tu wszechobecny zapach. Ludzie przy Alei Scoone'a mieli stare pieniądze, podobno o wiele lepsze od nowych pieniędzy, chociaż kapitan Vimes nigdy nie miał dość jednych czy drugich, by dostrzec jakąś różnicę. Ludzie przy Alei Scoone'a mieli własnych ochroniarzy. O ludziach przy Alei Scoone'a mówiono, że są zbyt dumni, by rozmawiać nawet z bogami. To złośliwa plotka. Oczywiście, rozmawialiby z bogami, pod warunkiem że byłiby to dobrze wychowani bogowie z dobrych rodzin.

Dom lady Ramkin okazał się łatwy do odnalezienia. Wyrastał na występie skalnym i roztaczał się z niego wspaniały widok na miasto, jeśli ktoś lubił takie rozrywki. Przy bramie stały kamienne smo-

ki, a ogród wyglądał na zaniedbany i zarośnięty. Z zieleni wyrastały posągi dawno zmarłych Ramkinów; większość trzymała miecze i była poszyje okryta bluszczem.

Vimes wyczuwał, że dzieje się tak nie dlatego, że właściciel ogrodu ma

zbyt mało pieniędzy, by się nim zająć. Nie; uważa raczej, że są rzeczy o wiele ważniejsze od przodków, co jak na arystokratę jest poglądem dość niezwykłym.

Najwyraźniej właściciel uważał też, że są *rzeczy* ważniejsze od remontów. Kiedy Vimes zadzwonił do drzwi dość miłego starego domu pośród kwitnącego gąszczu rododendronów, z fasady odpadło parę kawałków tynku.

Był to jedyny skutek dzwonka - jeśli nie liczyć czegoś, co zawyło na tyłach budynku. Tego czegoś było więcej niż jedno.

Zaczął padać deszcz. Po chwili Vimes zrezygnował z pozycji pod drzwiami i czujnie obszedł dom dookoła, trzymając się z daleka od ścian na wypadek, gdyby coś jeszcze odpadło.

Dotarł do solidnej drewnianej bramy w solidnym drewnianym ogrodzeniu. W przeciwieństwie do ogólnego zaniedbania posiadłości wydawało się całkiem nowe i bardzo mocne.

Zapukał, budząc tym następną kanonadę dziwnych, gwizdzących odgłosów.

Brama otworzyła się. Przed Vimesem stanęło coś strasznego.

- A, dobry człowieku... Wiesz coś o zwyczajach godowych? - zahuczało.

W Strażnicy było spokojnie i ciepło. Marchewa słuchał szumu piasku w klepsydrze i koncentrował się na czyszczeniu półpancerza. Niezwykłość miasta, gdzie mieli wszystkie te prawa i tak starannie je omijali, troszkę go oszałamiała. Ale lśniący półpancerz nadal był półpancerzem dobrze wypolerowanym.

Otworzyły się drzwi. Marchewa zerknął ponad blatem biurka. Nikogo

nie zauważył.

Potał energicznie jeszcze kilka razy.

Rozległ się niewyraźny dźwięk, jakby ktoś miał już dosyć czekania. Krawędź biurka chwyciły dwie dłonie z fioletowymi paznokcia-

mi, a w polu widzenia, niczym kokos o poranku, z wolna pojawiła się twarz bibliotekarza.

- Uuk - usłyszał Marchewa.

Wyjaśniano mu wielokrotnie, że wbrew pozorom prawa obowiązujące w królestwie zwierząt nie mają do bibliotekarza zastosowania. Z drugiej strony bibliotekarz nigdy szczególnie nie dbał o przestrzeganie praw rządzących królestwem ludzi. Był jedną z tych drobnych anomalii, które trzeba jakoś omijać.

- Dzień dobry - powitał go niepewnie Marchewa. („Nie mów do niego malutki i nie próbuj poklepywać, bo to go zawsze irytuje”).

- Uuk.

Bibliotekarz stuknął w biurko swoim długim palcem o wielu stawach.

- Co?

- Uuk.

- Przepraszam, nie zrozumiałem.

Bibliotekarz przewrócił oczami. To dziwne, uznał. Tak zwane inteligentne psy, konie i delfiny nie mają żadnych kłopotów, przekazując ludziom najważniejsze w danej chwili wiadomości, na przykład że trójka dzieci zgubiła się w jaskini albo że pociąg za chwilę skręci na tor wiodący do zerwanego mostu czy coś w tym rodzaju. Tymczasem on, ledwie o garść chromosomów oddalony od noszenia kamizelki, nie potrafi przekazać przeciętnemu człowiekowi, że powinien wyjść na deszcz. Z niektórymi zwyczajnie nie można się dogadać.

- Uuk! — powtórzył z naciskiem i skinął ręką.

- Nie mogę opuścić posterunku - odparł Marchewa. - Dostałem Rozkazy.

Górna warga bibliotekarza zwinęła się jak roleta.

- Czy to ma być uśmiech? - zapytał Marchewa. Bibliotekarz pokręcił głową.

- Chyba nikt nie popełnił przestępstwa, co?

- Uuk.

- Ciężkie przestępstwo?

- Uuk!

- Jak morderstwo?

- Iik.

- Gorsze niż morderstwo?

- Iik!

Bibliotekarz przeszedł do drzwi i tam podskakiwał niecierpliwie.

Marchewa przełknął ślinę. Rozkazy rozkazami, ale to przecież całkiem inna sprawa. Ludzie w tym mieście zdolni są do wszystkiego.

Zapiął półpancerz, wcisnął na głowę błyszczący hełm i ruszył do drzwi.

W ostatniej chwili przypomniał sobie o obowiązkach. Wrócił do biurka, znalazł kawałek papieru i z wysiłkiem napisał: *Poszedłem walczyć ze Zbrodnią. Proszę zajrzeć później. Dziękuję.*

Dopiero wtedy wyszedł na ulice, nieskalany i nie znający strachu.

Najwyższy Wielki Mistrz uniósł ręce.

- Bracia! - zawołał. - Rozpocznijmy!

To takie łatwe... Wystarczy pokierować tym olbrzymim, trującym rezerwuarem zazdrości i tłumionych uraz, jakimi bracia dysponowali w obfitości, okiełznać przerażającą, szarą niechęć, posiadającą moc większą niż ryczące zło, a potem otworzyć swój umysł i sięgnąć...

...do miejsca, gdzie odeszły smoki.

Vimes poczuł, że coś chwyta go za ramię i wciąga do wnętrza. Ciężka brama zatrzęsnęła się za nim ze stanowczym stukiem.

- Chodzi o lorda Mountjoya Wesołuskiego Szponoszytycha III z Ankh - oznajmiła zjawą ubrana w ciężki i grubo obszyty pancerz. - Wie pan, nie sądzę, żeby dał radę.

- Nie da? - Vimes cofnął się o krok.

- Trzeba was dwóch do tego.

- Trzeba, nieprawdaż... - wymruczał Vimes. Wiele by dał, by znaleźć się po drugiej stronie ogrodzenia.

- Pomoże pan? — zahuczało widmo.

- W czym?

- Nie bądź taki przewrażliwiony, człowieku! Masz go tylko przytrzymać w górze. Trudną robotą sama się zajmę. Wiem, że to okrutne, ale

jeśli dzisiaj sobie nie poradzi, czeka go rzeźnia. Przetrwanie najsilniejszego i takie tam.

Kapitan Vimes jakoś wziął się w garść. Najwyraźniej znalazł się w obecności opętanej seksem przyszłej morderczyni, jeśli w ogóle można było określić płeć pod dziwnym grubym odzieniem. Jeżeli nie była kobietą, to jej słowa, że „trudną robotą sama się zajmie” budziły w umyśle obrazy, które z pewnością będą go dręczyć jeszcze długo. Wiedział, że bogaci robią wszystko inaczej, ale też wszystko ma swoje granice.

- Pani - powiedział łodowatym tonem. - Jestem oficerem Straży i muszę poinformować, że działania, jakie pani sugeruje, łamią prawa tego miasta. - A także kilkorga co bardziej pruderyjnych bóstw, dodał w myślach. - Muszę zażądać, żeby Jego Lordowska Mość został natychmiast uwolniony bez szwanku dla siebie..-.

Zjawa przyglądała mu się ze zdumieniem.

- A czemu? - spytała. - Przecież to mój smok.

- Może jeszcze po łyeczku, niekapralu Nobby? - zaproponował, zacinając się nieco, sierżant Colon.

- Z przyjemnością, niesierzancie Colon - zapewnił Nobby. Bardzo poważnie potraktowali rozkaz nierzucania się w oczy. Wykluczało to większość oberży po morporskiej stronie rzeki, gdzie byli dobrze znani. Teraz siedzieli w dość eleganckiej tawernie w centrum Ankh, gdzie nie rzucali się w oczy, jak najlepiej potrafili. Pozostali bywalcy uważali ich za gościnnie występujący kabaret.

- Myślałem sobie - oznajmił sierżant.

- A co?

- Gdybyśmy kupili butelkę czy dwie, moglibyśmy wrócić do domu i

naprawdę nie rzucać się w oczy. Nikomu. Nobby zastanowił się głęboko.

- Przecież kazał nam mieć uszy otwarte - przypomniał. - Powinniśmy, jak to nazwał, delektować wszystko.

- Możemy to robić u mnie w domu. Będziemy tam słuchać przez całą noc, bardzo uważnie.

- Dobry pomysł - uznał Nobby. Im dłużej myślał o propozycji sierżanta, tym bardziej mu się podobała. - Ale najpierw - oświadczył - muszę złożyć wizytę.

- Ja też - zgodził się Colon. - To delektowanie strasznie człowieka męczy.

Potykając się, ruszyli w zaułek za tawerną. Świecił księżyc w pełni, ale przez jego tarczę dryfowały strzępki chmur. Obaj strażnicy, nie rzucając się w oczy, zderzyli się w ciemności.

- Czy to pan, detektorze sierżancie? - upewnił się Nobby.

- Zgadza się! Czy umiecie wytropić drzwi do wychodka, detektorze kapralu Nobbs? Szukamy niskich, ciemnych drzwiczek o podejrzanym wyglądzie, cha, cha.

Odpowiedzią było kilka stuknięć i stłumionych przekleństw Nobby'ego, zataczającego się od ściany do ściany, a po nich wrzask przedstawiciela ogromnej populacji dzikich kotów z Ankh-Morpork, który przemknął kapralowi między nogami.

- Kto by cię lubił, koteczku - mruknął pod nosem Nobby.

- Potrzeba zmusza - stwierdził Colon i stanął w wygodnym kątku. Jego zadumę przerwał cichy jęk kaprała.

- Jest pan tam, sierżancie?

- Dla ciebie: detektorze sierżancie, Nobby - poprawił go uprzejmie Colon.

Głos kaprała był pełen napięcia i - nieoczekiwanie - całkiem trzeźwy.

- Niech pan nie zalewa, sierżancie! Przed chwilą widziałem, jak nad nami przeleciał smok!

- Widziałem, jak stoi blok... - Sierżant czknął dyskretnie. - Widziałem długi krok, widziałem stromy stok. Widziałem nawet, jak głupi jest ćwok. Ale jeszcze nie widziałem, jak leci smok.

- Przecież nie żartuję! - zirytował się Nobby. - Miał takie skrzydła jak.. . jak... jak wielkie, szerokie skrzydła!

Colon odwrócił się majestatycznie. Kaprał zbladł tak bardzo, że jego twarz była widoczna w ciemności.

- Słowo, sierżancie!

Colon skierował spojrzenie na wilgotne niebo i zmyty deszczem księżyc.

- No dobrze - ustąpił. - Pokaż.

Za jego plecami rozległ się jakiś szelest i kilka dachówek stuknęło o bruk.

Obejrzał się. W górze, na dachu, siedział smok.

- Smok siedzi na dachu! — wystękał. - Nobby, na dachu siedzi

smok! Co robić, Nobby? Smok siedzi na dachu! Patrzy na mnie, Nobby! Co robić?

- Na początek niech pan podciągnie spodnie - odparł Nobby zza najbliższego murku.

Nawet pozbawiona warstw odzieży ochronnej lady Sybil Ramkin nadal była wielka. Vimes znał legendy barbarzyńskich ludów osiowych o wspaniałych dziewicach w kolczugach i pancernych stanikach; pędzą w rydwanach nad polami bitew i przenoszą poległych wojowników do chwalebnych i hałaśliwych zaświatów, a przy tym cały czas śpiewają mezzosopranami. Lady Ramkin mogłaby być jedną z nich. Mogłaby nimi dowodzić. Mogłaby przenieść cały batalion. Kiedy mówiła, każde jej słowo było jak serdeczne klepnięcie w plecy i pobrzmiwało arystokratyczną pewnością siebie kogoś absolutnie dobrze urodzonego. Samogłoski potrafiłyby chyba ciąć drewno.

Obdarci przodkowie Vimesa byli przyzwyczajeni do takich głosów, zwykle używanych przez ludzi w ciężkich zbrojach i dosiadających wierzchowców bojowych. Takie głosy tłumaczyły, dlaczego tak świetnie będzie, prawda, ruszyć do szturmu i rozbić wroga na miazgę. Jego nogi usiłowały stanąć na baczność.

Ludzie prehistoryczni oddawaliby jej cześć, a co ciekawe, już tysiące lat temu potrafili wyrzeźbić jej posągi. Miała grzywę kasztanowych włosów - perukę, jak dowiedział się później Vimes. Nikt, kto ma często do czynienia ze smokami, nie zachowuje długo własnej fryzury.

Miała też smoka na ramieniu. Przedstawiła go jako Szpono-sztycha Yinenta Wunderkinda z Quirmu, a zwracała się do niego Yinny. Jak się zdawało, smok walnie przyczyniał się do wytwarzania niezwykłego, chemicznego zapachu, który wypełniał cały dom. Wszystko przesiąkło tym zapachem. Smakował nim nawet solidny kawał ciasta, który podała gościowi.

- To... ehm, ramię... wygląda... bardzo ładnie - oświadczył Vimes, by jakoś podtrzymać rozmowę.

- Bzdury - odparła Jej Lordowska Mość. - Uczę go, bo siada-cze idą za dwa razy wyższą cenę.

Vimes wymamrotał, że czasami widywał damy z towarzystwa

z małymi kolorowymi smokami na ramieniu i jego zdaniem wyglądały bardzo, tego, elegancko.

- Rzeczywiście, brzmi to nieźle - stwierdziła. - Przyznaję. Ale szybko przekonują się, że smok oznacza sadzę, oparzenia, nadpalone włosy i zapaskudzone plecy. Te szpony też się głęboko wbijają. A potem uznają, że zwierzak robi się za wielki i cuchnący, a niedługo potem trafia albo do Morporskiego Słonecznego Schroniska dla Zgubionych Smoków, albo po staremu, do rzeki z kamieniem u szyi.

Usiadła, układając spódnice, która wystarczałaby na żagle dla niewielkiej flotyli.

- Do rzeczy jednak. Kapitan Vimes, o ile dobrze pamiętam?

Vimes nie wiedział, jak się zachować. Dawno zmarli Ramkino-wie spoglądali na niego z ozdobnych ram na ocienionych ścianach. Pomędzy, wokół i pod portretami wisiała broń, której zapewne używali, w dodatku używali sprawnie i często, sądząc po wyglądzie. Zbroje stały w pogiętych szeregach wzdłuż ścian. Sporo z nich, jak zauważył, miało duże dziury. Sklepienie tworzył wyblakły gąszcz nadgryzionych przez mole sztandarów. Bez badań kryminologicznych można było się zorientować, że przodkowie lady Ramkin nigdy nie unikali walki.

Zdumiewające, że ona sama była zdolna do czegoś tak mało wojowniczego jak wypicie filiżanki herbaty.

- Moi przodkowie - powiedziała, podążając wzrokiem za jego zahipnotyzowanym spojrzeniem. - Wie pan, przez ostatnie tysiąc lat żaden Ramkin nie umarł we własnym łóżku.

- Tak, psze pani?

- To źródło chwały rodu.

- Oczywiście, psze pani.

- Jednak wielu umarło w cudzych, ma się rozumieć. Filiżanka kapitana zabrzączała o spodeczek.

- Oczywiście, psze pani.

- Zawsze uważałam, że kapitan to taki oszałamiający tytuł. -Obdarzyła go przelotnym, ale promiennym uśmiechem. — Wie pan, pułkownicy i wyżej są zawsze nadęci, majorzy pompatyczni, ale czuje się, że w kapitanie jest coś... coś groźnego. Co takiego chciał mi pan pokazać?

Vimes ścisnął paczkę niczym pas cnoty.

- Zastanawiałem się - zaczął -jak duży może być bagienny... oj...

Urwał. Coś strasznego działo się z niższymi partiami jego ciała. Lady Ramkin dostrzegła, na co patrzy.

- Och, proszę nie zwracać na niego uwagi. Gdyby przeszkadzał, niech mu pan przyłoży poduszką.

Nieduży, podstarzały smok wyczołgał się spod krzesła i ułożył Vimesowi na kolanach swój pomarszczony pysk. Patrzył na niego smutnie wielkimi brązowymi oczami i ślinił się, zalewał mu kolana czymś żrącym, sądząc po wrażeniu. W dodatku cuchnął jak wanna z kwasem.

- To Rosik Mabelline Szponosztých Pierwszy - wyjaśniła Jej Wysokość. — Czempion i ojciec czempionów. Nie ma już w nim ognia, biedaczysko. Lubi, żeby go drapać po brzuchu.

Vimes ukradkowo potrząsał kolanami, żeby przepłoszyć starego smoka. Zwierzę zamrugało żałośnie zaropiałymi oczami i ściągnęło górną wargę, odsłaniając parkan poczerńiałych od sadzy zębów.

- Niech pan go zepchnie, gdyby się naprzykrzał - poradziła uprzejmie lady Ramkin. - O co pan właściwie pytał?

- Chciałbym wiedzieć, jak duże mogą być smoki bagienne. -Vimes spróbował zmienić pozycję. Usłyszał ciche warknięcie.

- I przyszedł pan aż tutaj dla takiego drobiazgu? No cóż... - Lady Ramkin zastanowiła się. - Pamiętam, że Wesolek Szponosztých z Ankh miał czternaście kciuków w kłębie.

-Hm...

-Jakieś trzy stopy i sześć cali - odpowiedziała.

- Żadnych większych? - spytał z nadzieją Vimes. Stary smok zachrapał mu cicho na kolanach.

- Nie, skąd. On sam był właściwie trochę dziwolągiem. Zwykle nie są wyższe niż osiem kciuków.

Kapitan Vimes poruszył wargami, rachując pospiesznie.

- Dwie stopy? - zaryzykował.

- Brawo. To łabędzie, oczywiście. Kwoki są trochę mniejsze. Vimes nie miał zamiaru kapitulować.

- Łabędź to zapewne smok samiec?

- Dopiero kiedy ma dwa lata - wyjaśniła tryumfalnie lady Ramkin. - Do ósmego miesiąca to sąsiad, potem jest kogutem do czternastego miesiąca, potem bandanem...

Kapitan Vimes w rozpuszczających się z wolna bryczesach siedział jak zaczarowany, jedząc okropne ciasto. Zalewał go strumień informacji: jak samce toczą ogniowe walki, ale w porze niesienia jedynie

kwoki[14] zioną ogniem powstałym z zapłonu skomplikowanych gazów jelitowych i niezbędnym do inkubacji jaj, wymagających takich wysokich temperatur. Samce w tym czasie jedynie gromadzą drewno opałowe. Stado smoków bagiennych to „kryzys” albo „kłopot”. Samica co roku może złożyć do trzech lęgów po cztery jaja, z których większość zostaje rozdeptana przez nieuważne samce. Smoki obu płci niespecjalnie się interesują sobą nawzajem, ani właściwie czymkolwiek oprócz opału, z wyjątkiem okresu mniej więcej raz na dwa miesiące, kiedy koncentrują się wyłącznie na jednym, jak piła tarczowa.

Nie zdołał się sprzeciwić, więc został wyprowadzony do klatek na tyłach, ubrany od stóp do głów w skórzaną zbroję z naszywanymi żelaznymi płytami i popędzony do długiej, niskiej szopy, skąd dobiegały gwizdy.

Upał panował tu straszny, ale jeszcze gorszy był zapach. Vimes jak we śnie zataczał się od jednej metalowej zagrody do drugiej, a gruszkokształtne potwory z czerwonymi ślepiami przedstawiano mu jako „Księżycowy Miedziak, księżna Marchpaine, obecnie ciężarna”, albo „Księżycowy Zmierzch Szponosztých II, w zeszłym roku Najlepszy z Lęgu w Pseudopolis”. Strugi bladozielonego ognia sięgały mu kolan.

Do wielu boksów przypięto rozety i certyfikaty.

- A ten, niestety, to Zuch Bindle Puchogłaz z Quirmu - mówiła nie zmęczona lady Ramkin.

Vimes popatrzył sennie nad zwęgloną barierką na małe stworzenie zwinięte w kłębek na podłodze. Było mniej więcej tak podobne do pozostałych, jak Nobby do przeciętnej ludzkiej istoty. Jakaś cecha przodków dała mu parę brwi rozmiaru niemal dorównującego kikutowatym skrzydłom, które w żaden sposób nie mogłyby go utrzymać w powietrzu. Głowę miał dziwaczного kształtu, podobną do łba mrówkojada, a nozdrza jak chwyty powietrza. Gdyby kiedyś zdołał wzlecieć, hamowałyby go niby dwa spadochrony.

W dodatku spoglądał na kapitana wzrokiem, w którym jarzyło się więcej ukrytej inteligencji niż u dowolnego innego zwierzęcia, włączając kaprała Nobbsa.

- Takie rzeczy się zdarzają - westchnęła smutnie lady Ramkin. - Muszą tkwić gdzieś w genach, wie pan.

- Naprawdę? - odparł Vimes.

Zdawało się, że stworzenie całą moc, którą jego krewniacy marnowali na ognie i hałasy, skupia w spojrzeniu podobnym do palnika termicznego. Kapitan przypomniał sobie, jak bardzo w dzieciństwie marzył o własnym zwierzątku. Co prawda głodowali wtedy - cokolwiek porośnięte mięsem się nadawało.

- Hodowca stara się osiągnąć dobry płomień, grubą łuskę, odpowiednią

maść i tak dalej - mówiła lady Ramkin. — Czasem jednak trzeba się pogodzić z całkowitym ogryzkiem.

Mały smok obrzucił Vimesa wzrokiem, jaki bez żadnych wątpliwości zyskałby mu nagrodę dla Smoka, Którego Sędziowie Najchętniej Wzięliby do Domu i Używali jako Zapalniczki.

Ogryzek, rzeczywiście, myślał Vimes. Nie był pewien, w jakim znaczeniu lady Ramkin używa tego słowa, ale mógł się domyślać: coś, co pozostało, kiedy człowiek wyciągnął z posiadanej rzeczy wszystko, co wartościowe. Jak Straż, uznał. Same ogryzki, co do jednego. I on sam. To jak historia jego życia.

- Ma pan efekt działania Natury - podjęła Jej Wysokość. - Oczywiście, nawet nie myślę, żeby go użyć do reprodukcji, ale i tak nic by z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- Ponieważ smoki parzą się w powietrzu, a obawiam się, że on nigdy nie wzięci na tych skrzydłach. Przykro tracić taką piękną linię. Jego ojcem był Gryzodrzew Jasnołuski od Brendy Rodley. Zna pan Brendę?

- No... Właściwie nie.

Lady Ramkin zakładała oczywiście, że każdy zna tych ludzi, którzy są jej znajomymi.

- Uroczą dziewczuszką. Poza tym jego bracia i siostry dorastają całkiem dobrze.

Biedaczysko, pomyślał Vimes. Oto Natura w skrócie: zawsze oszukuje przy rozdawaniu.

Nic dziwnego, że nazywają ją matką...

- Mówił pan, że chce mi coś pokazać - przypomniała lady Ramkin.

Vimes bez słowa wręczył jej paczkę. Zrzuciła ciężkie rękawice i

rozwinęła papier.

- Gipsowy odlew śladu stopy - zauważyła. -1 co?
- Czy czegoś pani nie przypomina?
- Może jakiś ptak brodzący?
- Och... - Vimes był załamany.
- Albo bardzo wielki smok - roześmiała się lady Ramkin. -Wziął pan to z muzeum, prawda?
- Nie, dziś rano odlałem na ulicy.
- Co? Ktoś sobie z pana zażartował, biedaku.
- Hm... To była, hm... ważna poszlaka. Opowiedział. Patrzyła na niego zdumiona.
- *Draco nobilis* - wyszeptała chrapliwie.
- Słucham?
- *Draco nobilis*. Smok szlachetny. W przeciwieństwie do tych tutaj... - Skinęła ręką w stronę rzędów klatek z gwiżdżącymi gadami. - *Draco vulgaris*, co do jednego. Ale wie pan, że wielkie smoki odeszły. To przecież bzdura. Nie da się zaprzeczyć faktom: wszystkie zniknęły. Piękne stworzenia. Ważyły po parę ton. Największe istoty zdolne do lotu. Nikt nie wie, jak to robiły.

I wtedy usłyszeli: nagle zrobiło się bardzo cicho.

Smoki w klatkach umilkły. Błyszczącymi oczami, w skupieniu wpatrywały się w sufit.

Marchewa rozejrzał się wokół. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się półki. A na półkach - książki. Spróbował zgadnąć. - To Biblioteka, prawda? - zapytał. Bibliotekarz wciąż delikatnie, ale stanowczo ścisnął jego dłoń i prowadził labiryntem korytarzy.

- Czy tam leży ciało? - spytał Marchewa.

Musi leżeć. Gorsze niż morderstwo! Trup w bibliotece — to może prowadzić do najgorszego.

Wreszcie mała przystanęła obok półki, z pozoru nie różniącej się od setek innych. Niektóre książki były przykute łańcuchami. Między nimi ziała szczelina. Bibliotekarz wskazał ją palcem.

- Uuk.

- Co to takiego? Dziura w miejscu, gdzie powinna stać książka?

-Uuk.

- Ktoś zabrał książkę. Ktoś zabrał książkę? A ty wezwałeś Straż...

- Marchewa wyprostował się dumnie - ...bo ktoś zabrał książkę. Uważasz, że to gorsze niż morderstwo?

Bibliotekarz obrzucił go spojrzeniem, jakie zwykle rezerwuje się dla ludzi wypowiadających zdania w stylu „A niby co jest takiego złego w ludobójstwie?”.

- To właściwie wykroczenie karalne: marnowanie czasu Straży

- oświadczył Marchewa. - Dlaczego nie zawiadomisz po prostu ważnych magów, czy kogo tam trzeba?

- Uuk. - Bibliotekarz kilkoma zdumiewająco oszczędnymi gestami pokazał, że większość magów nie potrafiłaby oburącz odnaleźć własnych siedzeń.

- Nie wiem, co możemy na to poradzić - mruknął Marchewa.

- Jaka to była książka?

Bibliotekarz poskrobał się po głowie. To będzie trudne... Stanął przed Marchewą, złożył razem swoje podobne do skórkowych rękawiczek dłonie i rozłożył je.

- Wiem, że to książka. Ale jaki miała tytuł? Bibliotekarz westchnął i podniósł dwa palce.

- Dwa słowa? - domyślił się Marchewa. — Pierwsze słowo. Aha, pierwsza sylaba. Pokazać? Nie, obok. Obok... przy... nie...

-Uuk!

- Przy. Otwierasz usta. Jesz?

Orangutan jęknął i w rozpaczy szarpnął swoje owłosione ucho.

- Aha, mówisz. Wołasz... blisko. Wołanie? Przywołanie? Prawie, prawie... Przywoływanie? Przywoływanie czegoś? Niezła zabawa. Drugie słowo. Całe...

Patrzył w skupieniu na tajemnicze gesty bibliotekarza.

- Coś wielkiego. Coś strasznie wielkiego. Macha skrzydłami. Coś strasznie wielkiego, macha skrzydłami i skacze. Ma zęby. Dyszy. Dmucha. Coś strasznie wielkiego, dmuchającego i machającego skrzydłami. — Od wysiłku umysłowego czoło Marchewy zrosił pot. - Ssie palce. Coś ssącego palce.. Poparzone? Gorąco! Coś strasznie wielkiego, dmuchającego gorącem i machającego skrzydłami...

Bibliotekarz przewrócił oczami. Homo sapiens? Akurat...

Wielki smok tańczył, wirował i mknął w powietrzu nad miastem. Miał barwę księżyca odbijającego się w łuskach. Czasami skręcał i ze złudną

prędkością szybował nad dachami z czystej radości istnienia.

Coś tu się nie zgadza, myślał Vimes. Jakaś część jego istoty zachwycała się cudownym widokiem, ale nieustępliwa, chytra grupa szarych komórek żyjących po gorszej stronie synaps, wypisywała swoje graffiti na ścianach podziwu.

To piekielnie wielki smok, szydziły. Waży parę ton. Nic tak wielkiego nie może latać, nawet na tych pięknych skrzydłach. A po co takiemu latającemu gadowi te strasznie duże łuski na grzbiecie?

Pięćset stóp nad kapitanem klinga białoniebieskiego płomienia rozcięła z rykiem ciemne niebo.

On nie może robić takich rzeczy! Poparzy sobie własną paszczę!

Lady Ramkin stała obok z szeroko otwartymi ustami. Z tyłu piszczały i wyły małe smoki.

Ogromna bestia skręciła w locie i spłynęła nad dachy. Ogień wystrzelił znowu. Niżej pojawiły się żółte płomienie. Stało się to tak płynnie i stylowo, że dopiero po kilku sekundach Vimes uświadomił sobie, że tak naprawdę wybuchł pożar kilku budynków.

- Ojej! - westchnęła lady Ramkin. - Widzi pan? Wykorzystuje prądy termiczne! Po to mu ogień! - Spojrzała na Vimesa beznadziejnie zachwyconymi oczyma. - Czy pojmuję pan, że prawdopodobnie oglądamy coś, czego nikt nie widział od stuleci?

- Tak! Piekielnego latającego aligatora, który podpala mi miasto! - wrzasnął Vimes. Nie słuchała.

- Gdzieś w pobliżu musi być ich lęgowisko - stwierdziła. - Po tylu latach! Jak pan myśli, skąd on pochodzi?

Vimes nie wiedział. Ale poprzysiągł sobie, że dowie się i wtedy zada bestii kilka bardzo kłopotliwych pytań.

- Jedno jajo - wyszeptała hodowczyni. - Gdybym dostała w ręce jedno

jajo...

Vimes przyłapał się jej szczerze zdumiony. Przyszło mu do głowy, że jego charakter ma pewnie jakąś skazę.

W dole stanął w płomieniach kolejny dom.

- Jak daleko - zapytał powoli i wyraźnie, jakby zwracał się do dziecka - latały te potwory?

- To zwierzęta terytorialne - zastanowiła się Jej Wysokość. - Według legend...

Vimes zrozumiał, że czeka go kolejna porcja smoczych mądrości.

- Potrzebuję faktów, droga pani - przerwał niecierpliwie.

- Właściwie niedaleko - odparła, nieco zaskoczona.

- Dziękuję serdecznie, bardzo nam pani pomogła - wybełkotał Vimes i ruszył biegiem.

Gdzieś w mieście. Całe mile poza jego granicami nie było niczego oprócz pól i bagien. Potwór musi mieszkać gdzieś w mieście.

Sandały stukały o bruk, gdy kapitan pędził ulicami. Gdzieś w mieście! To przecież śmieszne! Śmieszne i niemożliwe.

Nie zasługiwał na to. Ze wszystkich miast na całym świecie, do których mógł lecieć, myślał, musiał trafić akurat do swojego...

Smok zniknął, zanim Vimes dobiegł do Ankh. Ale mgiełka dymu wciąż unosiła się nad ulicami, a kilka łańcuchów ludzi podawało wiadrami bryły rzeki do płonących domów[15]. Pracę tę mocno utrudniały im strumienie ludzi wylewających się z ulic i dźwigających ze sobą dobytek.

Większa część miasta zbudowana była z drewna i słomy, a oni nie zamierzali ryzykować.

Tymczasem zagrożenie było niewielkie. Dziwnie niewielkie, jeśli się nad tym zastanowić.

Vimes zaczął potajemnie nosić przy sobie notes. Zapisał więc szkody, jakby sam akt spisania wszystkiego czynił świat miejscem bardziej zrozumiałym.

Jeden: Wozownia (należąca do spokojnego człowieka interesu, który widział, jak jego nowy powóz staje w ogniu).

Dwa: Nieduży sklep warzywny (z wyjątkową precyzją).

Vimes zastanowił się chwilę. Sam kiedyś kupił tu jabłka. Nie miał pojęcia, co takiego w sklepiu mogło smoka rozdrażnić.

Mimo to smok okazał rozsądek, dumał Vimes, zdążając do Strażnicy. Wystarczy sobie przypomnieć te wszystkie składy drewna, stodoły pełne siana, kryte strzechą dachy i magazyny oleju, jakie mógłby przypadkiem trafić... A tak zdołał wszystkich poważnie wystraszyć, nie wyrządzając większych szkód.

Kiedy Vimes pchnął drzwi, promienie porannego słońca przebijały już obłoki dymu. To był jego dom. Nie ten pusty pokój nad warsztatem wytwórcy świec przy Wixona, gdzie sypiał, ale ten brzydki gabinet z brązowymi ścianami, pachnący nie czyszczonymi kominami, fajką sierżanta Golona, tajemniczym osobistym problemem Nobby'ego i - ostatnio - pastą do polerowania zbroi Marchewy. Prawie dom...

Nikogo nie zastał. I nie był tym zdziwiony. Poszedł do gabinetu, usiadł w fotelu, którego poduszki nawet chory pies wyrzuciłby z niesmakiem z legowiska, nasunął hełm na oczy i spróbował się zastanowić.

Nie ma pośpiechu. Smok zniknął wśród dymu i zamieszania, równie nagle, jak się pojawił. Niedługo przyjdzie pora na pośpiech. Najważniejsze to ustalić, dokąd się spieszyć...

Miał rację. Ptak brodzący! Ale gdzie zacząć poszukiwania smoka w mieście liczącym milion mieszkańców?

Był świadom, że prawa ręka, wykonująca tajne rozkazy tyłomózgowia, całkowicie nieproszona otworzyła dolną szufladę, a trzy palce chwyciły butelkę. Była to jedna z tych butelek, które same się opróżniają. Rozsądek podpowiadał Vimesowi, że przynajmniej czasami musi jakąś zaczynać, zdzierać lak, widzieć bursztynowy płyn lśniący aż po szyjkę. Tyle że nie mógł sobie tego przypomnieć. Całkiem jakby butelki dostarczano mu już w dwóch trzecich puste.

Zerknął na naklejkę. To chyba Smocza Krew, Stara Wyborna Whiskey Jimkina Bearhuggera. Tania i mocna; można nią rozpalać ogień, można czyścić sztucce. Nie trzeba pić dużo, żeby się upić. I bardzo dobrze.

To Nobby obudził go wiadomościami, że smok pojawił się w mieście, a sierżant Colon doznał paskudnego ataku. Vimes siedział i mrugał jak sowa; ani słowo do niego nie docierało. To oczywiste: fakt, że ziejący ogniem jaszczur skupia spojrzenie na czyichś dolnych partiach ciała, i to z odległości kilku stóp, może wzburzyć każdego. Takie przeżycie pozostawi zapewne trwałe ślad w osobowości.

Wciąż przetrawiał te wieści, kiedy zjawił się Marchewa z kołyszącym się za nim bibliotekarzem.

- Widzieliście? Wiedzieliście? - pytał.

- Wszyscy widzieli - odparł Vimes.

- Wiem o nim wszystko - oznajmił tryumfalnie Marchewa. - Sprowadzono go tutaj za pomocą magii. Ktoś ukradł książkę z Biblioteki i zgadnijcie, jaki miała tytuł?

- Nie domyślałam się nawet.

- Nazywała się *Przywoływanie smoków!*

- Uuk - potwierdził bibliotekarz.

- Tak? A o czym była? - spytał Vimes. Bibliotekarz przewrócił oczyma.

- O przywoływaniu smoków! Magicznie!

- Uuk.

- A to przecież nielegalne! - dokończył z zachwytem Marchewa. - Wypuszczanie Dzikich Zwierząt na Ulice, wbrew ustawie o Dzikich Zwierzętach (Dekreto...)

Vimes jęknął. To oznaczało magów. A z magami są same kłopoty.

- Przypuszczam - rzekł - że nie znajdzie się w okolicy drugi egzemplarz tej książki?

- Uuk. - Bibliotekarz pokręcił głową.

- A nie wiesz przypadkiem, co w niej było? Co? Trzy słowa. - Westchnął ciężko. - Brzmi jak... rak? Hak? Jak? Jak. Drugie... pierwsza sylaba. Obok? Przy? Przy... Rozumiem, ale chodzi mi o szczegóły. Nie? Jasne.

- Co teraz zrobimy, sir? - spytał niecierpliwie Marchewa.

- On gdzieś tam jest! - zawołał Nobby. - Przypadł do ziemi i pewnie za dnia będzie się chował. Zwinął się w swym tajemnym legowisku, na szczycie góry skarbów, śni pradawne gadzie sny z zarania dziejów i czeka na kryjące zasłony nocy, by znowu wyruszyć... -Zająknął się, urwał, po czym dodał ponuro: - No czego się na mnie tak gapicie?

- Bardzo poetyckie — ocenił Marchewa.

- Przecież wszyscy wiedzą, że prawdziwe dawne smoki sypiały na stosach złota - zapewnił Nobby. - Dobrze znany mit.

Vimes posępnie spoglądał w najbliższą przyszłość. Choć Nobby był dość obrzydliwy, dawał też dobre pojęcie, co się dzieje w urnysłach przeciętnych obywateli. Mógłby posłużyć za szczura laboratoryjnego i umożliwić prognozy, co się stanie wkrótce.

- Przypuszczam, że chętnie byście sprawdzili, gdzie jest ten stos złota* prawda? — rzucił na próbę kapitan.

Nobby zrobił minę jeszcze bardziej przebiegłą niż zwykle.

- Myślałem, że się trochę porozglądam, kapitanie. No, wie pan. Oczywiście, dopiero po służbie - dodał bohatersko.

- Coś podobnego - mruknął Vimes.

Podniósł pustą butelkę i bardzo ostrożnie odłożył ją do szuflady.

Świetliste Bractwo ogarnął niepokój. Strach niby iskra przeskakiwał od jednego brata do drugiego. Był to lęk kogoś, kto po udanych eksperymentach z sypaniem prochu i stemplowaniem kuli odkrył nagle, że pociągnięcie za spust prowadzi do potwornego huku, a wkrótce ktoś na pewno się zjawi i zapyta, co to za hałasy.

Najwyższy Wielki Mistrz wiedział jednak, że są jego. Owieczki i barany, myślał. Owieczki i barany. Ponieważ nie zrobią już nic gorszego niż do tej pory, równie dobrze mogą przeć naprzód i niech лихо porwie cały świat. A przy tym będą udawać, że tak właśnie chcieli od samego początku. O, rozkoszy władzy... Tylko brat Tynkarz był szczerze zadowolony.

- Niech to będzie lekcją dla wszystkich sprzedawców jarzyn, którzy uciskają ludzi - powtarzał.

- Niby tak - zgodził się brat Odźwierny. - Ale... To tylko pytanie, oczywiście... Czy nie jest możliwe, że tak jakby przypadkiem sprowadzimy smoka tutaj? Nie jest?

-Ja... to znaczy my... panujemy nad nim całkowicie - zapewnił go natychmiast Najwyższy Wielki Mistrz. - Nasza jest władza, mogę wam zagwarantować.

Bracia uspokoili się nieco.

- A teraz - podjął Najwyższy Wielki Mistrz - pozostaje sprawa króla.

Bracia zrobili poważne miny - z wyjątkiem brata Tynkarza.

- Więc go znaleźliście? — zapytał. — To prawdziwie szczęśliwy traf.

- Nigdy nie słuchasz - burknął na niego brat Strażnica. - To było tłumaczone w zeszłym tygodniu: nie biegamy i nie szukamy nikogo, ale stwarzamy króla.

- Myślałem, że on ma się pojawić. Z powodu przeznaczenia. Brat Strażnica zachichotał.

- Trochę pomożemy temu przeznaczeniu.

Najwyższy Wielki Mistrz uśmiechnął się w głębi swego kaptura. Zadziwiający jest ten mistyczny interes. Mówi się im kłamstwo, a kiedy nie jest już potrzebne, mówi się inne i tłumaczy, że podążają drogą wiodącą ku mądrości. Oni tymczasem, zamiast człowieka wyśmiać, słuchają go jeszcze pilniej, z nadzieją, że wśród tych kłamstw znajdą prawdę. I tak po kawałku akceptują nieakceptowalne. Niezwykłe...

- Sprytne, niech mnie lichy - przyznał brat Odźwierny. - A jak to zrobimy?

- Przecież Najwyższy Wielki Mistrz tłumaczył. Znajdujemy jakiegoś przystojnego młodzika, który potrafi słuchać poleceń, on zabija smoka i Bob jest twoim wujem. Proste. O wiele bardziej inteligentne, niż czekanie na tak zwanego prawdziwego króla.

- Ale... - Wysilek umysłowy wyraźnie pochłaniał brata Tynkarza całkowicie. - Przecież jeśli to my panujemy nad smokiem, a przecież

panujemy, tak? To po co ktoś ma go zabijać? Wystarczy, że przestaniemy go przywoływać i wszyscy będą zadowoleni.

- No tak - mruknął złośliwie brat Strażnica. - Już to widzę. Wychodzimy na rynek i wołamy: „Hej, nie będziemy już podpalać wam domów. Prawda, jacy jesteście mili?”. Tak to sobie wyobrażasz? Cała rzecz z tym królem, to że będzie on, tak jakby...

- Niezaprzeczalnie przekonującym i romantycznym symbolem absolutnego autorytetu - dokończył gładko Najwyższy Wielki Mistrz.

- No właśnie - zgodził się brat Strażnica. - Przekonujący autorytet.

- Teraz rozumiem! - zawołał brat Tynkarz. - Zgadza się. Jasne. Taki właśnie ma być król.

- Otóż to.

- Nikt nie będzie się spierał z przekonującym autorytetem, prawda?

- Oczywiście - potwierdził brat Strażnica.

- W takim razie to prawdziwe szczęście, że akurat teraz go znaleźliśmy, tego prawdziwego króla. Szansa, prawdę mówiąc, jedna na milion.

- Nie znaleźliśmy prawdziwego króla - wtrącił ze znużeniem Najwyższy Wielki Mistrz. — Nie potrzebujemy prawdziwego króla. Tłumaczę po raz ostatni! Znalazłem dla nas odpowiedniego chłop ca, który dobrze wygląda w koronie, umie słuchać poleceń i potrafi machać mieczem. A teraz posłuchajcie...

Machanie było ważne, ma się rozumieć. Nie miało też wiele wspólnego z używaniem. Używanie miecza, zdaniem Najwyższego Wielkiego Mistrza, było tylko nieelegancką chirurgią dynastyczną. Kwestią pchnięcia i cięcia. Król jednak musiał mieczem machać. Miecz powinien odbijać światło we właściwy sposób, nie pozostawiając w widzach ani krzty wątpliwości, że patrzą na wybrańca Przeznaczenia. Wiele czasu poświęcił na przygotowanie miecza i tarczy. Poniósł spore koszty. Tarcza błyszczała jak dolar w uchu

kominiarza, ale miecz... Miecz był wspaniały.

Był długi i lśniący. Wyglądał jak coś stworzonego przez któregoś z geniuszy metalurgii -jednego z tych małych facetów z Zeń, którzy pracują tylko o brzasku i potrafią skuć dwie płytki złożonej stali w coś, co ma ostrze skalpela i siłę uderzenia opętanego seksem nosorożca na prochach — a potem wycofują się z płaczem, ponieważ już nigdy, nigdy nie zdołają wykuć nic równie wspaniałego. W rękojeści tkwiło tyle klejnotów, że trzeba było owijać ją aksamitem i patrzeć na nią przez okopcone szkło. Samo ujęcie jej w dłoń praktycznie nadawało królewską godność.

Co do chłopca... Był dalekim kuzynem, bystrym i próżnym, i głupim w tym w miarę znośnym arystokratycznym stylu. W tej chwili przebywał pod strażą na dalekiej farmie, w towarzystwie odpowiedniego zapasu butelek i kilku młodych dam. Chociaż najbardziej interesowały go lustra. Prawdopodobnie materiał na bohatera, uznał z niechęcią Najwyższy Wielki Mistrz.

- Mam nadzieję - rzekł brat Strażnica - że nie jest prawdziwym odstępca tronu.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Najwyższy Wielki Mistrz.

- No wiecie... Los czasem płata figle. Cha, cha! Zabawnie by było, gdyby chłopak okazał się prawdziwym królem. Tyle kłopotu...

- Nie ma już prawdziwego króla! - warknął Najwyższy Wielki Mistrz. - Czego się spodziewacie? Że jacyś ludzie przez setki lat włóczą się po pustkowiach i przekazują sobie miecz i знамя? Takie czary? - Splunął, wymawiając to słowo. Wykorzystywał magię jako środek

wiodący do celu, wszak cel uświęca środki i w ogóle, ale żeby od razu w nią wierzyć, wierzyć, że ma jakąś siłę moralną, niby logika... Krzywił się na samą myśl o czymś takim. - Człowieku, do licha, myślę logicznie. Bądź racjonalny. Nawet gdyby przeżył ktoś z dawnej rodziny królewskiej, to jego krew rozrzedziła się tak, że tysiące ludzi mogłyby zażądać tronu. Choćby... - Spróbował wymyślić najmniej prawdopodobnego następcę. - Choćby i brat Szambownik. - Rozejrzał się czujnie. — A właściwie czemu dzisiaj nie

przyszedeł?

- Zabawna historia - odparł zakłopotany brat Strażnica. - Nie słyszeliście?

- O czym?

- Kiedy wczoraj wracał do domu, ugryzł go krokodyl. Biedaczysko.

- Co?

- Szansa jedna na milion. Uciekł z menażerii czy coś takiego, i schował się na podwórzu. Brat Szambownik sięgnął pod wycieraczkę po klucz, a bestia złapała go przy funach[16].

Brat Strażnica pogmerał pod szatą i wyjął przybrudzoną brązową kopertę.

- Robimy składkę, żeby kupić mu jakieś owoce i różne takie. Nie wiem, czy też chcecie, tego...

- *Zapisz* ode mnie trzy dolary - odparł Najwyższy Wielki Mistrz.

- To zabawne. - Brat Strażnica pokiwał głową. -Już to zrobiłem.

Jeszcze tylko parę dni, myślał Najwyższy Wielki Mistrz. Jutro ludzie będą tak zdesperowani, że ukoronują nawet jednonogiego trolla, *byle tylko* pozbył się smoka. Będziemy więc mieli króla, a król będzie miał doradcę, oczywiście człowieka zaufanego. Te męty mogą sobie wracać do rynsztoka. Koniec z przebieraniem, koniec z rytuałami.

Koniec z przywoływaniem.

Mogę to rzucić, pomyślał. Mogę przestać, kiedy tylko zechcę.

Ludzie tłoczyli się na ulicach przed pałacem Patrycjusza. Panowała szaleńcza atmosfera karnawału. Vimes wprawnym okiem ocenił zebrany tłum - typowy dla chwil kryzysu w Ankh-Morpork. Połowa przyszła tu, żeby narzekać, ćwiartka, żeby obserwować drugą połowę, a pozostali, żeby kraść, żebrać albo sprzedawać hot dogi. Dostrzegł jednak kilka nowych twarzy. Przez tłum przeciskali się posępni mężczyźni z wielkimi mieczami na plecach i biczami u pasów.

- Wieści szybko się rozchodzą, trzeba przyznać - zauważył znajomy głos przy jego uchu. - Dzień dobry, kapitanie.

Vimes spojrzał na uśmiechniętą szeroko, bladą twarz Gardło Sobie Podrzynam Dibblera, handlarza absolutnie wszystkim, co można szybko sprzedać z otwartej walizki na ruchliwej ulicy i co -jak gwarantował — spadło z wozu drabiniastego.

- Witaj, Gardło - odpowiedział z roztargnieniem. - Czym dzisiaj handlujesz?

- Towar najwyższej jakości. - Gardło przysunął się bliżej. W jego ustach nawet „dzień dobry” brzmiało jak, jedyna wyjątkowa okazja, jaka się nigdy nie trafi”. Oczy poruszały się w oczodołach tam i z powrotem, niczym dwa szczury szukające wyjścia. — Absolutnie niezbędny - szepnął. - To maść antysmocza. Osobista gwarancja: jeśli pan spłonie, zwracamy pieniądze. Natychmiast.

- Chcesz powiedzieć - upewnił się spokojnie Vimes - o ile dobrze zrozumiałem, że jeśli smok upiecze mnie żywcem, oddasz pieniądze?

- Po osobistym zgłoszeniu — zapewnił Gardło Sobie Podrzynam. Odkręcił pokrywkę słoiczka z jadowicie zieloną maścią i podsunął ją Vimesowi pod nos. - Zrobiona z ponad pięćdziesięciu rzadkich ziół i przypraw, według receptury znanej wyłącznie starożytnym mnichom, żyjącym na jakiejś górze daleko stąd. Po dolarze za słoik i gardło sobie podrzynam taką ceną. To właściwie nie handel, tylko służba publiczna - dodał z godnością.

- Trzeba przyznać tym starożytnym mnichom, że szybko warzą tę maść

- zauważył.

- Chytre łobuzy - zgodził się Gardło Sobie Podrzynam. - To pewnie przez te medytacje i jogurt z mleka jaków.

- Co się tu dzieje, Gardło? - zapytał Vimes. - Kim są ci ludzie z mieczami?

- Łowcy smoków, kapitanie. Patrycjusz wyznaczył nagrodę pięćdziesięciu tysięcy dolarów dla tego, kto przyniesie mu głowę smoka. I to nie przyczepioną do reszty; taki głupi to on nie jest.

- Co?

- Tak mówił. Wszystko jest wypisane na afiszach.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

- To nie chleb z masłem, co?

- Raczej smocze mięso - uznał Vimes. Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeszcze przypomną sobie jego słowa. - Dziwię się, że nie chwytasz za miecz i nie dołączasz do nich.

- Pracuję raczej w sektorze usług, można powiedzieć, kapitanie. - Dibbler rozejrzał się dyskretnie i wręczył Vimesowi zwitek pergaminu.

Było tam napisane:

Lustrzane tarcze antysmocze 500 A\$

Przenośne wykrywacze legowisk 250 A\$

Strzały przebijające łuskę 100 A\$/szt.

Łopaty 5 A\$

Kilofy 5 A\$

Worki 1 A\$

Vimes przeczytał i zwrócił pergamin.

- Po co worki? - zapytał.

- Na skarb - wyjaśnił handlarz.

- A tak - mruknął smętnie kapitan. - Rzeczywiście.

- Coś panu powiem — rzekł Gardło. — Coś ważnego. Dla naszych chłopców w brązie udzielam dziesięcioprocentowej zniżki.

- I gardło sobie przy tym podrzynasz, co, Gardło?

- Piętnaście procent dla oficerów - nalegał Gardło, kiedy Vimes odchodził.

Przyczyna lekkiej paniki w jego głosie wkrótce się wyjaśniła: miał wielu konkurentów.

Mieszkańcy Ankh-Morpork nie byli z natury heroiczni, ale byli—z natury — kupcami. Na przestrzeni kilku stóp Vimes mógłby nabyć dowolną ilość magicznej broni z *Oryginalnym certyfikatem autyntyczności do każdej sztuki*, płaszcz niewidzialności — niezły pomysł, uznał, szczerze podziwiając technikę sprzedawcy, wykorzystującego zwierciadło bez szkła - oraz, dla mniej poważnych, smocze herbatniki, balony i wiatraczki na patykach. Dobrym towarem były też miedziane bransoletki, gwarantujące ulgę od smoków.

Miał wrażenie, że na straganach leży tyleż worków i łopat, co i mieczy.

Złoto - magiczne słowo. Skarb!

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Oficer Straży zarabiał trzydzieści

dolarów miesięcznie i musiał sam płacić za wyklepywanie zbroi...

Czegóż nie mógłby osiągnąć z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów...

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym wrócił myślami do tematu, co mógłby osiągnąć z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Było tego o wiele więcej.

Niemal wpadł na grupę mężczyzn stojących przed przybitym do muru afiszem. Obwieszczał on, że istotnie, głowa smoka przepełniającego grozą całe miasto warta będzie pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla mężnego bohatera, który dostarczy ją do pałacu.

Jeden z grupy - główny heros, sądząc po wzroście, uzbrojeniu i sposobie, w jaki wolno śledził palcem litery - czytał treść pozostałym.

- .. .d-d-o pa-ła-cu — zakończył.

- Pięćdziesiąt tysięcy - mruknął jeden z pozostałych, w zadumie skrobiąc się po brodzie.

- Tania robota - stwierdził intelektualista. - Poniżej stawki. Powinna być połowa królestwa i ręka jego córki.

- Tak, ale on nie jest królem. To Patrycjusz.

- No to połowa jego Patrymonium czy czego tam. Jak wygląda jego córka?

Zebrani łowcy nie mieli pojęcia.

- Nie jest żonaty - wtrącił się Vimes. -1 nie ma córki. Zmierzyli go wzrokiem. Widział pogardę w ich oczach. Pewnie codziennie spotykali dziesiątki takich jak on.

- Nie ma córki? — powtórzył któryś z niedowierzaniem. — Chce, żeby ludzie zabili mu smoka, i nawet nie ma córki?

Vimes poczuł, że powinien jakoś wesprzeć władcę miasta.

- Ma małego pieska, którego bardzo lubi - wyjaśnił.

- To obrzydliwe, tak sobie nie mieć córki - stwierdził łowca. - A co to jest dzisiaj pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Człowiek więcej wydaje na sieci.

- Zgadza się - poparł go inny. - Ludziom się wydaje, że to cała fortuna, ale nie pamiętają, że w tym fachu nie ma emerytury, dochodzą koszty leczenia, trzeba kupować i konserwować sprzęt...

- Dochodzi zużycie dziewic... - pokiwał głową niski, gruby łowca.

- Właśnie, a jeszcze... Co?

- Specjalizuję się w jednorożcach - niski łowca uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Aha... - Pierwszy łowca sprawiał wrażenie, jakby od dawna chciał zadać to pytanie. — Zdawało mi się, że ostatnio dość trudno je spotkać?

- Racja. I jednorożców też jest coraz mniej - zgodził się łowca jednorożców.

Wyglądało na to, że przez całe życie był to jego jedyny żart.

- No tak. Czasy są ciężkie - oznajmił stanowczo pierwszy łowca.

- I potwory się robią coraz bardziej bezczelne - dodał inny. - Słyszałem o takim jednym, co zabił potwora w jeziorze. Robota bezproblemowa. Przybił jego łapę nad bramą...

- *Pour encourjays lays ortras* - zauważył ktoś ze słuchaczy.

- Właśnie. I wiecie co? Mama potwora przyszła się poskarżyć. Jego prawdziwa mama przywlokła się następnego dnia ze skargą! Poskarżyła się! Takiego człowiek się doczeka szacunku.

- Samice zawsze są najgorsze - oświadczył ponuro kolejny łowca. - Znałem kiedyś taką zezowatą gorgone... Prawdziwa zgroza. Ciągłe zamieniała sobie nos w kamień.

- Ale to my zawsze narażamy tyłki - uznał intelektualista. — Znaczy, chciałbym dostać po dolarze za każdego konia, którego wyżarły mi spod siodła.

- Właśnie. Pięćdziesiąt tysięcy? Może je sobie wsadzić.

-No.

- Zgadza się. Skąpiec.

- Chodźmy się napić.

- Otóż to.

Zgodnie pokiwali głowami i odeszli w stronę Załatanego Bębna. Pozostał tylko intelektualista, który nieco zakłopotany zwrócił się do Vimesa.

-Jaki to pies? - zapytał.

- Co? - nie zrozumiał Vimes.

- Pytałem, jaki to pies.

- Taki mały terier szorstkowłosey, o ile dobrze pamiętam. Łowca zastanawiał się przez chwilę.

- Nie - stwierdził w końcu i ruszył za kolegami.

- Wydaje mi się, że ma jeszcze ciotkę w Pseudopolis! - krzyknął za nim Vimes.

Nie doczekał się odpowiedzi. Wzruszył ramionami i przeciskając się przez tłum, podążył do pałacu Patrycjusza...

.. .gdzie Patrycjusz przy obiedzie przeżywał właśnie ciężkie chwile.

- Panowie! - warknął. - Doprawdy nie wiem, co jeszcze można by zrobić!

Zebrani radcy mruczeli coś między sobą.

- W takich chwilach tradycja nakazuje, aby pojawił się bohater

- oświadczył prezes Gildii Skrytobójców, - Zabójca smoków. Gdzie on jest? Tego chciałbym się dowiedzieć. Dlaczego nasze szkoły nie przekazują młodzieży umiejętności, jakich potrzebuje społeczeństwo?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów to niezbyt duża suma - dodał przewodniczący Gildii Złodziei.

- Może dla pana to niewiele, drogi panie, ale to wszystko, na co miasto może sobie pozwolić - odparł stanowczo Patrycjusz.

- Jeśli nie pozwoli sobie na więcej, to sądzę, że niedługo przestanie być miastem — stwierdził złodziej.

- A co z handlem? - spytał przedstawiciel Gildii Kupców. - Ludzie nie przyplyną tu z ładunkami rzadkich potraw tylko po to, żeby spłonęły. Prawda?

- Panowie! Panowie! - Patrycjusz uniósł ręce. - Wydaje mi się

- podjął, wykorzystując krótką chwilę ciszy - że mamy tu do czynienia z fenomenem ściśle magicznym. Chciałbym w tej kwestii poznać opinię naszego uczonego przyjaciela. Hm?

Ktoś szturchnął drzemiącego nadrektora Niewidocznego Uniwersytetu.

- Ehm... Co? - spytał zaskoczony mag.

- Zastanawialiśmy się - powiedział głośno Patrycjusz - co zamierzacie zrobić z tym swoim smokiem.

Nadrektor był może stary, ale przetrwał wiele lat w świecie konkurencyjnej magii i splątanej polityki Niewidocznego Uniwersytetu, a to

oznaczało, że dobywał argumentów w ułamku sekundy. Nad-

rektor niedługo pozostałby na stanowisku, gdyby puszczał mimo uszu tego rodzaju prostoduszne uwagi.

- Z naszym smokiem? - zapytał.

- Powszechnie wiadomo, że smoki wymarły - stwierdził szorstko Patrycjusz. - Poza tym ich naturalnym środowiskiem są tereny rolnicze. Wydaje się zatem, że ten smok musi być magicz...

- Z całym szacunkiem, lordzie Vetinari - przerwał nadrektor. - Wprawdzie często twierdzono, że smoki wymarły, jednakże ostatnie wydarzenia, ośmielę się twierdzić, rzucają cień zwątpienia na tę teorię. Co do naturalnego środowiska... Mamy tu do czynienia ze zwykłą zmianą wzorców behawioralnych spowodowaną rozprzestrzenieniem terenów miejskich, co wiele leśnych czy polnych zwierząt zmusiło do adaptacji, nie, do entuzjastycznego przyjęcia bardziej miejskiego trybu życia. Wiele z nich rozkwita wręcz dzięki nowym możliwościom. Na przykład lisy stale przewracają mi pojemniki na śmieci.

Rozpromienił się. Zdołał wygłosić całą tę przemowę, ani razu nie angażując mózgu.

- Chce pan powiedzieć - odezwał się skrytobójca - że mamy tu do czynienia z pierwszym smokiem miejskim?

- Przykład działania ewolucji. - Mag z zadowoleniem pokiwał głową. - Powinien dobrze sobie radzić - dodał. - Wiele dobrych miejsc na gniazda i więcej niż wystarczające rezerwy pożywienia.

Odpowiedziało mu milczenie. Przerwał je kupiec.

- A co właściwie one jedzą? Złodziej wzruszył ramionami.

- Pamiętam chyba opowieści o dziewicach przykutych do skał...

- W takim razie zdechnie tu z głodu - stwierdził skrytobójca. - Straszna na nie posucha.

- Smoki szukają żeru w okolicy - zauważył złodziej. - Nie wiem, czy to dla nas lepiej.

- W każdym razie - dodał przedstawiciel kupców - to chyba znowu pański kłopot, lordzie Vetinari.

Pięć minut później nadąsany Patrycjusz spacerował tam i z powrotem po Podłużnym Gabinetcie.

- Pokpiwali sobie ze mnie - oświadczył gniewnie. - Zauważyłem.

- Czy zasugerował pan powołanie grupy roboczej? - spytał Wonse.

- Oczywiście! Ale tym razem nic z tego nie wyszło. Wiesz, naprawdę mam ochotę podnieść wysokość nagrody.

- To chyba nie przyniesie skutku, sir. Każdy porządny zabójca potworów zna stawki za takie zlecenia.

- Ha! Połowa królestwa - mruknął Patrycjusz.

- I ręka twojej córki, sir - dodał Wonse.

- Ciotka nie wystarczy? - spytał z nadzieją władca.

- Tradycja wymaga córki, sir. Patrycjusz smętnie pokiwał głową.

- Może uda się go przekupić - powiedział głośno. - Czy smoki są inteligentne?

- O ile pamiętam, zwyczajowo używa się określenia „chytre”, sir. Jak rozumiem, lubią złoto.

- Naprawdę? A na co je wydają?

- Śpią na nim, sir.

- Znaczy jak? W materacu?

- Nie, sir. Na złocie. Patrycjusz przemyślał tę sprawę.
- Czy nie uwiera ich we śnie? - zapytał.
- Istotnie, sir. Tak przypuszczam. Ale nie wierzę, żeby ktoś o to pytał.
- Hmm... A potrafią mówić?
- Podobno bardzo dobrze sobie z tym radzą.
- Aha. Ciekawe.

Patrycjusz myślał: jeśli smok umie mówić, to można z nim negocjować. A jeśli można negocjować, to złapię go za... za łuski czy co one tam mają.

- Wieść głosi, że mają srebrne języki — dodał Wonse. Patrycjusz usiadł w fotelu.

- Tylko srebrne? — zdziwił się.

Z korytarza dobiegły jakieś głosy i po chwili strażnicy wpuścili Vimesa.

- A, jest kapitan - rzekł Patrycjusz. - Jak tam postępy?
- Słucham, sir? - nie zrozumiał Vimes. Deszcz kapał mu z płaszcza.
- W sprawie zatrzymania smoka - wyjaśnił Patrycjusz.
- Ptaka brodzącego?
- Dobrze pan wie, o czym mówię.

- Dochodzenie trwa - odparł odruchowo Vimes. Patrycjusz parsknął niechętnie.

- Musicie tylko odszukać jego legowisko - stwierdził. - Kiedy znajdziecie legowisko, znajdziecie smoka. To oczywiste. Pół miasta już go

chyba szuka.

-Jeśli istnieje legowisko - rzeki Vimes. Wonse podniósł głowę.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Rozpatrujemy kilka możliwości.

-Jeśli nie ma legowiska, to gdzie siedzi za dnia? - wtrącił Patrycjusz.

- Prowadzimy czynności dochodzeniowe.

- Zatem prowadźcie je pospiesznie. I odszukajcie legowisko.

- Tak jest, sir. Czy mogę odejść, sir?

- Oczywiście. Ale oczekuję postępów jeszcze dziś wieczorem. Zrozumiano?

Właściwie dlaczego wątpię w istnienie legowiska? - zastanawiał się Vimes, wychodząc na zatłoczony plac. Bo ten smok nie wyglądał na rzeczywistego, ot co. A jeśli nie jest rzeczywisty, to nie musi się zachowywać zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Jak mógł wyjść z zaułka, do którego nie wchodził?

Kiedy wykluczy się niemożliwe, to, co pozostanie, choćby całkiem nieprawdopodobne, musi być prawdą. Problem tkwił w ustaleniu, co jest niemożliwe. Tak, na tym polega cała sztuka...

Był też interesujący przypadek orangutana podczas nocnej zmiany...

W ciągu dnia w Bibliotece panował ruch. Vimes przesuwiał się nieśmiało między półkami. Zgodnie w prawem, mógł wejść do każdego miejsca w całym mieście. Ale Uniwersytet utrzymywał, że podlega prawu taumaturgicznemu. Kapitan uważał, że nierozsądnie jest przysparzać sobie

wrogów, z którymi człowiek miał szczęście, jeśli kończył spór w tej samej temperaturze ciała, nie mówiąc nawet o tym samym kształcie.

Znalazł bibliotekarza zgarbionego za biurkiem. Mała spojrzała na niego wyczekująco.

- Jeszcze jej nie znaleźliśmy. Przykro mi - powiedział Vimes. - Prowadzimy śledztwo. Ale mógłbyś nam trochę pomóc.

- Uuk?

- To jest biblioteka magiczna, prawda? Znaczą, te książki są tak jakby inteligentne, zgadza się? Pomyślałem sobie, że gdybym to ja dostał się tutaj nocą, zaraz podniosłyby alarm. Ponieważ mnie nie znają. Ale gdyby znały, pewnie by im to nie przeszkadzało. Czyli ten, kto zabrał książkę, musi być magiem. A w każdym razie kimś, kto pracuje na Uniwersytecie.

Bibliotekarz rozejrzał się nerwowo, po czym złapał kapitana za rękę i pociągnął do niszy za regałami. Dopiero wtedy kiwnął głową.

- Ktoś, kogo znają?

Wzruszenie ramion i ponowne skinienie.

- Dlatego przyszedłeś do nas, tak?

- Uuk.

- A nie do senatu Uniwersytetu?

-Uuk.

- Domyślasz się, kto to może być?

Bibliotekarz wzruszył ramionami po raz kolejny - gest wiele znaczący dla ciała, które w zasadzie jest workiem zawieszonym na parze łopatek.

- To już coś. Daj znać, gdyby zdarzyło się jeszcze coś niezwykłego. - Vimes zerknął na rzędy książek. - To znaczą dziwniejszego niż zwykle -

dodał.

-Uuk.

- Dziękuję. Przyjemnie jest spotkać obywatela, który pomoc Straży uważa za swój obowiązek.

Bibliotekarz dał mu banana.

Kiedy znalazł się na zatłoczonej ulicy, Vimes poczuł dziwne podniecenie. Stanowczo coś wykrył. Jakieś drobnostki, kawałki układanki.. . Żaden z nich nie miał wielkiego sensu, ale wszystkie sugerowały jakiś szerszy obraz. Teraz musiał tylko znaleźć kawałek narożny, a przynajmniej jakiś z brzegu...

Był prawie pewien, że to nikt z magów, chociaż bibliotekarz miał chyba inne zdanie. W każdym razie nie porządny, zawodowy mag. Takie rzeczy nie były w ich stylu.

Była też, naturalnie, sprawa legowiska. Rozsądek sugerował poczekać i przekonać się, czy wieczorem smok znowu nadleci. A jeśli tak, to skąd. To wymagało jakiegoś punktu obserwacyjnego, gdzieś wysoko. Czy istnieje jakiś sposób wykrywania smoków? Obejrzał wykrywacze Gardło Sobie Podrzynam Dibblera - składały się głównie z kawałka drewna na metalowym pręcie. Kiedy drewno całkiem się spali, smok jest blisko. Jak wiele urządzeń Gardła, wykrywacz był całkowicie skuteczny na swój niezwykle sposób, a równocześnie absolutnie bezużyteczny.

Musi być inny sposób znalezienia bestii, niż czekać, aż poparzy człowiekowi palce.

Zachodzące słońce zawisło nad horyzontem niby lekko ścięte żółtko.

Nawet w spokojnych czasach dachy Ankh-Morpork zawsze ozdabiała piękne gargulce. Teraz dachy pokrywały najbardziej upiorne twarze, jakie

widziano poza drzeworytami traktującymi o zagrożeniach pijaństwem wśród klas kupujących. Wiele z tych twarzy umocowanych było do ciał ściskających rozmałą przerażającą broń, od wieków przekazywaną z pokolenia na pokolenie, często z użyciem siły.

Ze swego stanowiska na dachu Strażnicy Vimes widział magów na dachach Uniwersytetu i grupy czekających na okazję poszukiwaczy skarbów z łopatami w pogotowiu. Jeśli smok istotnie miał gdzieś w mieście swoje leże, to jutro będzie musiał spać na podłodze.

Gdzieś z dołu dobiegało wołanie Gardło Sobie Podrzynam Dibblera albo któregoś z jego kolegów, sprzedającego gorące kielbaski. Vimesa ogarnęła słuszna дума. Można przecież być dumnym z obywateli, którzy w obliczu katastrofy myślą o sprzedawaniu kielbasek jej uczestnikom.

Miasto czekało. Błysnęły pierwsze gwiazdy.

Colon, Nobby i Marchewa także siedzieli na dachu. Colon był ponury, ponieważ kapitan nie pozwolił mu zabrać łuku i strzał.

Łuki nie były w mieście popularne, gdyż moc i zasięg groziły, że strzała przebijie niewinnego przechodnia oddalonego o pięćdziesiąt sążni zamiast niewinnego przechodnia, w którego była wymierzona.

- To prawda - przyznał Marchewa. - Ustawa o Bezpieczeństwie Publicznym z 1634 roku, rozdział Broń Miotająca.

- Przestań wiecznie cytować - zirytował się Colon. - Nie mamy już żadnych praw! To stare zapisy! Teraz wszystko jest bardziej, jak to się mówi... pragmatyczne.

- Prawo czy nie - wtrącił Vimes - powiedziałem: odłóż to.

- Ale kapitanie, kiedyś nieźle sobie radziłem z łukiem - zaprotestował Colon. - A w każdym razie - dodał złośliwie - inni przynieśli.

Rzeczywiście, pobliskie dachy były najeżone łukami. Jeśli nieszczęsny potwór się pojawi, będzie mu się wydawać, że leci przez lite drewno z

kilkoma szczelinami. Człowiek zaczynał go trochę żałować.

- Powiedziałem: odłóż - powtórzył Vimes. - Nie chcę, żeby moi strażnicy strzelali do obywateli. Żadnych łuków.

- Ma pan całkowitą rację, sir - uznał Marchewa. - Jesteśmy przecież po to, żeby chronić i służyć. Prawda? Vimes zerknął na niego z ukosa.

- Ehm... - powiedział. - No... Tak. Właśnie.

Na dachu swojego domu na wzgórzu lady Ramkin poprawiła niezbyt wygodne składane krzesło, ułożyła na parapecie lunetę, butelkę kawy i kanapki; potem usiadła. Na kolanie położyła notatnik.

Minęło pół godziny. Grad strzał powitał przepływającą chmurkę, kilka pechowych nietoperzy i wschodzący księżyc.

- Niech lichy porwie tę zabawę w wojsko — burknął w końcu Nobby. — Wystraszyli zwierza. Sierżant Colon opuścił pikę.

- Na to wygląda - przyznał.

- W dodatku robi się chłodno - zauważył Marchewa. Z szacunkiem szturchnął kapitana, który oparł się o komin i patrzył w przestrzeń.

- Może powinniśmy już zejść, sir? - zapytał. - Ludzie schodzą.

- Hmm? - mruknął Vimes, nie poruszając głową.

- Chyba zanosí się na deszcz - dodał Marchewa.

Vimes milczał. Od kilku minut obserwował Wieżę Sztuk wznoszącą się pośrodku Niewidocznego Uniwersytetu. To podobno najstarsza budowla w mieście. Z pewnością najwyższa. Upływający czas, pogoda i pobieżne naprawy nadały jej sękaty wygląd. Przypominała drzewo, które przetrwało zbyt wiele burz.

Próbował sobie przypomnieć jej sylwetkę. Jak często się zdarza z obiektami tak doskonale znajomymi, nie przyglądał się Wieży od lat. A teraz

usiłował sam siebie przekonać, że las wieżyczek i blanków na szczycie wyglądał dziś wieczorem tak samo jak wczoraj.

Przychodziło mu to z pewnym trudem.

Nie odrywając wzroku od Wieży, złapał sierżanta za ramię i wskazał właściwy kierunek.

- Czy widzicie coś dziwnego na szczycie? - zapytał. Colon przyglądał się przez chwilę, po czym roześmiał się nerwowo.

- Wygląda, jakby smok na niej siedział, prawda?

- Tak. Tak właśnie pomyślałem.

- Tylko, tylko, tylko że kiedy spojrzeć pod odpowiednim kątem, widać, że to cienie, kępy bluszczu i takie różne. Ajak się przymknie jedno oko, wygląda jak dwie kobiety z taczkami.

Vimes sprawdził.

- Nie — oświadczył. — Ciągle wygląda jak smok. I to wielki. Taki jakby przyczajony i patrzący w dół. Spójrzcie, widać złożone skrzydła.

- Za przeproszeniem, sir... To tylko utracona wieżyczka daje taki efekt.

Obserwowali przez chwilę.

- Powiedźcie, sierżancie - odezwał się w końcu Vimes - a pytam w duchu czystej żądzы wiedzy, jak myślicie, co wywołuje wrażenie rozwijających się wielkich skrzydeł?

Colon przełknął ślinę.

- Myślę, że wywołuje je para wielkich skrzydeł, sir - odparł.

- Brawo, sierżancie.

Smok odpadł. Nie sfrunął. Po prostu odpadł od wieży i runął prosto w

dół, znikając za budynkami Uniwersytetu.

Vimes zdał sobie sprawę, że czeka na uderzenie.

A potem smok pojawił się znowu, mknąc jak strzała, jak spadająca gwiazda - ale spadająca ku górze. Poszybował nad dachami trochę powyżej ludzkich głów; wszystko to wydawało się jeszcze bardziej przerażające z powodu dźwięku: brzmiał, jakby ktoś powoli i starannie rozdzierał powietrze na połowy.

Strażnicy padli na dach. Vimes dostrzegł jeszcze przepływający ponad nim ogromny, podobny do końskiego pysk

- Pieprzone dupki - oświadczył Nobby z okolic rynny.

Vimes mocniej chwycił komin i podciągnął się do pionu.

- Jesteście w mundurze, kapralu — przypomniał. Głos nie drżał mu prawie wcale.

- Przepraszam, kapitanie. Pieprzone dupki, sir.

- Gdzie sierżant Colon?

- Na dole, sir. Trzyma się rynny, sir.

- Wielkie nieba! Wciągnijcie go, Marchewa.

- O rany... - zawołał Marchewa. - Patrzcie, jak leci! Pozycję smoka wskazywał brzęk łuków oraz krzyki i charczenie ludzi trafionych przez chybiające celu i rykoszetujące strzały.

-Jeszcze nawet nie machnął skrzydłami! - Marchewa z trudem utrzymywał równowagę na kominie. - Patrzcie!

Nie powinien być taki wielki, powtarzał sobie Vimes, obserwując potężną sylwetkę nad rzeką. Jest długi jak cała ulica.

Nad dokiami błysnął ogień, a potem stwór przepłynął na tle księżyca.

Dopiero wtedy machnął skrzydłami, jeden raz, z odgłosem, jakby wilgotne skóry stada rodowodowych psów uderzyły o skalne urwisko.

Smok zakręcił ciasno, kilka razy machnął skrzydłami, by nabrać prędkości, i powrócił.

Przelatując nad Strażnicą, wypłuł strugę gorącego białego ognia. Dachówki nie roztopiły się zwyczajnie, ale wybuchły rozżarzonymi czerwonymi kropelkami. Komin eksplodował, zasypując ulicę deszczem cegieł.

Ogromne skrzydła uderzały rytmicznie. Smok zawisł nad płonącym budynkiem i strumieniami ognia zalewał coś, co szybko przekształcało się w rozżarzony stos. Wreszcie, kiedy pozostała tylko kałuża stopionego kamienia z kilkoma interesującymi pasmami i bąbelkami, bestia pogardliwie machnęła skrzydłami, wzniosła się wyżej i odleciała nad miasto.

Lady Ramkin odłożyła lunetę i wolno pokręciła głową. - To niemożliwe - szepnęła. - Nieprawdopodobne. On nie powinien być do czegoś takiego zdolny. Podniosła lunetę, by sprawdzić, gdzie wybuchł pożar. W dole, w zagrodach, małe smoki wyły głośnie.

Budząc się z błogiego spokoju nieświadomości, tradycyjnie pytamy „Gdzie ja jestem?” To prawdopodobnie element pamięci gatunkowej czy czegoś w tym rodzaju.

Vimes powiedział to.

Tradycja pozwala na wybór drugiego zdania. Kluczowym elementem procesu decyzyjnego jest próba sprawdzenia, czy ciało posiada wszystkie części, o posiadaniu których pamięta.

Vimes sprawdził.

Potem nadchodzi trudny moment: kiedy śnieżna kula świadomości zaczyna się toczyć, wkrótce odkrywa, że budzi się w ciele leżącym w rynsztoku, z wielokrotnymi... rzeczownik nie ma znaczenia po takim przymiotniku jak „wielokrotne”, po „wielokrotnych” nigdy nie przychodzi nic dobrego. A może będzie to przypadek czystej pościeli, kojącej dłoni i szczupłej postaci w bieli, odsłaniającej okna, za którymi wstaje nowy dzień? Czy już jest po wszystkim i nie czeka nas nic gorszego niż słaba herbatka, pożywny kleik, krótkie wzmacniające spacery po ogrodzie i może też przelotny, platoniczny romans z opiekuńczym aniołem, czy też nastąpiło tylko chwilowe zaćmienie i jakiś wielki drań zaraz solidnie weźmie nas w obroty trzonkiem kilofa? I czy - świadomość chce wiedzieć - są jeszcze jakieś szanse?

W tym momencie przydaje się jakiś bodziec zewnętrzny. Najbardziej cenionym jest „Wszystko będzie dobrze”, podczas gdy „Czy ktoś zapisał jego numer?” to raczej zły znak; lepszy jednak niż „Wy dwaj przytrzymajcie mu ręce z tyłu”.

I rzeczywiście, odezwał się jakiś głos.

- Niewiele już panu brakowało, kapitanie. Wrażenia bólu, które wykorzystały brak przytomności Vimesa, by wyskoczyć na metaforycznego papierosa, powróciły w pośpiechu.

- Arrgh - powiedział Vimes.

I otworzył oczy.

Zobaczył sufit. Widok ten wykluczył pewien szczególny zakres nieprzyjemnych możliwości, był zatem dobrym znakiem. Zamglony wzrok natrafił również na kaprała Nobbsa, który dobrym znakiem nie był. Kapral Nobbs niczego nie dowodził; można umrzeć i wciąż widzieć coś podobnego do kaprała Nobbsa.

W Ankh-Morpork nie działało zbyt wiele szpitali. Wszystkie gildie

utrzymywały własne lecznice, a dziwaczne organizacje, takie jak

Balansujący Mnisi, prowadziły też kilka publicznych. Ogólnie jednak pomoc medyczna właściwie nie istniała i ludzie musieli umierać mało wydajnie, bez pomocy lekarzy. Powszechnie uważano, że stosowanie leków zniechęca do dyscypliny, a zresztą jest prawdopodobnie wbrew Naturze.

- Czy pytałem już, gdzie jestem? - spytał słabym głosem Vimes.

-Tak.

- Uzyskałem odpowiedź?

- Nie wiem, gdzie jesteśmy, kapitanie. Dom należy do jakiejś wytwornej paniusi. Kazała pana tu wnieść.

Chociaż umysł Vimesa wydawał się zalany różowym, gęstym syropem, zdołał jednak wychwycić dwie wskazówki i spleść je razem. Połączenie „wytworności” i „wnoszenia” coś oznaczało. Podobnie jak dziwny, chemiczny zapach w pokoju, mocniejszy nawet od codziennych odorów Nobby'ego.

- Nie mówimy chyba o lady Ramkin, prawda? - zapytał ostrożnie.

- Może i o niej. Wielka kobita. Ma fioła na punkcie smoków. -Szczurza gęba Nobby'ego rozciągnęła się w najstraszliwszym domyślnym uśmiechu, jaki Vimes widział w swym długim życiu. — Leży pan w jej łóżku.

Vimes rozejrzał się, czując pierwsze uderzenia niejasnej paniki. Potrafił już częściowo skupić wzrok, dostrzegł więc brak pewnej kawalerskiej skarpętowości. I wyczuł lekki zapach talku.

- Kawał baby - stwierdził Nobby z miną konesera.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę.. .Był przecież smok. Wisiał nad nami jak...

Wspomnienie trafiło go niczym urażony zombie.

- Co z panem, kapitanie?

...rozczapierzone na sążęń pazury; huk i podmuch bijących skrzydeł, większych od żagli; smród chemikaliów, bogowie tylko wiedzą jakich...

Był już tak blisko, że Vimes widział drobne łuski na łapach i czerwony błysk ślepiów. Były czymś więcej niż ślepiami gada - to oczy, w których mógłby utonąć...

I oddech, tak gorący, że wcale nie przypominał płomienia, ale coś niemal twardego, nie spalającego, ale rozrywającego wszystko na strzępy...

Ale teraz leżał w łóżku i żył. Stanowczo ocalał, choć jego lewy bok sprawiał wrażenie uderzonego żelazną sztabą.

- Co się stało? - spytał.

- To młody Marchewa - wyjaśnił Nobby. - Złapał pana i sierżanta, a potem zeskoczył z dachu, zanim smok nas dorwał.

- Boli mnie z boku. Musiał mnie zahaczyć.

- Nie. To chyba wtedy, kiedy wałnął pan o dach wychodka. A potem się pan stoczył i trafił w koryto z wodą.

- Co z Colonem? Jest ranny?

- Ranny to nie. Właściwie wcale. Wylądował dość miękko. Jest taki ciężki, że przebił dach. Nastąpiła, można powiedzieć, ulewa...

- A co potem?

- No, ułożyliśmy pana jakoś wygodnie, a wszyscy chodzili dookoła i wołali sierżanta. Znaczą, dopóki nie odkryli, gdzie jest, wtedy tylko stali i wołali. A potem z wrzaskiem przybiegła ta kobieta.

- Czy mowa o lady Ramkin? - spytał spokojnie Vimes. Ból że* ber wzniósł się na niezwykły poziom.

- Tak. Solidna baba - odparł niewzruszony Nobby. - Niech mnie, nie powinna tak ustawiać ludzi. „Och, co za nieszczęście, musicie natychmiast

zanieść go do mojego domu". Więc zanieśliśmy pana. To najlepsze miejsce. W mieście wszyscy biegali w kółko jak kurczaki z odrąbanymi głowami.

- Czy smok narobił dużych szkód?

- Kiedy pan był już nieprzytomny, magowie zaatakowali go kulami ognistymi. Wcale mu się to nie spodobało; chyba jeszcze bardziej się rozzłościł. Rozwalił całe opaczne skrzydło Uniwersytetu.

- I...?

- I to już właściwie wszystko. Podpalił jeszcze to i owo, a potem gdzieś odleciał wśród dymu.

- Widział ktoś, gdzie się schował?

- Jeśli widzieli, to nic nie mówią. - Nobby usiadł i wyszczerzył zęby. - To właściwie obrzydliwe, że ona mieszka w takim pokoju. Sierżant mówi, że ma całe worki pieniędzy, więc niby czemu mieszka w takich zwyczajnych pokojach? Niby po co ktoś ma się wyrwać z biedy, jeśli bogatym wolno tak sobie mieszkać? To wszystko powinno być z marmuru. - Prychnął niechętnie. - W każdym razie prosiła, żeby ją zawołać, kiedy się pan obudzi. Karmi teraz te swoje smoki. Dziwne, że pozwolili jej trzymać w domu te bestie.

- A to dlaczego?

- No, wie pan. Niedaleko pada jabłko i w ogóle.

Kiedy Nobby wyszedł, Vimes raz jeszcze rozejrzał się po pokoju. Istotnie, brakowało tu złotych liści i marmurów, które Nobby uważał za obowiązkowe dla ludzi na wysokich pozycjach społecznych. Meble były stare, a obrazy na ścianach, choć z pewnością cenne, wyglądały na takie, które wiesza się w sypialni, ponieważ nie wiadomo, gdzie jeszcze można by je umieścić. Dostrzegł także kilka amatorskich akwareli przedstawiających smoki. Ogólnie mówiąc, pokój wyglądał, jakby był zamieszkiwany tylko przez jedną osobę i w ciągu długich lat dopasował się do niej, niczym ubranie wyposażone w sufit.

Pokój wyraźnie należał też do kobiety, ale takiej, która bez rozczulania się nad sobą przyjmuje wszystkie dary losu i wdzięczna jest za to, że zdrowie jej dopisuje i wszystkie te łzawe, romantyczne historie przytrafiają się innym ludziom w innych miejscach.

Suknie, jakie tu widział, dobierano ze względu na odporność i wytrzymałość, sądząc z wyglądu jeszcze w poprzednim pokoleniu, a nie w celu użycia jako lekkiej artylerii w wojnie płci. Na toaletce stały w równym rzędzie buteleczki i słoiczki, jednak pewna surowość ich linii sugerowała, że naklejki zdobią raczej napisy w stylu „Wcierać co wieczór” niż „Musnąć delikatnie za uszami”. Można było sobie wyobrazić, że mieszkanka tego pokoju spała tu przez całe życie, a ojciec nazywał ją „moją małą dziewczynką”, dopóki nie skończyła czterdziestu lat.

Na haku za drzwiami wisiał obszerny, wygodny szlafrok. Vimes bez patrzenia wiedział, że ma wyhaftowanego na kieszeni królika.

Krótko mówiąc, był to pokój kobiety, która nie oczekiwała, by jakiś mężczyzna zobaczył jego wnętrze.

Na szafce nocnej leżały stosy papierów. Pokonując lekkie wyrzuty sumienia, Vimes rzucił na nie okiem.

Zasadniczym tematem były smoki. Znalazł listy z Komitetu Wystaw Klubu Jaskiniowego i Ligi Przyjaznych Miotaczy Ognia. Znalazł biuletyny i prośby o wsparcie ze Słonecznego Schroniska dla Smoków: „Ognie biednego Vinny'ego niemal zgasły po pięciu latach okrutnego wykorzystywania jako palnika do zdzierania farby, ale teraz...”. Były apele, wykłady i inne rzeczy, sumujące się razem w serce tak wielkie, że mogłoby objąć cały świat, a przynajmniej tę jego część, która miała skrzydła i ziała ogniem.

Kiedy człowiek zadumał się nad takim pokojem, ogarniał go dziwny smutek i niejasne współczucie, prowadzące do przekonania, że należałoby może usunąć całą ludzką rasę i zacząć od nowa z amebami.

Obok stosów listów leżała książka. Krzywiąc się z bólu, Vimes sięgnął po nią i zerknął na grzbiet. Napis głosił: *Smocze choroby*, Sy-bil Deirdre Olgivanna Ramkin.

Z zaleknioną fascynacją przewracał sztywne karty. Ukazywały mu inny świat, świat oszałamiających problemów. Zdrewniałe gardło. Czarny tryk. Suche płuco. Strup. Zachwiania, wzdęcia, łzawienie, kamienie. Zdumiewające, uznał Vimes po lekturze kilku stron, że smok bagienny oglądał czasami w życiu drugi wschód słońca. Nawet jego przejście przez pokój należało uznać za biologiczny tryumf.

Szybko odwrócił wzrok od starannie wykreślonych ilustracji. Nie mógł znieść widoku tyłu flaków.

Ktoś zastukał do drzwi.

- To ja! Można wejść? - huknęła wesoło lady Ramkin.

- Ehem...

- Przyniosłam panu coś wzmacniającego.

Z jakiegoś powodu Vimes wyobraził sobie, że będzie to zupa. Dostał jednak talerz załadowany bekonem, smażonymi ziemniakami i jajkami. Patrząc na niego, słyszał paniczny krzyk własnych arterii.

- Zrobiłam też pudding - dodała odrobinę zawstydzona lady Ramkin. - Normalnie nie gotuję, tyle co dla siebie. Wie pan, jak to jest, kiedy się kucharzy dla jednej osoby.

Vimes przypomniał sobie posiłki w swojej kwaterze. Nie wiadomo czemu mięso zawsze było szare i miało w sobie tajemnicze rurki.

- Hm... - zaczął, nie przyzwyczajony do rozmów z damami, prowadzonych z pozycji leżącej w ich łóżkach. - Kapral Nobbs opowiedział...

- Cóż to za barwna postać, ten Nobby! - zawołała lady Ramkin. Vimes nie był pewien, czy to wytrzyma.

- Barwna? - powtórzył.

- Prawdziwy charakter. Od razu znaleźliśmy wspólny język.

- Naprawdę?

- Oczywiście. To prawdziwa kopalnia anegdot.

- Rzeczywiście. Tych mu nie brakuje. - Vimesa zawsze zadziwiało, jak łatwo Nobby dogadywał się praktycznie z każdym. Musi to

mieć związek ze wspólnym mianownikiem, uznał. W całym matematycznym świecie nie istniał mianownik bardziej wspólny niż Nobby.

- Eee... - powiedział i odkrył, że nie potrafi zejść z tej nowej bocznej linii rozmowy. - Nie uważa pani jego języka za nazbyt, hm... barwny?

- Soczysty - poprawiła go lady Ramkin. - Szkoda, że nie słyszał pan mojego ojca, kiedy się rozzłościł. W każdym razie odkryliśmy, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Co za niezwykły zbieg okoliczności: mój dziadek kazał kiedyś wychłostać jego dziadka za włóczęgostwo.

To pewnie czyni z nich prawie rodzinę, pomyślał Vimes. I skrzywił się od ukłucia bólu stłuczonych żeber.

- Ma pan kilka solidnych siniaków i prawdopodobnie pęknięte żebro czy dwa - uznała lady Ramkin. — Niech się pan odwróci, to nasmaruję pana tą maścią. - Pokazała mu słoik żółtego mazidła.

Panika przemknęła po twarzy kapitana. Odruchowo podciągnął kołdrę pod brodę.

- Nie udawaj dziecka, człowieku - upomniała go. - Nie zobaczę niczego, czego bym wcześniej nie widziała. Wszystkie zadki są do siebie podobne. Tyle że zwykle zajmuję się takimi, co mają ogony. No już, przewróć się i podciągnij koszulę. Należała do mojego dziadka - dodała z dumą.

Z tym głosem nie można było się spierać. Vimes pomyślał, czy nie zażądać obecności Nobby'ego jako przyzwoitki, po czym uznał, że byłoby to jeszcze gorsze.

Maść piekła niczym lód.

- Co to jest?

- Różne substancje. Przyspiesza gojenie i ułatwia rozrost zdrowych łusek.

-Co?

- Przepraszam. Pewnie nie łusek. Niech się pan tak nie martwi. Jest prawie pewne, że łusek nie będzie. Jestem tego prawie pewna. No, już po wszystkim. — Klepnęła go w siedzenie.

- Pani, jestem kapitanem Nocnej Straży - oznajmił Vimes. Zanim jeszcze skończył, wiedział, że nie był to najlepszy pomysł.

- W dodatku półnagim i w łóżu lady - odparła niewzruszona lady Ramkin. - A teraz niech pan siada i je. Musimy doprowadzić pana do zdrowia.

Vimes przestraszył się nie na żarty.

- Dlaczego?

Lady Ramkin sięgnęła do kieszeni swej brudnej kurtki.

- Wczoraj zanotowałam kilka faktów - wyjaśniła. - Dotyczących smoka.

- Aha, smoka. - Vimes uspokoił się nieco. W tej chwili smok wydawał się bezpieczniejszy.

- I trochę policzyłam. Powiem panu jedno: to bardzo dziwne zwierzę. Nie powinien nawet wznieść się w powietrze.

- Szczera prawda.

-Jeśli jest zbudowany jak smoki bagienne, to waży około dwudziestu ton. Dwadzieścia ton! To niemożliwe. Wszystko sprowadza się do stosunku ciężaru i rozpiętości skrzydeł.

- Widziałem, jak spadał z wieży niczym jaskółka.

- Wiem. Coś takiego powinno mu wyrwać skrzydła i zostawić wielką dziurę w ziemi - stwierdziła lady Ramkin. - Nie oszuka się aerodynamiki. Widzi pan, nie można powiększyć czegoś małego i tak zostawić. To sprawa siły mięśni i powierzchni nośnych.

- Wiedziałem, że coś jest nie w porządku - ucieszył się Vimes. -1 jeszcze ten ogień. Nic nie może mieć w środku takiego żaru. Jak sobie z tym radzą smoki bagienne?

- To tylko substancje chemiczne. - Lady Ramkin machnęła ręką. - Destylują coś łatwopalnego ze wszystkiego, co jedzą, a potem zapalają to, kiedy tylko opuści przewód pokarmowy. Nigdy nic im się nie pali we wnętrzu. Chyba że nastąpi cofnięcie.

- A wtedy co?

- Wtedy zeskrobuje się smoka z okolicy. Obawiam się, że nie są najlepiej zaprojektowane.

Vimes słuchał.

Smoki nigdy by nie przetrwały, gdyby ich rodzinne bagna nie były odizolowane od świata i pozbawione drapieżników. Zresztą smoki nie nadawały się na posiłek - kiedy już odrzuciło się twardą skórę i potężne mięśnie skrzydeł, to, co pozostało, musiało smakować jak marnie prowadzona fabryka chemiczna. Nic dziwnego, że stale chorowały. Bezustanne kłopoty żołądkowe były dla nich źródłem paliwa. Większą część mocy mózgu poświęcały na sterowanie złożonym układem trawiennym, zdolnym do destylacji środków palnych z najmniej prawdopodobnych składników. Potrafiły nawet w ciągu nocy przebudować wewnętrzne połączenia, by poradzić sobie z jakimś trudnym procesem. Przez cały czas żyły na krawędzi chemicznego załamania. Jedno źle umiejscowione czknięcie i zmieniały się w element topografii.

A kiedy przychodziło do wyboru legowiska, samice okazywały zdrowy rozsądek i instynkty macierzyńskie cegły.

Vimes nie mógł zrozumieć, dlaczego w dawnych czasach ludzie tak bardzo się obawiali smoków. Przecież kiedy któryś zamieszkał w pobliskiej jaskini, wystarczyło poczekać, aż sam się zapali, wybuchnie albo umrze na ostrą niestrawność.

- Dokładnie je pani studiowała, prawda? - zapytał.

- Ktoś powinien.

- Ale co z tymi wielkimi?

- Tak, to problem. — Spoważniała nagle. — One do dzisiaj są tajemnicą.

- Tak, mówiła pani...

- Wie pan, istnieją legendy. Wygląda na to, że jeden z gatunków smoków zaczął rosnąć i rosnąć, a potem... potem zwyczajnie zniknął.

- Wymarły?

- Nie. Czasami przybywały. Nie wiadomo skąd. Pełne energii i wigoru. Aż pewnego dnia przestały się pojawiać. - Rzuciła Vime-sowi tryumfujące spojrzenie. - Osobiście podejrzewam, że znalazły miejsce, gdzie mogą naprawdę być.

- Naprawdę być czym?

- Smokami. Gdzie mogą w pełni zrealizować swój potencjał. Może jakiś inny wymiar. Gdzie grawitacja nie jest tak silna albo co...

- Kiedy go zobaczyłem - rzekł Vimes - pomyślałem sobie, że nie może istnieć coś, co lata i ma takie łuski... Spojrzeli na siebie nawzajem.

- Musimy znaleźć jego legowisko - oświadczyła lady Ramkin.

- Żadna przeklęta latająca kijanka nie będzie podpalać mojego miasta — stwierdził Vimes.

- Niech pan pomyśli o wkładzie w rozwój wiedzy o smokach.
- Proszę posłuchać: jeśli już ktoś ma prawo podpalać miasto, to tylko ja.
- Niezwykła okazja... Tak wiele pytań...
- Tu ma pani rację. - Vimes przypomniał sobie wypowiedź Marchewy.
- To może nam pomóc w dochodzeniu - zauważył.
- Ale rano - rzekła stanowczo lady Ramkin. Wyraz determinacji zniknął z twarzy Vimesa.
- Położę się w kuchni na dole - poinformowała uprzejmie lady Ramkin.
- Rozstawiam tam łóżko polowe, kiedy zbliża się czas składania jaj. Niektóre samice bez przerwy potrzebują pomocy. Proszę się o mnie nie martwić.
- Bardzo nam pani pomogła — wymamrotał Vimes.
- Odesłałam Nobby'ego do miasta, żeby pomógł reszcie przygotować waszą kwaterę.
- Vimes dopiero teraz przypomniał sobie o Strażnicy.
- Musiała solidnie ucierpieć...
- Jest całkowicie zniszczona. Została z niej plama stopionego kamienia. Dlatego przeniesiecie się teraz do Pseudopolis Yard.
- Słucham?
- Och, mój ojciec miał posiadłości w całym mieście - wyjaśniła. - Dla mnie właściwie zupełnie bezużyteczne. Poprosiłam więc mojego agenta, żeby przekazał sierżantowi Colonowi klucze do starego domu przy Pseudopolis Yard. Przyda się go trochę przewietrzyć.
- Ale ta dzielnica... Znaczy, na ulicach jest tam prawdziwy bruk... sam czynsz, przecież lord Vetinari nigdy...

- O to proszę się nie martwić. - Poklepała go uspokajająco. - A teraz naprawdę powinien pan już spać.

Vimes leżał w łóżku, a rozbiegane myśli nie pozwalały mu zasnąć. Pseudopolis Yard leżał po stronie Ankh od rzeki, w dzielnicy całkiem wysokich czynszów. Widok Nobby'ego albo sierżanta Golona, idących ulicą w biały dzień, wzbudzi u mieszkańców podobną reakcję co - powiedzmy - otwarcie tam szpitala dla ofiar zarazy.

Zapadł w drzemkę; budził się co chwilę, gdyż we śnie ścigały go ogromne smoki wymachujące słoikami maści...

Ocknął się, słysząc odgłosy gniewnego tłumu.

Prostująca się wyniośle lady Ramkin była widokiem niezapomnianym - choć pewnie można by próbować. Przypominała odwrotny dryf kontynentalny - rozmaite wyspy

i subkontynenty skupiały się razem, formując jedną masywną, gniewną protokobietę.

Wyłamane drzwi do smoczych zagród kołysały się na zawiasach. Lokatorzy, już w tej chwili spięci niby harfa po amfetaminie, wpadali w szaleństwo. Wąskie strużki ognia lizały metalowe płyty, gdy smoki w panice biegały wokół klatek.

- A cóż to ma znaczyć? — zapytała.

Gdyby Ramkinowie mieli skłonności do introspekcji, pewnie by przyznała, że nie jest to nazbyt oryginalne zdanie. Jest za to wygodne. Zrobiło swoje. Klisze stają się kliszami właśnie dlatego, że są niczym młotki i śrubokręty wśród narzędzi komunikacji.

Tłum wypełnił wrota. Jego część ścisnęła rozmaite ostre instrumenty,

wymachując nimi w klasycznym układzie góra-dół, typowym dla zamieszek.

- No tak - stwierdził przywódca. - Chodzi o smoka, prawda? Odpowiedział mu chór potwierdzeń.

- I cóż z tego? - spytała lady Ramkin.

- No tak... Podpalał miasto. One nie latają daleko. Macie tu smoki. To mógł być jeden z nich, prawda?

- Tak!

- Dobrze mówi!

- *Q.E.D*[17]

- Dlatego teraz mamy zamiar wszystkie je uciszyć.

- Dobrze mówi!

-Tak!

- *Pro bono publico!*

Łono lady Ramkin wznosiło się i opadało niby imperium. Wyciągnęła rękę i zdjęła ze ściany widły.

-Jeszcze krok, a uprzedzam, że pożałujesz — ostrzegła. Przywódca spojrzał nad jej ramieniem na rozgorączkowane smoki.

- Tak? - zapytał nieprzyjemnym tonem. - A co takiego zrobicie?

Raz czy dwa razy otworzyła i zamknęła usta.

- Wezwę Straż! — zagroziła w końcu.

Groźba nie wywarła oczekiwanego skutku. Lady Ramkin nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na te części miasta, których nie porastała łuska.

- To fatalnie - stwierdzi! przywódca. - Naprawdę mnie zmartwiliście! Aż mi kolana zmiękły, ot co. Wyjął zza pasa długi, szeroki nóż.

- A teraz, paniusiu, lepiej się odsuńcie, bo...

Strumień zielonego płomienia wytrysnął z głębi stajni, przemknął o stopę nad głowami tłumu i wypalił zwęgloną rozetę w deskach nad wrotami.

Potem zabrzmiał głos - słodki głos czystej, śmiertelnej groźby.

- To jest lord Mountjoy Szybkokieł Winterforth IV, najgorętszy smok w mieście. Może ci wypalić głowę z ramion.

Kapitan Vimes wynurzył się z mroku.

Kulał. Pod pachą ścisnął niedużego, straszliwie przerażonego złotego smoka. Drugą ręką trzymał go za ogon.

Tłum patrzył jak zahipnotyzowany.

- Wiem, o czym teraz myślicie — mówił spokojnie Vimes. - Zastanawiacie się, czy po tym wszystkim zostało w nim jeszcze dość ognia. I wiecie, sam nie jestem pewien...

Pochylił się, celując między uszami smoka, a jego głos przypominał ostrze miecza:

- Musicie sami siebie zapytać: czy mam dziś szczęście? Cofnęli się, kiedy postąpił o krok bliżej.

- No? - zapytał. - Macie dzisiaj szczęście?

Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem było groźne burczenie w brzuchu lorda Mountjoya Szybkokła Winterforth IV - to paliwo przelewało się do jego komór ogniowych.

- Zaraz, chwileczkę, tego... - odezwał się przywódca, wpatrzony w głowę smoka. - Nie trzeba przecież używać...

-Jeśli się zastanowić, to przecież smok może wybuchnąć sam z siebie — stwierdził Vimes. - Muszą to robić, żeby zmniejszyć ciśnienie gazu. A ono rośnie, kiedy się denerwują. Przed chwilą, myślę, bardzo je zdenerwowaliście.

Przywódca wykonał - miał nadzieję - pojednawczy gest. Niestety, użył do tego ręki, w której wciąż ścisnął nóż.

- Rzuć to - rozkazał ostro Vimes. - Albo przejdziesz do historii.

Nóż brzęknął o kamienie. Na tyłach ktoś zaczął się przepychać — pewni ludzie, mówiąc w przenośni, znajdowali się bardzo daleko stąd i nie mieli o tym pojęcia.

- Ale zanim, drodzy praworzadni obywatele, rozejdziecie się

w spokoju i zajmiecie swoimi sprawami — rzekł z naciskiem Vimes - sugeruję, żebyście *przyjrzeni* się tym smokom. Czy któryś z nich wygląda na sześćdziesiąt stóp długości? Czy waszym zdaniem mają osiemdziesięciostopową rozpiętość skrzydeł? Jak gorący jest ich płomień, waszym zdaniem?

- Nie wiem., — mruknął przywódca.

Vimes lekko uniósł głowę smoka. Przywódca zamknął oczy.

- Nie wiem, sir - poprawił się szybko.

- A chciałbyś się przekonać?

Przywódca pokręcił głową. Zdołał jednak wykrztusić:

- A kim pan w ogóle jest? Vimes wyprostował się dumnie.

- Kapitan Vimes, Straż Miejska - oświadczył. Odpowiedzią było niemal całkowite milczenie. Tylko z tyłu zabrzmiał jakiś rozbawiony głos:

- Nocna zmiana, co?

Vimes spojrzał na swoją nocną koszulę. Kiedy w pośpiechu zeskakiwał z łóżka, wcisnął bose stopy w kapcie lady Ramkin. Dopiero teraz zauważył, że są ozdobione różowymi pomponikami.

I właśnie ten moment lord Mountjoy Szybkokieł Winterforth fV wybrał na czknięcie.

Nie był to strumień gorącego płomienia. Była to raczej prawie niewidoczna kula wilgotnego płomyka, która przefrunęła nad tłumem i przypaliła kilka par brwi. Ale stanowczo wywarła wrażenie.

Vimes opanował się błyskawicznie. Nie mogli zauważyć krótkiej chwili jego absolutnej grozy.

- To miało tylko zwrócić waszą uwagę - oznajmił z twarzą po-kerzysty.
- Następny pójdzie trochę niżej.

- Ehem... - zaczął przywódca. - Słuszna uwaga. Nic się nie stało. Zresztą i tak już wychodziliśmy. Faktycznie, nie ma tu żadnych wielkich smoków. Przepraszamy za kłopot.

- Ależ nie! - zawołała tryumfująco lady Ramkin. - Nie uciekniecie tak łatwo!

Zdjęła z półki blaszaną puszkę. Puszka miała szczelinę w pokrywce. Brzęczała. Z boku namalowano napis: „Słoneczne Schronisko dla Chorych Smoków”.

W pierwszej rundzie zebrano cztery dolary i trzydzieści jeden pensów. Kiedy kapitan Vimes skinął znacząco smokiem, w cudów-

ny sposób pojawiło się kolejne dwadzieścia pięć dolarów i szesnaście pensów. Potem tłum uciekł.

- Przynajmniej jest z tego jakiś zysk — stwierdził Vimes, kiedy znowu zostali sami.

- Zachował się pan bardzo odważnie!

- Miejmy nadzieję, że to się nie rozniesie. - Vimes delikatnie odstawił zmęczonego smoka do klatki. Kręciło mu się w głowie.

Raz jeszcze zdał sobie sprawę z wpatrzonych w niego oczu. Zerknął z ukosa na wąską, szpiczastą mordkę Zucha Bindle'a Puchogła-za, stojącego w pozie, którą najlepiej można opisać jako Ostatni Szczeniak w Sklepie.

Ku swemu zdumieniu, odruchowo wyciągnął rękę i podrapał smoka za uszami, a w każdym razie za dwoma ostrymi naroślami po bokach, które zapewne służyły za uszy. Maluch odpowiedział dziwnym odgłosem brzmiącym jak skomplikowany zator w browarze.

Vimes szybko cofnął dłoń.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go lady Ramkin. - W brzuchu mu zaburczało. To znaczy, że pana lubi.

Vimes ze zdumieniem odkrył, że sprawiło mu to przyjemność. O ile mógł sobie przypomnieć, jak dotąd w jego życiu nic nie uznało go za godnego beknięcia.

- Zdawało mi się, że chciała pani, no... jakoś się go pozbyć - zauważył.

- Chyba będę musiała. Ale wie pan, jak to jest. Patrzą na człowieka tymi wielkimi, smutnymi oczami... Zaległa niezręczna cisza.

-A może ja bym...

- Może panu by się... Urwali oboje.

- Przynajmniej tak mogę się odwdziżyć - rzekła lady Ramkin.

- Przecież podarowała nam pani już nową kwaterę i w ogóle...

- To był mój obywatelski obowiązek. Proszę, niech pan przyjmie Zucha jako... jako przyjaciela.

Vimes miał wrażenie, że przesuwą się nad bardzo głęboką przepaścią na bardzo cienkiej desce.

- Nie wiem nawet, jak je karmić - powiedział.

— Są właściwie wszystkożerne. Jedzą wszystko oprócz metalu i skał wulkanicznych. Kiedy ewoluuje się na bagnach, nie można być zbyt wybrednym.

— A czy nie trzeba go czasem wyprowadzać na przechadzki? Albo przelotki czy jak to nazwać?

— Zdaje się, że on głównie śpi. - Podrapała brzydkiego malca po czubku łuskowatej głowy. - To najspokojniejszy smok z mojej hodowli.

— A co z... no, wie pani? - wskazał widły.

— To praktycznie sam gaz. Niech pan go trzyma w przewiewnym pomieszczeniu. Nie ma pan jakichś cennych dywanów, prawda? Lepiej im nie pozwalać lizać się po twarzy, ale w zasadzie można je wytresować, żeby panowały nad płomieniem. I przydają się do rozpalania ognia.

Zuch Bindle Puchogłaz zwinął się w kłębek wśród kanonady odgłosów.

Mają po osiem żołądków, przypominał sobie Vimes. Rysunki w książce były bardzo szczegółowe. Smok miał w środku także inne rzeczy, jak kolumny rektyfikacyjne i zestawy szalonego alchemika.

Żaden smok bagienny nie mógłby terroryzować królestwa, chyba że przez pomyłkę. Vimes zastanowił się, ile tych stworzeń zginęło z rąk wędrownych bohaterów. To okrutne, traktować w ten sposób istoty, których jedyną zbrodnią jest wybuchanie z roztargnienia w powietrzu, choć żadnemu konkretnemu smokowi nie weszło to w zwyczaj. Rozzłościł się, myśląc o tym. Rasa, tak, rasa ogryzków — tym właśnie są smoki. Urodzone ofiary. Żyją szybko, giną z hukiem. Wszystkożerne czy nie, tak naprawdę same są zżerane przez nerwy - machają skrzydłami po świecie, w śmiertelnym strachu przed własnym systemem trawiennym. Rodzina właśnie rozpacza po eksplozji ojca, a tu jakiś drań w pełnej zbroi przybywa taplając się w bagnie, żeby wbić miecz w worek wnętrzości, który i tak tylko krok dzieli od samounicestwienia.

Hm... Ciekawe, jak słynni historyczni rycerze daliby sobie radę z wielkim smokiem. Zbroja? Lepiej nie nosić. W końcu na jedno wyjdzie, tyle że popioły będą od razu zapakowane w folię.

Stał wpatrzony w zdeformowane zwierzę, aż pomysł, który od kilku minut stukał do bram umysłu, wreszcie zdołał wejść. Wszyscy w Ankh-Morpork szukali smoczego legowiska - oczywiście, mieli

nadzieję, że znajdą je puste. Kawałki drewna na drucie na pewno w tym nie pomogą. Ale, jak to mówią, wypuść złodzieja, żeby...[18]

- Czy smok może wywęszyć innego smoka? - zapytał. - To znaczy pójść za tropem?

Kochana mamó [pisał Marchewa].

Wszystko było całkiem jak w Bajce. Wczoraj w nocy smok spalił naszą Kwaterę, aż tu nagle dostaliśmy lepszą. Nazywa się Pseudopolis Yard i leży naprzeciwko Opery. Sierżant Colon powiedział, że Idziemy w Górę i zakazał Nobby'emu sprzedawania mebli. Chodzenie w Górę to jedna z metafor, o których dopiero się uczę. To trochę jak Kłamstwo, tylko bardziej Eleganckie. Są tu prawdziwe dywany do plucia. Dzisiaj jacyś ludzie dwa razy chcieli sprawdzić, czy w piwnicy nie ma smoka. To zadziwiające. Tak samo jak kopanie w wychodkach i szperanie po strychach. Przypomina to Gorączkę. Trzeba jednak przyznać, że ludzie nie mają czasu na nic innego. Sierżant Colon twierdzi, że wychodząc na Patrol i krzycząc Już Dwunasta i Wszystko Jest w Porządku, kiedy w tym czasie smok roztapia ulice, człowiek czuje się trochę jak Cudak.

Wyprowadziłem się od pani Palm, ponieważ mamy tutaj dziesiątki sypialni. Było mi smutno; upiekli rni tam tort na pożegnanie. Myślę, że tak będzie lepiej, chociaż pani Palm nigdy nie chciała ode mnie czynszu. To ładnie z jej strony, bo przecież jest wdową i ma tyle pięknych córek, które musi wychować i zatroszczyć się o posagi ekcetra.

Zaprzyjaźniłem się też z małpą, która przychodzi sprawdzić, czy nie

odnaleźliśmy jej książki. Nobby twierdzi, że to zapchlony tuman, ponieważ ograł go na 18 p. w Okalecz Pana Cebulę. Jest to karciana gra losowa, w którą nie grywam. Powiedziałem Nobby'emu o Rozporządzeniu o Grach Hazardowych, na co od kazał mi się Odwalić. Uważam, że na-

ruszył tym Przepisy o Przyzwitości z 1389 roku, ale postanowiłem zachować Dyskrecję.

Kapitan Vimes zachorował i opiekuje się nim pewna Dama. Wszyscy wiedzą, jak twierdzi Nobby, że jest Psychiczna, ale sierżant Colon tłumaczy, że to tylko z powodu mieszkania w wielkim domu ze smokami, a tak naprawdę warta jest Fortunę i dobrze, że kapitan Vimes stanie wreszcie na ziemi. Nie wiem, co mają do tego spaceru.

Dziś rano wybrałem się na spacer z Reet i pokazałem jej wiele ciekawych przykładów rękodzieła, jakie można znaleźć w mieście. Powiedziała, że to bardzo ciekawe i że jestem całkiem inny niż wszyscy, których dotąd poznała.

Twój kochający syn

Marchewa

(ucałowania)

PS Mam nadzieję, że Blaszką cieszy się dobrym zdrowiem.

Starannie złożył kartkę i wsunął ją do koperty.

— Słońce zachodzi - zauważył sierżant Colon. Marchewa podniósł głowę znad laku.

— To znaczy, że wkrótce zapadnie noc — dodał Colon dla ścisłości.

— Tak jest, sierżancie.

Colon wsunął palec pod kołnierzyk. Jego skóra - w rezultacie

porannego szorowania — nabrała intensywnie różowej barwy, ale ludzie nadal woleli zachowywać pełen szacunku dystans.

Niektórzy rodzą się dowódcami. Niektórzy zdobywają dowództwo. A na niektórych dowództwo samo spada. Sierżant, który teraz zaliczał się do tej kategorii, wcale nie był z tego zadowolony.

Lada chwila, wiedział o tym, będzie musiał powiedzieć, że pora już wyjść na patrol. A wcale nie chciał iść na patrol. Chciał tylko *znaleźć* sobie jakąś cichą i głęboką piwnicę. Ale *nobblyess obligay* — był tu najstarszy stopniem i nie miał wyboru.

To nie samotność dowódcy napełniała go lękiem. To raczej usmażenie żywcem dowódcy sprawiało problemy.

Był też pewien, że jeśli szybko nie odkryją czegoś o tym smoku, to Patrycjusz będzie bardzo niezadowolony. A kiedy Patrycjusz był niezadowolony, stawał się gorącym demokratą. Znajdował wy-

szukane i bolesne sposoby rozprzestrzenienia tego uczucia jak naj-szerzej.

Odpowiedzialność, myślał sierżant, to paskudna rzecz. Podobnie jak straszne tortury. O ile rozumiał, te dwa zjawiska szybko zbliżały się do siebie.

Poczuł więc ogromną ulgę, kiedy przed Yardem zahamował niewielki powozik. Był bardzo stary i odrapany. Na drzwiczkach miał wyblakły herb, a z tyłu trochę nowszy napis „Zarżyż, jeśli kochasz smoki”.

Z powozu, krzywiąc się przy każdym kroku, wysiadł kapitan Vi-mes, a za nim kobieta, znana sierżantowi jako Zwariowana Sybil Ramkin. Wreszcie, skacząc posłusznie na smyczy, mały...

Sierżant był zbyt zdenerwowany, żeby zwrócić uwagę na wielkość.

- Niech mnie zaaportują! Ledwie co wyszli, a już go złapali!

Nobby obejrzał się znad stolika w kącie, przy którym wciąż nie chciał

uznać nauki, że niemal niemożliwa jest gra zręczności i blefu z uśmiechającym się bez przerwy przeciwnikiem. Bibliotekarz wykorzystał zamieszanie i wyciągnął kilka kart z dołu talii.

- Nie gadajcie głupstw, sierżancie. To przecież smok bagienny - powiedział Nobby. - A ona jest jak należy, ta lady Sybil. Prawdziwa dama.

Dwaj pozostali strażnicy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Czy naprawdę Nobby wymówił te słowa?

- Możecie obaj przestać. Niby czemu mam na pierwszy rzut oka nie poznać damy? Dała mi herbaty w filiżance cienkiej jak papier, ze srebrną łyżeczką w środku - wyjaśnił tonem człowieka, który wspiał się na społeczne wyżyny. - A ja jej oddałem, więc przestańcie się na mnie gapić!

- Co ty właściwie robisz w wolne wieczory? - zapytał Colon.

- Nie wasz interes.

- Naprawdę oddałeś jej łyżeczkę? — nie dowierzał Marchewa.

- Tak, do licha, oddałem!

- Baczość, chłopcy! - zawołał sierżant z ulgą. Przybysze wkroczyli do pokoju. Vimes obrzucił swoich ludzi zwykłym spojrzeniem pełnym rezygnacji i niesmaku.

- Mój oddział - wymamrotał.

- Wspaniali ludzie - pochwaliła lady Ramkin. - Weterani zaprawieni w bojach, co?

- Zaprawieni, owszem, często.

Lady Ramkin uśmiechnęła się zachęcająco. Ten uśmiech wzbudził dziwne poruszenie. Sierżant Colon niezwykłym wysiłkiem woli zdołał wypiąć pierś dalej niż brzuch. Marchewa przestał się garbić. Nobby aż wibrował, wyprężony jak struna, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, kciukami sterczącymi do przodu i ptasią piersią tak wydętą, że jego stopom

groziło oderwanie się od podłogi.

- Zawsze wierzyłam, że możemy spać spokojnie, wiedząc, że ci dzielni ludzie nas strzegą — stwierdziła lady Ramkin, przechodząc statecznie po pokoju, niczym galeon sunący po falach. — A któż to taki?

Orangutanom trudno jest stanąć na baczność. Ciało potrafi opanować ogólną zasadę, ale skóra nie. Bibliotekarz starał się jednak, stając jak pełen szacunku snop na końcu szeregu i wykonując złożony salut, możliwy jedynie dla posiadaczy ręki długości czterech stóp.

-Jest w tajnej służbie, psze pani - wyjaśnił gładko Nobby. — Małpie Oddziały.

- Bardzo interesujące, doprawdy, bardzo interesujące. Jak długo już jesteście małpą, dobry człowieku?

-Uuk.

- Dobra robota. - Zwróciła się do Vimesa, który wyglądał na zdumionego. - Należy się panu pochwała. To świetni ludzie...

-Uuk.

- Antropoidy - poprawiła się lady Ramkin prawie bez zająknięcia.

Przez chwilę strażnicy czuli się, jakby właśnie w pojedynkę podbili daleką prowincję. Czuli się mężczyźni, jak by to zapewne określiła lady Ramkin, a co było o dobre kilka liter alfabetu odległe od tego, jak czuli się zwykle. Nawet bibliotekarz uznał się za wyróżnionego i przynajmniej raz pozostawił bez komentarza zwrot „dobry człowieku”.

Jakieś ciurkanie i ostry, chemiczny zapach, kazały im się rozejrzeć.

Zuch Bindle Puchogłaz ze zmieszaną, niewinną miną przykucnął na podłodze obok nie tyle płamy na dywanie, ile raczej dziury w podłodze. Wiło się nad nią kilka smużek dymu.

Lady Ramkin westchnęła.

- Proszę się nie martwić, psze pani - zawołał usłużnie Nobby. - Zaraz to sprzątniemy.

- Obawiam się, że często to robią, kiedy są podniecone...

- To piękny okaz — mówił dalej kaprał, rozkoszując się świeżo opanowaną umiejętnością eleganckiej konwersacji. - Musi być pani z niego dumna.

- Nie należy do mnie - odparła. - Jest własnością kapitana Vi-mesa. Może was wszystkich. Rodzaj maskotki. Nazywa się Zuch Bin-dle Puchogłaz.

Zuch Bindle Puchogłaz, dzielnie znosząc brzemię imienia, zaczął obwąchiwać nogę od stołu.

- Przypomina mojego brata Errola - stwierdził Nobby, rozgrywając do końca rolę beczelnego, wesołego i sympatycznego opryszka.

— Ma taki sam szpiczasty nos, za przeproszeniem szanownej pani.

Vimes spojrzał na zwierzaka, badającego swoje nowe mieszkanie, i wiedział, że teraz nieodwołalnie stał się Errolem. Mały smok na próbę odgryzł kawałek stołu, żuł go przez sekundę, wypluj, zwinął się w kłębek i zasnął.

- Niczego nie podpali? - zapytał lękliwie sierżant.

- Raczej nie - uspokoiła go lady Ramkin. - Chyba jeszcze nie odkrył, do czego służą przewody ogniowe.

- Ale w spaniu niczego więcej nie da się go nauczyć - dodał Vimes. — Może ktoś z moich ludzi wyjaśni...

-Uuk.

- Nie mówiłem do pana, sir. Co on tu robi?

- Tego... — zaczął pospiesznie sierżant Colon. -Ja, tego... nie było

pana, kapitanie, i w ogóle, więc trochę nas brakowało... Mar-chewa powiedział, że to zgodne z prawem i... Odebrałem od niego przysięgę, sir. Od małpy, znaczy.

-Jaką przysięgę, sierżancie?

-Jako specjalnego funkcjonariusza, sir. - Colon zarumienił się. - No wie pan, sir. Coś w rodzaju straży obywatelskiej. Vimes rozłożył ręce.

- Specjalnego? Do licha, jest wyjątkowy! Bibliotekarz uśmiechnął się szeroko.

- Tylko chwilowo, sir - dukał Colon. - Na dany okres. Przyda się nam pomoc, sir... A on jest chyba jedynym, który nas lubi...

- Uważam, że to znakomity pomysł - oznajmiła lady Ramkin.

— Małpa świetnie się nada.

Vimes wzruszył ramionami. Świat i tak już oszalał. Co może się stać gorszego?

- Zgoda - powiedział. - W porządku. Poddaję się. Świetnie. Dajcie mu odznakę, chociaż niech mnie licho porwie, jeśli wiem, gdzie sobie ją przypnie. Cudownie! Tak! Dlaczego nie?

- Dobrze się pan czuje, kapitanie? - spytał Colon z troską.

- Świetnie! Świetnie! Witajcie w nowej Straży! — wołał Vimes, krążąc dookoła pokoju. - Doskonale! W końcu płacimy tyle co na fistaszki, więc czemu nie przyjąć małpiz...

Dłoń sierżanta z szacunkiem zasłoniła Vimesowi usta.

- Jedna sprawa, panie kapitanie - szepnął z naciskiem sierżant. -Nie wolno używać tego słowa, które się kończy)' na „on". To go denerwuje, sir. Nie może się powstrzymać, całkiem traci panowanie. To jak czerwona płachta na tego, jak mu tam... „Małpa" może być, ale nie to drugie. Ponieważ, sir, kiedy się zezłości, to nie idzie do kąta się dąsać, jeśli rozumie pan, co

mam na myśli. Poza tym nie sprawia kłopotów, sir. Czy to jasne? Ma pan nie mówić „rnałpiszon”. A niech to...

Bracia byli zdenerwowani.

Słyszał, jak rozmawiają między sobą. Jak dla nich, wszystko działało się zbyt szybko. Sądził, że wprowadzi ich do spisku po trochu, nigdy nie zdradzając więcej, niż są w stanie przyjąć ich małe mózdzki, ale i tak ich przecenił. Potrzebowali silnej ręki. Silnej, ale sprawiedliwej.

- Bracia - rzekł Najwyższy Wielki Mistrz. - Czy Kajdany Prawdomówności zostały należycie wzmocnione?

- Co? - nie zrozumiał brat Strażnica. - Aha, Kajdany. Jasne. Wzmocnione. Jak należy.

- Czy Zwiastuny Przywołania są właściwie rozdzielone? Brat Tynkarz drgnął zakłopotany.

-Ja? Co? Och.. .Jasne, żaden problem. Rozdzielone. Oczywiście. Najwyższy Wielki Mistrz odczekał chwilę.

- Bracia - powiedział cicho. -Jesteśmy już tak blisko... Jeszcze tylko jeden raz. Tylko kilka godzin. Jeden raz, a świat będzie nasz. Czy mnie rozumiecie, bracia?

Brat Strażnica przestąpił z nogi na nogę.

- No... — zaczął. — To znaczy pewnie. Tak. Nie ma obaw)'. Popieramy was w stu dziesięciu procentach...

Zaraz powie „ale”, pomyślał Najwyższy Wielki Mistrz.

— ...ale... No właśnie.

— ...my, to znaczy my wszyscy, byliśmy... zaskoczeni trochę, bo wy, Mistrzu, jesteście tacy inni po każdym przywołaniu smoka, tak jakby...

— Oczyszczony - odpowiedział brat Tynkarz.

— ...tak, mniej więcej. Tylko że to... - Brat Strażnica zmagał się z węzami frazeologii. — Tylko to jakby coś wam odbiera...

— Wysysa - wtrącił brat Tynkarz.

— Tak, właśnie tak, jak brat powiedział, więc my... No, może to trochę niebezpieczne...

— Jak gdyby pradawne istoty spoza Wymiarów wyrywały kawałki waszego żywego mózgu - podsumował brat Tynkarz.

— Ja nazwałbym to raczej paskudnym bólem głowy- stwierdził niepewnie brat Strażnica. — I żeśmy się zastanawiali, no wiecie, nad kosmiczną równowagą i całą resztą, no bo wiecie, weźmy tego biednego Szambownika. To jakby kara... Właśnie.

— To tylko zwariowany krokodyl schowany na kwietniku - odparł Najwyższy Wielki Mistrz. - Coś takiego mogło się zdarzyć każdemu. Ale rozumiem wasze uczucia.

— Naprawdę? - ucieszył się brat Strażnica.

— Oczywiście. Są całkiem naturalne. Nawet najwięksi magowie odczuwali pewien niepokój, kiedy podejmowali dzieło tak ogromne jak nasze. - Bracia wyprężyli się dumnie. Najwięksi magowie. To o nich, oczywiście. -Ale za kilka godzin wszystko dobiegnie końca i jestem pewien, że król wynagrodzi was hojnie. Czeka nas wspaniała przyszłość.

Normalnie to wystarczało. Dziś jednak było inaczej.

— Ale smok... — zaczął brat Strażnica.

— Nie będzie już żadnego smoka. Nie potrzebujemy go więcej. Posłuchajcie uważnie; to całkiem prosta sprawa. Chłopak będzie rniał

cudowny miecz. Wszyscy wiedzą, że królowie mają cudowne miecze...

— To ten cudowny miecz, o którym nam opowiadaliście, tak?

- upewnił się brat Tynkarz.

— I kiedy ostrze dotknie smoka — podjął Najwyższy Wielki Mistrz

— nastąpi... fiut!

- Tak, one tak robią - potwierdził brat Odźwierny. - Mój wujek kopnął kiedyś bagiennego smoka. Przyłapał go, jak wyjadał dynie na grządce. Niewiele brakowało, żeby stracił nogę.

Najwyższy Wielki Mistrz westchnął ciężko. Jeszcze parę godzin i koniec z tym wszystkim. Nie zdecydował, czy potem zostawić ich w spokoju — no bo kto im uwierzy? - czy też posłać gwardię, żeby aresztowała ich za śmiertelną głupotę.

- Nie - tłumaczył cierpliwie. — Chcę powiedzieć, że smok zniknie. Odeślemy go z powrotem. Koniec smoka.

- Czy ludzie nie zaczną czegoś podejrzewać? - zaniepokoił się brat Tynkarz. - Będą się spodziewać kawałów smoka rozrzuconych po mieście.

- Nie! — zawołał tryumfująco Najwyższy Wielki Mistrz. - Ponieważ jedno dotknięcie Mieczem Prawdy i Sprawiedliwości całkowicie zniszczy Nasienie Zła!

Bracia przyglądali mu się niepewnie.

- W każdym razie uwierzą w to - dodał. - Możemy w kluczowej chwili dostarczyć trochę mistycznego dymu.

- Łatwa rzecz, taki mistyczny dym — uznał brat Pałcy.

- I żadnych kawałków? — Brat Tynkarz był nieco rozczarowany. Brat Strażnica odchrząknął.

- Nie wiem, czy ludziom się to spodoba — rzekł. — Trochę za czysto, moim zdaniem.

- Posłuchajcie — warknął Najwyższy Wielki Mistrz. - Ludzie uwierzą we wszystko! Zobaczą to na własne oczy! Tak będą pragnąć zwycięstwa chłopca, że nawet się nie zastanowią! Możecie mi wierzyć! A teraz... Rozpocznijmy...

Skoncentrował się.

Tak, było łatwiej. Łatwiej za każdym razem. Wyczuwał łuski, czuł wściekłość smoka, kiedy sięgał do miejsca, gdzie odeszły smoki, by przejąć panowanie.

To była władza. I należała do niego.

Sierżant Colon skrzywił się z bólu.

- Au!

- Niech pan nie będzie dzieckiem - upomniała go wesoło

lady Ramkin, dociągając bandaż wypraktykowanym gestem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie kobiet rodu Ramkinów. -Prawie pana nie dotknął.

- I jest mu bardzo przykro - dodał surowo Marchewa. - Pokaż sierżantowi, jak ci przykro. No już!

- Uuk — rzekł zmieszany bibliotekarz.

- Niech mnie tylko nie całuje! — zawołał przerażony Colon.

-Jak pan myśli, czy podnoszenie kogoś za kostki i stukanie jego głową o podłogę kwalifikuje się jako napad na starszego stopniem? - zapytał

Marchewa.

- Nie wnoszę oskarżenia - zapewnił szybko sierżant.

- Czy możemy wrócić do rzeczy? - wtrącił zniecierpliwiony Vi-mes. — Przekonamy się, czy Errol potrafi wywęszyć smocze legowisko. Lady Ramkin uważa, że warto spróbować.

- Znaczy, chce pan wykopać głęboką dziurę, zamocować kolce na ścianach, rozciągnąć linki potykacze, zainstalować wirujące ostrza napędzane energią wody, wsypać tłuczone szkło i wrzucić parę skorpionów, żeby złapać złodzieja, kapitanie? - Sierżant nie wykazywał entuzjazmu. - Au!

- Tak, i to szybko, zanim zapach się rozwieje. Sierzancie, przecież jest pan dorosłym mężczyzną!

- Świetny pomysł z wykorzystaniem Errola, jeśli wolno zauważyć, psze pani - pochwalił Nobby, a sierżant zarumienił się pod bandażem.

Vimes nie był pewien, jak długo wytrzyma z Nobbym, skoczkiem przez bariery społeczne.

Marchewa milczał. Stopniowo godził się z faktem, że chyba jednak nie jest krasnoludem, ale krasnoludzia krew płynęła mu w żyłach, zgodnie ze słynną zasadą rezonansu morficznego. Pożyczone geny mówiły, że sprawa nie będzie taka łatwa. Szukanie skarbu, nawet kiedy smoka nie ma w domu, to ryzykowne zajęcie. Zresztą na pewno by wiedział, że taki skarb jest w pobliżu. Obecność dużych ilości złota zawsze budziła u krasnoludów mrowienie dłoni, a jego nic nie mrowiło.

- Zaczniemy od tego muru na Mrokach - postanowił kapitan.

Sierżant Colon zerknął z ukosa na lady Ramkin i odkrył, że wobec takiego moralnego wsparcia nie potrafi okazać tchórzostwa. Zadowolił się krótkim:

— Czy to rozsądne, kapitanie?

— Oczywiście, że nie. Gdybyśmy byli rozsądni, nie trafilibyśmy do

Straży.

— Brawo! To strasznie ekscytujące! - zawołała lady Ramkin.

— Myślę, że nie powinna pani iść z nami...

— Sybil, jeśli wolno...

— Ta okolica cieszy się złą sławą.

— Będę całkowicie bezpieczna z pańskimi ludźmi - oświadczyła. - Włóczędzy rozpułną się jak lód, kiedy was zobaczą.

Nie nas, ale smoka, pomyślał Vimes. Rozpływają się, kiedy zobaczą smoka, i pozostawiają tylko cienie na murze. Kiedy zdawało mu się, że zwalnia albo traci zainteresowanie, przypominał sobie te cienie. I wtedy jakby płynny ogień ściekał mu po plecach. Takie *rzeczy* nie mają prawa się zdarzać. Nie w moim mieście.

W rzeczywistości Mroki były całkiem bezpieczne. Wielu ich lokatorów poszukiwało w tej chwili smoczego skarbu, a ci, którzy pozostali, zdradzali mniejszy niż zwykle entuzjazm do czajenia się w ciemnych zaułkach. Poza tym co bardziej rozsądni spośród nich pojmowali, że osaczona lady Ramkin każe im zapewne podciągnąć skarpety i zachowywać się rozsądnie - głosem tak nawykłym do posłuszeństwa, że prawdopodobnie wykonają jej polecenia. Mur wciąż nie został zburzony i prezentował swój straszny fresk. Errol obwąchał go, podreptał chwilę wzdłuż ulicy i zasnął.

- Nic z tego — stwierdził sierżant.

- Ale pomysł był dobry - dodał lojalnie Nobby.

- Może to z powodu deszczu i ludzi, którzy tędy chodzili -stwierdziła lady Ramkin.

Vimes podniósł smoka. I tak nie miał wielkich nadziei. Po prostu lepsze to, niż nic nie robić.

- Wracajmy - zaproponował. - Słońce już zaszło.

Szli w milczeniu. Smok poskromił nawet Mroki, myślał Vimes. Chociaż go tu nie ma, wziął w posiadanie całe miasto. Lada dzień ludzie zaczną przywiązywać dziewice do skał.

Smok to metafora całej przeklętej ludzkiej egzystencji. Jakby sam w sobie nie był paskudny, to jeszcze jest wielki, gorący i lata.

Wyjął z kieszeni klucz do nowej kwatery. Kiedy męczył się z zamkiem, Errol zbudził się i zaczął skowyczeć.

- Nie teraz - mruknął Vimes. Coś zakłuło go w boku. Noc ledwie się zaczęła, a on już czuł się zmęczony.

Dachówka zsunęła się z dachu i roztrzaskała na bruku tuż obok.

- Kapitanie - syknął sierżant Colon.

- Co?

- On jest na dachu.

Coś w głosie sierżanta przebiło się przez zniechęcenie Vimesa. Ten głos nie był podekscytowany. Nie był przestraszony. Miał ton tępej, lodowatej grozy.

Podniósł głowę. Errol zaczął wyrywać mu się spod pachy.

Smok - ten smok - z zaciekawieniem spoglądał znad rynny. Samą głowę miał wyższą niż człowiek. W oczach - wielkości bardzo dużych oczu i barwy przyćmionej czerwieni - błyszczała inteligencja nie mająca nic wspólnego z ludzkimi istotami. Przede wszystkim była o wiele starsza. Ta inteligencja od dawna smażyła się w przebiegłości i marynowała w sprycie w czasach, kiedy grupa prawie mała zastanawiała się jeszcze, czy pozycja dwunożna jest obiecującym pomysłem. Taka inteligencja nie uznawała, a

nawet nie rozumiała sztuki dyplomacji.

Smok nie bawił się z człowiekiem i nie stawiał zagadek. Pojmował za to doskonale arogancję, siłę i okrucieństwo. Gdyby tylko mógł, spaliłby człowieka na popiół. Bo to lubił.

W tej chwili był bardziej nawet zły niż zwykle. Wyczuwał coś za oczami: maleńki, słaby, nadęty zarozumiałością obcy umysł. Ten umysł doprowadzał go do pasji, niby swędzenie w miejscu, którego nie można podrapać. Ten umysł zmuszał smoka do robienia rzeczy, których nie chciał robić... i powstrzymywał od tego, na co miał wielką ochotę.

W tej chwili czerwone oczy skupiały wzrok na Errolu, który szarpał się gorączkowo. Vimes uświadomił sobie, że jedynym, co dzieli go od miliona stopni żaru, jest niejasne zainteresowanie olbrzymia, dlaczego właściwie trzyma pod pachą mniejszego smoka.

- Nie rób żadnych gwałtownych ruchów - odezwał się zza jego pleców głos lady Ramkin. — I nie okazuj lęku. One zawsze wiedzą, kiedy człowiek się boi.

- Czy ma pani jeszcze jakąś dobrą radę? - zapytał powoli Vi-mes, starając się mówić bez poruszania wargami.

- Na ogół pomaga łaskotanie za uszami.

-Aha...

- Albo głośne, surowe „Nie!” i zabranie im miski zjedzeniem.

-Tak?

- Można też przyłożyć mu w nos zwiniętym w rulon papierem, ale robię to tylko w wyjątkowych przypadkach.

W powolnym, jaskrawym, rozpaczliwym świetle, jaki zamieszkiwał w tej chwili Vimes, a który zdawał się obracać wokół odległych ledwie o kilka łokci przepastnych nozdrzy, zabrzmiał cichy, syczący odgłos.

Smok nabierał tchu.

Potem przestał. Vimes patrzył w ciemność przewodów ogniowych i myślał, czy cokolwiek zobaczy. Czy zabłyśnie maleńka biała iskra, zanim go całego pochłonie płomienna burza?

W tej właśnie chwili zagrał róg.

Zaskoczony smok podniósł łeb i wydał dźwięk brzmiący w pewnym sensie pytająco, choć jednocześnie nie będący słowem.

Róg zagrał znowu. Budził liczne echa, z pozoru żyjące własnym życiem. Brzmiał jak wyzwanie. Jeśli nim nie był, to dmący w róg wkrótce znajdzie się w kłopotach, ponieważ smok obrzucił Vimesa wrogim spojrzeniem, rozwinął gigantyczne skrzydła, skoczył ciężko w powietrze i — wbrew wszelkim zasadom aeronautyki - pofrunął wolno w kierunku źródła dźwięku.

Nic na świecie nie powinno latać w ten sposób. Skrzydła uderzały z łoskotem gromu, ale smok sunął, jakby od niechcenia wiosłował w powietrzu. Jego ruch sugerował, że gdyby przestał machać, po prostu szybowałby dalej i w końcu się zatrzymał. Unosił się, nie leciał. Jak na stworzenie wielkości stodoły i okryte pancerną skórą, była to niezwykle sztuka.

Przesunął się nad ich głowami niczym barka. Zmierzał do Placu Pękniętych Księżyców.

- Za nim! — krzyknęła lady Ramkin.

- To nie w porządku, że on sobie tak lata - stwierdził Marchewa. — Jestem pewien, że znajdę coś na ten temat w Prawach Czarno-księstwa. - Sięgnął po notatnik. - W dodatku uszkodził dach. Zbiera sobie te wykroczenia, nie ma co.

- Dobrze się pan czuje, kapitanie? - zapytał Colon.

- Patrzyłem mu w głąb nosa - odparł rozmarzonym głosem Vi-mes.

Skupił wzrok na zatroskanej twarzy sierżanta. - Gdzie się podział? - zapytał.

Colon wskazał ręką.

Vimes spojrzał gniewnie na niknącą ponad dachami sylwetkę.

- Za nim! - rozkazał.

Róg zagrał znowu.

Inni także spieszyli na plac. Smok dryfował ponad nimi niczym rekin, który machając od niechcienia ogonem, sunie w stronę zabłąkanego dmuchanego materaca.

- Jakiś wariat chce z nim walczyć! - domyślił się Nobby.

- Tak myślałem, że w końcu ktoś spróbuje — odparł Colon. - Biedaczysko, upiecze się we własnej zbroi.

Taka też była chyba opinia ludzi zebranych na placu. Mieszkańcy Ankh-Morpork mieli spokojny, rzeczowy punkt widzenia na rozrywkę. Co prawda wszyscy chcieliby obejrzeć zabitego smoka, ale z zadowoleniem przyjmą zamiast tego widok człowieka upieczonego żywcem we własnej zbroi. Nieczęsto widuje się kogoś upieczonego żywcem we własnej zbroi. Przez długie lata będzie co opowiadać dzieciom.

Vimesa popychano i potrącano w tłumie. Coraz więcej ludzi wlewało się na Plac Pękniętych Księżyców.

Róg zatrąbił trzecie wyzwanie.

- To ślimaczy róg - oświadczył Colon z miną znawcy. - Jak toksyna, tylko głębszy.

-Jest pan pewien, sierżancie? — upewnił się Nobby.

-Jasne.

- To musiał być bardzo wielki ślimak.

- Orzeszki! Figginy! Gorące kiełbaski! - zaczął jakiś głos za ich plecami. - Witajcie, chłopcy. Kłaniam się nisko panu kapitanowi. Wszyscy razem w obliczu śmierci, co? Proszę się poczęstować kiełbaską. Na koszt firmy.

- Co się tu dzieje, Gardło? - zapytał Vimes, trzymając się tacy handlarza. Na placu było coraz tłoczniej.

- Jakiś dzieciak przybył do miasta i powiedział, że zabije smoka - wyjaśnił Gardło Sobie Podrzynam. - Mówi, że ma czarodziejski miecz.

- A czarodziejską skórę?

- Brak panu romantycznej duszy, kapitanie. - Dibbler zdjął z maleńkiej patelni bardzo gorący widelec i ukłuł nim w siedzenie tęgą kobietę, zastawiając mu drogę. - Proszę się odsunąć, moja damo, handel jest krwią tego miasta. Dziękuję. Oczywiście - podjął - zgodnie z tradycją powinna tu stać dziewica przykuta łańcuchem do skały. Ale ciotka odmówiła. Z niektórymi nie można dojść do ładu. Nie mają wyczucia sytuacji. Ten chłopak twierdzi też, że jest prawowitym dziewicem.

Vimes pokręcił głową. Świat wyraźnie tracił rozsądek.

- Chyba nie zrozumiałem — wyznał.

- Dziewicem — powtórzył cierpliwie Gardło. — No wie pan. Dziewicem tronu.

-Jakiego tronu?

- Tronu Ankh.

- Jakiego tronu Ankh?!

- No, wie pan. Królowie i różni inni. - Gardło zadumał się nieco. —

Szkoda, że nie wiem, jak, u licha, ma na imię. Zamówiłem u Płomiennego, tego trolla, trzy groszy kubków koronacyjnych; czeka mnie ciężka robota z domalowywaniem imienia. Zamówi pan dwa, kapitanie? Jak dla pana, dziewięćdziesiąt pensów i naprawdę, gardło sobie podrzynam.

Vimes zrezygnował i ruszył z powrotem przez tłum, wykorzystując Marchewę jako latarnię morską. Młodszy funkcjonariusz wystawał ponad głowami, a reszta oddziału cumowała do niego.

- Wszyscy powariowali! — zawołał Vimes. - Co się tam dzieje, Marchewa?

- Na środku placu stoi jakiś chłopak na koniu. Ma taki błyszczący miecz, wie pan. W tej chwili właściwie nic nie robi. Vimes precisnął się w sąsiedztwo lady Ramkin.

- Królowie - wysapał. - W Ankh. I trony. Są?

- Co? A tak. Kiedyś byli — przyznała lady Ramkin. — Setki lat temu. Bo co?

-Jakiś dzieciak twierdzi, że jest dziedzicem tronu.

- Zgadza się - potwierdził Gardło, który podążał za Vimesem w nadziei na finalizację sprzedaży. - Wygłosił długą mowę o tym,

jak to zabije smoka, obali uzurpatorów i naprawi wszelkie krzywdy. Wszyscy wiwatowali. Gorące kiełbaski, dwie za dolara, zrobione z prawdziwej świni; może kupi pan jedną dla damy?

- Czy mówi pan o wieprzowinie? — zapytał Marchewa, zerkając na lśniące kiełbaski.

- Kwestia nazwy, kwestia nazwy — odpowiedział szybko Gardło. - Ale z pewnością są to świńskie produkty. Z prawdziwej świni.

- W tym mieście wszyscy wiwatują na cześć każdego, kto wygłasza mowę — burknął Vimes. - To jeszcze nic nie znaczy.

- Kupujcie świńskie kielbaski, pięć za dwa dolary! - zawołał Gardło, który nigdy nie pozwalał, by rozmowa przeszkodziła mu w handlu. — Taka monarchia może być dobra dla interesów. Świńskie kielbaski! Świńskie kielbaski! W bułce! I naprawa wszelkich krzywd. Uważam, że to bardzo rozsądna idea. Z cebulą!

- Czy wolno mi zaproponować pani kielbasę? - odezwał się Nobby.

Lady Ramkin spojrzała na tacę zawieszoną na szyi Gardła. Tysiące lat wychowania przyszły z pomocą i na jej twarzy pojawiła się tylko delikatna sugestia zgrozy.

- Och, smakowicie wyglądają. Cóż za doskonałe danie.

- Czy wytwarzają je mnisi na jakiejś tajemniczej górze? - spytał Marchewa.

Gardło rzucił mu niechętnie spojrzenie.

- Nie — odparł pobłaźliwie. - Wytwarzają je świnie.

-Jakie krzywdy? - nie ustępował Vimes. - No, wytłumacz mi. Jakie krzywdy on chce naprawiać?

- No... Są na przykład te, no, podatki. - Gardło miał dość przyzwoitości, by zrobić zakłopotaną minę. W jego świecie płacenie podatków zdarzało się tylko innym.

- To prawda — wtrąciła się stojąca obok starsza kobieta. — I jeszcze w moim domu potwornie cieknie rynna, a właściciel nic nie robi. To krzywda.

- I przedwczesna łysina - dodał mężczyzna przed nią. - To też krzywda.

- Król znajdzie na to radę, to pewne — stwierdził inny proto-monarchista.

- Zupełnym przypadkiem - rzekł Gardło, szperając w swoim worku - została mi jedna butelka tej oto przedziwnej maści, wytwa-

rżanej... - zerknął gniewnie na Marchewę - ...przez starożytnych mnichów, żyjących na górze...

- Nie mogą się kłócić - ciągnął monarchista. - Po tym się poznaje, że pochodzą z królewskiego rodu. Zupełnie nie są do tego zdolni. To ma jakiś związek z łaskawością.

- Dziwne - uznała kobieta z cieknącą rynną.

- Są też pieniądze - mówił dalej monarchista, zadowolony z powszechnego zainteresowania. - Oni ich nie noszą. Po tym zawsze można poznać króla.

- Dlaczego? Przecież nie są ciężkie — zdziwił się mężczyzna, który rzadkie włosy rozkładał na czaszce niby resztki pobitej armii. -Ja tam mogę nosić choćby setki dolarów. Żaden problem.

- Pewnie kiedy się jest królem, ręce człowiekowi słabną - stwierdziła z mądrą miną kobieta. - To chyba od machania.

- Zawsze uważałem... — monarchista wyjął fajkę i zaczął ją nabijać spokojnymi gestami człowieka, który zamierza wygłosić wykład - .. że największym problemem królowania jest ryzyko, że ktoś nakłuje waszą córkę.

Zawiesił głos.

- A ona zapadnie w sen na sto lat — dokończył beznamiętnie.

- Aha... — odpowiedzieli pozostali, nie wiadomo czemu z ulgą.

- Zużywa się też sporo ziarenek grochu — dodał.

- No tak, na to nie ma rady - zgodziła się niepewnie kobieta.

- I trzeba ciągle na nich spać - dodał monarchista.

- Nie wspominając już o setkach materacy.

- Właśnie.

- Naprawdę? Chyba mógłbym mu je załatwić w cenach hurtowych — obiecał Gardło. Zwrócił się do Vimesa, który przysłuchiwał się tej rozmowie z kamienną twarzą. - Widzi pan, kapitanie? A pan znajdzie się pewnie w Straży Królewskiej. Dostanie pan pióropusz na hełm.

- Ech, gala... - Monarchista machnął fajką. - Bardzo ważna. Wszystkie te defilady i parady...

- Za darmo?

- Chyba... Ale za prawne to pewnie jednak trzeba płacić.

- Wszyscy powariowaliście! - nie wytrzymał Vimes. - Nic o nim nie wiecie, a przecież jeszcze nawet nie wygrał!

- To zwykła formalność - uspokoiła go kobieta.

- Przecież ma walczyć ze smokiem ziejącym ogniem! — tłumaczył Vimes, wspominając straszliwe nozdrza. — A to tylko chłopak na koniu, na miłość bogów!

Gardło stuknął go lekko w pancerz.

- Nie ma pan serca, kapitanie - rzekł. - Kiedy obcy przybywa do miasta będącego na łasce smoka i wyzywa go z błyszczącym mieczem w dłoni, no cóż, jest tylko jeden możliwy wynik, prawda? To pewnie przeznaczenie.

- Na łasce smoka?! - krzyknął Vimes. - Na łasce?! Ty złodziejski draniu, Gardło, przecież jeszcze wczoraj sprzedawałeś pluszowe smoki dla dzieci!

- Interes to interes, kapitanie. Nie ma się o co denerwować.

Wściekły i ponury Vimes wrócił do swoich ludzi. Cokolwiek by mówić o mieszkańcach Ankh-Morpork, zawsze byli ludźmi gorąco niezależnymi; dla nikogo nie rezygnowali ze swego prawa, by rabować, kraść, sprzeniewierzać i mordować jak równi równych. Zdaniem Vimesa, było to

absolutnie słuszne. Nic nie różniło od siebie najbogatszego z ludzi i najędźnierczego z żebraków — tyle że ten pierwszy miał mnóstwo pieniędzy, jedzenia, pięknych ubrań, i jeszcze zdrowie na dodatek. Ale przynajmniej nie był w niczym lepszy. Tylko bogatszy, grubszy, potężniejszy, lepiej ubrany i zdrowszy. I tak to trwało już od setek lat.

- A teraz wystarczyło im powąchać gronostajowy płaszcz i wszyscy stracili rozum — mruczał do siebie.

Smok powoli i czujnie krążył nad placem. Vimes wyciągnął szyję, by spojrzeć ponad głowami gapiów.

Różne drapieżniki mają sylwetkę ofiary niemal wytrawioną w podświadomości. Możliwe, że kształt kogoś na koniu, z mieczem w ręku, wywołał ruch kilku trybów w mózgu smoka. Bestia okazywała silne, ale ostrożne zainteresowanie.

Vimes wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem nawet, że byliśmy królestwem.

- Nie byliśmy od wielu stuleci - odparła lady Ramkin. - Królów wypędzono i bardzo dobrze się stało. Potrafili być okropni.

- Ale pani pochodzisz z wyt... z arystokratycznej rodziny. Myślałem, że będzie pani wspierać królów.

- Niektórzy byli strasznymi draniami - stwierdziła swobodnie. - Żony po całym mieście, ucinanie ludziom głów, bezsensowne woj-

ny... Jedli nożem, nie całkiem ogryzione kości rzucali za siebie i tak dalej. Nie z naszej sfery, wcale.

Tłum ucichł. Smok przeleciał na koniec placu i niemal znieruchomiał w powietrzu, jeśli nie liczyć powolnego ruchu skrzydeł.

Vimes poczuł, jak coś drapie go w plecy, a potem nagle Errol usiadł mu na ramieniu, ściskając je tylnymi łapami. Jego krótkie skrzydła uderzały w tym samym rytmie co u większego egzemplarza. Syczał cicho. Oczy

wpatrywały się nieruchomo w zawieszonego nad ziemią olbrzymia.

Koń zatańczył nerwowo po bruku. Chłopiec zeskoczył z siodła, machnął mieczem i zwrócił się w stronę przeciwnika.

Wygląda na pewnego siebie, pomyślał Vimes. Ale w jaki sposób umiejętność zabijania smoków daje kwalifikacje władcy? Zwłaszcza w dzisiejszych czasach?

Z pewnością miecz ma bardzo błyszczący. To trzeba przyznać.

Zbliżała się druga w nocy następnego dnia. I wszystko było w porządku, jeśli nie liczyć deszczu. Znowu zaczęło padać.

Są w multiversum miasta, wierzące, że potrafią się bawić. Takie jak Orleans albo Rio, gdzie wszystkim się wydaje, że nie tylko potrafią zepchnąć łódź na wodę, ale jeszcze podpalić port. Jednak w porównaniu z Ankh-Morpork w szalonych chwilach przypominają raczej walijską wioskę w deszczowe niedzielne popołudnie.

Sztuczne ognie strzelały i rozbłyskiwały w wilgotnym powietrzu nad gęstym błotem rzeki Ankh. Na ulicach pieczono rozmaite zwierzęta hodowlane. Tancerze w podskokach przechodzili od domu do domu, często przy okazji zabierając ze sobą jakieś nie umocowane ozdoby. Widziało się przejawy pijaństwa. Ludzie, którzy w normalnych okolicznościach nawet by o tym nie myśleli, teraz krzyczeli „Hurra!”.

Vimes wędrował smętnie po zatłoczonych ulicach, czując się jak jedyna marynowana cebulka w sałatce owocowej. Dał swoim ludziom wolny wieczór.

Wcale nie uważał się za rojalistę. Co prawda nic nie miał przeciwko królom jako takim, ale widok wymachujących flagami ankh-morporczyków dziwnie go niepokoił. W ten sposób zachowywali się tylko niemądry,

poddani czyjejś władzy ludzie w innych krajach. Poza tym czuł obrzydzenie na samą myśl o królewskim pióropuszu na swoim hełmie. Nigdy nie lubił pióropuszy. Pióropusz tak jakby, no, zawłaszcza człowieka, ogłasza wszystkim, że właściciel nie należy już do siebie. Z pióropuszem będzie wyglądał jak papuga. Ta kropla przepełniła czarę.

Zbłąkane stopy doprowadziły go z powrotem do Yardu. W końcu gdzie jeszcze mógł pójść? Mieszkanie miał ponure, a gospodyni narzekała na dziury, jakie - mimo ciągłego strofowania — wypalał w dywanie Errol. I na zapach Errola. A nie mógł przecież iść się upić do tawerny, ponieważ zobaczyłby tam sceny, które zirytowałyby go bardziej niż to, co zwykle widywał po pijanemu.

W Yardzie panowała cisza i spokój, chociaż przez okno dobiegały odległe dźwięki zabawy.

Errol zsunął mu się z ramienia i zaczął wyjadać węgiel z kominka.

Vimes usiadł i wyciągnął nogi na biurko.

Co za dzień! I co za walka! Uniki, zwody, krzyki tłumu, młody człowiek, mały i odsłonięty, smok nabierający tchu w sposób tak dobrze Vimesowi znany...

Nie zionął ogniem. To zaskoczyło Vimesa. Zaskoczyło tłum. Z pewnością zaskoczyło smoka, który usiłował spojrzeć zezem na własny nos i rozpaczliwie drapał się w przewody ogniowe. Pozostał taki zdumiony aż do chwili, kiedy chłopak przemknął pod szponem i pchnął mieczem.

Wtedy huknął grom.

Można by się spodziewać, że zostanie gdzieś parę kawałków smoka.

Vimes wyjął kartkę i spojrzał na notatki z wczorajszego dnia.

Punkt: Ciężki jest Smok, a latać umie;

Punkt: Ogień gorący jest, a przecież z żywego stwora się dobywa;

*Punkt: Bagiennie smoki to Biedne Stworzenia, ale ta potworna odmiana
Ma się doskonale;*

*Punkt: Skąd przybywa, tego nikt nie wie, ani też dokąd odchodzi i gdzie
zamieszkiwa pomiędzy;*

Punkt: Dlaczego spala tak celnie?

Przysunął sobie pióro i kałamarz, po czym szerokim, okrągłym pismem
dodał:

Punkt: Czy smoka zniszczyć można, że jeno nicość pozostawał

Zastanowił się chwilę i dopisał:

*Punkt: Czemuż Wybuchnął tak, że nikt Go znaleźć nie zdołał, choć
szukali pilnie?*

Nieźła zagadka. Lady Ramkin mówiła, że kiedy smok bagienny
eksploduje, w efekcie wszędzie jest go pełno. To fakt, jego wnętrzności
miały być alchemicznym koszmarem, a mieszkańcy Ankh--Morpork
powinni przez całą noc łopatami zbierać smoka z ulic. A nikt jakoś się tym
nie przejął. Za to fioletowy dym rzeczywiście robił wrażenie.

Errol skończył z węglem i zabrał się za pogrzebac. Jak dotąd zjadł
dzisiaj trzy kamienie brukowe, gałkę u drzwi, coś nieokreślonego, co znalazł
w rynsztoku i — ku powszechnemu zdumieniu — trzy kielbaski Gardła

Sobie Podrzynam, zrobione z autentycznych świńskich organów. Chrupanie pogrzebacza w paszczy złało się z bębnieniem deszczu o szyby.

Vimes raz jeszcze spojrzął na kartkę i dopisał:

Punkt: Jakże Królowie znikąd przybywają?

Nie miał okazji przyjrzeć się chłopcu z bliska. Wydawał się dość przystojny, może nie wielki myśliciel, ale profil, który człowiek z przyjemnością oglądałby na drobnych monetach. Co prawda, po zabiciu smoka równie dobrze mógłby być zezowatym goblinem. Tłum w tryumfie poniósł go do pałacu Patrycjusza.

Lord Vetinari został zamknięty we własnym lochu. Podobno prawie nie stawiał oporu. Uśmiechał się tylko do wszystkich i szedł spokojnie.

Cóż za szczęśliwy przypadek, że akurat w chwili, gdy miasto potrzebowało bohatera do zabicia smoka, pojawił się król.

Vimes zastanawiał się nad tym przez chwilę. Sięgnął po pióro i zapisał:

Punkt: Cóż za przypadek szczęśliwy dla chłopca, który ma być Królem, że Smok się trafił akuratnie do zabicia, by ponad wątpliwość wykazać jego autentyczność.

To o wiele lepsze niż znamiona i miecze. Trudno zaprzeczyć. Przez chwilę bawił się piórem, po czym dodał:

Punkt: Smok nie był aparatem mechanicznym, wszelako żaden z magów

*nie ma dość mocy, by stworzyć istotę tak imp. imppon. ipponuj. Taką wielką.
Punkt: Dlaczego, krótko mówiąc, nie zionął Ogniem"? Punkt: Skąd przybył?
Punkt: Gdzie się podział?*

Deszcz bębnił o szybę. Odgłosy zabawy stały się wyraźnie wilgotne, a potem ucichły całkowicie. Zamruczał grom.

Vimes kilka razy podkreślił „podział”. Po chwili namysłu dodał jeszcze dwa znaki zapytania: ??

Przez jakiś czas przyglądał się efektom swej pracy, po czym zwinął papier w kulkę i cisnął ją do kominka, gdzie została złapana i zjedzona przez Errola.

Popełniono przestępstwo. Zmysły, z których posiadania Vimes nie zdawał sobie sprawy — prądowe zmysły policjanta — jeżyły mu włoski na karku i przekonywały, że popełniono przestępstwo. Zapewne przestępstwo tak niezwykle, że nie wymieniono go w książce Marchewy. Ale popełniono. Kilka termicznych zabójstw było tylko pierwszym etapem. Odkryje tę zbrodnię i nada jej imię.

Po chwili wstał, z haka za drzwiami zdjął skórzaną pelerynę i ruszył w nagie miasto.

Tu właśnie odeszły smoki. Leżą...

Nie są martwe i nie są uśpione. Nie czekają, gdyż czekanie implikuje cel. Być może odpowiednim słowem jest... ..gniewne.

Bestia pamiętała podmuch prawdziwego powietrza pod skrzydłami i czystą rozkosz płomienia. Pamiętała puste niebo nad sobą,

a w dole ciekawy świat, pełen niezwykłych, uciekających stworzeń.

Istnienie miało tam inną fakturę. Lepszą.

I właśnie kiedy zaczynała to doceniać, została okaleczona, nie mogła zionąć ogniem, została pchnięta z powrotem niczym jakiś kosmaty, psi ssak.

Odebrano jej świat.

W gadzich synapsach smoczego umysłu zatliła się sugestia, że może świat ten można odzyskać. Smoka ktoś przywołał, a potem pogardliwie odesłał z powrotem. Ale może pozostał trop, zapach, nitka prowadząca na niebo...

Może ścieżka myśli...

Smok przywołał tamten umysł. Rozdrażniony głos, tak przekonany o swej znikomej ważności, umysł podobny do smoczego, ale na maleńką, malutką skalę.

Aha...

Rozprostował skrzydła.

Lady Ramkin przygotowała sobie filiżankę kakao i słuchała deszczu bulgoczącego w rynnach. Zrzuciła znienawidzone taneczne buciki, które - nawet ona była skłonna to przyznać - wyglądały jak para różowych kajaków. Ale *nobblyess obligay*, jak powiedziała by ten zabawny sierżant, a jako ostatnia przedstawicielka jednego z najstarszych rodów Ankh-Morpork, musiała iść na bal zwycięstwa. Musiała okazać dobrą wolę.

Lord Vetinari rzadko urządzał bale. Była nawet piosenka na ten temat. Ale teraz bale miały się odbywać bez przerwy.

Nie znosiła bali. Jako rozrywka nie mogły się równać z zabawą ze smokami. Bawiąc się ze smokami, człowiek wiedział, na czym stoi. Nie było mu gorąco, nie czerwienił się, nie musiał jeść jakichś głupich przekąsek na

patyczku ani nosić sukni, w której wyglądał jak chmura pełna cherubinów. Małych smoków nie obchodziło, jak człowiek wygląda, pod warunkiem że trzyma w ręku miskę zjedzeniem. Właściwie to zabawne. Zawsze sądziła, że przygotowanie balu zajmuje tygodnie, nawet miesiące. Zaproszenia, dekoracje, kiełbasa na słupach, upiorne nadzienie z kurczaka do wtłaczania w te małe pojemniki z ciasta... A tutaj wszystko odbyło się w parę godzin,

jakby ktoś był przygotowany. Najwyraźniej cud kuchenny. Zatańczyła nawet z nowym - z braku lepszego słowa - królem. Rzucił jej kilka uprzejmych słów, chociaż były dość przytłumione.

A jutro koronacja. Można by się spodziewać, że będą to ustalać miesiącami.

Wciąż o tym rozmyślała, mieszając smokom wieczorną karmę z oleju skalnego i torfu, przyprawionych krystaliczną siarką. Nie zdjęła nawet balowej sukni, narzuciła tylko na wierzch ciężki fartuch, włożyła rękawice i hełm, ściągnęła na twarz przyłbicę i w deszczu, z wiadrami w rękach, pobiegła do szopy.

Zauważyła to, kiedy tylko otworzyła drzwi. Normalnie smoki witały jedzenie piskami, gwizdami i krótkimi rozbłyskami ognia.

Teraz siedziały nieruchomo w klatkach, czujne i milczące, wpatrując się w sufit.

Trochę się wystraszyła. Brzęknęła wiadrami.

- Nie ma się czego bać! Wielki brzydki smok nie wróci! - zawołała wesoło. - Bierzcie się do jedzenia, kochane!

Jeden czy drugi rzucił jej krótkie spojrzenie, po czym wrócił do...

Do czego? Wcale nie były przestraszone. Tylko bardzo, bardzo skupione. Jak podczas czuwania. Czekały, aż coś się zdarzy.

Znowu zamruczał grom.

Kilka minut później pędziła już w stronę mokrego od deszczu miasta.

Są takie piosenki, których nigdy nie śpiewa się na trzeźwo. Na przykład ta o młodym bosmanie albo wszystkie zaczynające się od „Szedłem sobie raz przez...”. W okolicach Ankh-Morpork ulubioną była „Laska Maga Ma na Czubku Gałkę”.

Strażnicy byli pijani. A przynajmniej dwóch na trzech strażników. Marchewa został namówiony do skosztowania piwa, ale mu nie smakowało. Poza tym nie znał wszystkich słów, a wielu z tych, które znał, i tak nie rozumiał.

- Aha, już wiem - stwierdził po dłuższej chwili. - To taka zabawna gra słów, tak?

- Niby... - rzekł Colon, w zadumie spoglądając na ciągnącą od Ankh gęstą mgłę. - W takich chwilach żałuję, że stary...

- Niech pan tego nie mówi - przerwał mu Nobby, kołysząc się lekko. - Zgodził się pan, że nie będziemy o nim wspominać, bo to i tak nie pomoże.

- To jego ulubiona piosenka - ciągnął smutnie Colon. - Był całkiem niezłym tenorem.

- Panie sierżancie...

- Był prawym człowiekiem, ten nasz Gaskin.

- Nic na to nie mógł poradzić - mruknął Nobby.

- Ale my mogliśmy - stwierdził Colon. - Mogliśmy biec szybciej.

- A co się stało? - chciał wiedzieć Marchewa.

- Umarł - wyjaśnił Nobby. - Zginął podczas spełniania obowiązków.

- Mówiłem mu... - Sierżant pociągnął z butelki, którą zabrał ze sobą do towarzystwa. — Mówiłem. Wolniej, powtarzałem. Zrobisz sobie krzywdę. Nie wiem, co w niego wstąpiło, że tak pędził na przdzie.

- Uważam, że to wina Gildii Złodziei - oznajmił Nobby. - Żeby takich ludzi puszczać na ulice...

- Był taki facet, rozumiesz; pewnej nocy zobaczyliśmy, że dokonuje kradzieży. Na naszych oczach! Kapitan Vimes mówi: „Chodźmy”, więc pobiegliśmy. Ale, rozumiesz, nie wolno biec za szybko. Bo jeszcze możesz kogoś złapać. A takie łapanie ludzi sprowadza kłopoty...

- Nie lubią tego - wtrącił Nobby. Zamruczał grom i zastukały krople deszczu.

- Nie lubią - zgodził się Colon. - A Gaskin całkiem o tym zapomniał, biegł szybko, skręcił za róg i tam czekał już ten facet z paroma kolegami...

- Właściwie to umarł na serce - dodał Nobby.

- No. Wszystko jedno. I tak skończył. Kapitan Vimes bardzo się tym zmartwił. W Straży nie wolno szybko biegać, mój chłopcze - pouczył Marchewę sierżant. - Można być szybkim strażnikiem albo starym strażnikiem, ale nigdy nie będziesz szybkim starym strażnikiem. Biedny Gaskin.

- Nie powinno tak być — oświadczył Marchewa. Colon pociągnął z butelki.

- Ale tak jest - odpowiedział.

Deszcz stukał mu o hełm i ściekał po twarzy.

- Ale nie powinno - upierał się Marchewa.

- Ale jest - zapewnił go Colon.

Ktoś jeszcze w mieście się niepokoił: bibliotekarz. Sierżant Colon dał mu odznakę. Bibliotekarz obracał ją w swych wielkich, delikatnych dłoniach i nadgryzał ostrożnie.

Nie o to chodziło, że miasto zyskało nagle króla. Orangutany są tradycjonalistami, a czy może być coś bardziej tradycyjnego niż król? Ale lubią także mieć wszystko uporządkowane, a tutaj nie wszystko było w porządku. A raczej było za bardzo w porządku. Nieznani dziedzice tronów nie rosną na drzewach. Wiedział o tym dobrze.

Poza tym nikt nie szukał książki. Tak to jest z priorytetami u ludzi.

Książka jest kluczem do wszystkiego. Tego był pewien. No cóż, istniał tylko jeden sposób przekonania się, co w niej zapisano. Bardzo niebezpieczny sposób, ale bibliotekarz przez cały dzień podążał ścieżkami ryzyka.

W ciszy uśpionej Biblioteki otworzył biurko i z najgłębszych zakamarków wydobyl małą latarnię, specjalnie zbudowaną, by nie dopuszczać do odsłonięcia nagiego płomienia. Nigdy dość ostrożności, kiedy wokół leży tyle papieru...

Wziął także torbę orzeszków i - po namyśle - duży kłębek sznurka. Odgryzł kawałek i niczym talizman zawiesił sobie na szyi odznakę. Potem przywiązał koniec do biurka i — po chwili kontemplacji — podreptał między regały, ciągnąc sznurek za sobą.

Wiedza to potęga...

Sznurek był ważny. Po chwili bibliotekarz zatrzymał się i skoncentrował całą swą moc bibliotekarstwa.

Potęga to energia...

Ludzie czasem są głupi. Uważają, że Biblioteka to miejsce niebezpieczne z powodu wszystkich magicznych książek. To prawda, ale

jednym z najbardziej niebezpiecznych miejsc w multiversum czynił ją prosty fakt, że była biblioteką.

Energia to materia...

Skręcił w alejkę między półkami, z pozoru długą na kilka stóp, i maszerował nią raźnie przez pół godziny.

Materia to masa.

Masa zakrzywia przestrzeń. Zakrzywiają w polifraktalną L-prze-strzeń.

Dlatego, chociaż system Deweya ma swoje zalety, podczas poszukiwań w wielowymiarowych fałdach L-przestrzeni najbardziej przydatny jest kłębek sznurka.

Deszcz rozpadał się na dobre. Połyskiwał na bruku Placu Pękniętych Księżyków, zasypałym tu i tam połamanymi chorągiewkami, flagami, rozbitymi butelkami i gdzieś tam czyjaś częściowo przetrawioną kolacją. Wciąż huczał grom, a w powietrzu unosił się świeży, zielony aromat. Kilka strzępów mgły znad Ankh płynęło tuż przy gruncie. Wkrótce nadejdzie świt.

Kroki Vimesa odbijały się echem od murów. Chłopiec stał tutaj.

Przez strzępy mgły Vimes przyjrzał się najbliższemu budynkom, by ustalić, gdzie stoi. A zatem smok unosił się... Przeszedł kilka kroków... Tutaj.

— I tutaj — powiedział głośno - został zabity.

Sięgnął do kieszeni. Nosił tam najrozmaitsze drobiazgi: klucze, kawałki sznurka, korki. Wreszcie palce trafiły na okrągły odłamek kredy.

Przyklękął. Errol zeskoczył mu z ramienia i odszedł, by zbadać pozostałości uczty. Vimes zauważył, że zanim przystąpi do jedzenia, wszystko obwąchuje. Ciekawe, po co traci czas, skoro i tak wszystko zjada.

Głowa smoka znajdowała się, chwileczkę, o, tutaj.

Ruszył tyłem, przyciskając kredę do kamieni. Sunął wolno po mokrym, pustym placu, niby pradawny wyznawca jakiegoś bóstwa szukający wyjścia z labiryntu. Tutaj skrzydło, opuszczone w stronę ogona, który sięgał aż tutaj, zmiana ręki, teraz do drugiego skrzydła...

Kiedy skończył, stanął na środku wyrysowanej sylwetki i przesunął dłońmi po kamieniach. Oczekiwał, zdał sobie nagle sprawę, że będą ciepłe.

Coś przecież powinno zostać. Jakieś... Nie wiedział... Jakieś usmażone kawałki smoka.

Errol zaczął zjadać butelkę, objawiając przy tym wyraźne zadowolenie.

- Wiesz, co myślę? - zwrócił się do niego Vimes. - Myślę, że on gdzieś odszedł.

Zahuczał grom.

- Dobrze, dobrze... Tak tylko pomyślałem. Nic w tym dramatycznego.

Errol znieruchomiał z otwartą paszczą.

Bardzo powoli, jakby na gładkich, doskonale naoliwionych łożyskach, podniósł głowę.

Wpatrywał się w skupieniu w kawałek pustej przestrzeni. Niewiele więcej dałoby się o niej powiedzieć.

Vimes zadrżał pod peleryną. To bez sensu.

- Nie żartuj — powiedział. — Przecież nic tam nie ma. Errol zaczął się trząść.

- To tylko deszcz - przekonywał go Vimes. - No już, skończ tę butelkę. Pyszna butelka, Errol.

Ze smoczej paszczy wydobył się cienki, smutny jęk.

- Pokażę ci.

Rozejrzał się, zauważył jedną z kiełbasek Gardła, odrzuconą przez głodnego biesiadnika, który uznał, że nigdy nie będzie aż tak głodny. Vimes podniósł ją.

- Patrz! - zawołał i cisnął kiełbasę w górę.

Obserwując jej trajektorię, był pewien, że powinna spaść z powrotem na ziemię. Nie powinna odlecieć, jakby wrzucił ją w samo ujście tunelu w niebie. A tunel nie powinien się nagle przed nim otwierać.

Jaskrawa, fioletowa błyskawica wystrzeliła z pustki, trafiając w domy po bliższej stronie placu, przeskoczyła przez kilka sążni muru i zniknęła tak nagle, jakby w ogóle jej nie było.

Potem uderzyła znowu, tym razem trafiając mury po stronie krawędziowej. Gdzie dotknęła ścian, światło rozpadało się w sieć badawczych pasemek rozpełzających się po kamieniach.

Trzeci błysk uderzył w górę, tworząc kolumnę jaskrawego blasku, która po chwili uniosła się na pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp w powietrze, ustabilizowała i zaczęła wolno obracać.

Vimes uznał, że zjawisko wymaga komentarza.

- Arrgh - powiedział.

Kolumna światła wirowała, posyłając na wszystkie strony zygzakowate wstęgi, które przeskakiwały po dachach, czasem sięgały w głąb, czasem zawracały. Jakby czegoś szukały.

Errol wrócił pędem, wymachując łapami, wskoczył kapitanowi na ramię i z całej siły wbił pazury. Ostry ból przypominał Vimesowi, że powinien coś zrobić. Może znowu krzyknąć? Spróbował jeszcze raz:

- Arrgh...

Nie, to nie to.

Powietrze zapachniało rozgrzaną blachą.

Z dźwiękiem, jaki wydaje koło ruletki, karetka lady Ramkin wtoczyła się na plac i popędziła prosto na Vimesa. Zatrzymała się tak gwałtownie, że sam powóz poślizgiem zatoczył półokrąg, zmuszając konie, by albo odwróciły się w miejscu, albo splotły nogi w warkocze. Wściekłe zjawisko w grubym skórzanym fartuchu, rękawicach, tarczy i sześćdziesięciu łokciach różowego tiulu wychyliło się i krzyknęło:

- Wskakuj, idioto nieszczęsny!

Rękawica ścisnęła go za bezwładną rękę i wciągnęła do środka.

- I przestań wrzeszczeć - nakazało widmo, ogniskując w tych pięciu sylabach generację wrodzonej władczości. Kolejny okrzyk zachęcił zdumione konie do galopu ze startu zatrzymanego.

Karetka podskakiwała na bruku. Badawcza wstęga migotliwego blasku musnęła lekko lejce, po czym straciła zainteresowanie.

- Pewnie nie wie pani, co się tu dzieje! - zawołał Vimes, przekrzykując trzaski kolumny wirującego ognia.

- Nie mam pojęcia!

Promienie światła otoczyły miasto niby sieć, przygasając wraz z odległością. Vimes wyobraził sobie, jak zaglądają w okna i wsuwają się pod drzwi.

- Wygląda, jakby czegoś szukało! - stwierdził.

- W takim razie lepiej się stąd wynieść, zanim znajdzie! To chyba najlepszy pomysł!

Jęzor ognia uderzył w Wieżę Sztuk, spłynął po jej porośniętych bluszczem ścianach i zniknął pod kopułą Biblioteki Niewidocznego Uniwersytetu.

Pozostałe wstęgi światła zgasły nagle.

Lady Ramkin wyhamowała konie po drugiej stronie placu.

- Po co mu Biblioteka? - zdziwiła się.

- Może chce tam coś sprawdzić?

- Proszę nie żartować - rzuciła lekceważąco. - Tam jest tylko masa książek. Niby co taka błyskawica miałaby czytać?

- Coś bardzo krótkiego?

- Naprawdę uważam, że powinien pan okazać więcej rozsądku.

Promień światła połączył łukiem kopułę Biblioteki i środek placu, po czym zawisł nieruchomo - pas blasku szerokości kilku stóp.

I nagle zmienił się w kulę ognia, która rosła szybko, aż objęła cały plac i zniknęła nagle, pozostawiając po sobie fioletowe, migotliwe cienie wśród nocy.

I plac wypełniony smokiem.

Kto by przypuszczał? Tyle mocy, i to tak blisko. Smok czuł, jak magia przepływa przez niego, jak odnawia go z sekundy na sekundę, zaprzeczając nudnym prawom fizyki. To nie ta nędzna strawa, jaką dostawał poprzednio. To jest to, co należy. Z czymś takim nic nie ograniczy jego możliwości. Ale najpierw musi złożyć wizyty kilku osobom... Wciągnął w nozdrza wilgotne powietrze przedświt. Szukał odoru umysłów.

Szlachetne smoki nie miewają przyjaciół. Najbliższy temu pojęciu jest dla nich wróg, który jeszcze żyje.

Powietrze znieruchomiało - znieruchomiało tak dokładnie, że słyszało się niemal szmer opadającego kurzu. Bibliotekarz posuwał się coraz dalej między nieskończonymi regałami. Wciąż miał nad głową kopułę Biblioteki, ale ona przecież zawsze tam była.

Wydawało mu się rzeczą całkiem logiczną, że skoro istnieją przejścia na zewnątrz półek, powinny też istnieć przejścia między samymi książkami, korytarze samą masą słów stwarzane z kwantowych

zmarszczek. Zza niektórych półek dochodziły dziwne odgłosy i wiedział, że gdyby delikatnie wyjął jedną czy dwie książki, zajrzałby do innych bibliotek pod innym niebem.

Książki zaginają czasoprzestrzeń. Powodem, dla którego właściciele wspomnianych już ciasnych antykwariatów zawsze sprawiają wrażenie ludzi trochę nie z tego świata, jest to, że wielu z nich rzeczywiście stamtąd pochodzi. Zabłąkali się do nas, skręcając nie w tę stronę we własnym antykwariacie w świecie, gdzie na nogach przez cały czas wypada nosić bambosze, a sklep otwierać tylko wtedy, kiedy ma się ochotę. W L-przestrzeń każdy zanurza się na własne ryzyko.

Najstarsi bibliotekarze jednak, kiedy wykazali już swoją wartość, dokonując jakiegoś bohaterskiego bibliotekarskiego czynu, przyjmowani są do tajnego związku i nauczani sztuki przetrwania poza Półkami, Które Znamy.

Bibliotekarz opanował ją doskonale, ale za to, czego w tej chwili próbował, zostałby z pewnością usunięty nie tylko z tajnego związku, ale i spośród żywych.

Wszystkie biblioteki są połączone z L-przestrzenią. Wszystkie. A bibliotekarz, kierując się znakami książek wyrytymi na regałach przez dawnych wędrowców, kierując się zapachem, kierując się nawet syrenim szeptem nostalgii, zdążał ku jednej z nich, bardzo szczególnej.

Tylko jedno go pocieszało: jeśli mu się nie uda, nigdy się o tym nie dowie.

Na ziemi smok wyglądał gorzej. W powietrzu był żywiołem, pełnym gracji nawet wtedy, kiedy starał się wypalić człowieka do butów. Na ziemi stawał się tylko strasznie wielkim zwierzęciem.

Jego ogromna głowa uniosła się na tle szarości świtu. Lady Ramkin i Vimes wyjrzeli ostrożnie zza poidła. Vimes zaciskał palcami pysk Errola. Mały smok piszczał jak zbity szczeniak i próbował się wyrwać.

- Wspaniała bestia - stwierdziła lady Ramkin głosem, który uważała prawdopodobnie za szept.

- Wolałbym, żeby przestała pani to powtarzać.

Rozległ się zgrzyt - to smok ciągnął swe cielsko po bruku.

- Wiedziałem, że go nie zabił - syknął Vimes. - Nie było żadnych kawałków. Wszystko rozegrało się zbyt czysto. Założę się, że ktoś go gdzieś odesłał, używając magii. Proszę na niego spojrzeć! Jest przecież niemożliwy! Potrzebuje magii do życia!

- O co panu chodzi, kapitanie? — spytała lady Ramkin, nie odrywając spojrzenia od pancernych boków.

O co mu chodziło? O co? Zastanowił się szybko.

- Chodzi mi o to, że taki smok nie jest fizycznie możliwy - wyjaśnił. - Coś tak ciężkiego nie może latać ani ziać ogniem. Mówiłem przecież.

- Wygląda na rzeczywistego. Wie pan, stworzenia magiczne powinny chyba prześwitywać.

- Jest rzeczywisty. Rzeczywisty jak lichy - mruknął z goryczą Vimes. — Ale przypuśćmy, że potrzebuje magii tak jak my... jak my... słońca? Albo pożywienia?

- Sugeruje pan, że jest taumatożercą?

- Chcę powiedzieć, że zjada magię i tyle. - Vimes nie odebrał klasycznego wykształcenia. - Proszę pomyśleć: gdyby wśród tych smoków bagiennych, zawsze na skraju wyginięcia, w prehistorycznych czasach któryś z nich nauczył się korzystać z magii?

- Kiedyś sporo było naturalnej magii — stwierdziła po namyśle lady Ramkin.

- No właśnie. W końcu różne stworzenia używają powietrza albo morza. Jeśli jest pod ręką jakieś naturalne źródło, ktoś z niego skorzysta. Wtedy nie musi się przejmować złym trawieniem, ciężarem ani wielkością skrzydeł, ponieważ wszystko to rozwiąże magia. O!

Ale musi jej być dużo, pomyślał. Nie był pewien, ile magii potrzeba do takiej zmiany świata, żeby tony opancerzonego cielska mogły śmigać po niebie jak jaskółka. Ale był pewien, że dużo.

Wszystkie te kradzieże... Ktoś dokarmiał smoki.

Zerknął na gmach Biblioteki Niewidocznego Uniwersytetu, pełnej magicznych ksiąg - największy na Dysku zbiór wydestylowanej mocy magicznej.

A teraz smok nauczył się żyć samodzielnie.

Nagle uświadomił sobie, że lady Ramkin się poruszyła. Z przerażeniem zobaczył, że kroczy w kierunku smoka, wysuwając podbródek niczym kowadło.

- Co pani wyprawia, u licha? — szepnął głośno.

-Jeżeli pochodzi od smoków bagiennych, to potrafię chyba nad nim zapanować - odparła. - Trzeba tylko patrzeć im w oczy i przemawiać stanowczo. Nie potrafią się oprzeć surowemu ludzkiemu głosowi. Brakuje im siły woli. To duże pieszczochy.

Zawstydzony Vimes odkrył, że jego nogi nie życzą sobie mieć nic

wspólnego z szaleńczym skokiem i ściągnięciem jej z powrotem. Dumie wcale się to nie spodobało, ale ciało zauważyło tylko, że to nie duma wystawia się na ryzyko rozsmarowania na ścianie najbliższego budynku.

Czerwone ze wstydu uszy przekazały do mózgu jej słowa:

- Niegrzeczny chłopczyk!

Echa tej surowej przygany zadźwięczały na całym placu.

Bogowie, myślał, czy tak się szkoli smoki? Trzeba pokazać stopioną kałużę na podłodze i pogrozić, że wetknie się w nią ich nos?

Zaryzykował szybkie spojrzenie zza koryta.

Smoczy łeb obracał się wolno niby ramię dźwigu. Zwierzę z trudem skupiało spojrzenie na lady Ramkin, stojącej wprost pod nim. Vimes widział, jak wielkie czerwone oczy mrużą się, próbując zezować ponad nosem. Smok wyglądał za zdziwionego. Ale nie był zaskoczony.

- Siad! - huknęła lady Ramkin tonem tak rozkazującym, że nogi Vimesa przygięły się mimowolnie. - Grzeczny maluch! Chyba mam tu gdzieś kawałek węgla... - Poklepała się po kieszeni.

Kontakt wzrokowy. To było najważniejsze. Nie powinna nawet na chwilę odwracać głowy.

Smok leniwie uniósł szpon i przycisnął ją do ziemi.

Vimes próbował poderwać się ze zgrozą, gdy Errol wyrwał się i jednym susem przefrunął nad poidłem. Skakał po bruku, wściekle machając skrzydłami i rozdziawiając paszczę. Wydawał przy tym zgrzytliwe beknięcia i próbował zionąć ogniem.

Odpowiedzią na to była struga niebieskobiałego płomienia, który stopił kamienie w bulgoczącą kałużę średnicy kilku stóp, jednak nie trafił w przeciwnika. Trudno było zestrzelić go w powietrzu, ponieważ Errol wyraźnie nie miał pojęcia, gdzie znajdzie się za chwilę ani w jakiej pozycji tam trafi. Jego jedyną szansą był szybki ruch, skakał więc i skręcał między

coraz bardziej wściekłymi płomieniami niczym przerażona, ale zdeterminowana subatomowa cząsteczka.

Przy dźwięku rzucanych w kąt dziesięciu kotwicznych łańcuchów wielki smok stanął na tylnych łapach i spróbował strącić napastnika w locie.

Nogi Vimesa w tym momencie skapitulowały i uznały, że przez chwilę mogą być nogami heroicznymi. Kapitan przemknął przez dzielącą go od lady Ramkin przestrzeń, ściskając w ręku miecz, który zresztą na nic by mu się nie przydał, chwycił kobietę za ramię i zmoczoną suknię balową, po czym zarzucił sobie na barki.

Pokonał kilka sążni, zanim dotarła do niego głębia popełnionego błędu.

— Gngh — stęknął.

Kręgosłup i kolana Vimesa usiłowały zmienić się w jedną bryłę. Fioletowe plamki migały mu przed oczami. A w dodatku coś nieznanego, ale najwyraźniej zrobionego z fiszbinu, boleśnie kłuło go w kark.

Z rozpędu przebiegł jeszcze kilka kroków, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, zostanie zmiażdżony. Ramkinowie nie przekazywali potomkom urody; dawali im zdrowie, solidną budowę i ciężkie kości. Przez wieki osiągnęli doskonałe wyniki.

Struga błękitnego ognia trzasnęła o bruk kilka stóp od Vimesa.

Później zastanawiał się często, czy tylko sobie wyobraził, że podskakuje kilka cali w powietrze i pokonuje resztę dystansu do poidła w przyzwoitym tempie. Może w sytuacjach ekstremalnych każdy uczy się takich natychmiastowych przemieszczeń, jakie dla Nobby'ego były drugą naturą. W każdym razie koryto znalazło się za nim, a lady Ramkin leżała mu na rękach, a w każdym razie przyciskała jego ręce do ziemi. Zdołał je uwolnić i rozmasować, aż odzyskały nieco czucia. Co dalej? Nie wyglądała na ranną. Przypomniawszy sobie, że należy zemdlonej osobie poluzować odzież, chociaż w tym przypadku byłoby to ryzykowne bez specjalnych narzędzi.

Sama rozwiązała zasadniczy problem, chwytając za krawędź koryta i

podciągając się do pozycji siedzącej.

- No dobrze - powiedziała. - Mam tu papuc na ciebie... - Wtedy dopiero rozpoznała Vimesa. - Co się tu dzieje, do... - zaczęła znowu i ponad ramieniem kapitana dostrzegła rozgrywającą się scenę. - Niech to demon! Proszę wybaczyć mój klatchiański.

Errolowi brakowało sił. Krótkie skrzydła nie mogły utrzymać go nad ziemią, musiał więc trzepotać nimi szaleńczo niczym kura.

Wielkie pazury ze świstem przecinały powietrze. Jeden z nich zaczepił o którąś z fontann na placu i zburzył ją kompletnie.

Inny celnie trafił Errola.

Mały smok przemknął nad głową Vimesa po prostym torze wznoszącym, upadł na dach i zaczął się zsuwać.

- Proszę go łapać! - krzyknęła lady Ramkin. - To ważne!

Vimes spojrzał na nią niepewnie, po czym rzucił się z pomocą w chwili, gdy gruszkokształtne ciało Errola prześliznęło się nad krawędzią dachu i runęło w dół. Okazało się zaskakująco ciężkie.

- Dzięki bogom - odetchnęła lady Ramkin, wstając z wysiłkiem. - One tak łatwo wybuchają... A to byłoby groźne.

Przypomnieli sobie o drugim smoku. Nie należał do odmiany wybuchającej. Był typem zabijającym ludzi.

Odwrócili się wolno.

Bestia pochyliła się nad nimi, obwąchała, a potem, jakby całkiem nie mieli znaczenia, odwróciła się. Z jednym leniwym machnięciem skrzydeł wzleciała ciężko w powietrze i powoli powiosłowała nad placem, coraz wyżej, aż zniknęła w spowijającej miasto mgle.

W tej chwili Vimesa bardziej interesował mniejszy smok, którego trzymał na rękach. Małemu przerażająco burczało w brzuchu i kapitan

żałował, że nie obejrzał dokładniej podręcznika smoczych chorób. Czy takie burczenie oznaczało, że właściciel żołądka za chwilę eksploduje, czy może raczej należało uważać na moment, kiedy burczenie ucichnie?

- Musimy go ścigać! - uznała lady Ramkin. - Co się stało z karetą?

Vimes machnął ręką mniej więcej w kierunku, w którym - o ile zauważył - pognały w panice konie.

Errol kichnął, wypuszczając chmurę gazu, pachnącą gorzej niż coś od lat zamurowanego w piwnicy. Słabo pomachał łapami, językiem podobnym w dotyku do gorącej tarki liznął Vimesa po twarzy, zeskoczył mu z rąk i odbiegł.

- Gdzie on ucieka? - zahuczała lady Ramkin. Wyłoniła się z mgły, ciągnąc za sobą konie. Nie chciały iść, krzesaly kopytami iskry, ale przegrywały tę bitwę.

- Wciąż próbuje rzucić tamtemu wyzwanie - odparł Vimes. - Myślałem, że zrezygnuje.

- Walczą jak demony - wyjaśniła lady Ramkin, kiedy siedzieli już w powozie. - Rozumie pan, chodzi o to, żeby wywołać eksplozję przeciwnika.

- Sądziłem, że w naturze pokonane zwierzę poddaje się i przewraca na grzbiet, a to kończy walkę - wyznał Vimes, gdy jechali za znikającym smokiem bagiennym.

- Ze smokami ta sztuczka nie działa. Kiedy jakieś tępe stworzenie przewraca się na grzbiet, wypruwa mu się flaki. Tak to widzą. Są prawie jak ludzie.

Chmury gęstniały nad Ankh-Morpork. Powyżej rozlewał się złoty blask słońca Dysku.

Smok połyskiwał w świetle, swobodnie płynąc w powietrzu i wykonując nieprawdopodobne zwroty i pętle — dla samej radości lotu. Dopiero potem przypomniawszy sobie o sprawach do załatwienia. Mieli czelność go przywoływać...

W dole oddział Straży wędrował od ściany do ściany ulicy Poniższych Bóstw. Mimo gęstej mgły zaczynał się pracowity czas.

- Jak się nazywają te, no... takie cienkie schody? - zapytał sierżant Colon.

- Drabiny - odparł Marchewa.

- Dużo ich dzisiaj — stwierdził Nobby. Obszedł dookoła najbliższą, po czym ją kopnął.

- Oj!

Jakiś człowiek spadł na dół, do połowy owinięty girlandą chorągiewek.

- Co się tu dzieje? - zapytał go Nobby.

Właściciel chorągiewek zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- A kto pyta, kurduplu?

- Przepraszam bardzo, to my - rzekł Marchewa, wynurzając się z mgły niczym góra lodowa.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie.

- Chodzi o koronację, nieprawdaż — wyjaśnił. - Musimy ozdobić ulice na koronację. Musimy wywiesić flagi. Musimy rozciągnąć tradycyjne chorągwie, nieprawdaż.

Nobby przyjrzał się niechętnie pogniecionym proporcom.

- Nie wyglądają tradycyjnie — zauważył. — Wyglądają na całkiem nowe. A co to za tłuste, obwisłe stwory na tarczy?

- To królewskie hipopotamy Ankh - wyjaśnił z dumą mężczyzna. - Przypominają o naszym szlachebnym dziedzictwie.

- Od kiedy to mamy szlachebne dziedzictwo?

- Od wczoraj, ma się rozumieć.

- Nie można zyskać dziedzictwa w jeden dzień - stwierdził Marchewa. — Ono musi trwać przez długi czas.

- Jeśli nawet nie mamy - wtrącił sierżant Colon - to założę się, że niedługo będziemy mieli. Moja żona zostawiła mi liścik na ten temat. Po tylu latach okazuje się, że jest monarchistką. - Wściekle kopnął krawężnik. - Co za życie! Człowiek przez trzydzieści lat flaki z siebie wypruwa, żeby mogła położyć na stole kawałek mięsa, a ona potrafi mówić tylko o jakimś młodziku, który ma zostać królem za pięć minut roboty. Wiecie, co dostałem wczoraj do herbaty? Kanapki z sosem z pieczeni.

Dwaj kawalerowie nie zareagowali tak, jak się spodziewał.

- O rany - mruknął Nobby.

- Prawdziwy sos z pieczeni? - upewnił się Marchewa. - Taki z małymi, chrupiącymi kawałkami na wierzchu? I błyszczącymi plamami tłuszczu?

- Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz próbowałem skrzepłego sosu — westchnął Nobby, wspominając gastronomiczne niebo. - Trochę soli i pieprzu, a robi się danie godne k...

- Nie wymawiaj tego słowa - ostrzegł go Colon.

- Najlepsze jest, kiedy przebijesz nożem tłuszcz, a na wierzch wypływa brązowy, złoty płyn - rozmarzył się Marchewa. - Taka chwila warta jest k...

- Cisza! Cisza! - wrzasnął Colon. - Jesteście obaj... Co to było, na demony?

Poczuł nagły podmuch z góry, zobaczyli, jak mgła nad głowami zwija się w kłęby i rozsnuwa na ścianach domów. Zimne powietrze powiało ulicą i

zniknęło.

- Jakby coś przeleciało u góry — stwierdził sierżant. I znieruchomiał.
— Nie myślicie chyba...

- Widzieliśmy przecież, że go zabił - odparł pośpiesznie Nobby

- Widzieliśmy, że zniknął - poprawił go Marchewa.

Spojrzeni po sobie niespokojnie, samotni na mokrej, przesłoniętej mgłą ulicy. Tam w górze mogło być wszystko. Wyobrażenia zapełniła przestrzeń strasznymi zjawami. A jeszcze gorsza była świadomość, że Natura mogła sobie z tym poradzić o wiele lepiej.

- Nie - uznał Colon. - To pewnie tylko jakiś... jakiś wielki ptak brodzący. Albo co.

- Czy powinniśmy coś zrobić? - upewnił się Marchewa.

- Tak - odparł Nobby. - Powinniśmy odejść stąd jak najszybciej. Przypomnij sobie Gaskina.

- Może to drugi smok - zastanawiał się Marchewa. - Trzeba ostrzec ludzi i...

- Nie — zaprotestował stanowczo sierżant. — Ponieważ a) i tak nam nie uwierzą, i b) mamy już króla. Smoki to jego robota.

- Zgadza się - przyznał kapral. - Na pewno by się pogniewał. Smoki to prawdopodobnie, no wiesz, królewskie zwierzęta. Jak jelenie. Mogą człowiekowi wyrwać tridlina[19] za samą myśl o zabiciu któregoś, kiedy jest król w okolicy.

- Lepiej się czuję wiedząc, że jestem niski - mruknął Colon.

- Z niskiego rodu - poprawił go Nobby.

- Nie jest to obywatelska postawa... - zaczął Marchewa, ale przerwał mu Errol.

Mały smok nadbiegł środkiem ulicy, unosząc w górę wyprężony ogon i wpatrując się w chmury na niebie. Przebiegł obok strażników, nie zwracając na nich uwagi.

- Co mu jest? — zdziwił się Nobby.

Głośny turkot okazał się sygnałem nadjeżdżającej karety Ramkinów. Z mgły wychylił się Vimes.

- Ludzie?! - zawołał.

- Oczywiście - odpowiedział sierżant Colon.

- Nie widzieliście tu smoka? Poza Errolem?

- No, tego... sir... - Sierżant spojrział na dwóch kolegów. -Mniej więcej, sir. Możliwe. Mógł tam być.

- Więc nie stójcie jak manekiny - odezwała się lady Ramkin. - Wsiadajcie! Miejsca wystarczy.

Wystarczyło. Kiedy karete budowano, była zapewne istnym cudem, cała w pluszach, złoceniach, frędzlach i firankach. Czas, zaniedbanie, a także wyrwanie tapicerki, by umożliwić przewóz smoków na wystawy, odebrały swoją daninę, jednak powóz wciąż pachniał luksusem, przywilejami i - oczywiście — smokami.

- Co ty wyczyniasz? - zdziwił się Colon, kiedy ruszyli z turkotem.

- Macham - odparł Nobby, łaskawie pozdrawiając dłonią kłęby mgły.

- Właściwie to obrzydliwe - mruczał sierżant. - Ludzie rozbijają się takimi powozami, a inni tymczasem nie mają dachu nad głową.

- To powóz lady Ramkin — wyjaśnił Nobby. — Ona jest w porządku.

- No, niby tak, ale co powiesz ojej przodkach? Nie można się dorobić wielkich domów i powozów, choć trochę nie wyzyskując biedaków.

-Jesteście źli, sierżancie, bo wasza żona haftuje korony na bie-liźnie - domyślił się Nobby.

- To nie ma nic do rzeczy — oburzył się Colon. — Zawsze byłem zwolennikiem praw człowieka.

- I krasnoluda - dodał Marchewa.

- Tak, jego też - zgodził się Colon bez przekonania. -A cała ta historia z królami i książętami narusza przyrodzoną ludzką godność. Wszyscy rodzimy się równi. Niedobrze mi się robi od tego.

- Nigdy nie słyszałem od ciebie takich poglądów, Fryderyku — zdziwił się Nobby.

- Dla ciebie: sierżancie Colon, Nobby.

- Przepraszam, sierżancie.

Mgła tymczasem formowała prawdziwe ankh-morporskie jesienne gumbo[20]. Vimes wpatrywał się w nią, a kropelki wilgoci z entuzjazmem wsiąkały mu w koszulę.

- Nie widzę go - oznajmił. - Spróbujmy skrócić w lewo.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Gdzieś w dzielnicy handlowej - odparł krótko Vimes. Errol trochę zwolnił. Cały czas patrzył w górę i od czasu do czasu skowyczał.

- Nic nie widzę w tej piekielnej mgle - mruknął Vimes. - Zastanawiam się...

Jakby słysząc jego narzekania, mgła rozjaśniła się nagle. Rozkwitła przed nimi niby chryzantema i wydała odgłos podobny do „uumf.

- Nie - jęknął Vimes. - Znowu!

- Czy Puchary Prawości zostały prawdziwie i dobrze zalane? — zaintonował brat Strażnica.

- Tak, zalane w pełni, jak należy.

- A czy Wody Świata są Wstrzymane?

- Tak, wstrzymane dokładnie. . - Czy Demony Nieskończoności spętano wieloma łańcuchami?

- Niech to lichy - mruknął brat Tynkarz. - Zawsze coś wypadnie.

Brat Strażnica wyraźnie się zniechęcił.

- Chociaż raz byłoby miło, gdybyśmy bezbłędnie przeprowadzili starożytne i ponadczasowe rytuały. Prawda? Lepiej bierz się do pracy.

- Czy nie będzie szybciej, bracie Strażnico, jeśli przy następnym rytuale zrobię to dwa razy?

Brat Strażnica zastanowił się z ponurą miną. Propozycja wydawała się rozsądna.

- No dobrze — zgodził się wreszcie. - A teraz stań z pozostałymi. I powinienes się do mnie zwracać: Pełniący Obowiązki Najwyższego Wielkiego Mistrza. Zrozumiano?

To żądanie nie spotkało się z odpowiednią i godną reakcją bractwa.

- Nikt nam nie mówił, że będziesz Pełnił Obowiązki Najwyższego Wielkiego Mistrza - burknął brat Odźwierny.

- Po co miał mówić, kiedy wiadomo, że tak jest, ponieważ Najwyższy Wielki Mistrz prosił mnie, żebym otworzył zebranie Łoży. Bo on jest zajęty pracą przy koronacji - odparł z dumą brat Strażnica. - Jeśli to nie znaczy, że Pełnię Obowiązki Najwyższego Wielkiego Mistrza, to już nie wiem, jakich wam trzeba dowodów. Jasne?

- Wcale niejasne - upierał się nie przekonany brat Odźwierny.

- Wcale ci się nie należy taki długi tytuł. Można cię nazywać, boja wiem, na przykład Monitorem Rytuału.

- Pewnie - wtrącił się brat Tynkarz. - Nie masz powodu tak zadzierać nosa. Żadni mnisi ani nikt nie uczył cię przecież pradawnych i mistycznych tajemnic.

- My też siedzieliśmy tu godzinami - dodał brat Odźwierny. -To niesprawiedliwe. Myślałem, że zostaniemy wynagrodzeni...

Brat Strażnica zdał sobie sprawę, że przestaje panować nad bractwem. Spróbował dyplomacji.

-Jestem pewien, że Najwyższy Wielki Mistrz zjawi się wkrótce - powiedział. - Nie psujmy teraz wszystkiego, co, chłopcy? Zorganizowanie tej walki ze smokiem i załatwienie jej zgodnie z planem to było coś, mam rację? Warto chyba poczekać jeszcze trochę, prawda?

Stojące kręgiem postacie w długich szatach i kapturach zaszemrały zgodnie.

- Dobra.

- Może być.

-Tak.

- OCZYWIŚCIE.

-Jasne.

- Skoro tak twierdzisz.

Brata Strażnicę opanowało dziwne uczucie, że coś się tu nie zgadza, chociaż nie potrafiłby określić, co właściwie.

- Ehm - chrząknął. - Bracia?

Oni także poruszyli się niespokojnie. Coś w pomieszczeniu budziło dreszcze. Zapanowała tu... atmosfera.

- Bracia - powtórzył brat Strażnica, próbując odzyskać panowanie nad sobą. - Jesteśmy tu wszyscy, prawda? Odpowiedział mu chór potwierdzeń.

- Pewnie, że jesteśmy.

- O co chodzi?

- Tak! TAK

-Tak.

Znowu: subtelna nieprawidłowość, której nie można wskazać palcem, ponieważ palec drży ze strachu. Ale załęcznione myśli brata Strażnicy przerwał dobiegający z dachu odgłos skrobania. Kilka okruchów tynku opadło do kręgu.

- Bracia? - powtórzył nerwowym tonem brat Strażnica.

Zabrzmiął jeden z tych bezgłośnych dźwięków, dzwoniąca w uszach cisza niezwyklej koncentracji i możliwe, że wciąganie powietrza do płuc wielkości stogu siana. Ostatnie szczury wiary w siebie brata Strażnicy uciekały z tonącego okrętu jego odwagi.

- Bracie Odźwierny, zechciej proszę otworzyć rygle mrocznego portalu... - wyjąkał.

I wtedy rozbłysło światło.

Nie czuł bólu. Nie było na to czasu.

Śmierć pozbawia człowieka wielu rzeczy, zwłaszcza kiedy przybywa w temperaturze dość wysokiej, by odparować metale. Pozbawia między innymi złudzeń. Nieśmiertelne szczątki brata Strażnicy obserwowały, jak smok znika we mgłę, po czym spojrzały na krzepnącą kałużę kamienia, metalu i rozmaitych pierwiastków śladowych. Było to wszystko, co pozostało z tajnej łoży. I jej członków, uświadomił sobie ze spokojem, który jest naturalnym

elementem bycia martwym. Człowiek idzie przez życie, stara się, a wszystko po to, żeby skończyć jako plama wirująca w kałuży niczym kropla śmietanki w filiżance kawy. Nie wiedział, w co grają bogowie; zasady ich gier były strasznie tajemnicze.

Zerknął na stojącą obok zakapturzoną postać.

- Nie chcieliśmy tego — zapewnił słabym głosem. — Naprawdę. Bez urazy. Chcieliśmy tylko odebrać, co się nam należało. Koścista dłoń poklepała go pocieszająco po ramieniu. GRATULACJE, powiedział Śmierć.

Poza Najwyższym Wielkim Mistrzem, jedynym Świetlistym Bratem nieobecnym w chwili przybycia smoka był brat Palcy. Wysłano go po pizzę. Brat Palcy zawsze chodził po jedzenie. Tak było taniej: nigdy jakoś nie opanował sztuki płacenia za towar.

Kiedy strażnicy wytoczyli się za Errolem, brat Palcy stał ze stosem tekturowych pudeł w ręku i z otwartymi ustami.

Tam, gdzie powinien się znajdować mroczny portal, rozlewała się ciepła kałuża rozmaitych roztopionych substancji. - O moi bogowie! - szepnęła lady Ramkin.

Vimes zsunął się z kozła i klepnął brata Palcego po ramieniu.

- Przepraszam uprzejmie - powiedział. - Czy przypadkiem nie zauważył pan...

Kiedy brat Palcy się do niego odwrócił, miał twarz człowieka, który przefrunął na lotni ponad wrotami Piekieł. Na przemian otwierał i zamykał usta, jednak nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Vimes spróbował jeszcze raz. Zastygła na twarzy brata Palcego czysta groza zaczynała mu się udzielać.

- Czy zechce pan udać się ze mną do Yardu? Mam powody, by podejrzewać... - Zawahał się. Nie był całkiem pewien, co właściwie ma powody podejrzewać. Ale ten człowiek był winien; wystarczyło na niego spojrzeć. Może nie winien czegoś konkretnego, ale zwyczajnie winien w sensie ogólnym.

- Nnnnno... - powiedział brat Palcy.

Sierżant Colon delikatnie otworzył pokrywę górnego pudełka.

- Co o tym myślicie, sierżancie? - zapytał Vimes.

- Ehm... Wygląda na ostrą klatchiańską z anchois, sir - odparł Colon tonem znawcy.

- Chodzi mi o tego człowieka — wyjaśnił znużony Vimes.

- Nnn... - powiedział brat Palcy. Colon zajrzał mu pod kaptur.

- Znam go, sir - oznajmił. - To Bengy Chyżostopy Boggis, sir. Gruba ryba w Gildii Złodziei. Poznaliśmy się lata temu, sir. Chytra sztuka z niego. Pracował kiedyś na Uniwersytecie.

- Co, jako mag?

- Nie, taka złota rączka. Ogrodnik, cieśla i różne takie.

- Aha. Rzeczywiście?

- Czy możemy coś zrobić dla tego biedaka? - wtrąciła lady Ram-kin.

Nobby zasalutował sprężyscie.

- Mogę kopnąć go w jądra, specjalnie dla pani.

- Sss... - powiedział brat Palcy i zaczął dygotać.

Lady Ramkin uśmiechnęła się lodowato, jak każda wysoko urodzona dama, która postanowiła nie okazywać, że rozumie, co do niej przed chwilą

powiedziano.

- Wy dwaj, wsadźcie go do powozu - polecił Vimes. - Jeśli to pani nie przeszkadza, lady Ramkin...

- .. Sybil... - poprawiła go lady Ramkin.

Vimes zarumienił się i mówił dalej.

- Trzeba będzie go przymknąć. Z oskarżenia o kradzież książki, konkretnie *Przywoływania smoków*.

- Ma pan rację, sir - zgodził się Colon. - W dodatku pizze stygną. Ser jest niedobry, kiedy wystygnie.

- I żadnego kopania - ostrzegł kapitan. - Nawet jeśli nie zostają ślady. Marchewa, ty pójdziesz ze mną.

- Sssmmm... - wtrącił brat Palcy.

- I zabierzcie Errola. Tutaj chyba zwariuje. Ale muszę przyznać, że odważny z niego maluch.

- Wspaniały smok, jeśli się chwilę zastanowić — przyznał Colon. Errol truchtał tam i z powrotem przed wypalonym budynkiem i piszczął.

- Spójrzcie na niego — rzekł Vimes. — Nie może się doczekać walki.

Jak szarpnięty nitką, podniósł głowę i spojrzał na kłęby mgły. On gdzieś tam jest, pomyślał.

- Co teraz zrobimy, sir? — zapytał Marchewa, kiedy powóz odjechał z turkotem.

- Nie denerwujesz się?

- Nie, sir.

Ton jego głosu trącił jakąś strunę w mózgu Vimesa.

- Nie - mruknął. - Nerwy to nie dla ciebie. Myślę, że to kwestia wychowania przez krasnoludy. Nie masz wyobraźni.

- Staram się, jak mogę, sir - zapewnił stanowczo Marchewa.

- Wciąż odsyłasz pensję do domu, dla matki?

- Tak, sir.

- Dobry z ciebie chłopak.

- Dziękuję, sir. Co teraz będziemy robić, sir? Vimes rozejrzał się. Zrobił kilka bezcelowych, powolnych kroków. Rozłożył szeroko ręce, po czym opuścił je zniechęcony.

- Skąd mogę wiedzieć - odparł. - Musimy chyba ostrzec ludzi. Lepiej chodźmy do pałacu Patrycjusza. A potem...

We mgle rozległy się czyjeś kroki. Vimes zesztyniał, przyłożył palec do ust i pociągnął Marchewę w mrok bramy.

Z kłębow mgły wynurzyła się postać.

Jeszcze jeden, pomyślał Vimes. Ale przecież prawo nie zakazuje noszenia długich czarnych szat i głębokich kapturów. Człowiek może mieć dziesiątki całkowicie niewinnych powodów, żeby nosić długą czarną szatę, głęboki kaptur i stać o świcie przed roztopionym domem.

Może poprosić, żeby wymienił choć jeden?

Wyszedł z mroku.

- Przepraszam uprzejmie... - zaczął.

Kaptur odwrócił się. Syknął wciągany gwałtownie oddech.

- Chciałem spytać, czy zechciałby pan... Młodszy funkcjonariusz Marchewa, za nim!

Postać w długiej czarnej szacie wystartowała ostro. Przemknęła wzdłuż ulicy i dotarła do rogu, gdy Vimes był jeszcze w połowie drogi. Kiedy skręcił, zobaczył znikającą w zaułku sylwetkę.

Uświadomił sobie, że biegnie sam. Wyhamował zdyszany i obejrzał się. Marchewa lekkim truchtem mijał właśnie róg ulicy.

- Co jest? — wysapał kapitan.

- Sierżant Colon mówił, że nie powinno się biegać - wyjaśnił Marchewa.

Vimes przyjrzał mu się zdumiony. Potem z wolną nadeszło zrozumienie.

- Aha, rozumiem — powiedział. — Ale nie miał chyba na myśli, mój chłopcze, wszystkich możliwych okoliczności. - Spróbował przebić wzrokiem mgłę. - Zresztą i tak nie mieliśmy wielkich szans w tej mgłę i na tych ulicach.

- Mógł być przypadkowym przechodniem, sir - zauważył Marchewa.

- Niby jak? W Ankh-Morpork?

- Tak jest, sir.

- Powinniśmy go zatem łapać choćby z powodu jego wyjątkowości.

Poklepał Marchewę po ramieniu.

- Chodźmy. Powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do pałacu Patrycjusza.

- Królewskiego pałacu — poprawił go Marchewa.

- Co? - zdziwił się Vimes, gubiąc wątek myśli.

- Teraz to pałac króla — wyjaśnił młodszy funkcjonariusz. Vimes zerknął na niego z ukosa i zaśmiał się ponuro.

- Masz rację - przyznał. - Naszego króla smokobójcy. Dobrze się spisał, nie ma co. - Westchnął ciężko. - To im się nie spodoba.

Nie spodobalo się. Nikomu.

Pierwszą przeszkodą okazała się gwardia pałacowa.

Vimes nigdy ich nie lubił. Oni jego też nie. Owszem, może jego ludzi tylko krok dzielił od drobnych opryszków, ale Vimes jako zawodowiec uważał, że gwardzystów z pałacu tylko krok dzielił od najgorszych przestępczych mętów, jakie znało miasto. Krok w dół. Musieliby się poprawić, żeby w ogóle rozważono umieszczenie ich na liście Dziesięciu Najbardziej Niechcianych.

Byli brutalni. Byli twardzi. Nie byli śmieciami wymiecionymi z rynsztoka, byli tym, co można znaleźć w rynsztoku, kiedy sprzątacze rynsztoków zrezygnowali wyczerpani. Patrycjusz płacił im doskonale, a teraz prawdopodobnie równie doskonale płacił im ktoś inny, ponieważ dwóch z nich opierało się leniwie o mur. Kiedy Vimes podszedł do bramy, wyprostowali się, zachowując jednak odpowiednią dozę psychologicznego przygarbienia, żeby jak najmocniej obrazić rozmówcę.

- Kapitan Vimes — poinformował Vimes, patrząc wprost przed siebie.
- Do króla. W sprawie najwyższej wagi.

- Lepiej, żeby była najwyższa - stwierdził gwardzista. - Kapitan Ślimes, tak?

- Vimes - poprawił spokojnie Vimes. - Przez V. Jeden z gwardzystów skinął głową towarzyszowi.

- Vimes — poinformował. — Przez V.

- Zabawne — odpowiedział jego kolega.

- To bardzo pilne - oznajmił Vimes z kamiennym wyrazem twarzy. Postąpił o krok do przodu.

Pierwszy gwardzista zręcznie zastąpił mu drogę i pchnął w pierś.

- Nikt nigdzie nie wejdzie — powiedział. — Rozkaz króla, jasne? Możesz sobie wracać do swojej nory, kapitanie Vimes przez V.

To nie te słowa przeważały szalę. To sposób, w jaki drugi gwardzista parsknął rozbawiony.

- Odsuń się - polecił Vimes. Gwardzista zbliżył się.

- A kto mnie do tego zmusi? - zapytał i stuknął w hełm Yimesa. - Glino?

Są takie chwile, kiedy największą satysfakcję sprawia natychmiastowe rzucenie bomby.

- Młodszy funkcjonariusz Marchewa, proszę użyć wobec tych ludzi środków przymusu bezpośredniego w celu obrony koniecznej. Marchewa zasalutował.

- Tak jest, sir! - zawołał, po czym odwrócił się i odbiegł truchtem ulicą, którą tu przyszli.

- Hej! - krzyknął za nim Vimes, ale chłopak zniknął już za rogiem.

- To lubię — oświadczył pierwszy gwardzista, opierając się na pice. - Oto młody człowiek z inicjatywą. Rozsądny chłopak. Nie chce tu tkwić i czekać, aż ktoś mu natrze uszu. Ten młody człowiek zajdzie daleko. Jeśli tylko wystarczy mu rozumu.

- Bardzo rozsądny - przyznał jego kolega. Oparł pikę o mur.

- Kiedy was widzę, tych ze Straży, rzygać mi się chce — rzucił swobodnym tonem. - Puszą się bez przerwy, zamiast się wziąć do uczciwej pracy. Rzucają się, jakby byli ważni. Dlatego ja i Clarence pokażemy ci teraz, na czym polega prawdziwe strażowanie. Cieszysz się?

Dałbym sobie może radę z jednym, myślał Vimes, cofając się o kilka kroków. Gdyby akurat patrzył w inną stronę.

Clarence odstawił swoją pikę i splunął w dłonie.

Rozległo się długie, przerażające wycie. Vimes zdumiał się, słysząc, że nie on je wydaje.

Marchewa wybiegł pędem zza rogu. W obu rękach trzymał po ciężkim toporze.

Jego wielkie sandały coraz głośniej stukały o kamienie bruku, kiedy nadbiegał, cały czas przyspieszając. I bez przerwy rozlegał się jego krzyk, „diidadiidadiida”, jakby coś wpadło w pułapkę na dnie dwutonowego kanionu z echem.

Dwaj gwardziści znieruchomieli ze zdumienia.

- Na waszym miejscu bym się schylił - poradził Vimes z poziomu tuż ponad gruntem.

Oba topory wyfrunęły z rąk Marchewy i pomknęły wirując z dźwiękiem, jaki mogłaby wydawać para kuropatw. Jeden trafił w bramę pałacu i zagłębił się w drewnie do połowy ostrza. Drugi uderzył w rękojeść pierwszego i rozszczylił ją na połowy. Potem nadbiegł Marchewa.

Vimes odszedł kawałek i usiadł na ławeczce. Skręcił sobie papierosa.

- Myślę, że już wystarczy, funkcjonariuszu - powiedział w końcu. — Nie sądzę, żeby nadal chcieli stawiać opór.

- Tak jest, sir O co są oskarżeni, sir? - zapytał Marchewa, podnosząc po jednym bezwładnym ciele w każdej ręce.

- Atak na oficera Straży podczas pełnienia obowiązków służbowych i... A tak, stawianie oporu przy próbie aresztowania.

- Zgodnie z ustępem (g) Ustawy o Porządku Publicznym z 1457? - upewnił się Marchewa.

- Tak - potwierdził z powagą Vimes. - Tak przypuszczam.
- Ale nie opierali się specjalnie, sir - zauważył Marchewa.
- No... próba stawiania oporu. Zostawmy ich pod murem do naszego powrotu. Nie przypuszczam, żeby sobie poszli.
- Słusznie, sir.
- Ale nie rób im krzywdy. Nie wolno krzywdzić więźniów.
- Zgadza się, sir — przyznał Marchewa. — Więźniowie mają swoje Prawa, sir. Tak stoi napisane w Ustawie o Godności Ludzkiej (Prawa Obywatelskie) z 1341. Stale powtarzam kapralowi Nobbsowi: oni przecież Mają Prawa, mówię. To znaczy, że nie wolno ich kopać.
- Bardzo rozsądnie, funkcjonariuszu. Carrot spojrzał w dół.
- Macie prawo zachować milczenie — oznajmił. — Macie prawo nie poranić się, spadając ze schodów w drodze do celi. Macie prawo nie wyskakiwać przez okno. Niczego nie musicie mówić, rozumiecie, ale jeśli już coś powiecie, to widzicie, muszę to zapisać i może to być użyte przeciwko wam. - Wyjął notes i poślinił ołówek. Pochylił się. — Słucham?
- Obejrzał się na Vimesa.
- Jak się pisze „jęczy”, sir?
- Chyba J-E-N-C-Z-Y.
- Dziękuję, sir.
- Aha, jeszcze jedno.
- Tak, sir?
- Po co topory?
- Oni byli uzbrojeni, sir. Dostałem je od kowala przy Targowej.

Obiecałem, że przyjdzie pan później, sir, i zapłaci.

- A ten krzyk? - spytał słabym głosem Vimes.

- Bojowe jodłowanie krasnoludów, sir - odparł z dumą Marchewa.

- To dobry okrzyk - przyznał Vimes, starannie dobierając słowa. - Ale będę wdzięczny, jeśli następnym razem mnie uprzedzicie. Zgoda?

- Oczywiście, sir.

- Lepiej na piśmie.

Bibliotekarz posuwał się coraz dalej. Posuwał się wolno, ponieważ były tu rzeczy, których wolał nie spotykać. Żywe istoty ewoluują, wypełniając każdą niszę ekologiczną, a niektórych, żyjących w zakurzonej ogromie L-przestrzeni, lepiej było unikać. Były o wiele bardziej niezwykle niż zwykłe niezwykle stworzenia.

Na ogół wystarczała pilna obserwacja nieszkodliwych krabów podkrzesłowych żerujących na kurzu. Kiedy były przestraszone, należało szukać kryjówek. Kilka razy przyciskał się płasko do półek, kiedy z tupotem przebiegał obok tezaurus. Czekał cierpliwie, aż przeczołga się stado kryterów, pożerających zawartość co lepszych książek i pozostawiających za sobą cienkie tomiki krytyk literackich. Były też inne stwory, od których odbiegał jak najszybciej i starał się nie oglądać...

Za wszelką cenę należy unikać kliszy.

Ostatnie fistaszki dojadł na szczycie drabiny pasącej się bezmyślnie na najwyższych półkach.

Terytorium wydawało się znajome, a może to on miał uczucie, że kiedyś stanie się znajome. Czas w L-przestrzeni różni się od zwykłego.

Były tu regały, których sylwetki chyba rozpoznawał. Tytuły książek, choć nadal niezrozumiałe, niosły zwodniczą sugestię czytelności. Nawet stęchłe powietrze pachniało jakby znajomo.

Przebiegł bocznym przejściem i po krótkiej tylko dezorientacji przeszedł w zestaw wymiarów, które ludzie, nie znając się na tym zbyt dobrze, nazywają normalnymi.

Było mu strasznie gorąco, a sierść sterczała sztywno, gdy temporalna energia rozładowywała się powoli...

Znalazł się w ciemności.

Wyciągnął rękę i zbadał grzbiety książek z boku. Aha... Teraz już wiedział, gdzie trafił.

Był w domu.

Był w domu tydzień temu.

Najważniejsze, by nie zostawiać śladów. Ale to nie stanowiło problemu. Wspiął się po krawędzi najbliższego regału i pod wpadającym przez kopułę światłem gwiazd pospieszył dalej.

Lupine Wonse podniósł zaczerwienione oczy znad stosu papierów na biurku. Nikt w mieście nie znał się na koronacjach. Musiał wszystko wymyślać od początku. Wiedział tylko, że powinno być mnóstwo różnych rzeczy do machania.

- Słucham? — zapytał.

- Ehm... Kapitan Vimes chciałby pana widzieć - oznajmił lokaj.

- Vimes ze Straży?

- Tak, sir. Twierdzi, że chodzi o sprawę najwyższej wagi.

Wonse zerknął na listę innych spraw, które także były najwyższej wagi. Na przykład koronowanie króla. Kapłani pięćdziesięciu trzech religii żądali tego zaszczytu dla siebie. Będzie ciężko. I jeszcze sprawa klejnotów koronnych.

A właściwie braku klejnotów koronnych. Gdzieś w czasie minionych generacji klejnoty koronne zniknęły. Jubiler z ulicy Chytrych Rzemieślników robił wszystko co możliwe ze szkła i pozłoty.

Vimes mógł zaczekać.

- Powiedz mu, żeby przyszedł kiedy indziej - zdecydował Wonse.

- To miło, że zechciałeś nas przyjąć! — zawołał Vimes, stając w progu.

Wonse spojrzał na niego gniewnie.

- Skoro już wszedłeś - mruknął.

Vimes rzucił hełm na biurko w sposób, który sekretarzowi wydał się obraźliwy. Potem usiadł.

- Usiądź - powiedział Wonse.

- Jadłeś już śniadanie? - zapytał Vimes.

- Naprawdę...

- Nie martw się. Funkcjonariusz Marchewa sprawdzi, co tam mają w kuchni. Ten chłopak go zaprowadzi.

Kiedy wyszli, Wonse pochylił się nad stertami papierów.

- Lepiej - rzekł - żebyś miał ważny powód...

- Smok wrócił - rzucił Vimes. Wonse przyglądał mu się przez chwilę. Vimes także się przyglądał.

Świadomość Wonse'a powróciła z ciemnych kątków, gdzie się ukrywała.

- Znowu piłeś, co? - zapytał.

- Nie. Smok wrócił.

- Posłuchaj...

- Widziałem go.

- Smoka? Jesteś pewien? Vimes przysunął się do biurka.

- Nie!!! — wrzasnął. — Mogłem się przecież pomylić! Może to było coś innego, z wściekle wielkimi szponami, wielkimi skórzastymi skrzydłami i zionące ogniem! Przecież jest mnóstwo takich zwierzaków!

- Ale wszyscy widzieliśmy, że został zabity! - przypomniał Wonse.

- Nie wiem, co takiego wszyscy widzieliśmy! Wiem, co sam widziałem!

Wyprostował się, drżący. Nagle poczuł się bardzo, ale to bardzo zmęczony.

- Poza tym - dodał już spokojniejszym głosem - spalił dom przy Naprannej. Tak samo jak wcześniej.

- Któryś z nich przeżył?

Vimes oparł głowę na dłoniach. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spał, naprawdę spał, tak w pościeli. Albo jadł, jeśli już o tym mowa. Zeszłej nocy czy dawniej? I czy w ogóle kiedyś spał w życiu? Miał wrażenie, że nie. Ramiona Morfeusza z podwiniętymi rękawami solidnie okładały jego umysł, jednak niektóre fragmenty jeszcze walczyły. Któryś z nich...

- Któryś z kogo? - zapytał.

- Ludzi w tym domu, ma się rozumieć - odparł Wonse. - Zakładam, że

byli tam jacyś ludzie. Znaczą się nocą.

- Co? A tak. To nie był zwykły dom. Myślę, że służył do spotkań tajnych stowarzyszeń - wymamrotał Vimes. Coś w głowie próbowało się ułożyć, ale był zbyt zmęczony, by się temu przyglądać. ¹ - Magicznych?

- Nie wiem. Możliwe. Ludzie w długich szatach.

Zaraz mi powie, że jestem przepracowany, pomyślał Vimes. I będzie miał rację.

- Posłuchaj - zaczął łagodnie Wonse. - Ludzie, którzy próbują sztuczek z magią, a nie potrafią nad nią zapanować, no wiesz, często wybuchają i...

- Wybuchają?

- A ty od paru dni jesteś bardzo zajęty. Gdyby to mnie powalił i niemal spalił żywem jakiś smok, też pewnie bez przerwy bym je widział.

Vimes przyglądał mu się z rozdziawionymi ustami. Żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy. Cokolwiek napędzało go do tej pory, teraz sflaczało zupełnie.

- Nie wydaje ci się, że jesteś trochę przepracowany? Aha, pomyślał Vimes. No to świetnie. I osunął się na biurko.

Bibliotekarz wychylił się ostrożnie znad regału i wyciągnął rękę w ciemność. Była.

Grube paznokcie chwyciły grzbiet książki, zdjęły ją delikatnie z półki i poniosły w górę. Bibliotekarz poświecił latarnią.

Nie ma wątpliwości. *Przywoływanie srrrioków*. Jeden egzemplarz, wydanie pierwsze, nieco podniszczona i mocno zesmoczona. Odstawił

latarnię i zaczął czytać pierwszą stronę.

- Mmm? - Vimes zaczął się budzić.

- Przyniosłem panu kubek herbaty, kapitanie - poinformował sierżant Colon. - I figgina. Vimes spojrzał na niego tępo.

- Zasnął pan - wyjaśnił uprzejmie sierżant. - Był pan całkiem nieprzytomny, kiedy Marchewa pana przyniósł. Vimes rozejrzał się po znajomym teraz Yardzie.

- Aha - mruknął.

- Ja i Nobby zajęliśmy się detektyciem. Pamięta pan ten dom,

co się stopił? No więc nikt tam nie mieszka. Są tylko pokoje do wynajęcia. Sprawdziliśmy, kto je wynajmuje. Jest tam dozorca, który zagląda co wieczór, żeby poustawiać krzesła i pozamykać drzwi. Nie rozpaczał specjalnie, że dom się spalił. Wie pan, jacy są dozorczy. Przerwał, czekając na pochwały.

- Dobra robota - przyznał posłusznie Vimes, maczając figgina w herbacie.

- Bywają tam trzy stowarzyszenia - podjął Colon. Sięgnął po notes. — Konkretnie Towarzystwo Wspierania Sztuk Pięknych w Ankh-Morpork, ehem, ehem, Morporski Klub Śpiewu i Tańca Ludowego, i Świetliste Bractwo Hebanowej Nocy.

- Dlaczego ehem, ehem? - zdziwił się kapitan.

- No wie pan... Piękne sztuki. To mężczyźni, którzy malują obrazy rozebranych młodych kobiet. Całkiem rozebranych - wyjaśnił Colon koneser. — Dozorca mi mówił. Niektórzy nawet nie mają farby na pędzlu. Wstyd.

W nagim mieście krąży pewnie milion opowieści, pomyślał Vimes. Więc dlaczego zawsze muszę słuchać takich jak ta?

- Kiedy się spotykają?

- W poniedziałki o siódmej trzydzieści, wstęp dziesięć pensów. Co do tańców ludowych... Z nimi nie ma kłopotu. Pamięta pan, kapitanie, zawsze się pan zastanawiał, co porabia Nobby, kiedy ma wolny wieczór?

Wargi Golona rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Nie! - zawołał z niedowierzaniem Vimes. - Nobby?

- Tak! - oznajmił zachwycony reakcją sierżant.

- Co, podskakuje z dzwonkami i wymachuje chusteczką?

- Twierdzi, że należy pielęgnować dawne tradycje.

- Nobby? Pan Butem w Krocze, pan Sprawdzalem Tylko Drzwi i Same Sie Otworzyły?

- Tak. Zabawne, prawda? Chyba się tego krępował.

- Coś podobnego... - westchnął Vimes.

- Tak już bywa. Nigdy nic nie wiadomo. W każdym razie dozorca mówił, że Świetliste Bractwo zawsze zostawia straszny bałagan. Podeptane znaki kredą na podłodze, powiedział. Nigdy nie ustawia krzeseł jak należy ani nie umyją urny na herbatę. Ostatnio, mówił, spotykali się często. W zeszłym tygodniu malarze gołych kobiet musieli sobie szukać innego miejsca.

- A gdzie się podział nasz podejrzany?

- Tamten? Tego, no... Uciekł, kapitanie — przyznał zakłopotany Colon.

- Dlaczego? Nie wyglądał, jakby mógł gdziekolwiek uciekać.

- Kiedy wróciliśmy tutaj, posadziliśmy go przy kominku, bo cały się trząsał — opowiadał sierżant, gdy Vimes dopinał półpancerz.

- Mam nadzieję, że nie jedliście jego pizzy?

- Errol zjadł. To przez ten ser, kapitanie, kiedy wystygnie, robi się...

- Mówcie dalej.

- No więc... - zaczął Colon. - On się cały czas trząsał i bełkotał coś o smokach i w ogóle. Szczerze mówiąc, żał nam się go zrobiło. I nagle podskoczył i rzucił się do drzwi, bez żadnego powodu.

Vimes zerknął na szeroką, otwartą, nieszczerą twarz sierżanta.

- Bez powodu?

- Bo chcieliśmy coś przegryźć, więc posłałem Nobby'ego do piekarza, i tego, wie pan... Pomyśleliśmy, że więzień też powinien dostać jedzenie...

- I co? - zachęcił go Vimes.

- No... Nobby go spytał, czy przypiec mu figgina, a on wrzasnął i uciekł.

- Tylko tyle? Nie groziliście mu?

- Słowo, kapitanie. Tajemnicza sprawa, gdyby mnie pan pytał. I cały czas gadał o kimś, kogo nazywał Najwyższym Wielkim Mistrzem.

- Hm... - Vimes wyjrzał przez okno. Szara mgła otulała świat słabym blaskiem. - Która godzina?

- Piąta, sir.

- Dobrze. Zanim się ściemni... Colon odchrząknął.

- Piąta rano, sir. Już jest jutro, sir.

- Pozwoliliście mi przespać całą noc?

- Nie miałem serca pana budzić, sir. Ale żadnej smoczej aktywności, jeśli o to panu chodzi, kapitanie. Martwy spokój dookoła.

Vimes rzucił mu gniewne spojrzenie i otworzył okno. Mgła wlała się do wnętrza niby powolny, żółtawy na brzegach wodospad.

- Myślimy, że sobie poleciał - odezwał się z tyłu głos sierżanta. Vimes przyglądał się ciężkim kłębowi chmur.

- Mam nadzieję, że przejaśni się na koronację - podjął zmartwiony Colon. - Dobrze się pan czuje, sir?

Nie odleciał, myślał Vimes. Po co miałby odlatywać? Nie możemy zrobić mu krzywdy, a ma tu wszystko, czego mu trzeba. Jest gdzieś tam, w górze.

- Dobrze się pan czuje? - powtórzył Colon. Musi się chować we mgle. W mieście jest mnóstwo wież i dachów.

- O której jest koronacja, sierzancie?

- W południe, sir. A pan Wonse przysłał wiadomość, że powinien pan zjawić się w najlepszej zbroi wśród najważniejszych obywateli.

- Doprawdy?

- Sierżant Hummock z dzienną zmianą mają obstawić trasę, sir.

- Czym? - zapytał odruchowo Vimes, wpatrzony w niebo.

- Słucham, sir?

Vimes wychylił się, żeby dokładniej obejrzeć dach.

- Hmm? — powiedział.

- Mówiłem, że będą obstawiać trasę, sir.

- On tam jest, sierżancie. Prawie go czuję.

- Tak jest, sir - odparł karnie sierżant.

- Zastanawia się, co robić dalej.

- Tak, sir?

- One, wiecie, nie są nieinteligentne. Po postu myślą inaczej niż my.

- Tak jest, sir.

- Więc zapomnijcie o obstawianiu trasy. Wszyscy trzej macie siedzieć na dachach, rozumiano?

- Tak jest, sir... Co?

- Na dachach. Wysoko. Kiedy się ruszy, pierwszy chcę o tym wiedzieć.

Colon starał się wyrazem twarzy dać do zrozumienia, że on wcale nie chce.

- Myśli pan, sir, że to dobry pomysł? - zaryzykował. Vimes spojrzał na niego zimno.

- Owszem, sierżancie, tak myślę. To mój pomysł. A teraz bierzcie się do roboty.

Kiedy został sam, umył się i ogolił w zimnej wodzie, po czym przeszukał swój kufer i wyciągnął z niego ceremonialny półpancerz i czerwony płaszcz. Właściwie płaszcz był kiedyś czerwony i zachował tę barwę tu i tam, ale w większej części przypominał drobną siatkę, skutecznie wykorzystywaną do łapania moli. Był też hełm z wyzywającym brakiem pióropusza; gruba na molekułę warstwa pozłoty starła się z niego już dawno.

Kiedyś zaczął oszczędzać na nowy płaszcz. Ciekawe, co się stało z pieniędzmi?

Na posterunku nie było nikogo. Errol leżał w szczątkach czwartej

skrzynki po owocach, którą zdobył dla niego Nobby. Reszta została zjedzona albo się rozpuściła.

W ciszy wyjątkowo głośno rozlegało się jego zwykłe burczenie w brzuchu. Od czasu do czasu pojękiwał.

- Co z tobą, mały? - spytał Vimes.

Zaskrzypiały drzwi. Wszedł Marchewa, zauważył pochylonego nad połamaną skrzynką Vimesa i zasalutował.

- Martwiliśmy się o niego, kapitanie - oświadczył. - Nie chciał jeść węgla. Leży tylko, drży i pojękuje. Nie sądzi pan, że coś z nim jest nie tak?

- Możliwe — zgodził się Vimes. — Ale to dla smoków całkiem normalne. Zawsze jakoś sobie z tym radzą. Tak albo inaczej.

Errol spojrzał na niego żałośnie i zamknął oczy. Vimes okrył go strzępkiem koca.

Coś zapiszczało. Vimes sięgnął za drżącego smoka i znalazł małego gumowego hipopotama. Przyjrzał mu się zdumiony, po czym ścisnął kilka razy na próbę.

- Pomyślałem, że będzie miał się czym bawić - przyznał zawstydzony Marchewa.

- Kupiłeś mu zabawkę?

- Tak jest, sir.

- To ładnie z twojej strony.

Vimes miał nadzieję, że Marchewa nie zauważył piłki z gąbki, wciśniętej pod brzeg skrzynki. Była dość droga.

Zostawił obu i wyszedł.

Wszędzie było jeszcze więcej flag. Ludzie zaczęli już ustawiać się

przy głównych ulicach, chociaż do ceremonii pozostały jeszcze długie godziny. Wciąż go to martwiło.

Nagle poczuł głód, i to taki, którego nie da się zaspokoić jednym czy dwoma drinkami. Z przyzwyczajenia ruszył więc w stronę

Najlepszych Żeberek Hargi, gdzie czekała go kolejna przykra niespodzianka. Normalnie jedyną dekoracją wnętrza była kamizelka Shama Hargi, a do jedzenia dostawało się solidne, pożywne dania, same kalorie, tłuszcz, białka i może czasem jakaś witamina płacząca cicho z powodu samotności. Teraz na suficie krzyżowały się pracowicie wycięte papierowe wstęgi, a na ścianie ktoś kwarcową kredą wypisał menu, gdzie w każdej krzywej linii powtarzały się słowa „Koronasyjny” i „Króllewski”.

Vimes znużonym gestem wskazał sam szczyt menu.

- Co to jest? - zapytał.

Harga spojrział na napis. Byli sami w brudnych ścianach lokalu.

- Tam pisze „Dostawcy króllewskiego dworu”, kapitanie - wyjaśnił z dumą.

- Co to znaczy?

Harga podrapał się chochlą po głowie.

- To znaczy - rzekł - że gdyby król wszedł tu z dworu, toby mu smakowało.

- A czy masz coś, co nie jest dla mnie nazbyt arystokratyczne? - spytał kwaśnym tonem Vimes.

Zdecydował się na plebejski smażony chleb i proletariacki stek tak krwisty, że niemal słychać było, jak rży. Zjadł go przy ladzie.

Jego uwagę zwróciło ciche skrobanie.

- Co robisz? - spytał.

Zawstydzony Harga podniósł głowę, przerywając pracę.

- Nic, kapitanie - zapewnił.

Kiedy Vimes zajrzał za podrapaną nożami ladę, Harga usiłował schować dowody za plecami.

- Daj spokój, Sham. Pokaż.

Wielkie dłonie Hargi z ociąganiem pojawiły się w polu widzenia.

-Ja... ja tylko zeskrobywałem stary tłuszcz z patelni - wymamrotał.

- Rozumiem. Jak dawno już się znamy, Sham? - zapytał Vimes z przerażającą łagodnością..

- Całe lata, kapitanie - przyznał Harga. - Przychodził pan tu prawie codziennie, zawsze. Jeden z moich najlepszych klientów.

Vimes pochylił się nad ladą, aż jego nos znalazł się na poziomie spłaszczonej, różowej narośli pośrodku twarzy Hargi.

- I czy przez te wszystkie lata kiedyś zmieniałeś tłuszcz? - zapytał.

Harga spróbował się cofnąć.

- No...

- Ten tłuszcz był dla mnie jak przyjaciel. Te małe czarne kawałki poznałem dobrze i z czasem pokochałem. Były jak posiłek sam w sobie. I jeszcze wyczyściłeś dzbanek na kawę, co? Czuję. Ta kawa jest jak miłość w kanoe. Tamta miała aromat.

- Pomyślałem, że może już pora...

- Dlaczego?

Harga wypuścił patelnię z tłustych palców.

- Bo gdyby akurat król tu zajrzał...

- Wszyscy powariowaliście!

- Ale kapitanie...

Palec Vimesa aż po drugi staw zagłębił się oskarżycielsko w szerokiej kamizelce Hargi.

- Przecież nawet nie wiecie, jak ten nieszczęsny chłopak ma na imię!

- Wiem, kapitanie - zaprotestował Harga. - Oczywiście, że wiem. Widziałem na dekoracjach i wszędzie. Nazywa się Rex Vivat.

Bardzo delikatnie, z rozpaczą kręcąc głową nad wrodzoną służalczością człowieka, Vimes go puścił.

W innym czasie i miejscu bibliotekarz zakończył lekturę. Dotarł do końca tekstu. Nie do końca książki - książki zostało jeszcze sporo. Była spalona i nieczytelna.

Zresztą ostatnie strony także nie były łatwe. Autorowi drżała ręka, pisał szybko i robił kleksy. Ale bibliotekarz walczył już z wieloma przerażającymi tekstami na najgorszych kartach, jakie trafiły między okładki, ze słowami, które usiłowały przeczytać czytelnika, kiedy on je czytał, i słowami, które wiły się po stronicach. Przynajmniej tutaj słowa nie były takie. Były po prostu słowami człowieka lękającego się o własne życie. Człowieka zapisującego przerażające ostrzeżenie.

Wzrok bibliotekarza przyciągnęła strona trochę wcześniejsza od wypalonej części. Siedział nieruchomo i przyglądał się jej przez chwilę.

Potem wpatrzył się w ciemność.

To była jego ciemność. Gdzieś tam spał spokojnie. Gdzieś tam złodziej

zbliżał się właśnie, żeby ukraść tę książkę. A później ktoś ją przeczyta, przeczyta te słowa, ale zrobi to mimo wszystko.

Ręce go świerzbiały.

Wystarczyło przecież ukryć książkę albo skoczyć z góry na złodzieja i odkręcić mu głowę za uszy.

Znowu zapatrzył się w ciemność...

Wywołałby zakłócenie biegu historii. Mogłyby się zdarzyć okropne rzeczy. Bibliotekarz znał się na tych sprawach, należały do wiedzy, którą trzeba opanować, zanim można się zagłębić w L-prze-strzeni. Oglądał ilustracje w dawnych księgach. Czas może się rozdzielić jak para spodni. I wędrowiec może skończyć w niewłaściwej nogawce, przeżywając to, co naprawdę dzieje się w tej drugiej - rozmawiać z ludźmi, którzy w tej nogawce nie istnieją, wpadać na ściany, których tu nie ma. Życie może być straszne w niewłaściwych spodniach Czasu.

Poza tym byłoby to naruszeniem zasad Biblioteki[21]. Zgromadzenie Bibliotekarzy Czasu i Przestrzeni z pewnością miałooby wiele do powiedzenia, gdyby zaczął majstrować z przyczynowością.

Zamknął książkę i starannie odłożył ją na półkę. Przeskakując miękko z regału na regał, dotarł do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na chwilę nad własnym śpiącym ciałem. Może zastanawiał się, czy się nie obudzić, nie porozmawiać, powiedzieć, że ma przyjaciół i żeby się nie martwić. Musiał zrezygnować z tego pomysłu. W taki sposób można tylko przysporzyć sobie kłopotów.

Wymknął się za drzwi i zaczął w cieniu. Ruszył za zakapturzonym złodziejem, kiedy ten wyszedł ściskając książkę pod pachą, i czekał w deszczu przy mrocznym portalu. Po spotkaniu Świetlistego Bractwa, kiedy wyszedł ostatni z braci, poszedł za nim do domu, pomrukując do siebie z antropoidalnym zdumieniem...

I pobiegł z powrotem do Biblioteki i zdradzieckich ścieżek L-przestrzeni.

Przed południem ulice były zatłoczone. Vimes cofnął Nobby'emu jedną dniówkę za machanie flagą i Yard zasnuł smutek, posępny niczym czarna chmura z rzadkimi błyskami piorunów.

- Wejdźcie gdzieś wysoko... — mruzczał Nobby. — Łatwo im mówić.

- Liczyłem na to obstawianie ulic — narzekał Colon. — Miałbym dobry widok.

- A wczoraj w nocy ciągle gadaliście o przywilejach i prawach człowieka - przypomniał oskarżycielskim tonem Nobby.

- Tak, pewnie. Przywilejem i prawem tego konkretnego człowieka jest dobry widok — odparł sierżant. - I tylko o to mi chodzi.

- Nigdy jeszcze nie widziałem kapitana w takim paskudnym nastroju — stwierdził Nobby. — Wolałem, kiedy się upijał. Moim zdaniem...

- Wiecie, Errol jest chyba naprawdę chory - odezwał się Mar-chewa.

Spojrzelili na skrzynkę.

-Jest bardzo gorący. I skórę ma taką błyszczącą.

-Jaka jest właściwa temperatura dla smoka? - zainteresował się Colon.

- Właśnie. I jak ją zmierzyć? - dodał Nobby.

- Myślę, że powinniśmy wezwać lady Ramkin, żeby go obejrzała — uznał Marchewa. — Zna się na smokach.

- Nie, na pewno szykuje się do koronacji. Nie wolno jej przeszkadzać. — Colon wyciągnął rękę nad lśniącym bokiem Errola. -Miałem kiedyś psa, który... Auu! On nie jest gorący, on wrzy!

- Dawałem mu wodę, ale nie chce pić. Co pan robi z tym garnkiem, kapralu?

Nobby uśmiechnął się niewinnie.

- Pomyślałem, że przed wyjściem możemy wypić po herbacie. Szkoda marnować...

- Zdejmijcie to z niego!

Nadeszło południe. Mgła nie rozwiała się, tylko trochę przerzedziała, przepuszczając bladożółtą poświatę w miejscu, gdzie powinno znajdować się słońce.

Chociaż długie lata zmieniły stanowisko kapitana Straży w coś niezbyt zaszczytnego, nadal jednak upoważniało do honorowego miejsca na oficjalnych uroczystościach. Nowy porządek dziobania przesunął je wszakże do najniższego rzędu zbitych naprędce trybun, pomiędzy mistrza Stowarzyszenia Żebraków i przewodniczącego Gildii Nauczycieli. Vimesowi to nie przeszkadzało. Wszystko byłoby lepsze od najwyższego rzędu, między Skrytobójcami, Złodziejami, Kupcami i innymi, którzy wypłynęli na społeczne szczyty. Nigdy nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Nauczyciel przynajmniej był spokojnym towarzyszem, ponieważ właściwie nic nie robił, jedynie od czasu do czasu zaciskał palce i jęczał.

- Coś nie tak z pańską szyją, kapitanie? - zagadnął uprzejmie pierwszy żebrak, kiedy czekali na przyjazd karet.

- Słucham? - nie zrozumiał Vimes.

- Ciągłe patrzy pan w górę.

- Hmm? Ach nie, nic takiego.

Żebrak otulił się aksamitnym płaszczem.

- Nie wspomógłby pan biedaka skromną kwotą... - przerwał, obliczając sumę odpowiadającą jego stanowisku - .. jakichś trzystu dolarów na bankiet z dwunastu dań?

- Nie.

- Trudno, nie mam pretensji.

Szef żebraków westchnął. Przewodnictwo w Stowarzyszeniu nie dawało szczególnej satysfakcji. Różnice płac działały na jego niekorzyść. Żebracy niższych klas żyli jako tako, zadowalając się miedziakami, ale ludzie zwykle udawali, że nie słyszą, kiedy się ich prosiło o szesnastopokojową rezydencję na noc.

Vimes powrócił do obserwacji nieba.

Na podwyższeniu przygotowywał się do uroczystości najwyższy kapłan Ślepego lo. Zeszłej nocy uzyskał prawo do koronowania władcy, posługując się w tym celu skomplikowaną argumentacją teologiczną, a pod koniec dyskusji maczugą nabijaną gwoździami. Kozioł, uwiązany do małego składanego ołtarza ofiarnego, przeżuwał trawę i zapewne myślał sobie po koziemu: Ależ szczęśliwy ze mnie kozioł, skoro dostałem miejsce z tak dobrym widokiem na wszystko; będę miał co dzieciom opowiadać.

Vimes zbadał rozmyte we mgle kontury najbliższych budynków.

Dalekie okrzyki sugerowały, że ruszyła już uroczysta procesja. Wokół podwyższenia wybuchło niewielkie zamieszanie, gdy Lupine Wonse poganiał grupę służących rozwijających na stopniach purpurowy dywan.

Po drugiej stronie placu, wśród szeregów przygasłej arystokracji, uniosła głowę lady Ramkin.

Wokół tronu, pospiesznie zbudowanego z drewna i złotej folii, zajęli stanowiska pomniejsi kapłani, niektórzy z lekkimi ranami głowy.

Vimes poprawił się na ławie, słysząc głośnie uderzenia własnego serca. Wbił spojrzenie w mgłę ponad rzeką...

...I zobaczył skrzydła.

Kochana mamó i tato [pisał Marchewa, przerywając na chwilę wpatrywanie się w mgłę].

Całe miasto niecierpliwie czeka na Koronację, która jest bardziej skomplikowana niż w domu. Przydzielono mi także dzienną Służbę. Szkoda, bo chciałem obejrzeć Koronację z Reet, ale się nie skarzę. Muszę kończyć, bo lada chwila spodziewamy się smoka, chociaż naprawdę nie istnieje.

Wasz kochający syn Marchewa

PS Czy widzieliście się ostatnio z Blaszką?

- Ty idioto!

- Przepraszam - powtarzał Vimes. - Bardzo mi przykro. Ludzie siadali z powrotem na ławach, a wielu rzucało mu wściekle spojrzenia. W onse aż pobladł ze złości.

- Jak mogłeś być taki głupi?! — wrzeszczał. Vimes przyglądał się własnym palcom.

- Zdawało mi się, że widzę...

- To był kruk! Wiesz, co to są kruki? W mieście żyją ich setki!

- W tej mgłę trudno było ocenić rozmiar i... - mamrotał Vimes,

- A biedny mistrz Greetling... Powinieneś wiedzieć, jak reaguje na głośne krzyki.

Przewodniczącego Gildii Nauczycieli jacyś dobrzy ludzie musieli

odprowadzić na bok.

- Żeby tak wrzeszczeć! — Wonse nie mógł się uspokoić.

- Przecież powiedziałem, że przepraszam. To była pomyłka.

- Musiałem zatrzymać procesję i wszystko! Vimes milczał. Czuł na sobie rozbawione i niechętnie spojrzenia setek oczu.

- No tak... - wymruczał. - Chyba lepiej wrócę do Yardu. Wonse zmrużył oczy.

- Nie — warknął. — Ale jeśli chcesz, możesz wrócić do domu. Albo gdziekolwiek, gdzie cię poprowadzą twoje fantazje. Daj mi swoją odznakę.

-Co?

Wonse wyciągnął rękę.

- Odznakę — powtórzył.

- Moją odznakę?

- To właśnie powiedziałem. Nie chcę, żebyś znowu wpakował się w kłopoty.

Vimes spojrzał na niego zdumiony.

- Przecież to moja odznaka!

- A teraz masz mi ją oddać - rzekł groźnie Wonse. - Z rozkazu króla.

- Co to znaczy? Przecież król nic nie wie! - Vimes dosłyszał błaganie we własnym głosie.

- Ale się dowie. - Wonse zmarszczył brwi. - I nie spodziewaj się, że wyznaczy twojego następcę.

Vimes powoli odpiął pokryty patyną miedziany krążek, zważył go w

dłoni i bez słowa rzucił Wonse'owi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie prosić o litość, ale coś się w nim zbuntowało. Odwrócił się więc i zniknął w tłumie.

To już wszystko.

Koniec. Ot, tak. Po tylu latach służby. Koniec ze Strażą Miejską. Ha! Vimes kopnął krawężnik. Teraz pewnie zmieniają na jakąś Królewską Gwardię.

Z tymi przekłętymi pióropuszcami na hełmach.

Miał tego dosyć. Co to za życie w Straży? Poznaje się ludzi w najgorszych sytuacjach. Mógł przecież znaleźć setki innych zajęć, a jeśli tylko chwilę pomyśli, przypomni sobie jakich.

Pseudopolis Yard leżał z dala od szlaku procesji; kiedy Vimes wszedł do środka, słyszał dalekie okrzyki tłumów. W całym mieście były dzwony w świątyniach.

Teraz biją w dzwony, pomyślał, ale już niedługo... już niedługo... nie będą bić w dzwony. Nieszczerólny aforyzm, ale można nad nim popracować. Czasu mu teraz nie braknie.

Zauważył bałagan.

Errol znów zaczął jeść. Zjadł większą część stołu, ruszt z paleniska, wiadro na węgiel, kilka lamp i piszczącego gumowego hipopotama. Teraz znowu leżał w swojej skrzynce i skomlał przez sen.

- Ale narozrabiałeś — mruknął Vimes. Przynajmniej już nie on będzie musiał tu sprzątać.

Wysunął szufladę biurka.

Ktoś przegryzł się i tutaj. Pozostało tylko trochę odłamków szkła.

Sierżant Colon podciągnął się na parapet wokół Świątyni Pomniejszych Bóstw. Był już za stary na takie rzeczy. Nie po to się zaciągnął, żeby siedzieć na dachu i czekać, aż smok go znajdzie.

Złapał oddech i rozejrzał się we mgle.

-Jest tu jeszcze jakiś człowiek? - zapytał szeptem.

- Ja jestem, sierżancie. - W wilgotnym powietrzu głos Marchewy brzmiał głucho i groźnie.

- Sprawdzalem tylko, czy jeszcze tu jesteś - wyjaśnił Colon.

-Jeszcze tu jestem - odparł posłusznie Marchewa.

- I czy coś cię nie zjadło. - Colon spróbował się uśmiechnąć.

- Nic mnie nie zjadło.

- Aha. To dobrze. — Zabębnił palcami po mokrym kamieniu, czując, że powinien dokładnie wszystko wytłumaczyć. — Tylko sprawdzałem - oświadczył. — To należy do moich obowiązków. Patrowanie i w ogóle. Nie to, że się boję tkwić na dachu całkiem sam, rozumiesz. Gęsta ta mgła, co?

- Tak, sierżancie.

- Wszystko w porządku? - głos Nobby'ego nadbiegł ukradkiem z mgły, a tuż za nim pojawił się jego właściciel.

- Tak, kapralu — odparł Marchewa.

- Co tu robicie, kapralu? - zapytał Colon.

- Zajrzałem tylko, żeby sprawdzić, czy nic się nie stało młodszemu funkcjonariuszowi Marchewie - wyjaśnił niewinnie Nobby. -A co pan tu robi, sierżancie?

- U wszystkich wszystko jest w porządku - rozpromienił się Marchewa.
— To dobrze, prawda?

Obaj podoficerowie przestąpili z nogi na nogę, unikając patrzenia sobie w oczy. Od wyznaczonych posterunków dzieliła ich długa droga po wilgotnych, zamglonych, a przede wszystkim odsłoniętych dachach.

Colon podjął decyzję.

- Do licha z tym wszystkim - rzekł i szybko znalazł kawałek przewróconego posągu, na którym usiadł.

Nobby oparł się o parapet i wyciągnął zza ucha mokry niedopałek.

- Słysząc już procesję - zauważył.

Colon nabił fajkę i potarł zapalną o leżący obok kamień.

- Jeżeli ten smok jest żywy — oświadczył, wydmuchując pióropusz dymu i zmieniając niewielki obszar mgły w smog - to na pewno się stąd wyniósł. Mówię wam. Miasto nie nadaje się dla smoków - dodał tonem człowieka, który skutecznie stara się przekonać sam siebie. — Pewnie poleciał gdzieś, gdzie jest dużo wysokich wież i mnóstwo jedzenia. Możecie mi wierzyć.

- Znaczy się gdzieś do miasta? - upewnił się Marchewa.

- Cicho! - krzyknęli na niego chórem.

- Niech pan poda zapalną, sierżancie - poprosił Nobby.

Colon rzucił mu na dachówki pęczek cuchnących patyczków. Nobby zapalił jeden, ale płomyk zgasł natychmiast. Obok przepłynęły strzępy mgły.

- Wiatr się zrywa — zauważył.

- To dobrze. Mam już dość tej mgły - stwierdził Colon. - Co to ja mówiłem?

- Mówił pan, że smok jest już daleko stąd - podpowiedział Nobby.

- A właśnie. To chyba rozsądne, prawda? Znaczy, gdybym to ja umiał latać, na pewno bym tu nie tkwił. Gdybym umiał latać, nie siedziałbym na dachu na jakimś brudnym posągu. Gdybym umiał latać, tobym...

- Jakim posągu? - przerwał mu Nobby w papierosem zatrzymanym w połowie drogi do ust.

- Na tym — odparł Colon i walnął w kamień pięścią. — I nie próbuj mnie straszyć, Nobby. Sam wiesz, że na Pomniejszych Bóstwach są setki zapleśniałych posągów.

- Nie, nie wiem. Wiem, że wszystkie je zdjęli w zeszłym miesiącu, kiedy kryli dach nowym ołowiem. Jest tylko dach i kopuła, nic więcej. Kiedy człowiek delektuje - dodał - powinien zauważać takie drobiazgi.

W wilgotnej ciszy, jaka nagle zapadła, sierżant Colon przyjrzał się kamieniowi, na którym siedział. Kamień zwężał się, pokrywał go łuskowaty deseń, budził też trudne do określenia wrażenie ogo-niastości. Sierżant podążył wzrokiem tam, gdzie kamień ginął w rzednącej szybko mgle.

Na kopule świątyni Pomniejszych Bóstw smok uniósł łeb, ziewnął i rozwinął skrzydła.

Nie była to łatwa operacja. Zdawało się, że mija sporo czasu, nim złożona biologiczna maszyna zeber i zakładek wreszcie się rozłoży. Potem, z rozpostartymi skrzydłami, smok ziewnął znowu, przebiegł kilka kroków po dachu i wzniósł się w powietrze.

Po chwili nad parapetem pojawiła się ręka. Przez chwilę obmacywała krawędź, aż wreszcie chwyciła ją mocno.

Ktoś stęknął.

Marchewa wspiął się na górę, ciągnąc za sobą dwóch pozostałych. Dysząc ciężko, leżeli na ołowianym dachu. Marchewa przyglądał się głębokim rysom, jakie w metalu pozostawiły smocze pazury. Czegoś takiego

bardzo trudno nie zauważyć.

- Czy... - wysapał. - Czy nie powinniśmy ostrzec ludzi? Colon przesunął się na brzeg dachu i spojrzał na miasto.

- Chyba nie warto - stwierdził. - Niedługo sami się dowiedzą.

Najwyższy kapłan Ślepego lo jąkał się przy każdym słowie. O ile mógł to sprawdzić, w Ankh-Morpork nigdy nie odprawiano oficjalnej koronacji. Dawnym królom wystarczało coś w stylu: „Zdobyliśmy koronę, w samej rzeczy, i zabijemy każ-

dego syna nierządnicy, który spróbuje nam ją odebrać, na lorda Harry'ego". Taka mowa miała swoje zalety, a wśród nich fakt, że była dość krótka. Kapłan poświęcił dużo czasu, żeby wymyślić coś dłuższego i bardziej odpowiadającego duchowi czasów, a teraz nie bardzo mógł sobie to przypomnieć.

Irytował go także kozioł, który przyglądał mu się z lojalnym zainteresowaniem.

- Pospiesz się! - syknął Wonse ze swego miejsca za tronem.

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedział szeptem kapłan. - Proszę nie zapominać, że to koronacja, i okazać trochę szacunku.

- Oczywiście, że okazuję szacunek! A teraz szybciej... Rozległ się krzyk - gdzieś z prawej strony. Wonse obejrzał się gniewnie.

- To ta baba z Ramkinów - stwierdził. - Co ona wyprawia?

Ludzie wokół niej rozprawiali o czymś z ożywieniem. Palce wskazywały w tę samą stronę, podobne do powalonego karłowatego lasku. Zabrzmiął jeden czy dwa wrzaski, a potem tłum ruszył jak fala.

Wonse spojrział w głąb szerokiej ulicy Pomniejszych Bóstw.

To nie kruk stamtąd nadlatywał. Nie tym razem.

Smok leciał powoli, ledwie kilka stóp nad ziemią, z gracją wiosłując skrzydłami. Przecinające ulicę transparenty pękały jak pajęczne nici; powiewały na pancernych bokach potwora i wzdłuż ogona. Leciał z wyciągniętą do przodu głową i szyją, przez co jego cielsko wyglądało jak holowana barka. Tłum na ulicach wrzeszczał i przepychał się do bram. Smok nie zwracał na nich uwagi.

Powinien nadlecieć z rykiem, ale jedynym dźwiękiem był cichy łopot skrzydeł i pękanie linek transparentów.

Powinien nadlecieć z rykiem. Nie w ten sposób, powoli i spokojnie, dając grozie czas na dojrzwanie. Powinien nadlecieć grożąc, nie obiecując.

Powinien nadlecieć z rykiem, nie delikatnie, przy akompaniamencie trzasków i brzdęknięć radosnych transparentów.

Vimes otworzył drugą szufladę biurka i przyjrzał się papierom, które tam znalazł. Niewiele właściwie należało tutaj do niego. Strzęp torby po cukrze przypomniał mu, że jest winien sześć pensów w Klubie Herbacianym.

Dziwne. Jeszcze się nie rozzłościł. To przyjdzie później, naturalnie. Do wieczora będzie już wściekły. Ale na razie nie, jeszcze nie. To, co zaszło, nie zdążyło w pełni dotrzeć do mózgu. Vimes wiedział, że wykonuje te ruchy, by nie pozwolić sobie na myślenie. Errol poruszył się ociężale w swojej skrzynce, podniósł głowę i zapiszczał.

- Co z tobą, mały? - Vimes pochylił się nad nim. - Brzuszek boli?

Skóra małego smoka poruszała się, jakby pracował pod nią ciężki przemysł. W *Chorobach smoków* o czymś takim nie było mowy. Ze wzdętego brzucha dochodziły dźwięki niczym z dalekiego pola zażartej bitwy w strefie trzęsienia ziemi.

Tak być nie powinno. Sybil Ramkin mówiła, że trzeba pilnować smoczej diety. Nawet drobne niewydolności żołądkowe mogą udekorować ściany smętnymi kawałkami łuskowatej skóry. A przez ostatnie dni... Jadł zimną pizzę, popiół z tych okropnych niedopałków Nobby'ego... W ogóle Errol żywił się mniej więcej tym, na co miał ochotę. Czyli wszystkim, sądząc po wyglądzie pokoju. Nie wspominając już o zawartości dolnej szuflady.

- Nie zadbaliśmy o ciebie, prawda? - powiedział Vimes. - Właściwie to traktowaliśmy cię jak pieska.

Zastanawiał się, jak działają na trawienie gumowe hipopotamy.

Wolno zdał sobie sprawę, że dalekie okrzyki radości zmieniają się we wrzaski przerażenia. Spojrzał na Errola, wyszczerzył zęby w niewiarygodnie złym uśmiechu i wstał.

Słyszał odgłosy paniki uciekającego tłumu.

Wcisnął sobie na głowę pogięty hełm i stuknął go zawadiacko. Potem, nucąc jakąś obłąkaną melodyjkę, wybiegł na zewnątrz.

Errol jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, a potem z najwyższym wysiłkiem, na wpół wypełzł, na wpół wytoczył się ze skrzynki. Masywna część mózgu, sterująca układem trawiennym, wysyłała niezwykle polecenia. Żądała pewnych rzeczy, których nie potrafiła nazwać. Na szczęście w najdrobniejszych szczegółach umiała je opisać złożonym receptorom wielkich nozdrzy. Rozszerzyły się, poddając drobiazgowej analizie atmosferę pokoju. Głowa poruszyła się, namierzając cel.

Errol podciągnął się po podłodze i z wyraźną satysfakcją zaczął pożerać puszkę pasty czyszczącej do zbroi Marchewy.

Ludzie przebiegali obok Vimesa, który maszerował ulicą Pomniejszych Bóstw. Dym wznosił się w górę z Placu Pękniętych Księżyców.

Na jego środku smok siedział na tym, co zostało po podwyższeniu koronacyjnym. Wydawał się zadowolony z siebie.

Nie pozostał nawet ślad po tronie i jego lokatorze, choć całkiem możliwe, że dokładne badania laboratoryjne niewielkiego stosiku sadzy wśród połamanych dymiących desek mogłyby dostarczyć pewnych tropów.

Vimes chwycił ozdobną fontannę, by nie stracić równowagi wśród ogarniętych paniką tłumów. Każda ulica odchodząca z placu była pełna przerażonych ludzi. Ale nie hałaśliwych, jak zauważył — nie marnowali sił na krzyki. Przejawiali tylko zdeterminowane pragnienie, by znaleźć się gdzie indziej.

Smok rozłożył skrzydła i machnął nimi od niechcenia. Ludzie z tyłu uznali to za sygnał, żeby wspiać się na plecy tych przed nimi i uciekać, skacząc z głowy na głowę.

Po kilku sekundach plac był pusty. Pozostali na nim tylko głupcy albo śmiertelnie zdumieni. Nawet stratowani mężnie starali się czołgać do najbliższego wyjścia.

Vimes rozejrzał się wokół. Wszędzie leżały porwane flagi, a niektóre z nich przeżuwał podstarzały kozioł, który nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. W dali mignął Gardło Sobie Podrzynam na rękach i kolanach próbujący odszukać zawartość swojej tacy.

Obok Vimesa jakieś dziecko pomachało niepewnie chorągiewką i zawołało:

- Hurra!

Potem wszystko ucichło.

Vimes pochylił się.

- Powinieneś już wracać do domu - powiedział. Chłopczyk spojrzał na niego z ukosa.

- Jest pan ze Straży? - zapytał.

- Nie — odparł Vimes. - I tak.

- Co się stało z królem, panie Strażniku?

- Ee... Myślę, że poszedł odpocząć.

- Ciocia mówiła, że nie powinienem rozmawiać ze Strażnikami.

- To może poszedłbyś do domu i opowiedział jej, jaki byłeś posłuszny?

- Ciocia mówiła, że jak będę niegrzeczny, wystawi mnie na dach i zawoła smoka - kontynuował spokojnie chłopczyk. - Mówi, że taki smok zjada człowieka całego, ale zaczyna od nóg, żeby człowiek widział, co się z nim dzieje.

- Idź do domu i powiedz cioci, że kontynuuje najlepsze ankh-morporskie tradycje wychowawcze - poradził Vimes. - No już, biegnij-

- Rozgryza wszystkie kości — oświadczył z zachwytem chłopczyk.

- A kiedy dojdzie do głowy...

- Przecież on tam siedzi! - krzyknął Vimes. - Wielki groźny smok, który rozgryza ludzi! Idź do domu!

Chłopczyk przyjrzał się potworowi siedzącemu na resztkach podwyższenia.

- Jeszcze nikogo nie rozgryzł - poskarżył się.

- Zmywaj się stąd, bo poczujesz, jaką mam ciężką rękę.

To chyba chłopca przekonało, bo ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Dobrze. A mogę jeszcze raz krzyknąć „Hurra”?

- Jeśli chcesz - zgodził się Vimes.

- Hurra!

To tyle, jeśli chodzi o prewencję, pomyślał Vimes. I wyrzwał z za fontanny.

Tuż nad nim zagrział czyjś głos:

- Mówcie co chcecie, ale uważam, że to wspaniały egzemplarz. Wzrok Vimesa powędrował w górę, aż pokonał krawędź górnej misy.

- Zauważył pan - Sybil Ramkin wstała, trzymając się pokruszonego posągu, i zeskoczyła obok niego - że przy każdym naszym spotkaniu pojawia się smok? — Uśmiechnęła się znacząco. — To jakby mieć własną melodię. Albo coś w tym rodzaju.

- On tylko tam siedzi — poinformował szybko Vimes. - Rozgląda się. Jakby na coś czekał.

Smok mrugał z jurajską cierpliwością.

Ulice dochodzące do placu były pełne ludzi. To instynkt Ankh-Morpork, pomyślał Vimes. Uciekaj, a potem zatrzymaj się i popatrz, czy może jakieś nieszczęście zdarza się komuś innemu.

Coś się poruszyło w szczątkach wokół przedniego smoczego szponu - najwyższy kapłan Ślepego lo wstał chwiejnie, wznosząc chmurę kurzu i drzazg. Wciąż trzymał w dłoni zastępczą koronę.

Vimes widział, jak starzec podnosi głowę i spogląda w parę lśniących czerwonych oczu oddalonych o kilka zaledwie stóp.

- Czy smoki umieją czytać w myślach? — zapytał szeptem.

- Z pewnością moje rozumieją każde słowo — syknęła lady Ram-kin. - No nie! Ten stary dureń daje mu koronę!

- Czy to nie sprytny pomysł? Przecież smoki lubią złoto. To tak jakby rzucał psu patyk, prawda?

- Ojej... — westchnęła Sybil Ramkin. — Niekoniecznie. Smoki mają bardzo czułe podniebienia.

Smok zamrugał, patrząc na maleńki pierścień złota. Potem, z najwyższą ostrożnością, wysunął długi na dwa łokcie szpon i wyjął koronę z drżących palców kapłana.

- Co to znaczy: czułe? - zdziwił się Vimes. Szpon sunął powoli w stronę długiego, końskiego pyska.

- Niezwykłe wyczulony zmysł smaku. Są, jak by to powiedzieć, zorientowane chemicznie.

- To znaczy, że smakują złoto? Smok ostrożnie liznął koronę.

- Oczywiście. I umieją je wywąchać.

Vimes zastanowił się, jaka jest szansa, że koronę zrobiono ze złota. Niewielka, uznał. Pewnie złota folia na miedzi. Wystarczy, żeby oszukać ludzi. A potem pomyślał, jak mógłby ktoś zareagować, gdyby cukier, którego wsypał już do kawy trzy łyżeczki, okazał się nagle solą.

Smok jednym płynnym ruchem wyjął szpon z paszczy i trafił nim kapłana, który próbował się wymknąć. Uderzenie było tak mocne, że starzec wyleciał w powietrze. Kiedy wrzeszcząc osiągnął szczyt łuku, wielka paszcza zbliżyła się i...

- A niech to! - powiedziała lady Ramkin. Widzowie jęknęli chórem.

- Jaką on ma temperaturę! - zdziwił się Vimes. - Przecież nic nie zostało! Tylko smużka dymu...

Znowu coś poruszyło się wśród odpadków. Kolejna postać wstała niepewnie i chwiejnie oparła się o złamany maszt.

Był to Lupine Wonse, cały pokryty sadzą.

Vimes obserwował, jak Wonse spogląda w parę nozdrzy wielkości pokryw studzienek ściekowych.

Nagle Wonse rzucił się do ucieczki. Vimes zastanowił się, jakie to uczucie, biec tak przed siebie, w każdej chwili oczekując, że grzbiet osiągnie - chociaż na krótko - temperaturę powyżej punktu parowania żelaza. Mógł to sobie wyobrazić.

Wonse dotarł już do połowy placu, gdy smok rzucił się za nim z zaskakującą u tak wielkiej bestii zwinnością. Schwycił go szponem i podniósł tak, że wyrywająca się postać zawisała o kilka stóp od smoczej paszczy.

Potwór przez chwilę przyglądał się zdobyczy, obracając ją we wszystkie strony. Potem, idąc na trzech wolnych łapach i dla równowagi machając czasem skrzydłami, ruszył do pałacu Pa... do pałacu, który kiedyś był Patrycjusza. A niedawno był też pałacem królewskim.

Nie zwrócił uwagi na przerażonych gapiów przyciskających się do muru. Sklepiona brama została rozepchnięta z niepokojącą łatwością. Same wrota, wysokie, okute żelazem i solidne, wytrzymały całe zaskakujące dziesięć sekund, zanim rozpadły się w rozżarzony popiół.

Smok wkroczył do pałacu.

Lady Ramkin obejrzała się zdumiona, bo Vimes wybuchnął śmiechem. Miał łzy w oczach, ale jednak się śmiał. Po chwili osunął się po murze fontanny i wyciągnął przed siebie nogi.

- Hip hip, hurra! - chichotał, krztusząc się niemal.

- Co się dzieje?

- Wywieście flagi! Dmijcie w trąby, pieczcie woły! Ukoronowaliśmy go! W końcu mamy króla! Hej ho!

- Piłeś? - warknęła lady Ramkin.

-Jeszcze nie! - wybełkotał Vimes. -Jeszcze nie. Ale już niedługo!

Śmiał się ciągle, wiedząc, że kiedy tylko przestanie, czarna rozpacz spadnie na niego niby ołowiany suflet. Widział przyszłość, jaka ich czeka...

.. W końcu jest przecież szlachetny. Nie nosi przy sobie pieniędzy, nie może się kłócić... Za to na pewno może coś zrobić z dzielnicami nędzy. Na przykład wypalić je aż do skały macierzystej.

Naprawdę to zrobimy, myślał. Na sposób Ankh-Morpork: jeśli nie możesz czegoś pokonać ani przekupić, udawaj, że chciałeś tego od samego początku.

Vivat Draco.

Zauważył chłopczyka, który wrócił na plac. Mały pomachał mu lekko chorągiewką i zapytał:

- Czy teraz mogę krzyczeć hurra?

- Czemu nie? - odparł Vimes. - Wszyscy inni będą.

Z pałacu dobiegły stłumione odgłosy skomplikowanej destrukcji.

Errol paszczą przeciągnął po podłodze kij od miotły i postępując z wysiłku, ustawił go pionowo. Po kolejnych stęgnięciach i trzech nieudanych próbach zdołał wcisnąć koniec pomiędzy ścianę a wielki słój z naftą do lamp.

Przerwał na moment, dysząc jak para miechów, po czym pchnął.

Słój opierał się przez chwilę, raz czy dwa razy zakołysał, wreszcie spadł i roztrzaskał się na posadzce. Surowa, marnie oczyszczona nafta rozlała się czarną kałużą.

Wielkie nozdrza Errola zadrżały. Gdzieś w głębi mózgu jak klucze telegrafu stukały nieznane dotąd synapsy. Masy informacji płynęły grubym włóknem nerwowym do nosa; niosły niepojęte dane o potrójnych wiązaniach,

nasyconych węglowodorach i izomerach. Jednak większa część tych danych omijała niewielki fragment mózgu, który Errol wykorzystywał do bycia Errolem.

Wiedział tylko, że nagle bardzo, ale to bardzo chce mu się pić.

Coś ważnego działo się w pałacu. Słyszać było trzaski podłogi, czasem huk spadającego sufitu... W pełnym szczurów lochu, za drzwiami wyposażonymi w więcej zamków niż jest śluz w sieci kanałów, Patrycjusz Ankh-Morpork leżał i uśmiechał się w ciemności.

Na zewnątrz, w mroku, zapalały się ogniska. Ankh-Morpork świętowało. Nikt nie był całkiem pewien z jakiego powodu, ale wszyscy się na to szykowali: rozbito beczki, woły nadziano na różny, wydano po jednej papierowej czapeczce i jednym pamiątkowym kubku na dziecko, więc szkoda, żeby tyle pracy poszło na marne. Poza tym miniony dzień okazał się bardzo interesujący, a mieszkańcy Ankh-Morpork cenili rozrywki.

- Moim zdaniem - oświadczył jeden ze świętujących, pochłaniając kawał na wpół surowego mięsa - smok jako król to wcale nie jest zły pomysł. Kiedy się dobrze zastanowić, znaczy się.

- Rzeczywiście wygląda wytwornie — przyznała kobieta po jego prawej stronie, jakby wypróbowywała ten pomysł. — Taki, no... smukły. Ładny i sprytny. Wcale nie jest niechlujny. Widać, że dumny z siebie. - Spojrzała z wyrzutem na młodszych ucztujących przy innej części stołu. - Kłopot z ludźmi dzisiaj polega na tym, że brakuje im godności.

- Dochodzi też polityka zagraniczna — dodał trzeci, częstując się żeberkiem. — Jeśli się zastanowić...

- O co panu chodzi?

- O dyplomację - odparł spokojnie zeberkożerca.

Zastanowili się. Widać było, że badają ideę na wszelkie sposoby i myślą o niej z różnych stron, w uprzejmym wysiłku zrozumienia, o czym ten człowiek, do licha, opowiada.

- No, nie wiem — stwierdził niepewnie ekspert od monarchii. — Wie pan, taki smok ma w zasadzie dwie metody prowadzenia negocjacji. Prawda? Znaczy, albo smaży człowieka żywcem, albo nie. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę — dodał.

- O to mi właśnie chodzi. Powiedzmy, że przybywa ambasador z Klatchu, sami wiecie, jacy oni są aroganccy, i przypuśćmy, że mówi: Chcemy tego, chcemy tamtego i chcemy jeszcze czegoś. I co? -Rozpromienił się. - My jemu na to: Zamknij się pan, chyba że chcesz wrócić do domu w słoiku.

Wypróbowali w myślach ten scenariusz. Rzeczywiście, miał w sobie pewien urok.

- W Klatchu mają wielką flotę - przypomniał niepewnie monarchista. - Smażenie dyplomatów może być ryzykowne. Kiedy ludzie widzą, że na łodzi wraca stos sadzy, rzadko są zachwyceni.

- Wtedy powiemy: Hej tam, Rysiu Klatchysiu, ty nie chcesz wielki jaszczurka z nieba upiec twoja chata szybko ciach-ciach.

- Naprawdę możemy tak powiedzieć?

- Czemu nie? A jeszcze potem mówimy: Przysłać duża danina, i to już,

- Nigdy nie lubiłam tych Klatchian - oświadczyła stanowczo kobieta. — Jedzą jakieś paskudztwa! Obrzydliwość. I jeszcze cały czas gadają w tym swoim pogańskim języku...

W mroku błysnęła zapalka.

Vimes osłonił płomień dłonią, zaciągnął się dymem z nędznego tytoniu, rzucił zapalnik do rynnika i począł wóród kałuż.

Jeśli cokolwiek przygnębiało go bardziej niż własny cynizm, to fakt, że często nie był aż tak cyniczny jak prawdziwy świat.

Od wieków mamy dobre stosunki z różnymi państwami. Dobre stosunki to praktycznie cała nasza polityka. A teraz usłyszałem chyba, jak wypowiadamy wojnę starożytnej cywilizacji, z którą zawsze mieliśmy dobre stosunki, mniej więcej, chociaż rzeczywiście mówią dość zabawnie. A po nich cały świat. Co gorsza, prawdopodobnie wygramy.

Podobne myśli, chociaż z innej perspektywy, przebiegły przez głowy wszystkich dostojników w Ankh-Morpork, kiedy następnego ranka każdy z nich otrzymał liścik informujący, że powinni zjawić się w pałacu na obiad, z rozkazu.

Nie było napisane, czyj to rozkaz. Ani też, co od razu zauważyli, czyj obiad.

Teraz czekali w przedpokojach.

Nastąpiły zmiany. Pałac nigdy nie należał do kategorii luksusowych rezydencji. Patrycjusz uważał, że jeśli ludziom za bardzo się spodoba, mogą zechcieć tu zostać. Umeblowanie składało się z kilku krzeseł i portretów dawnych władców miasta, trzymających zwoje pergaminów i różne inne przedmioty.

Krzeseła nadal stały na miejscach. Portrety zniknęły. A raczej — jako poplamione i podarte płótna — leżały na stosie w kącie, ale zniknęły złocene ramy.

Dostojnicy starali się nie patrzeć sobie w oczy i siedzieli w milczeniu, bębniąc palcami o kolana.

Wreszcie dwóch wyraźnie zmartwionych służących otworzyło drzwi do głównego holu. Na spotkanie gości wyszedł Lupine Wonse.

Większość dostojników nie spała całą noc, próbując sformułować jakieś zasady polityki wobec smoków. Wonse jednak wyglądał, jakby nie zaznał snu od lat. Twarz miał koloru sfermentowanej ścierki. Zawsze chudy, teraz przypominał coś wywleczonego z piramidy.

- Aha - zaintonował. - Dobrze. Wszyscy jesteście? Zatem pozwólcie tędy, panowie.

- Ehem... - odchrząknął główny złodziej. - List wspominał o obiedzie.

- Tak - przyznał Wonse.

- Ze smokiem?

- Wielkie nieba, nie myślicie chyba, że smok was zje? Co za pomysł!

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - zapewnił złodziej, a ulga dymiła mu uszami niczym para. - Sam pomyśl... Cha, cha.

- Cha, cha — przyłączył się szef kupców.

- Ho, ho — dodał główny skrytobójca. - Co za pomysł.

- Nie, nie. Przypuszczam, że jesteście zbyt żyłaści - powiedział Wonse.
- Cha, cha.

- Cha, cha.

- Aha, aha.

- Ho, ho.

Temperatura opadła o kilka stopni.

- Pozwólcie więc za mną.

Główny hol zmienił się przez noc. Przede wszystkim był teraz o wiele większy. Zburzono ściany dzielące go od sąsiednich komnat, natomiast strop i parę pięter powyżej usunięto całkowicie. Na podłodze leżała masa gruzu, z wyjątkiem samego środka, zajętego przez stos złota...

W każdym razie złocisty stos. Wyglądał, jakby ktoś z całego pałacu pozbił wszystko, co lśniło lub migotało. Były tu ramy obrazów, złote nici z gobelinów, sztucce, z rzadka jakiś klejnot. Były też

wazy z kuchni, lichtarze, szkandele do ogrzewania pościeli, odłamki luster. Błyszczące śmieci.

Dostojnicy nie zwrócili jednak uwagi na te skarby, a to z powodu tego, co wisiało im nad głowami.

Wyglądało jak największe złe zwinięte cygaro we wszechświecie, gdyby największe złe zwinięte cygara we wszechświecie miały zwyczaj zwisania głową w dół. Dwa słabo widoczne szpony ścisnęły ciemne belki.

W połowie drogi między błyszczącym stosem a drzwiami nakryto niewielki stół. Goście bez szczególnego zdziwienia spostrzegli, że znajoma srebrna zastawa zniknęła. Na stole ułożono porcelanowe talerze i sztucce wyglądające, jakby całkiem niedawno ktoś je wystrugał z drewna.

Wonse zajął miejsce u szczytu stołu i skinął na służbę.

- Siadajcie, panowie — zaprosił. — Przepraszam, że pałac wygląda teraz trochę... inaczej, ale król ma nadzieję, że zniesiecie to do czasu, kiedy zorganizujemy wszystko jak należy.

- Ee... kto? - spytał główny kupiec.

- Król — powtórzył Wonse. Jego głos brzmiał jak oddalony tylko o włos od szaleństwa.

- Aha, król. No tak - mruknął kupiec.

Ze swojego miejsca dokładnie widział wiszący obiekt. Miał wrażenie, że dostrzega jakiś ruch, jakieś drżenie w szerokich fałdach, które go

spowijały.

- Niech żyje król — powiedział.

Na pierwsze danie podano zupę z kluskami. Wonse podziękował. Pozostali jedli w zaleknionym milczeniu, przerywanym jedynie głuchym stukiem drewna o porcelanę.

- Trzeba pewne sprawy zadekretować i król sądzi, że wasza zgoda byłaby mile widziana — zaczął po chwili Wonse. — Zwykła formalność, ma się rozumieć, i przepraszam, że zajmuję panom czas takimi drobiazgami.

Wielki zawój poruszył się jakby od podmuchu wiatru.

- Ależ to żaden kłopot - wychrypiał przywódca złodziei.

- Król uprzejmie pragnie ogłosić - podjął Wonse - że łaskawie przyjmie prezenty koronacyjne od mieszkańców miasta. Nic wyjątkowego, oczywiście. Jakiegokolwiek szlachetne metale czy klejnoty, które mają w posiadaniu i bez żalu mogą z nich zrezygnować. Mu-

szą jednak podkreślić, że absolutnie nie jest to obowiązkowe. Wielkoduszność, jakiej z pewnością oczekuje, winna być działaniem całkowicie dobrowolnym.

Przywódca skrytobójców zerknął na swoje pierścienie i westchnął ciężko. Przywódca kupców odpinał już z szyi złożony łańcuch swego urzędu.

- Ależ panowie... - powiedział Wonse. - To naprawdę niespodzianka.

- Ehm... -wtrącił nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu. -Jest pan... to znaczy, nie wątpię, iż król jest świadom tradycyjnego wyłączenia Uniwersytetu ze wszystkich miejskich podatków i danin...

Stłumił ziewnięcie. Magowie całą noc kierowali na smoka swoje najlepsze zaklęcia. Przypominało to boksowanie mgły.

- Ależ drogi panie, to nie danina - zaprotestował Wonse. -Mam nadzieję, że to nie moje słowa wzbudziły takie podejrzenie. Ależ skąd!

Nigdy. Każdy dar winien być, jak już mówiłem, całkowicie dobrowolny. Mam nadzieję, że to całkiem jasne.

-Jak kryształ. — Najważniejszy ze skrytobójców rzucił magowi gniewne spojrzenie. - A te całkowicie dobrowolne dary, jakie złożymy, trafią...?

- Na stos.

- Aha.

- Wprawdzie jestem przekonany, że mieszkańcy naszego miasta okażą swoją hojność, gdy tylko w pełni zrozumieją sytuację -odezwał się kupiec — jednak król z pewnością rozumie, że w Ankh-Morpork jest bardzo mało złota.

- Słuszna uwaga - zgodził się Wonse. - Król wszakże zamierza zmienić ten stan dzięki swej dynamicznej, ambitnej polityce zagranicznej.

- Ach... — odpowiedzieli chórem dostojnicy, tym razem z większym entuzjazmem.

- Na przykład - kontynuował Wonse - król uważa, że nasze uzasadnione interesy w Quirmie, w Sto Lat, w Pseudopolis i Tsorcie były przez ostatnie stulecia poważnie zaniedbywane. Chce jak najszybciej naprawić sytuację i zapewniam was, panowie, że szerokim strumieniem popłyną do miasta skarby tych, którzy pragną się cieszyć protekcją naszego króla.

Skrytobójca obejrzał się na złoty stos. Dokładnie sobie wyobrażał, gdzie trafi ta rzeka skarbów. Trzeba przyznać, że smok potrafił elegancko *zażądać* pieniędzy. Był w tym prawie ludzki.

- Och - powiedział głośno.

- Oczywiście, będą też pewnie inne nabytki, jak to ziemia, nieruchomości i tak dalej. Król chce z całą mocą dać do zrozumienia, że lojalni Tajni Radcy będą sownie wynagradzani.

- I... tego... - podjął skrytobójca, uznając, że dość dobrze rozumie już naturę procesów myślowych króla. - Bez wątpienia ci, no...

- Tajni Radcy - odpowiedział Wonse.

- Bez wątpienia zareagują tym większą szczodrością w kwestii, na przykład, skarbu?

-Jestem przekonany, że taka myśl nie przemknęła nawet królowi przez głowę. Ale to słuszna uwaga.

- Tak też pomyślałem.

Następne danie składało się z tłustej wieprzowiny, fasoli i ziemniaków. Nie mogli nie zauważyć, że to kolejna tuczająca potrawa. Wonse poprosił o szklankę wody.

- Co doprowadza nas do kolejnej sprawy, dość delikatnej natury. Jestem jednak pewien, że osoby tak obyte w świecie, o tak otwartych umysłach, zaakceptują ją bez oporu - powiedział. Dłoń trzymająca szklankę drżała lekko. - Mam też nadzieję, że mieszkańcy w swej ogólności także ją zrozumieją, tym bardziej że król na wiele sposobów przyczyni się do dobrobytu i poprawienia obronności miasta. Z pewnością wszyscy będą spać spokojniej wiedząc, że sm... że król nieustrudzenie czuwa nad ich bezpieczeństwem. Mogą się jednak objawić śmieszne, staromodne... uprzedzenia, jakie zwalczyć można tylko bezustanną pracą... wszystkich ludzi dobrej woli.

Umilkł, przyglądając się im z uwagą. Przywódca skrytobójców opowiadał później, że w życiu wiele razy spoglądał w oczy ludziom z oczywistych powodów bliskim śmierci, ale nigdy w oczy, które wyraźnie i niewątpliwie patrzyły z samych głębin Piekła. Miał nadzieję, że nigdy, ale to nigdy nie będzie musiał jeszcze raz oglądać takich oczu.

- Mówię tu... - rzekł Wonse, a każde słowo wydobywało się powoli, jak bąbelki gazu z bagniska—o kwestii... królewskiej... diety.

Zapadło straszliwe milczenie. Usłyszeli nad sobą cichy szelest

skrzydeł, a cienie w kątach sali zdawały się rosnać i podpełzać coraz bliżej.

- Diety - powtórzył gtucho złodziej.

- Tak. - Głos Wonse'a przypominał raczej pisk.

Skrytobójca słyszał kiedyś określenie „pośmiertny grymas” i zastanawiał się, czy będzie miał okazję skorzystać z niego, by ściśle opisać wyraz czyjejś twarzy. Teraz już wiedział. To właśnie zobaczył na obliczu Wonse'a: upiorny grymas człowieka, który usiłuje nie słyszeć tego, co mówią jego własne usta.

- My, tego... sądziliśmy - powiedział, ostrożnie dobierając słowa - że sm... to znaczy król przez ostatnie tygodnie sam jakoś rozwiązywał te problemy.

- Tak, ale to nędzne zdobycze, domyślają się panowie. Nędzne. Zbłąkane zwierzęta i tak dalej. - Wonse wpatrywał się tępo w blat stołu. - Takie prowizoryczne posiłki nie są przecież właściwe dla króla.

Cisza narastała, nabierała faktury. Dostojnicy myśleli w skupieniu, głównie o posiłku, który właśnie zjedli. Podanie wielkiego biskopka z dużą ilością śmietany pomogło im się skoncentrować.

- Ee... - zaczął kupiec. - A jak często król bywa głodny?

- Przez cały czas - wyjaśnił Wonse. - Ale jada tylko raz na miesiąc. To właściwie bardziej ceremonia niż posiłek.

- Oczywiście - zgodził się kupiec. - Z pewnością.

- A tego... — zainteresował się skrytobójca - kiedy król, tego... jadł ostatnio?

- Z przykrością informuję panów, że nie odżywiał się właściwie od swojego tutaj przybycia.

- Aha.

- Musicie panowie zrozumieć - mówił Wonse, rozpaczliwie przesuwając drewniane sztucce - że napadanie na ludzi, jak zwykły skrytobójca...

- Przepraszam bardzo - zaprotestował skrytobójca.

- Jak zwykły morderca, chciałem powiedzieć, nie... nie daję mu satysfakcji. Samą istotą królewskiego posiłku jest... jest akt wspólnoty między władcą a poddanymi. To rzeczywiście odpowiednie porównanie. Taki posiłek ma wzmacniać więź między koroną a społeczeństwem.

- A jeśli chodzi o ścisły charakter tego posiłku... - odezwał się złodziej, niemal krztusząc się słowami. - Czy mowa tu o młodych pannach?

- To przesady - uspokoił go Wonse. - Wiek nie ma znaczenia. Stan cywilny jest oczywiście ważny. I klasa społeczna. Ma to jakiś związek ze smakiem. - Pochylił się; jego głos wypełnił się cierpieniem i błaganiem; po raz pierwszy wyczuli, że przemówił od siebie. - Proszę, panowie, zastanówcie się - syknął. - W końcu to tylko jedna miesięcznie! A w zamian tak wiele! Rodziny osób użytecznych dla króla, członków Tajnej Rady, takich jak wy, naturalnie nie będą nawet rozważane. A kiedy pomyślicie o możliwych alternatywach...

Nie pomyśleli o wszystkich możliwych alternatywach. Wystarczyło, że pomyśleli o jednej.

Milczenie przygniatało ich, a Wonse wciąż mówił. Unikali patrzenia na siebie w lęku, co mogą zobaczyć odbitego w oczach innych. Każdy z nich myślał: ktoś z nich musi w końcu coś powiedzieć, zaprotestować, a wtedy ja go poprę, zamruczę na poparcie, nic nie powiem, nie jestem taki głupi, żeby mówić, ale zamruczę bardzo stanowczo, by nikt nie miał wątpliwości, że się sprzeciwiam, bo przecież w takich chwilach każdy przyzwoity człowiek powinien niemal powstać i prawie dać się usłyszeć...

Ale nikt nic nie mówił. Tchórze, myślał każdy z nich.

Nikt też nie tknął deseru ani wielkich jak cegły czekoladek, które podano zaraz potem. Słuchali tylko z tępą grozą monotonnego głosu

Wonse'a, a kiedy mogli już iść, starali się wychodzić osobno, żeby ze sobą nie rozmawiać.

Wyjątkiem był przywódca kupców. Opuszczał pałac w towarzystwie głównego skrytobójcy; szli obok siebie, a ich myśli gnały w bezładzie. Kupiec szukał jaśniejszych stron sytuacji; należał do osób, które — kiedy wszystko zaczyna się sypać - organizują festiwale pieśni chóralnej.

- No, no - powiedział głośno. - Czyli jesteśmy teraz tajnymi radcami. Ciekawe.

- Hmm - odparł skrytobójca.

- Zastanawiam się, jaka jest różnica między tajnym radcą a zwykłym doradcą?

Skrytobójca spojrzał na niego z niechęcią.

- Myślę — rzekł — że gdyby ludzie się dowiedzieli, wpadłby pan w gówno po uszy.

I znowu spuścił głowę. Wciąż przypominał sobie ostatnie słowa Wonse'a, wypowiedziane, kiedy ścisnął jego miękką dłoń. Cię-

kawę, czy ktoś jeszcze je usłyszał... Raczej nie, bo były raczej kształtem niż dźwiękiem. Wonse ułożył tylko wargi, wpatrzony nieruchomo w opalone księżycem oblicze skrytobójcy.

Pomóż. Mi.

Skrytobójca zadrżał. Dlaczego właśnie on? O ile wiedział, miał kwalifikacje do pomagania tylko w jeden sposób i bardzo rzadko ludzie prosili o taką pomoc dla siebie. Zwykle płacili spore kwoty, żeby sprawić nią niespodziankę komuś innemu.

Pomyślał, co przeżywa Wonse, jeśli każda alternatywa wydaje się lepsza...

Wonse siedział samotny w ciemnej, zrujnowanej sali. Czekał.

Mógłby uciekać. Ale on by go znalazł. Zawsze by go znalazł. Potrafił wyczuć jego umysł.

Albo by go spalił. To jeszcze gorsze. Tak jak Bractwo. Zgon był natychmiastowy, w każdym razie wyglądał jak natychmiastowy, ale nocami Wonse nie mógł zasnąć i myślał, czy te ostatnie mikrosekundy nie rozciągają się w subiektywną, rozpaloną do białości wieczność, gdzie każda cząstka ciała zmienia się w kroplę plazmy, a człowiek żyje pośrodku tego piekła...

Nie ciebie. Ciebie nie spalę.

To nie była telepatia. O ile Wonse to rozumiał, telepatia polegała na słyszeniu głosu w swoim umyśle. A to było jak słyszenie głosu w swoim ciele. Cały system nerwowy wibrował niczym cięciwa łuku.

Wstań.

Kiedy odzywał się ten głos, Wonse zachowywał nad własnym ciałem taką władzę, jak woda nad grawitacją. Poderwał się, przewracając krzesło i zaczepiając nogą o stół.

Podejdź.

Wonse ruszył, szurając nogami po podłodze.

Skrzydła rozwinęły się z wolna, z cichym szelestem, aż wypełniły hol od ściany do ściany. Czubek jednego wybił okno i wysunął się na zewnątrz.

Smok powoli, zmysłowo wyciągnął szyję i ziewnął. Kiedy skończył, opuścił łeb, aż znalazł się o kilka cali od twarzy Wonse'a.

Co to znaczy dobrowolnie?

- To, no... To znaczy zrobić coś z własnej wolnej woli. *Ale oni nie mają wolnej woli! Będą powiększać mój skarb albo ich spalę!*

Wonse przełknął ślinę.

- Tak — przyznał. — Ale nie wolno... Bezgłośny ryk wściekłości obrócił go w miejscu.

- Nie, nie! - pisał Wonse, trzymając się za głowę. - Nie o to mi chodziło! Naprawdę! Tak będzie po prostu lepiej! Lepiej i bezpieczniej!

Nikt mnie nie pokona!

- Z pewnością masz rację! *Nikt nade mną nie zapanuje!* Wonse uniósł dłoń uspokajająco.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się. - Ale istnieją sposoby i sposoby. Tak, sposoby i sposoby. A ryki i płomienie, rozumiesz, nie będą ci potrzebne...

Głupia małpo! A jak mam ich zmusić, żeby robili, co im każę?

Wonse splótł ręce za plecami.

- Zrobią to dobrowolnie - zapewnił. - A z czasem uwierzą, że sami tego chcieli. Stworzą nową tradycję. Możesz mi wierzyć. My, ludzie, łatwo się dostosowujemy.

Smok przyglądał mu się długo.

- Minie trochę czasu - mówił Wonse, starając się powstrzymać drżenie głosu - a kiedy ktoś im powie, że smok na tronie to zły pomysł, sami go zabiją.

Smok mrugnął.

Po raz pierwszy, odkąd Wonse pamiętał, zdawał się wahać.

- Po prostu znam ludzi - wyjaśnił Wonse. Smok przygniatał go wzrokiem. *Jeżeli mnie okłamujesz...*

- Wiesz, że nie mogę. Nie ciebie. *Naprawdę tak się zachowują?*

- Oczywiście. Przez cały czas. To typowa ludzka cecha.

Wonse wiedział, że smok potrafi odczytywać przynajmniej górne poziomy świadomości. Ich umysły rezonowały w straszliwej harmonii. On także dostrzegał wielkie myśli za wpatrzonymi w niego ślepiami.

Smok był przerażony.

- Przykro mi - powiedział Wonse. - Tacy już jesteśmy. Wszystko to ma chyba związek z przetrwaniem.

Nie doczekam się potężnych wojowników, chcących mnie zabić? pomyślał smok niemal żałośnie.

- Raczej nie. *Ani bohaterów?*

-Już nie. Za dużo kosztują.

Przecież będę zjadać ludzi!

Wonse zaskomlał.

Poczuł, jak smok przeszukuje jego umysł, próbując znaleźć wskazówkę umożliwiającą zrozumienie. Na wpół zobaczył, na wpół poczuł migotanie przypadkowych wizji, obrazy smoków, mitycznej ery gadów i - tutaj smok był szczerze zdumiony - pewnych niezbyt chwalebnych okresów ludzkiej historii, stanowiących zresztą większą jej część. A po zdumieniu napłynął gniew. Nie istniało właściwie nic, co smok mógł zrobić ludziom, a czego sami wcześniej czy później nie wypróbowali na sobie nawzajem, często z entuzjazmem.

Macie czelność się skarżyć, pomyślał smok. A przecież my byliśmy smokami. Smoki powinny być okrutne, chytre, nieczule i straszne. Ale coś ci powiem, małpo...

Wielki pysk zbliżył się jeszcze i Wonse spojrzał prosto w głąbie bezlitosnych smoczycy ślepi.

Smoki nigdy nie paliły na stosie, nie torturowały, nie rozpruwały na

kawałki i nie nazywały tego moralnością.

Smok przeciągnął skrzydła raz czy dwa i opadł ciężko na tandetną kolekcję śladowo cennych przedmiotów. Pazurami przeorał stos.

Trójnoga jaszczurka nie wyspałaby się na czymś takim, pomyślał.

- Będą lepsze rzeczy - szepnął Wonse, z ulgą przyjmując chwilową zmianę tematu. *Lepiej, żeby były.*

- Czy mogę... - Wonse zawahał się. - Czy mogę zadać ci pytanie?

Pytaj.

- Przecież nie musisz zjadać ludzi. Myślę, rozumiesz, że z ludzkiego punktu widzenia to główny problem - dodał szybko, niemal bełkocząc. — Skarby i reszta, to w końcu żaden kłopot, ale jeśli chodzi tylko o, powiedzmy, o białko, to może tak potężny intelekt jak

twój pomyślałby o czymś mniej kontrowersyjnym, krowie na przykład, która przecież...

Smok dmuchnął poziomą strugą ognia, przypalając ścianę.

Nie muszę? Nie muszę?! ryknął, kiedy ucichł syk płomienia. Ty mi mówisz o konieczności ? Czy tradycja nie nakazuje, by najpiękniejsze kwiaty kobiecości posyłać smokowi dla zapewnienia spokoju i dobrobytu ?

- Ale widzisz, zawsze żyliśmy raczej spokojnie i we względnym dobrobycie...

A CHCESZ, ŻEBY TAK ZOSTAŁO?

Siła tej myśli powaliła Wonse'a na kolana.

— Oczywiście — wykrztusił.

Smok leniwie rozprostował szpony.

A zatem to wy musicie, nie ja, pomyślał. A teraz zejść mi z oczu.

Wonse opadł bezwładnie, kiedy bestia opuściła jego umysł.

Smok prześliznął się po nędznym skarbie, wskoczył na parapet jednego z wielkich okien holu i wybił głową witraż. Odłamki wielobarwnego wizerunku ojca miasta posypały się na gruzy w dole.

Długa szyja wyciągnęła się na zewnątrz i w wieczornym zmierzchu obracała się niby igła kompasu. W całym mieście zapalały się światła. Gwar czyniony przez milion ludzi zajętych życiem brzmiał jak stłumione, niskie brzęczenie.

Smok odetchnął głęboko i z rozkoszą.

Potem wciągnął na parapet pozostałą część cielska, wypchnął resztki okiennej ramy i skoczył w niebo.

- Co to jest? - spytał Nobby.

Przedmiot był mniej więcej okrągły, w dotyku podobny do drewna, a uderzony wydawał dźwięk jak linijka stukająca o krawędź biurka.

Sierżant Colon postukał jeszcze raz.

- Poddaję się - oświadczył.

Marchewa z dumą wyjął obiekt z pogniecionego opakowania.

- Ciasto - wyjaśnił, wsuwając pod spód obie dłonie i z pewnym wysiłkiem podnosząc okrągły przedmiot. - Od mojej mamy. Zdołał ułożyć go na stole, nie przycinając sobie palców.

- Można je zjeść? - zdziwił się Nobby. - Minęły miesiące, zanim do nas dotarło. Chyba się zeschło.

- Nie, to specjalny krasnoludzki przepis. Ciasta krasnoludów nigdy nie wysychają.

Sierżant Colon jeszcze raz stuknął w twardą powierzchnię.

- Nie, chyba faktycznie nie - przyznał.

-Jest niezwykle wręcz pożywne - tłumaczył Marchewa. -Właściwie prawie magiczne. Tajemnicę wypieku od wieków przekazuje się z krasnoluda na krasnoluda. Wystarczy mały kawałek, a nie chce się jeść przez cały dzień.

- A można uciec? - zapytał sierżant.

- Krasnolud może pokonać setki mil z takim ciastem w plecaku.

- Na pewno - mruknął ponuro Colon. - I pewnie przez cały czas myśli sobie: do licha, mam nadzieję, że szybko znajdę coś do zjedzenia, bo inaczej znowu czeka mnie to przekłute ciasto.

Marchewa, dla którego słowo „ironia” kojarzyło się tylko z aro-nią, sięgnął po pikę i po kilku próbach zdołał rozłupać ciasto na cztery prawie równe części.

- Częstujcie się - zaprosił. - Po jednym dla nas i czwarty dla kapitana. - Wtedy zdał sobie sprawę, co powiedział. - Oj, przepraszam.

- No tak - rzekł Colon.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Lubiłem go - oznajmił Marchewa. - Przykro mi, że musiał odejść.

Znowu zapadło milczenie, całkiem podobne do poprzedniego, ale głębsze i smutniejsze.

- Myślę, że teraz pana awansują na kapitana - odezwał się Marchewa.

Colon drgnął.

- Mnie? Ja nie chcę być kapitanem! Nie umiem tak kombinować. Nie warto kombinować za głupie dziewięć dolarów dodatku na miesiąc.

Zabębnił palcami po stole.

- Tyle dostawał? — zdziwił się Nobby. — Myślałem, że oficerowie śpią na pieniądzach.

- Dziewięć dolarów miesięcznie - potwierdził Colon. - Kiedyś widziałem listę płac. Dziewięć dolarów plus dwa dolary sortu pióropusowego. Ale nigdy go nie odbierał. Właściwie to zabawne.

- Pióropusze nie były w jego stylu - stwierdził Nobby.

- Masz rację. Ale nasz kapitan, widzicie... Czytałem kiedyś ta-

ką książkę... Wiecie, wszyscy mamy w ciałach alkohol... taki niby naturalny. Choćby człowiek przez całe życie nie wypił ani kropelki, ciało jakoś samo go wytwarza. Ale kapitan Vimes, rozumiecie, był z tych, co to ich ciało nie wytwarza alkoholu. Znaczy, tak jakby urodził się dwa kieliszki poniżej normy.

- O rany... - szepnął Marchewa.

- Tak jest... Więc kiedy jest trzeźwy, to jest naprawdę trzeźwy. Nazywają to knurdem. Pamiętasz, jak się czujesz rano po nocy chłania, Nobby? A on się tak czuje przez cały czas.

- Biedaczysko - westchnął Nobby. - Nie wiedziałem. Nic dziwnego, że wiecznie jest taki ponury.

- Dlatego próbował odrobić straty. Tyle że nie zawsze dobrze odmierzał dawkę. I oczywiście... - Colon zerknął na Marchewę -.. .został nisko uderzony przez kobietę i cierpi z tego powodu. Zresztą od mało czego nie cierpi.

- I co teraz zrobimy, sierżancie? — chciał wiedzieć Nobby.

- Myśli pan, że będzie mu przykro, jeśli zjemy jego kawałek? -zapytał

smętnie Marchewa. - Szkoda, żeby się zeschło.

Colon wzruszył ramionami.

Marchewa przegryzł się przez ciasto jak kombajn węglowy przez wapienną skarpe. Ale choćby to był najłżejszy z sufletów, i tak nie mieliby apetytu.

Myśleli o życiu bez kapitana. Będzie ponure, nawet bez smoków. O kapitanie Vimesie można mówić różne rzeczy, ale na pewno miał styl. Był to styl cyniczny, raczej mroczny, ale on go miał, a oni nie. Potrafił czytać trudne słowa i dodawać. To też było stylowe. Nawet upijał się ze stylem.

Starali się jak najdłużej przeciągać minuty, odsuwać złe chwile. Nadeszła jednak noc.

Nie mieli żadnej nadziei.

Będą musieli wyjść na ulice.

Była szósta. I nie wszystko było w porządku.

- Brakuje mi też Errola - odezwał się Marchewa.

- Właściwie należał do kapitana - przypomniał Nobby. - Zresztą lady Rarnkin potrafi o niego zadbać.

- Co prawda niczego nie można było przy nim zostawić — dodał Colon. - Nawet nafty. Wypił naftę do lamp.

- I kulki na mole - dodał Nobby. - Całe pudełko kulek. Po co

ktoś miałby jeść kulki na mole? I czajnik. I cukier. Szalał za cukrem.

- Ale był miły - upierał się Marchewa. - Przyjazny.

- To mu trzeba przyznać - zgodził się sierżant. - Ale to nie w porządku, trzymać zwierzaka i chować się za stół za każdym razem, kiedy mu się odbije.

- Będzie mi brakowało jego pyszczka - westchnął Marchewa.

Nobby głośno wytarł nos.

Walenie w drzwi zabrzmiało jak echo. Colon gwałtownie odwrócił głowę. Marchewa wstał i otworzył.

Dwaj członkowie gwardii pałacowej czekali za progiem z arogancką niecierpliwością. Cofnęli się, widząc Marchewę, który schylił się pod framugą, żeby wyjrzeć. Złe wieści, takie jak o Marchewie, rozchodzą się szybko.

- Przynieśliśmy wam proklamację - oznajmił jeden z nich. -Macie...

- Co to za farba na pańskim pancerzu? - zapytał grzecznie Marchewa.

Nobby i sierżant wyjrżeli obok niego.

- To smok - wyjaśnił młodszy gwardzista.

- Jasnie smok - poprawił go przełożony.

- Zaraz, ja cię znam - zawołał Nobby. -Jesteś Skully Maltoon. Mieszkałeś na Mielonej. Twoja mama robiła cukierki od kaszlu, pamiętam, ale raz wpadła do tej mikstury i umarła.

- Witaj, Nobby — odpowiedział bez entuzjazmu gwardzista.

- Założę się, że byłaby z ciebie dumna, gdyby zobaczyła tego smoka - stwierdził pogodnie Nobby.

Gwardzista rzucił mu spojrzenie pełne nienawiści i zakłopotania.

- I jeszcze nowy pióropusz na hełmie, no, no...

- Mamy tu proklamację, którą macie odczytać — powiedział głośno starszy gwardzista. — A także powywieszać na ulicach. Z rozkazu.

- Czyjego?- zapytał niewinnie Nobby.

Sierżant Colon chwycił zwój w swoją wielką łapę.

- Ogłasza się... - Czytał wolno, przesuwając po liniijkach niepewnym palcem. - Życzeniem Sy-my-o-ky-a, smoka, ky-r-ó-ly-a królów i a-be-ess-oly... — Pot perlił się na szerokim, różowym urwisku jego czoła. - Absolutnego znaczy, wy-ł-a-de-ce-y, władcy...

Zamilkł i tylko palce przesuwały się wolno po pergaminie.

- Nie - powiedział w końcu. - Tak być nie może. On chce kogoś zjeść?

- Skonsumować — poprawił go starszy gwardzista.

- To element umowy... umowy społecznej - dodał drewnianym głosem jego pomocnik. — Zgodzicie się chyba, że to niewielka cena za bezpieczeństwo i ochronę miasta.

- Przed czym? - wtrącił Nobby. - Nigdy nie mieliśmy wroga, którego nie można spłacić albo przekupić.

- Do dzisiaj - stwierdził posepnie Colon.

- Szybko się orientujesz - pochwalił gwardzista. - Macie to ogłosić, pod karą kary.

Marchewa zajrzał sierżantowi przez ramię.

- Co to jest dziewczica? - zainteresował się.

- Niezameżna dziewczyna — wyjaśnił szybko Colon.

- Znaczy, jak moja przyjaciółka Reet? — zapytał Marchewa oburzony.

- No... nie.

- Bo wie pan, sierżancie, ona nie jest zameżna. Żadna z dziewcząt od pani Palm nie ma męża.

- Wiem.

- No właśnie — rzekł Marchewa tonem kończącym dyskusję. — Mam nadzieję, że nie pozwolimy na takie rzeczy.

- Ludzie nie dopuszczą - uspokajał go Colon. — Zapamiętaj moje słowa.

Gwardziści cofnęli się poza zasięg gniewu Marchewy.

- Mogą robić co chcą - rzucił starszy. - Ale jeśli tego nie ogłosicie, będziecie się tłumaczyć przed Jego Wysokością. Odeszli pośpiesznie. Nobby wyskoczył za nimi na ulicę.

- Smok na pancerzu! — wrzasnął. — Twoja mama przewróciłaby się w kadzi, gdyby wiedziała, że biegasz po ulicach ze smokiem na pancerzu!

Colon powlókł się do stołu i rozłożył na nim pergamin.

- Paskudna sprawa - mruknął.

- On już zabijał ludzi - przypomniał Marchewa. — Naruszając szesnaście różnych aktów prawnych.

- Niby tak. Ale to było, no wiesz, w zamieszaniu i w ogóle. Nie

znaczy, że tak wolno... Ale żeby ludzie sami w tym uczestniczyli, żeby sami wystawiali mu jakąś dziewczuszkę i patrzyli, jakby to było właściwe i legalne... To o wiele gorsze.

- Myślę, że wszystko zależy od punktu widzenia - stwierdził Nobby.

- Co to znaczy?

- No, z punktu widzenia kogoś spalonego żywcem nie jest to chyba takie ważne — oświadczył filozoficznie kapral.

- Ludzie do tego nie dopuszczą, powiadam. - Colon nie zwracał na niego uwagi. - Zobaczycie. Ruszą na pałac i co smok wtedy zrobi? No?

- Spali ich wszystkich - odpowiedział natychmiast Nobby. Colon

zdziwił się wyraźnie.

- Tak by chyba nie postąpił, prawda?

- A co go powstrzyma? - Nobby obejrzał się w stronę drzwi. - To był kiedyś dobry chłopak. Biegał ze zleceniami u mojego dziadka. Kto by pomyślał, że będzie chodzić ze smokiem na piersi...

- Co zrobimy, sierżancie? — zapytał Marchewa.

- Nie chcę spłonąć żywcem - odparł sierżant Colon. - Żona by mi nie darowała. Chyba więc trzeba będzie ogłosić tę, jak jej tam, proklamację. Ale nie martw się, mały. - Poklepał Marchewę po muskularnym ramieniu, a potem jeszcze raz, jakby nie mógł uwierzyć pierwszemu wrażeniu. - Nic z tego nie będzie. Ludzie nie pozwolą.

Lady Ramkin obmacała tułów Errola. - Niech mnie lichu, jeśli wiem, co się z nim dzieje - stwierdziła. Mały smok spróbował polizać ją po twarzy. - Co jadł ostatnio?

- Ostatnio, o ile pamiętam, czajnik - wyjaśnił Vimes.

- Czajnik czego?

- Niczego. Czajnik. Taki czarny, z rączką i dzióbkiem. Obwąchiwał go strasznie długo, a potem zjadł.

Errol wyszczerzył przyjaźnie zęby i czknął. Oboje się uchylili.

- Aha, raz go przyłapaliśmy, jak wyjadał sadzę z kominka - mówił dalej Vimes, kiedy wysunęli głowy zza barierki.

Znowu pochylili się nad wzmocnionym boksem, służącym lady Ramkin za sypialnię dla chorych smoków. Musiał być wzmocniony. Zwykle pierwszą rzeczą, jaką robią chore smoki, jest utrata panowania nad własnymi

procesami trawiennymi.

- Właściwie nie wygląda na chorego - zauważyła lady Ramkin. - Jest zwyczajnie gruby.

- Często piszczy. I prawie że widać, jak coś mu się rusza pod skórą. Wie pani, co myślę? Mówiła pani, że potrafią przebudowywać system trawienny.

- A tak. Wszystkie żołądki i trzustki można połączyć na różne sposoby. Żeby wykorzystać...

- Cokolwiek, co znajdą i co się nadaje do wytwarzania płomienia - dokończył Vimes. - Właśnie. Wydaje mi się, że on próbuje wytworzyć bardzo gorący płomień. Chce wyzwąć wielkiego smoka. Za każdym razem, kiedy tamten wlatuje w powietrze, Errol siedzi nieruchomo i piszczy.

-1 nie wybucha?

- Nie zauważyłem. To znaczy, jestem pewien, że gdyby wybuchł, na pewno byśmy zwrócili uwagę.

- Po prostu wszystko, co znajdzie?

- Trudno powiedzieć. Wszystko obwąchuje, a większość rzeczy zjada. Wypił na przykład dwa garnce nafty do lamp. Nie mogłem go zostawić. Tam nie zdołalibyśmy się nim odpowiednio zaopiekować. Co prawda teraz nie musimy już szukać smoka - dodał z goryczą.

- Myślę, że w tej sprawie reaguje pan trochę nierozsądnie — oświadczyła, prowadząc go z powrotem do domu.

- Nierozsądnie? Wyrzucił mnie z pracy przy wszystkich!

- Owszem, ale jestem pewna, że zaszło nieporozumienie.

- Ja zrozumiałem doskonale!

- Denerwuje się pan, jak sądzę, ponieważ nic już pan nie może.

Vimes wytrzeszczył oczy.

- Co? — wykrztusił.

- Nic już pan nie może poradzić na smoka - mówiła dalej lady Ramkin, wcale nie przejęta. - Jest pan całkiem bezsilny.

- Moim zdaniem smok i to przekłete miasto akurat na siebie zasługują.

- Ludzie są przerażeni. Niech pan od nich zbyt wiele nie oczekuje,

kiedy tak bardzo się boją. - Ostrożnie dotknęła jego ramienia. Przypominało to robota przemysłowego, który, fachowo sterowany, delikatnie podnosi jajko.

- Nie każdy jest taki odważny jak pan - dodała nieśmiało.

- Jak ja?

- W zeszłym tygodniu. Kiedy nie pozwolił im pan pozabijać moich smoków.

- Ach, tanto... Ale to nie była odwaga. Zresztą stanąłem przeciwko ludziom. Ludzie są łatwiejsi. I coś pani powiem: nie mam zamiaru jeszcze raz zaglądać tej bestii do nosa. Codziennie o tym myślę, jak tylko się obudzę.

- Och... - Wyraźnie straciła zapach. - Cóż, jeśli jest pan pewien ... Jak pan wie, mam sporo przyjaciół. Gdyby potrzebował pan pomocy, wystarczy powiedzieć. Diuk Sto Helit szuka kapitana gwardii, o ile pamiętam. Napiszę panu list polecający. Polubi ich pan, to miłe młode małżeństwo.

- Nie wiem jeszcze, co będę robił — odparł Vimes bardziej szorstko, niż zamierzał. - Rozważam jedną czy dwie propozycje.

- Oczywiście. Pan sam wybierze najlepiej.

Vimes skinął głową.

Lady Ramkin skręcała i mięła w dłoniach chusteczkę.

- A więc... - zaczęła.

- No cóż...

- Zapewne, hm... chce pan już iść.

- Tak, myślę, że lepiej sobie pójdę.

Przez chwilę milczeli, a potem odezwali się jednocześnie.

- Było bardzo...

- Chciałem tylko powiedzieć...

- Przepraszam.

- Przepraszam.

- Nie, pani pierwsza zaczęła.

- Nie, nie, niech pan skończy.

- Aha. - Vimes zawahał się. - Muszę iść.

- A tak. — Lady Ramkin obdarzyła go bladym uśmiechem. -Nie może pan dopuścić, żeby te oferty czekały, prawda? Wyciągnęła rękę. Vimes uścisnął ją ostrożnie.

-Już naprawdę idę.

- Proszę zajrzeć znowu - zaproponowała nieco chłodniejszym

tonem. - Gdyby kiedyś zjawił się pan w okolicy. I tak dalej. Er roi na pewno chętnie się z panem spotka.

- Oczywiście. No tak. Do zobaczenia więc.

- Do widzenia, kapitanie.

Ruszył mroczną, zarośniętą alejką. Czul na plecach spojrzenie lady Ramkin, a przynajmniej mówił sobie, że je czuje. Na pewno stoi w drzwiach, prawie całkiem przesłaniając światło. Patrzy na mnie. Ale nie obejrzę się, myślał. To by było niemądre. Owszem, to przemiła kobieta, ma wiele zdrowego rozsądku i niezwykłą osobowość, ale tak naprawdę...

Nie obejrzę się, choćby tam stała, dopóki nie dojdę do końca ulicy. Czasem trzeba być okrutnym, żeby być delikatnym.

I kiedy usłyszał trzask drzwi, gdy dotarł dopiero do połowy alejki, nagle poczuł gniew, jakby właśnie został okradziony.

Stał nieruchomo, na przemian zaciskając i prostując palce. Nie był już kapitanem Vimesem, był obywatelem Vimesem, a to oznaczało, że może robić rzeczy, jakie dawniej nawet mu się nie śniły. Mógłby na przykład wybić kilka okien...

Nie, to na nic. Chciał czegoś więcej. Pozbyć się tego piekielnego smoka, wrócić do pracy, dostać w ręce człowieka, który stał za tym wszystkim, raz w życiu się zapomnieć i walić go, dopóki się nie zmęczy...

Wpatrzył się w pustkę. W dole, w mieście, uniosła się w górę kolumna dymu i pary. Nie myślał o tym.

Myślał o uciekającym mężczyźnie. I dalej, w przeszłości, w zamglonych dniach dzieciństwa, o chłopcu biegnącym, żeby nie zostać w tyle.

- Któryś z nich przeżył? - mruknął pod nosem.

Sierżant Colon odczytał proklamację i spojrzał na wrogi tłum.

- Nie złościście się na mnie - powiedział. -Ja tylko czytam. Nie napisałem tego.

- To ludzka ofiara, ot co - zauważył ktoś.

- Nie ma nic złego w ofiarach z ludzi - oświadczył kapłan.

- Ogólnie nie - przyznał pospiesznie mężczyzna. - Z powodów

religijnych i tak dalej. I z wykorzystaniem skazanych przestępców[22]. Ale to nie to samo, co podać kogoś smokowi, bo akurat ma apetyt.

- Oto właściwa postawa! — pochwalił Colon.

- Podatki to jedna sprawa, ale zjadanie ludzi to co innego.

- Dobrze powiedziane!

-Jeśli wszyscy powiemy, że się nie zgadzamy, co taki smok może zrobić?

Nobby otworzył usta, ale sierżant szybko zasłonił mu je dłonią. Drugą rękę zacisnął w pięść i uniósł do góry.

- Zawsze to powtarzałem - oświadczył. - Lud zjednoczony nie może być spalony!

Odpowiedziała mu głośnie owacja.

- Zaraz, chwileczkę - odezwał się nieduży człowieczek. - O ile nam wiadomo, smok tylko jedną rzecz robi dobrze: lata nad miastem i podpala ludzi. Nie jestem pewien, co można wymyślić, żeby go od tego powstrzymać.

- Tak, ale jeśli wszyscy się sprzeciwimy... - odpowiedział pierwszy mówca tonem, w którym dźwięczała niepewność.

- Przecież nie spali wszystkich — stwierdził Colon. Postanowił raz jeszcze zagrać swoją nową kartą. - Lud zjednoczony nie może być spalony!

Owacja była teraz o wiele skromniejsza. Ludzie woleli zachować siły na troskę.

- Nie jestem pewien, dlaczego właściwie nie. Dlaczego nie może wszystkich spalić i odlecieć do innego miasta?

- Dlatego że...

- Skarb - wtrącił Colon. - Potrzebuje ludzi, żeby znosili mu kosztowności.

- O właśnie.

- No... Może. A ilu dokładnie?

-Co?

- Ilu ludzi? Może nie spali całego miasta, tylko niektóre kawałki. Wiemy, które kawałki?

- Czekajcie, to przecież bez sensu! - zawołał pierwszy. -Jeśli cały czas będziemy sobie wyszukiwać problemy, to nie dojdziemy do niczego.

- Czasem warto się najpierw zastanowić, moim zdaniem. Na przykład, co się stanie, jeśli pokonamy smoka?

- Daj pan spokój! - obruszył się sierżant Colon.

- Nie, poważnie. Jaką mamy alternatywę?

- Przede wszystkim istotę ludzką!

- Rzeczywiście - przyznał człowieczek tonem wyższości. - Ale moim zdaniem jedna osoba na miesiąc to całkiem niezły wynik w porównaniu z niektórymi władcami tego miasta. Ktoś pamięta Nersha Obłąkańca? Albo lorda Chichota Smince'a i jego loch „Po-śmiej się chwilę”?

Rozległy się pomrukiwania w stylu „ma rację” czy też „dobrze gada”.

- Przecież zostali obaleni! - przypomniał Colon.

- Wcale nie. Zostali skrytobójczo zamordowani.

- Na jedno wychodzi. Ale smoka nikt nie zamorduje. Żeby go załatwić, nie wystarczy ciemna nocka i ostry sztylet. To oczywiste.

Teraz rozumiem, o czym mówił kapitan, myślał Colon. Nic dziwnego, że kiedy się zastanowił, od razu szedł się napić. Zawsze sami się pokonujemy, zanim jeszcze cokolwiek się zacznie. Człowiekowi z Ankh-Morpork wystarczy dać do ręki duży kij, a na pewno sam zatłucze się na śmierć.

- Słuchaj no, mały gadatliwy przygłupie - zirytował się pierwszy mówca, złapał człowieczka za kołnierz i zacisnął w pięść wolną rękę. - Tak się składa, że mam trzy córki i nie życzę sobie, żeby którąś tego, co to, to nie, uprzejmie dziękuję.

- Tak, a lud zjednoczony... nie... może... być...

Sierżant umilkł. Uświadomił sobie, że wszyscy wokół patrzą w górę.

To drań, pomyślał, choć jego racjonalizm zaczynał z wolna odpływać. Tak cicho się skrada. Musi mieć stopy z flaneli.

Smok zmienił pozycję na dachu najbliższego domu, raz czy dwa razy machnął skrzydłami, ziewnął i wyciągnął szyję w dół.

Szczęśliwy ojciec trzech córek stał ze wzniesioną pięścią pośrodku rosnącego szybko kręgu nagiego bruku. Mały człowieczek wyrwał mu się ze zmartwiałych palców i umknął w cień.

Nagle wydało się wszystkim, że jeszcze żaden człowiek na świecie nie był taki samotny i pozbawiony przyjaciół.

- Rozumiem - powiedział cicho.

Spojrzał ponuro na wścibskiego gada. Smok właściwie nawet nie sprawiał wrażenia szczególnie rozzłoszczonego. Przyglądał się człowiekowi z czymś zbliżonym do ciekawości.

- Nie boję się! — krzyknął mężczyzna. Głos odbił się echem w absolutnej ciszy. - Nie zwyciężysz nas! Jeśli mnie zabijesz, to równie dobrze możesz zabić wszystkich!

Niespokojnie zaszurały stopy w tych grupach wśród tłumu, które nie

uznały tego stwierdzenia za aksjomatycznie prawdziwe.

- Możemy z tobą walczyć! - oznajmił mężczyzna. - Powiedzcie wszyscy, że możemy! Sierzancie, jak to było z tym ludem zjednoczonym?

- Ee... - odpowiedział Colon, czując, że kręgosłup zmienia mu się w sopel lodu.

- Ostrzegam cię, smoku, duch ludzki jest...

Nie dowiedzieli się, jaki jest, a przynajmniej jaki jest jego zdaniem. Choć możliwe, że w mroku bezsennych nocy niektórzy przypominali sobie późniejsze wydarzenia i formułowali całkiem obiektywne i budzące mdłości opinie. Na przykład, że jedną z często pomijanych cech ludzkiego ducha jest ta, iż wprawdzie w odpowiednich warunkach bywa on mężny, szlachetny i wspaniały, to jednak, kiedy się dobrze zastanowić, jest tylko ludzki.

Ojciec trzech córek, trafiony prosto w pierś strugą smoczego ognia, był jeszcze przez moment widoczny jako biała od żaru sylwetka, a potem skromne czarne resztki spłynęły do niewielkiej kałuży roztopionego bruku.

Płomień zgasł.

Ludzie stali jak posągi, bojąc się, że ucieczka bardziej zwróci na nich uwagę.

Smok patrzył z góry, zaciekawiony, co teraz robią.

Colon uznał, że jest jedynym obecnym na miejscu przedstawicielem władz, do niego więc należy opanowanie sytuacji. Odchrząknął.

- Już po wszystkim! - zawołał, próbując opanować drżenie. - Proszę się rozejść. Nie ma na co patrzeć. Proszę się rozejść. Proszę przechodzić. Nie zatrzymywać się.

Zamachał rękami z czymś przypominającym stanowczość. Ludzie rozchodzili się nerwowo. Kątem oka zauważył czerwone płomienie za dachami domów i iskry ulatujące spiralą w niebo.

- Nie macie domów, żeby do nich wracać? - wychrypiał.

Bibliotekarz przeszedł do biblioteki tutaj i teraz. Każdy włoszek jego sierści jeżył się ze złości. Pchnął drzwi i ruszył w zalęknione miasto. Już wkrótce ktoś się przekona, że jego najgorszym koszmarem jest rozwścieczony bibliotekarz.

Z odznaką.

Smok krążył od niechcenia nad pogrążonym w mroku miastem. Prawie nie poruszał skrzydłami. Prądy termiczne dawały mu dostateczną siłę nośną.

W całym Ankh-Morpork płonęły domy. Między rzeką a zagrożonymi budynkami tylu ludzi podawało sobie wiadra z wodą, że stale ktoś je mylił albo porywał cudze. Zresztą wcale nie były potrzebne - do nabierania mętnych wód Ankh wystarczyłyby siatki.

W dole rzeki grupa czarnych od dymu mężczyzn gorączkowo usiłowała zatrzasknąć potężne wrota pod Mosiężnym Mostem. Wrota te stanowiły ostatnią linię obrony przed pożarem — pozbawiona odpływu rzeka rozlewała się powoli i wypełniała przestrzeń między murami.

Pracujący na moście należeli do ludzi, którzy nie mogli albo nie chcieli uciekać. Wielu innych tłoczyło się w bramach miejskich i podążało już przez chłodne, spowite mgłą równiny.

Ale nie uszli daleko. Smok z gracją wykręcił pętlę ponad miastem i przefrunął nad murami. Po kilku sekundach strażę zobaczyły błyski jaskrawego ognia wśród mgły. Ludzka fala popłynęła z powrotem, a smok unosił się nad nią niczym pies pasterski. Pożary płonącego miasta rozjaśniały czerwonym blaskiem dolne powierzchnie jego skrzydeł.

- Ma pan jakiś pomysł, co powinniśmy teraz robić, sierżancie? - zapytał Nobby.

Colon nie odpowiedział. Szkoda, że nie ma z nami kapitana Vimesa, myślał. On też by nie wiedział, co robić, ale dysponował o wiele szerszym słownictwem, żeby to wyrazić.

Niektóre pożary wygasły, gdy wylewająca rzeka i ludzie z wiadrami spełnili swoje zadanie. Smok chyba nie chciał rozpalać nowych. Dał do zrozumienia, o co mu chodzi.

- Zastanawiam się, na kogo padnie - mruknął Nobby.

- Co? - nie zrozumiał Marchewa.

- Kto będzie ofiarą.

- Sierżant mówił, że ludzie do tego nie dopuszczą. - Marchewa nie tracił spokoju.

- Niby tak. Ale pomyśl. Jeżeli spytasz ludzi, co wolą: czy spłonąć razem z domami, czy żeby smok pożarł jakąś dziewczynę, której pewnie i tak nigdy nie spotkali, to zaczną się zastanawiać. Ludzka natura...

-Jestem pewien, że w odpowiednim czasie zjawi się bohater. Z jakąś nową bronią albo co. I trafi w czułe miejsce. Nastąpiła cisza, oznaczająca pilne nasłuchiwanie.

- Niby co? — zapytał Nobby.

- Miejsce. Tam, gdzie jest czuły. Dziadek opowiadał mi różne historie. Trafisz smoka w czułe miejsce, mawiał, i już po nim.

-Jakby go kopnąć w te one? - Nobby zainteresował się wyraźnie.

- Nie wiem. Chyba tak. Ale mówiłem już, że nie wolno kopać...

- A gdzie jest to miejsce?

- U każdego smoka gdzie indziej. Czekasz, aż nad tobą przeleci, mówisz: o, to jest czułe miejsce, i wtedy go zabijasz. Coś w tym rodzaju.

Sierżant Colon wpatrywał się tępo w pustkę.

- Hmm - mruknął Nobby.

Przez chwilę obserwowali panikę. Wreszcie odezwał się sierżant.

-Jesteś pewien co do tych czułości?

- Tak. Całkiem pewien.

- Wolałbym, żebyś nie był, chłopcze. Znowu spojrzeli na przerażone miasto.

- Przecież zawsze pan opowiadał, sierżancie - zaczął Nobby -jak to w wojsku zdobywał pan nagrody za strzelanie z łuku. Miał pan szczęśliwą strzałę i zawsze pilnował, żeby ją znaleźć, i jeszcze...

- No dobrze, dobrze. Ale to nie to samo. Poza tym nie jestem bohaterem. Dlaczego mam to robić?

- Kapitan Vimes płaci panu trzydzieści dolarów na miesiąc - przypomniał Marchewa.

- Właśnie. - Nobby wyszczerzył zęby. - I dostaje pan jeszcze pięć dolarów dodatku za wyższą odpowiedzialność.

- Ale Vimesa nie ma - odparł gniewnie Colon. Marchewa spojrzał na niego surowo.

-Jestem przekonany — oznajmił — że gdyby był z nami, pierwszy by...

Colon uciszył go gestem.

- Wszystko świetnie - powiedział. - A co będzie, jeśli spudłują?

- Niech pan na to spojrzy od jaśniejszej strony - zaproponował Nobby. -

Pewnie nigdy się pan nie dowie.

Smętna mina sierżanta przekształciła się w desperacki, złośliwy uśmieszek.

- My się nie dowiemy, chciałeś powiedzieć.

-Co?

-Jeśli ci się wydaje, że stanę na jakimś dachu całkiem sam, to się mylisz. Rozkazuję wam, żebyście mi towarzyszyli. Zresztą - dodał Colon - ty też dostajesz dolara za odpowiedzialność.

Nobby skrzywił się przerażony.

- Wcale nie! — zawołał. — Kapitan Vimes mówił, że mi go odbiera, bo jestem hańbą ludzkiej rasy!

- No to możesz go teraz odzyskać. Poza tym dobrze się znasz na czułościach. Widziałem, jak się bijesz. Marchewa zasalutował.

- Proszę o zgodę na zgłoszenie się na ochotnika, sir - rzekł. -Dostaję tylko dwadzieścia dolarów miesięcznie w okresie próbnym i wcale mi nie zależy, sir.

Sierżant Colon odchrząknął. Potem poprawił na sobie półpancerz. Był to jeden z tych, które mają wytłoczone potężne mięśnie piersiowe. Brzuch i pierś sierżanta pasowały do niego tak, jak galareta pasuje do salaterki.

Co by teraz zrobił kapitan Vimes? Poszedłby się napić. Ale gdyby nie pił, to co by zrobił?

- Potrzebujemy Planu - oznajmił sierżant.

Zabrzmiało to całkiem nieźle. To jedno zdanie warte było pensji. Jeśli człowiek ma Plan, to jest już w połowie drogi do celu.

Zdawało mu się, że słyszy wiwatujące tłumy. Ludzie stali wzdłuż ulicy i rzucali kwiaty, a inni nieśli go w tryumfie przez wdzięczne miasto.

Jedyny problem, jak podejrzewał, tkwił w fakcie, że nieśli go w urnie.

Lupine Wonse człapał zimnymi korytarzami do sypialni Patrycjusza. Nigdy nie była okazałą komnatą; stało tam wąskie łóżko, kilka odrapanych szafek i właściwie niewiele więcej. Teraz, kiedy zniknęła ściana, wyglądała jeszcze gorzej. Chodzący przez sen lunatyk ryzykował wejście wprost do ogromnej jaskini, w jaką zmienił się główny hol.

Mimo to Wonse zamknął za sobą drzwi, by uzyskać złudzenie odosobnienia. Potem ostrożnie, często zerkając czujnie na wielką pustą przestrzeń za sobą, przyklęknął na środku podłogi i podważył deskę. Z otworu wyjął czarną szatę. Potem sięgnął głębiej w zakurzoną ciemność i pomacał ręką. Potem jeszcze głębiej. Wreszcie położył się, wsunął w otwór obie ręce i zamachał rozpaczliwie. Książka przeleciała przez pokój i trafiła go w tył głowy.

- Tego szukałeś, co? - odezwał się Vimes.

Wonse uklęknął; na zmianę otwierał i zamykał usta.

Ciekawe, co chce powiedzieć, myślał Vimes. Czy „Wiem, jak to wygląda”, czy może „Jak się tu dostałeś?” albo „Posłuchaj, mogę wszystko wytłumaczyć”? Chciałbym mieć teraz w ręku naładowanego smoka.

Wonse powiedział:

- No dobra. Sprytnie to wymyśliłeś.

Oczywiście, zawsze istnieje niewielka szansa na coś innego, dodał w myślach Vimes.

- Pod podłogą - stwierdził głośno. - Każdy by tam zajrzał. To trochę niemądre, nie sądzisz?

- Wiem. Chyba nie przypuszczał, że ktokolwiek będzie tu szukał. —

Wonse wstał i otrząpał się z kurzu.

- Słucham? - rzucił uprzejmie Vimes.

- Vetinari. Sam wiesz, że knuł bez przerwy i w ogóle. Był zamieszany w większość spisków przeciw sobie. Taki miał styl. Bawiło go to. Najwyraźniej przywołał tu smoka i nie umiał nad nim zapanować. Smok okazał się jeszcze sprytniejszy od niego.

- A co ty tu robiłeś?

- Pomyślałem, że może uda się odwrócić zaklęcie. A może wezwać drugiego smoka. Wtedy by walczyły.

- Coś w rodzaju równowagi terroru, tak?

- Warto spróbować - zapewnił z przekonaniem Wonse. Zbliżył się o krok. - Wiesz, z tą twoją pracą... Obaj byliśmy wtedy trochę przemęczeni, więc oczywiście, gdybyś chciał wrócić, to żaden...

- To musiało być straszne - przerwał mu Vimes. — Wyobraź sobie, co wtedy myślał. Przywołał smoka i odkrył, że to nie jego narzędzie, ale żywa bestia z własnym rozumem. Umysłem takim jak jego, tyle że bez żadnych zahamowań. Na samym początku, sądzą, był przekonany, że postępuje słusznie, dla dobra miasta. Musiał być szalony. Albo by oszalał prędzej czy później.

- Tak - zgodził się chrapliwie Wonse. — To musiało być straszne.

- Na bogów, chciałbym go dostać w swoje ręce! Przez tyle lat znałem go przecież i nie zdawałem sobie sprawy... Wonse milczał.

- Biegnij — rozkazał cicho Vimes.

- Co?

- Biegnij. Chcę zobaczyć, jak biegasz.

- Nie różu...

- Widziałem, że ktoś ucieka tamtej nocy, kiedy smok spalił dom. Myślałem wtedy, pamiętam, że biega dość dziwnie, tak jakby podskakiwał. A następnego dnia zobaczyłem ciebie, jak uciekasz przed smokiem. To właściwie mógł być ten sam człowiek, pomyślałem. Prawie skacze. Jak ktoś, kto podbiega, żeby nie zostać w tyle. Któryś z nich przeżył, Wonse?

Wonse machnął ręką w sposób, który pewnie wydawał mu się nonszalancki.

- To śmieszne. Żaden dowód — stwierdził.

- Zauważyłem, że ostatnio sypiasz tutaj - powiedział Vimes. - Pewnie król chce cię mieć pod ręką.

- Nie masz żadnego dowodu - szepnął Wonse.

- Oczywiście. To, jak ktoś biegnie. Ton głosu... Nic więcej. Ale

to przecież bez znaczenia, prawda? Nie miałoby znaczenia, nawet gdybym znalazł dowody. Bo komu miałbym je przedstawić? I nie możesz oddać mi stanowiska.

- Mogę! Mogę, i to nie zwykłego kapitana...

- Nie możesz oddać mi stanowiska — powtórzył Vimes. — Nie należało do ciebie, więc nie mogłeś mi go odebrać. Nigdy nie byłem przedstawicielem miasta, przedstawicielem króla ani przedstawicielem Patrycjusza. Byłem przedstawicielem prawa. Może naginanego i skorumpowanego, ale jednak jakiegoś prawa. A teraz nie istnieje żadne prawo prócz jednego: Jeśli nie będziesz uważał, spłoniesz żywcem". Gdzie tu miejsce dla mnie?

Wonse podskoczył i chwycił go za ramię.

- Ale możesz mi pomóc! - szepnął błagalnie. - Przecież musi być jakiś sposób na zniszczenie smoka... W każdym razie możemy pomóc ludziom, pokierować sprawami tak, żeby oszczędzić im najgorszego, dojść do

porozumienia...

Cios Vimesa trafił Wonse'a w szczękę i obrócił w miejscu.

- Smok tu jest! —warknął kapitan. — Nie możesz nim kierować, przekonywać go ani negocjować. Nie ma układów ze smokami. Ściągnąłeś go tutaj i tutaj już zostanie, ty draniu!

Wonse opuścił dłoń zakrywającą jasną plamę na policzku, w miejscu gdzie trafiła pięść Vimesa.

- I co teraz zrobisz? - zapytał.

Vimes nie wiedział. Przemyślał z dziesięć możliwych rozwiązań, ale właściwie jedynym odpowiednim było zabicie Wonse'a. A teraz, stojąc z nim twarzą w twarz, nie potrafił się do tego zmusić.

- To cały problem z takimi ludźmi jak ty — stwierdził Wonse i wstał. — Zawsze się sprzeciwiasz próbom poprawienia ludzkości, ale nigdy nie macie żadnych własnych planów. Straż! Straż!

Z obłędem w oczach uśmiechnął się do Vimesa.

- Nie spodziewałeś się tego, co? Wciąż mamy tu gwardzistów. Niewielu już, ma się rozumieć. Mało kto próbuje teraz wchodzić do pałacu.

W korytarzu rozległy się kroki i wkroczyło czterech gwardzistów z mieczami w rękach.

- Na twoim miejscu nie stawiałbym oporu - poradził Wonse. — To ludzie zdesperowani i niespokojni. Ale bardzo dobrze opłacani.

Vimes milczał. Wonse lubił napawać się cudzymi porażkami. A z takimi ludźmi zawsze ma się szansę. Co innego dawny Patry-cjusz - to trzeba mu przyznać. Jeśli chciał kogoś zabić, ten ktoś nie zdążył o tym usłyszeć.

Z takimi jak Wonse należy grać według ich reguł.

- Nigdy ci się nie uda — powiedział.

- Masz rację. Masz absolutną rację. Ale „nigdy” to bardzo długo. Żadnemu z nas nie może się udawać przez tak długi czas. Ty natomiast będziesz miał okazję wszystko sobie przemyśleć - dodał Wonse i skinął na gwardzistów. - Wrzućcie go do specjalnego lochu. A potem zajmijcie się tym drugim zadaniem.

- Ee... - odparł z wahaniem dowódca gwardii.

- O co chodzi, człowieku?

- Chce pan, tego... żebyśmy go zaatakowali? - spytał nieszczęśliwy gwardzista.

Chociaż w gwardii służyli osobnicy niezbyt błyskotliwi, jednak nie gorzej od innych znali konwencję. Kiedy ktoś wzywa strażników, by pokonali jednego człowieka w napiętej sytuacji, ich perspektywy nie przedstawiają się różowo. Łobuz z pewnością jest bohaterem, myślał gwardzista. A nie pociągała go przyszłość, w której sam byłby martwy.

- Oczywiście, idioto!

- Ale tego... on jest tylko jeden... — zauważył dowódca.

- I jeszcze się uśmiecha - dodał któryś z jego ludzi.

- Pewnie lada chwila zacznie się huśtać na kandelabrach - uzupełnił jego kolega. - I kopnie stół, i w ogóle.

- Przecież nie jest nawet uzbrojony! - wrzasnął Wonse.

- Tacy są najgorsi - stwierdził ze stoickim spokojem czwarty gwardzista. - Skaczą na bok, widzi pan, i łapią miecz wiszący nad kominkiem.

- Właśnie. A potem dźgają człowieka krzesłem.

- Tutaj nie ma kominka! Nie ma miecza! Jest tylko on! Bierzcie go!

Dwóch gwardzistów ostrożnie chwyciło Vimesa za ramiona.

- Nie będziesz próbował bohaterskich sztuczek? - upewnił się szeptem jeden z nich.

- Nie wiedziałbym nawet, jak zacząć.

- Aha. To dobrze.

Kiedy go wyprowadzali, Vimes słyszał obłąkany śmiech Won-se'a. Zawsze to robią, pomyślał; lubią się napawać.

Ale w jednym Wonse się nie pomylił: Vimes naprawdę nie miał żadnego planu. Nie zastanawiał się specjalnie, co będzie potem. Był durniem, tłumaczył sobie, wierząc, że doprowadzi do konfrontacji i na tym zakończy.

Zastanawiał się też, na czym polega to drugie zadanie.

Gwardziści pałacowi nie odzywali się, tylko patrząc prosto przed siebie, maszerowali wraz z nim przez zrujnowany hol, potem zasypanym gruzami korytarzem do złowroźnie wyglądających drzwi. Otworzyli je, wepchnęli go do środka i odeszli.

Nikt, ale to nikt nie zauważył cieniutkiego, lekkiego przedmiotu, który spłynął powoli z cieni pod sufitem i wirując w powietrzu jak nasienie klonu, wylądował na stosie błyskotek smoczego skarbu.

Była to łupina fistaszka.

Lady Ramkin obudziła cisza. Okna jej sypialni wychodziły na smocze zagrody i była przyzwyczajona do snu wśród odgłosów szeleszczących łusek, czasem ryku ognia, gdy któryś ze smoków zionął przez sen, i pisków ciężarnych samic. Brak tego hałasu działał na nią jak alarm.

Popłakała trochę, zanim się położyła. Niedużo, bo łzy i smutek w niczym nie mogą pomóc. Teraz zapaliła lampę, wciągnęła gumowe buty i chwyciła kij, który mógł się okazać jedynym, co stanie pomiędzy nią a

teoretyczną utratą cnoty. Ruszyła przez pogrążony w mroku dom. Kiedy po mokrym trawniku biegła do zagród, miała niejasne wrażenie, że w mieście coś się dzieje. Zignorowała tę myśl, jako chwilowo niewartą uwagi. Smoki były ważniejsze.

Otworzyła drzwi.

Były na miejscach. Znajomy fetor bagiennych smoków, mieszanka zapachu mułu i chemicznej eksplozji, płynął wśród mroku.

Każdy smok stał na tylnych łapach pośrodku swojej zagrody i z przeraźliwym skupieniem wpatrywał się w sufit.

— Aha - powiedziała. - Znowu tam lata, co? Popisuje się. Nie martwcie się o niego, moje małe. Mamusia jest przy was.

Odstawiła latarnię na półkę i zajrzała do zagrody Errola.

- A co u ciebie? - zaczęła i urwała nagle.

Errol leżał na boku. Z paszczy wypływała mu cienka strużka szarego dymu, a żołądek rozszerzał się i zmniejszał jak miech. Skóra, poczynając od szyi w dół, nabrała barwy niemal czystej bieli.

-Jeśli kiedyś wydam znowu *Choroby*, dopiszę cały rozdział wyłącznie o tobie - obiecała i otworzyła bramkę. - Zobaczymy, czy spadła już ta paskudna gorączka.

Wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, i syknęła. Cofnęła dłoń i zobaczyła, że na czubkach palców wyrastają pęcherze.

Errol był tak zimny, że aż parzył.

Na jej oczach małe, okrągłe znamiona na jego skórze, jakie wytopiła własnym ciepłem, pokryły się zamarzającym powietrzem.

Lady Ramkin przykucnęła.

- Co z ciebie za smok...? - zaczęła.

Przerwało jej dalekie stukanie do frontowych drzwi. Wahała się tylko przez chwilę. Zdmuchnęła latarnię, przekradła się wzdłuż zagród i odsunęła zasłaniający okno worek.

Pierwszy blask świtu ukazał jej na progu postać gwardzisty; pióropusz na hełmie kołysał się w porannym wietrze.

Przerażona przygryzła wargę, pomknęła do drzwi, przebiegła przez trawnik i wpadła do domu, przeskakując po trzy stopnie naraz.

- Głupia, głupia - wymamrotała do siebie, kiedy zauważyła, że lampa została na dole. Ale nie miała już czasu. Zanim po nią wróci, Vimes może odejść.

Po omacku znalazła najlepszą perukę i wbiła ją sobie na głowę. Gdzieś między maściami i lekarstwami dla smoków na jej toalecie było coś, co - o ile dobrze zapamiętała — nazywało się *Nocna rosa* czy jakoś podobnie bez sensu i co dawno temu dostała w prezencie od bezmyślnego siostrzeńca. Sprawdziła kilka butelek, zanim trafiła na tę, o którą — sądząc po zapachu — chodziło. Nawet dla nosa, który - wobec wszechobecności smoków - już dawno zamknął całą swoją aparaturę zmysłową, zapach wydawał się, no, mocniejszy niż dawniej. Ale mężczyźni najwyraźniej lubią takie rzeczy. Tak przynajmniej czytała. Właściwie to bez sensu. Zsunęła rąbek zbyt poważnej nagle nocnej koszuli na pozycję, gdzie - miała nadzieję - sugerował, niczego jednak nie odsłaniając. Potem zbiegła po schodach do drzwi.

Przed progiem zatrzymała się jeszcze, odetchnęła głęboko, przekręciła gałkę i kiedy pociągnęła, uświadomiła sobie, że powinna zdjąć gumki...

- Ależ kapitanie - powiedziała zalotnie. - To naprawdę... Kim jesteście, do demona?

Dowódca gwardii pałacowej cofnął się o kilka kroków, a że pochodził z chłopów, wykonał też kilka ukradkowych gestów dla ochrony przed złymi mocami. Najwyraźniej nie podziałały. Kiedy bowiem znowu otworzył oczy, zjawa wciąż stała w drzwiach, wciąż najeżona z wściekłości, wciąż cuchnąca czymś mdlącym i sfermentowanym, wciąż ukoronowana krzywą masą loków, wciąż z drżącym łonem, na którego widok zaschło mu w gardle...

Słyszał o takich potworach. Nazywano je harpiami. Ale co zrobiły z lady Ramkin?

Widok gumiaków trochę go zaniepokoił. Legendy o harpiach nie wspominały o gumiakach.

- Gadaj, człowieku! - huknęła lady Ramkin, skromnie podciągając koszulę pod szyję. — Nie stój tak z gębą zamykaną i otwieraną na zmianę. Czego chcesz?

- Lady Sybil Ramkin? - zapytał gwardzista nie uprzejmym tonem człowieka, który szuka jedynie potwierdzenia, ale zdumionym tonem człowieka, który nie może uwierzyć, że odpowiedź mogłaby brzmieć „tak”.

- Oczu nie masz? A myślisz, że kim jestem? Gwardzista opanował się z trudem.

- Mam wezwanie dla lady Sybil Ramkin — oznajmił niezbyt pewnym głosem.

- Niby co ma znaczyć „wezwanie”? - spytała pogardliwie.

- Aby zjawiała się pani w pałacu.

- Nie wyobrażam sobie nawet, dlaczego miałoby to być konieczne o tej porze - odparła i chciała zatrzaskać drzwi. Nie udało jej się, gdyż ostrze miecza w ostatniej chwili wsunęło się między nie i futrynę.

-Jeśli pani nie pójdzie — ostrzegł gwardzista — rozkazano mi podjąć kroki.

Drzwi otworzyły się natychmiast i jej twarz zbliżyła się do jego, niemal powalając zapachem gnijących płatków róż.

-Jeśli ci się wydaje, że choćby mnie dotkniesz...

Gwardzista zerknął w bok, tylko przez moment... na smocze zagrody. Sybil Ramkin zbladła.

- Nie ośmielisz się! — syknęła.

Przełknął ślinę. Choć była przerażająca, była jednak tylko człowiekiem. Mogła odgryźć głowę jedynie w sensie metaforycznym. Istniały, tłumaczył sobie, rzeczy o wiele gorsze do lady Ramkin, chociaż trzeba przyznać, że w tym momencie nie znajdowały się o trzy cale od jego nosa.

— .. .podjąć kroki... — powtórzył chrapliwie. Wyprostowała się i spojrzała na szereg gwardzistów za plecami dowódcy.

- Rozumiem - oświadczyła lodowato. - Tak to się robi? Sześciu was, żeby pochwycić jedną słabą kobietę? Doskonale. Pozwolicie mi, oczywiście, wrócić po płaszcz. Jest nieco chłodno.

Trzasnęła drzwiami.

Gwardziści tupali z zimna nogami i starali się nie patrzeć na siebie nawzajem. Przecież nie tak powinno wyglądać aresztowanie. Aresztowanym nie pozwala się, żeby trzymali gwardię pod drzwiami, nie tak przecież świat funkcjonuje. Z drugiej strony jedyną alternatywą było wejście do domu i wyciągnięcie jej stamtąd, a do takiego pomysłu trudno było wzbudzić w sobie entuzjazm. Poza tym dowódca nie był pewien, czy ma dosyć ludzi, by zaciągnąć lady Ramkin dokądkolwiek. Potrzebowałby chyba tysięcy robotników i belek do przetaczania.

Drzwi zatrzeszczały znowu, odsłaniając jedynie stęchłą ciemność.

— Dość tego... — zaczął niespokojnie dowódca.

Wtedy pojawiła się lady Ramkin. Dowódca zobaczył przez moment jej rozmytą sylwetkę, jak z wrzaskiem przeskakuje próg. Byłby to może ostatni widok, jaki zdołał zapamiętać, gdyby ktoś z jego ludzi nie wykazał się orientacją i nie podłożył jej nogi, kiedy zbiegała po schodach. Runęła na twarz, klnąc głośno przeorała trawnik, uderzyła głową w splekany posąg starożytnego Ramkina i znieruchomiała.

Dwuręczny miecz, który trzymała w ręku, wbił się w ziemię i wibrował jeszcze chwilę.

Po chwili jeden z gwardzistów podszedł ostrożnie i zbadał klingę palcem.

- Niech to demony porwą - powiedział głosem, w którym mieszały się groza i podziw. — I smok chce zjeść właśnie ją?

- Pasuje do wymagań - wyjaśnił dowódca. - Ma być najwyżej urodzoną damą w mieście. Nic nie wiem o dziewictwie - dodał -i w tej chwili nie chcę się nawet domyślać. Niech ktoś sprowadzi wózek.

Pogładził palcem ucho draśnięte końcem miecza. Z natury nie był człowiekiem okrutnym, ale kiedy Sybil Ramkin się zbudzi, wolałby, żeby dzieliła ją od niego grubość smoczej skóry.

- Czy nie mieliśmy pozabijać tych jej domowych smoków, sir? - zapytał inny z gwardzistów. - Zdawało mi się, że pan Wonse mówił coś o zabiciu smoków.

- To tylko groźba, która miała ją przekonać.

Gwardzista zmarszczył brwi. - -Jest pan pewien, sir? Myślałem...

Dowódca miał już tego dość. Wrzeszczące harpie i miecze wydające za jego plecami dźwięk podobny do odgłosu dartego jedwabiu poważnie naruszyły w nim zdolność rozumienia cudzego punktu widzenia.

- Aha, myślałeś? - warknął. - Myśliciel z ciebie? To może pomyślisz, czy nie pora na zmianę stanowiska? Może wolałbyś w Straży Miejskiej? Tam aż się roi od myślicieli.

Reszta oddziału roześmiała się z przymusem.

- Gdybyś rzeczywiście myślał — dodał sarkastycznie dowódca -to wpadłbyś na to, że król nie życzyłby sobie śmierci innych smoków. Są pewnie spokrewnieni. Przecież nie chciałby, żebyśmy mordowali jego krewnych, co?

- Ale ludzie to robią, sir - odpowiedział nadąsany gwardzista.

- Owszem - przyznał dowódca. Po czym znacząco postukał się w hełm.
- Bo jesteśmy inteligentni.

Vimes wylądował na wilgotnej słomie, a także w absolutnej ciemności, chociaż po chwili, kiedy oczy się przyzwyczaiły, zdołał odróżnić ściany lochu. Nie został zbudowany po to, by wygodnie w nim mieszkać. W zasadzie był tylko przestrzenią mieszczącą wszystkie filary i łuki

podtrzymujące pałac. Na drugim końcu niewielkie okratowane okienko wpuszczało zaledwie sugestię mętnego, zużytego światła.

W podłodze Vimes znalazł drugi kwadratowy otwór. Także okratowany. Ale tutaj kraty przerdzewiały i Vimesowi przyszło do głowy, że w końcu zdołałby je pewnie wyjąć. Wtedy wystarczyłoby tylko wśliznąć się w dziewięciocalową dziurę.

Za to z pewnością loch nie mieścił w sobie szczurów, skorpionów, karaluchów i węży. Chociaż węże żyły tu kiedyś, bo pod sandałami chrzęściły długie, wąskie, białe szkielety.

Ruszył czujnie wzdłuż wilgotnej ściany, zaciekawiony, skąd dobiega rytmiczne skrobanie. Wyminął gruby filar i zobaczył.

Patrycjusz się golił, zezując w odłamek lustra oparty o filar. Nie, spostrzegł nagle Vimes. Wcale nie oparty - podtrzymywany. Przez szczura. Wielkiego szczura z czerwonymi oczkami.

Patrycjusz skinął mu głową, najwyraźniej bez zdziwienia.

- Witam - powiedział. - Vimes, prawda? Słyszałem, że tutaj schodzisz. Bardzo dobrze. Lepiej powiedz w kuchni... - w tym miejscu Vimes zorientował się, że Patrycjusz zwraca się do szczura — ...że będzie nas dwóch na obiedzie. Napiłbyś się piwa, Vimes?

-Co?

- Przypuszczam, że chętnie. Niestety, to loteria. Rodacy Skrpa są dość inteligentni, ale jakoś nie mogą sobie poradzić z nalepkami na butelkach.

Lord Vetinari poklepał twarz ręcznikiem i rzucił go na podłogę. Szary kształt wyskoczył z cienia i pociągnął ręcznik do kratki ściekowej.

- Wystarczy, Skrp. Możesz iść - rzucił Patrycjusz.

Szczur nastroszył wąsiki, oparł lusterko o ścianę i odbiegł.

- Obsługują pana szczury? - zdumiał się Vimes.

- Pomagają trochę. Obawiam się, że nie są szczególnie sprawne. Mało chwytne łapki, rozumiesz.

- Ale... Ale... Znaczy, w jaki sposób?

- Rodacy Skrpa zamieszkują tunele sięgające do Uniwersytetu - wyjaśnił lord Vetinari. - Chociaż mam wrażenie, że od początku byli dość rozumni.

To przynajmniej Vimes zrozumiał bez trudu. Od dawna było wiadomo, że taumaturgiczne promieniowanie wpływa na zwierzęta zamieszkujące okolice Niewidocznego Uniwersytetu, niekiedy skła-

niając je do tworzenia miniaturowych odpowiedników ludzkiej cywilizacji czy nawet mutując w całkiem nowe, wyspecjalizowane gatunki, takie jak mól książkowy 0,303 albo ryba ścienna. W dodatku, jak przyznał Vetinari, szczury od początku były w miarę inteligentne.

- Ale pomagają panu?

- Wzajemnie. To wymiana. Zapłata za oddane usługi, można powiedzieć.

Patrycjusz usiadł na czymś, co — Vimes nie mógł nie zauważyć - było niedużą aksamitną poduszką. Obok, żeby wygodniej było sięgać, leżał notes i stały rzędkiem książki.

-Jak mógł pan pomóc szczurom, sir? - zapytał słabym głosem.

- Poradą. Doradzam im, rozumiesz. - Patrycjusz oparł się o ścianę. - Na tym polega kłopot z takimi ludźmi jak Wonse - podjął. - Nie znają umiaru. Szczury, węże i skorpiony. Kiedy tu przyszedłem, panował straszliwy bałagan. Szczury wychodziły na nim najgorzej.

Vimes pomyślał, że chyba zaczyna rozumieć.

- To znaczy, że je pan wytresował?

- Doradzałem. Doradzałem. Mam chyba taki dar - odparł skromnie lord Vetinari.

Vimes zastanawiał się, jak tego dokonał. Czy szczury sprzymierzyły się ze skorpionami przeciwko węzom, a potem, kiedy węże zostały pokonane, zaprosiły skorpiony na uroczysty posiłek i je pozjadały? A może wynajmowały pojedyncze skorpiony, używając dużych ilości... no, tego co skorpiony chętnie jedzą, żeby nocą podkradały się do wybranych węzowych przywódców i ich żądliły?

Kiedys słyszał historię o człowieku, który - zamknięty w celi przez lata - wytresował małe ptaszki i stworzył sobie pozory wolności. Pomyślał też o starych marynarzach, opuszczających morze z powodu wieku i zniedołężnienia, którzy po całych dniach składają chyże statki w małych butelkach.

A potem wyobraził sobie Patrycjusza, okradzionego z miasta, który ze skrzyżowanymi nogami siedzi na zimnej posadzce mrocznego lochu i odtwarza je wokół siebie, rekonstruuje w miniaturze drobne niechęci, starcia o władzę i frakcje. Był posępną, zamyśloną postacią wśród przemykających cieni. Prawdopodobnie całe to

przedsięwzięcie było łatwiejsze niż rządzenie Ankh, gdzie żyły większe szkodniki, które w dodatku nie potrzebowały obu rąk, by podnieść nóż.

Przy ścieku brzęknęło. Pojawiło się sześć szczurów dźwigających coś owiniętego w ściereczkę. Przeciągnęły to przez uchyloną kratkę i z

wysiłkiem doniosły pod nogi Patrycjusza. Pochylił się i rozwiązał supeł.

- Mamy tu, jak widzę, udka kurczęcia, seler, kawałek mocno zeschniętego chleba i sympatyczną butelkę... aha, sympatyczną butelkę Słynnego Brunatnego Sosu Merckle'a i Stingbata. Piwo, Skrp; prosiłem o piwo. - Pierwszy szczur zmarszczył nos. - Przepraszam cię, Vimes. One, rozumiesz, nie umieją czytać. Jakoś nie mogą pojąć samej idei. Ale bardzo dobrze słuchają. Przynoszą mi wszystkie wieści.

- Miło się pan tu urządził - przyznał niepewnie Vimes.

- Nigdy nie buduj lochu, w którym z przyjemnością nie spędziłbyś chociaż jednej nocy - stwierdził Patrycjusz, rozkładając jedzenie na ściereczce. - Świat byłby o wiele lepszy, gdyby ludzie o tym pamiętali.

- Wszyscy uważaliśmy, że zbudował pan tu ukryte przejścia i w ogóle...

- Nie widzę powodów. Człowiek musiałby potem stale uciekać. To nieefektywne. Tymczasem siedzę sobie tutaj, w samym centrum wydarzeń. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Vimes. Nie można ufać władcy, który pokłada nadzieję w tunelach, kryjówkach i przygotowanych trasach ucieczki. Istnieje duża szansa, że nie wkłada serca w swoją pracę.

-Aha.

Siedzi w lochu we własnym pałacu, na górze rządzi kompletny szalencie, smok pali jego miasto, a on uważa, że ustawił sobie świat tak, jak zaplanował. To ma chyba coś wspólnego z wysokimi stanowiskami. Wysokość przyprawia człowieka o obłąd.

- Nie będzie panu przeszkadzać, jeśli się trochę rozejrzę?

- Nie krępuj się.

Vimes obszedł cały loch i sprawdził drzwi. Były solidnie okute i zaryglowane, a zamek masywny.

Potem ostukał ściany, szukając pustych miejsc za kamieniami. Bez wątplenia loch był zbudowany porządnie. W takim lochu człowiek mógł

spokojnie zamykać groźnych przestępców. Oczywiście, wtedy pewnie wołałyby, żeby nie istniały tu ukryte zapadnie, tunele i inne drogi ucieczki.

Ale okoliczności były całkiem inne. Zadziwiające, jaki wpływ na ocenę wywiera kilka stóp litego kamienia.

- Czy zaglądają tu strażnicy? - spytał.

- Bardzo rzadko. - Patrycjusz machnął udkiem kurczaka. - Widzisz, nie zadają sobie kłopotu z przynoszeniem mi jedzenia. Idea polega na tym, że człowiek powinien tu zgnieć. Przyznam ci się — dodał - że do niedawna podchodziłem pod drzwi i jęczałem od czasu do czasu. Żeby byli zadowoleni.

- Muszą przecież wejść tu i sprawdzić - rzekł z nadzieją Vimes.

- Nie, do tego nie chcielibyśmy chyba dopuścić.

- A jak pan chce im przeszkodzić?

Lord Vetinari spojrzał na niego z wyrzutem.

- Vimes, mój drogi — powiedział. — Myślałem, że jesteś człowiekiem spostrzegawczym. Przyjrzałeś się tym drzwiom?

- Oczywiście - potwierdził Vimes i dodał: - Sir. Są wściekle mocne.

- Może zechcesz obejrzeć je dokładniej?

Vimes popatrzył na niego zdziwiony, po czym podszedł do drzwi i spojrzał. Należały do popularnego typu mrocznych portali, całe w sztabach, ryglach, żelaznych ćwiekach i masywnych zawiasach. I chociaż patrzył długo, nie stawały się ani trochę mniej solidne. Zamek -jedno z chytrych urządzeń krasnoludzkiej produkcji - wymagał lat, by go otworzyć bez klucza. Ogólnie rzecz biorąc, jeśli człowiek szukał symbolu czegoś absolutnie niewzruszonego, drzwi świetnie się nadawały.

Patrycjusz zjawił się obok niego w przyprawiającej o atak serca ciszy.

- Przyznasz chyba - powiedział - że jeśli w mieście wybuchają

gwałtowne rozruchy społeczne, aktualny władca jest zwykle wtrącany do lochu. Dla pewnej kategorii umysłów rozwiązanie to daje satysfakcję o wiele większą niż zwykła egzekucja.

- No tak, to prawda, ale nie rozumiem...

- Patrzysz na te drzwi i widzisz jedynie bardzo mocne drzwi celi. Zgadłem?

- Oczywiście. Wystarczy popatrzeć na te rygle i...

- Wiesz, jestem z nich raczej zadowolony - stwierdził spokojnie lord Vetinari.

Vimes wpatrywał się w drzwi, aż rozboleły go powieki. I wtedy - tak jak przypadkowe kształty chmur, nie zmieniając się w najmniejszym stopniu, nagle stają się końską głową albo żagłowcem, zobaczył to, na co patrzył przez cały czas.

Ogarnęło go poczucie przeraźliwego podziwu.

Zastanowił się, jak może wyglądać umysł Patrycjusza. Cały zimny i lśniący, myślał; hartowana stal, sople lodu i wirujące kółka. Taki umysł starannie rozważył własny upadek i obrócił go na swoją korzyść.

Były to całkiem zwyczajnie drzwi do lochu, wszystko jednak zależało od punktu widzenia.

W tym lochu Patrycjusz mógł się bronić przed całym światem.

Na zewnątrz był tylko zamek.

Wszystkie rygle i sztaby były od środka.

Cały oddział gramolił się niezręcznie po wilgotnych dachach, gdy

poranne słońce roztopiało mgłę. To nie znaczy, że powietrze stawało się czyste — wypełniały je lepkie pasma dymu i pary oraz smutny zapach mokrych popiołów.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał Marchewa, pomagając kolegom przejść przez śliski od brudu podest.

Sierżant Colon rozejrzał się wśród lasu kominów.

- Nad gorzelnią whisky Jimkina Bearhuggera - stwierdził. -W linii prostej między pałacem a placem. Musi tędy przelecieć. Nobby wyjrzał tęsknie przez krawędź dachu,

- Byłem tam kiedyś - wyznał. - Pewnej nocy sprawdziłem drzwi i same się otworzyły.

- W końcu pewnie tak - mruknął kwaśno Colon.

- No to musiałem zajrzeć do środka. Prawda? Musiałem sprawdzić, czy ktoś tam nie popełnia przestępstwa. Ciekawie to wygląda. Same rury i różne takie. A jaki zapach...

- „Każda butelka leżakuje do siedmiu minut” — zacytował Colon. — „Wypij kropelkę, zanim odejdiesz”, piszą na etykietach. I słusznie. Kiedyś wypilem kropelkę i oszedłem na cały dzień.

Przyklęknął i odwinął z worka długi pakunek, który z najwyższym wysiłkiem ciągnął za sobą przez całą wspinaczkę. Szorstka tkanina odsłoniła długi łuk dawnego wzoru i kołczan ze strzałami.

Sierżant z nabożnym szacunkiem ujął łuk i pogładził go grubymi palcami.

- Wiecie - powiedział cicho - w młodości świetnie sobie z nim radziłem. Szkoda, że przedwczoraj kapitan nie pozwolił mi spróbować.

- Ciągłe pan to powtarza - zirytował się Nobby.

- Kiedyś zdobywałem nagrody...

Sierżant odwinął nową cięciwę, założył na koniec łuku, wstał, przyciągnął drugi koniec, stęknął...

- Marchewa! - zawołał trochę zdyszany.

- Słucham, sierżancie?

- Umiesz zakładać cięciwy?

Marchewa chwycił łuk, przygiął go bez trudu i założył cięciwę na drugi koniec.

- Dobry początek, sierżancie - mruknął Nobby.

- Przestań pokpiwać, Nobby! Tu nie siła się liczy, tylko bystre oko i pewna ręka. A teraz podaj mi strzałę. Nie, nie tę! Palce Nobby'ego znieruchomiały nad kołczanem.

- To moja szczęśliwa strzała! - złościł się Colon. - Nikomu nie wolno jej dotykać!

- Moim zdaniem wygląda jak każda inna strzała...

- Tej właśnie używałem do, jak to się nazywało, *coup de grass*. Nigdy mnie nie zawiodła moja szczęśliwa strzała, o nie. Trafiała w to, w co strzelałem. Prawie nie musiałem celować. Jeśli smok ma jakieś czułości, ta strzała je znajdzie.

Wybrał identyczną z pozoru, ale zapewne mniej szczęśliwą strzałę i założył na cięciwę. Potem rozejrzał się dookoła, szukając właściwego celu.

- Lepiej poćwiczę - mruknął. - Oczywiście, jeśli człowiek raz się tego nauczy, nigdy nie zapomina. To jak jazda na... jazda na czymś, o czym nie można zapomnieć, że się na tym umie jeździć.

Naciągnął cięciwę do ucha i stęknął.

- No dobra - wysapał. Ręka drżała mu z wysiłku jak gałąź na wietrze. - Widzicie, o tam, dach Gildii Skrytobójców? Wytrzeszczyli oczy poprzez dym

i resztki mgły.

- Dobrze - mówił Colon. - A widzicie wiatrowskaz na dachu? Widzicie?

Marchewa zerknął na grot strzały. Przesuwał się tam i z powrotem, kreśląc kolejne ósemki.

- To kawał drogi, sierzancie - odezwał się z powątpiewaniem Nobby.

- Nie gapcie się na mnie, tylko patrzcie na wiatrowskaz.

Spojrzeli posłusznie. Wiatrowskaz miał kształt przygarbionego człowieka w długim płaszczu, a wyciągnięty sztylet zawsze obracał się ostrzem do wiatru. Z tej odległości jednak figura była maleńka.

- Dobrze - dyszał Colon. - A widzicie oko tego człowieka?

- To już przesada - stwierdził Nobby.

- Zamknij się! Cisza! - wystękał Colon. - Widzicie czy nie?

- Chyba coś widzę, sierzancie - potwierdził lojalnie Marchewa.

- To dobrze. — Sierżant kołysał się z wysiłku w przód i w tył. — Dobrze. Zuch chłopak. A teraz patrz na to oko.

Stęknął raz jeszcze i wypuścił strzałę.

Kilka rzeczy wydarzyło się tak szybko, że trzeba je opisywać w zwolnionym tempie. Pierwszą zapewne była cięciwa uderzająca o miękką, wewnętrzną część przegubu Golona, który wrzasnął i wypuścił łuk z ręki. Nie wywarło to wpływu na tor lotu strzały. Mknęła już pewnie i bezbłędnie w stronę gargulca na dachu domu po drugiej stronie ulicy. Trafiała go w ucho, zrykoszetowała i pofrunęła z powrotem, z trochę większą prędkością. Z delikatnym świstem przeleciała Colonowi koło ucha.

Potem zniknęła wśród miejskich murów.

Po chwili Nobby odchrząknął i spojrzał niewinnie na Marchewę.

-Jakie duże - zapytał - są mniej więcej smocze czułości?

- Mogą być bardzo małe.

- Tego się obawiałem. - Nobby podszedł do krawędzi dachu i wyciągnął rękę. - Tam, w dole, jest staw. O ile wiem, dość głęboki, więc kiedy sierżant strzeli już do smoka, możemy zeskoczyć. Co wy na to?

- Przecież to całkiem niepotrzebne - zaprotestował Marchewa. - Ponieważ szczęśliwa strzała sierżanta trafi w odpowiednie miejsce, smok zginie i nie będzie powodów do zmartwienia.

- To prawda, to prawda - zapewnił szybko Nobby, zerkając na gniewne oblicze sierżanta. - Ale na wszelki wypadek, rozumiesz, gdyby... choć to szansa jedna na milion... gdyby spudłował... Nie mówię, że spudłuje, zaznaczam, trzeba jednak przygotować się na wszystkie możliwości... Gdyby w wyniku strasznego pecha nie całkiem mu się udało trafić prosto w czułość, wtedy smok się rozgniewa i chyba lepiej, żeby nas tu nie było. Wiem, że to mało prawdopodobne. Możecie powiedzieć, że marudzę. To wszystko. Sierżant Colon z wyniosłą miną poprawił zbroję.

- Kiedy są najbardziej potrzebne - oznajmił - szansę jedne na milion zawsze się sprawdzają. To powszechnie znany fakt.

- Sierżant ma rację, Nobby — poparł go bohatersko Marche-wa. — Kiedy zostaje tylko jedna szansa, że coś się uda, to się, no... udaje. Inaczej nie byłoby... - Ściszył głos. - Przecież to rozsądne, bo gdyby ostatnia rozpaczliwa szansa zawiodła, to... W każdym razie bogowie by do tego nie dopuścili. Na pewno nie.

Jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli w stronę osi Dysku, tysiące mil od Ankh-Morpork. Powietrze było szare od dymu i strzępów mgły, ale w jasne dni można było tam zobaczyć Cori Celesti, mieszkanie bogów. A w każdym razie miejsce zamieszkania bogów. Bogowie żyli w Dunmanifestin, stiukowej Walhalli, gdzie zmagali się z wiecznością swymi umysłami, które miały problem ze znalezieniem sobie jakiegoś zajęcia na popołudnie.

Podobno toczyli tam gry o losy ludzi. Jaką dokładnie grę toczyli w tej chwili, można było tylko zgadywać.

Ale oczywiście obowiązywały pewne reguły. Wszyscy wiedzieli, że takie reguły istnieją. Mieli tylko nadzieję, że bogowie także je znali.

- Musi się udać - mruczał Colon. - Wezmę moją szczęśliwą strzałę i w ogóle. Masz rację. Ostatnia beznadziejna szansa zawsze się sprawdza. Inaczej nic by nie miało sensu. Równie dobrze można by nie żyć.

Nobby raz jeszcze spojrzał z góry na staw. Po chwili wahania podszedł do niego Colon. Obaj mieli miny ludzi doświadczonych, którzy wiedzą, że można - oczywiście - polegać na bohaterach, na królach, w ostateczności na bogach, ale naprawdę niezawodna jest tylko grawitacja i głęboka woda.

- Nie będzie nam potrzebny - oświadczył bohatersko Colon.

- Nie przy pańskiej szczęśliwej strzale - zgodził się Nobby.

- Właśnie. Ale tak z czystej ciekawości, jak to wysoko, twoim zdaniem?

- Powiedziałbym, że ze trzydzieści stóp. Mniej więcej.

- Trzydzieści stóp... — Sierżant pokiwał głową. — Też mi się tak wydaje. I jest głęboki, tak?

- Słyszałem, że bardzo głęboki.

- Wierzę ci na słowo. Chociaż wygląda na zamulony. Nie chciałbym do niego wskakiwać.

Marchewa wesoło klepnął go w ramię, niemal spychając z dachu.

- Co jest, sierżancie? Chce pan żyć wiecznie?

- Nie wiem. Spytaj mnie jeszcze raz za pięćset lat.

- Dobrze się składa, że mamy pańską szczęśliwą strzałę.

- Co? - Colon zdawał się pogrążony w świecie złych snów na jawie.
- Chciałem powiedzieć, że dobrze się złożyło. Została nam tylko ostatnia, jedna na milion szansa; inaczej mielibyśmy poważne kłopoty.
- O tak - zgodził się zasmucony Nobby. - Szczęściarze z nas, nie ma co.

Patrycjusz położył się. Dwa szczury podciągnęły mu pod głowę poduszkę.

- Na zewnątrz, jak rozumiem, sytuacja jest dość niewesoła - stwierdził.
- Tak - przyznał z goryczą Vimes. - Ma pan rację. To najbezpieczniejsze miejsce w całym mieście.

Wbił drugi nóż w szczelinę między kamieniami i ostrożnie sprawdził, czy utrzyma jego ciężar. Lord Vetinari przyglądał mu się z zainteresowaniem. Vimes wspiął się już na wysokość sześciu stóp, do poziomemu zakratowanego okienka.

Teraz zaczął wydłubywać zaprawę wokół prętów.

Patrycjusz obserwował go przez chwilę, po czym sięgnął po książkę z niewielkiej półki. Szczury nie umiały czytać, więc jego biblioteka miała nieco barokowy charakter, jednak Vetinari nie należał do ludzi, którzy ignorują nową wiedzę. Odszukał zakładkę między stronami *Koronkarstwa przez męki* i przeczytał kilka akapitów.

Po chwili strzepnął z druku okruchy zaprawy murarskiej i podniósł głowę.

- Czynisz postępy? — zapytał.

Vimes zgrzytnął zębami i dłubał dalej. Za kratą widział zaśmieczone podwórze, niewiele jaśniejsze niż cela. W rogu wyrastał stos odpadków,

jednak w tej chwili wydawał mu się bardzo atrakcyjny. W każdym razie o wiele bardziej niż loch. Uczciwe śmieci były lepsze od tego, co działo się ostatnio w Ankh-Morpork. Miały pewnie znaczenie alegoryczne albo coś w tym rodzaju.

Kłuł, dłubał, wybierał. Ostrze noża brzęczało i wibrowało mu w dłoni.

Bibliotekarz w zadumie podrapał się pod pachą. Miał własne problemy.

Przybył tu pełen wściekłości na złodziei książek i gniew ten wciąż nie wygasł. Pojawiła się jednak przewrotna myśl, że chociaż przestępstwa przeciw książkom to najgorszy rodzaj zbrodni, zemsta powinna chyba zaczekać.

Przyszło mu do głowy, że wprowadzie to, co ludzie robią sobie nawzajem, niespecjalnie go obchodzi, jednak pewne rodzaje działań należy powstrzymywać. W przeciwnym razie sprawcy staną się zuchwali i zaczną postępować tak samo z książkami.

Raz jeszcze spojrzał na swoją odznakę i przygryzł ją lekko w nadziei, że stała się jadalna. Trudno zaprzeczyć: miał Obowiązek wobec kapitana.

Kapitan zawsze był wobec niego uprzejmy. I też nosił odznakę.

Tak.

Są takie chwile, kiedy małpa musi zrobić to, co musi...

Orangutan zasalutował sprawnie i podążył w mrok.

Słońce wzeszło wyżej, tocząc się przez opary i dym niby zerwany

balon.

Oddział Straży siedział w cieniu komina, czekał i na różne sposoby zabijał czas. Nobby w zadumie badał zawartość dziurki w nosie, Marchewa pisał list do domu, a sierżant Colon się martwił.

Po chwili przesunął się trochę i na głos wypowiedział swoje wątpliwości.

- Coś mi przyszło do głowy.

- Co takiego, sierżancie? - zainteresował się Marchewa. Sierżant Colon zrobił zboląłą minę.

- No... A jeśli to nie jest szansa jedna na milion? Nobby spojrzał na niego zdziwiony.

- Co pan ma na myśli?

- No wiecie, prawda, rzeczywiście ostatnia rozpaczliwa szansa jedna na milion zawsze się sprawdza, to fakt, jasna sprawa, ale... Zasada jest bardzo, jak jej tam, szczegółowa. Jest?

- Pan wie lepiej.

- A jeśli to szansa tylko jedna na tysiąc?

-Co?

- Czy kto słyszał, żeby szansa jedna na tysiąc się sprawdziła? Marchewa podniósł głowę znad listu.

- Niech pan nie żartuje, sierżancie — powiedział. — Nikt jeszcze nie widział, żeby spełniła się szansa jedna na tysiąc. Szansa na to jest jak... - Bezgłośnie poruszył wargami. -Jak jeden do milionów.

- Tak. Milionów - zgodził się Nobby.

- Czyli uda się tylko wtedy, kiedy mamy szansę dokładnie jedną na

milion - podsumował sierżant.

- Chyba rzeczywiście - przyznał Nobby.

- Zatem, na przykład, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy do jednego... Marchewa pokręcił głową.

- To beznadziejne. Nikt jeszcze nie powiedział: to szansa jedna na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy, ale może się udać.

Spoglądali na miasto, pogrążeni w gorączkowych obliczeniach.

- To może być prawdziwy problem - stwierdził po chwili Colon.

Marchewa zaczął pisać coś gorączkowo. Zapytany wyjaśnił dokładnie, jak należy obliczyć łączną powierzchnię smoka, a następnie ocenić szansę, że strzała trafi w konkretne miejsce.

- Wycelowana strzała - poprawił go Colon. - Przecież będę celował.

Nobby chrząknął znacząco.

- W takim razie szansa jest o wiele większa niż jeden do milio-

na - stwierdził Marchewa. - Może nawet jedna na sto. Jeżeli smok leci wolno, a czułe miejsce jest duże, może sięgnąć niemal pewności. Colon poruszał wargami, wypróbowując w myślach brzmienie zdania „To prawie pewne, ale może się udać”. Pokręcił głową.

- Nie.

- W takim razie musimy... — oświadczył wolno Nobby — ..poprawić nasze szansę.

Wokół środkowego pręta pojawił się płytki otwór. To niewiele, uznał Vimes, ale zawsze coś. — Nie chcesz przypadkiem pomocy? — spytał Patrycjusz.

- Nie.

- Jak sobie życzysz.

Zaprawa była na wpół zwietrzała, ale pręty wpuszczono głęboko w mur. Pod skorupą rdzy pozostało dużo żelaza. Praca potrwa długo, ale przynajmniej dostarczy mu zajęcia. No i pozwoli na błogosławioną bezmyślność. Tego nie mogli mu odebrać: czyste, uczciwe wyzwanie. Jeśli będzie dłubał odpowiednio długo, w końcu zwycięży.

Problemem było owo „w końcu”. W końcu Wielki A'Tuin dotrze do krańca wszechświata. W końcu pogasną gwiazdy. W końcu i Nobby może się wykapać, chociaż taka teza wymagałaby drastycznych rewizji teorii Czasu.

Mimo to dłubał w tynku i przestał dopiero wtedy, kiedy coś małego i szarego opadło powoli za oknem.

- Łupina orzeszka? - zdziwił się.

Twarz bibliotekarza, otoczona przez obfite fałdy głowy bibliotekarza, pojawiła się odwrócona w okienku. I zaprezentowała uśmiech, wcale nie mniej straszny tylko dlatego, że był odwrócony.

- Uuk?

Orangutan wykonał przewrót na ścianie, chwycił dwa pręty i pociągnął. Naprężone mięśnie przesuwają się na beczkowatej piersi złożoną pawaną wysiłku. Żółte zęby wyrzały spod warg w bezgłośniejszej koncentracji.

Zabrzmiały dwa głuche brzęknięcia, gdy pręty ustąpiły wreszcie i wypadły. Małpa odrzuciła je na bok i sięgnęła do otworu. Najdłuższe ramię sprawiedliwości chwyciło zdumionego Vimesa pod pachy i jednym płynnym ruchem wyjęło go z celi.

Oddział ocenił swoje wysiłki.

- No dobra - rzekł Nobby. - Jaka jest szansa, że trafi smoka w czułość człowiek stojący na jednej nodze, w hełmie włożonym tyłem do przodu i z chusteczką w ustach?

- Mmf - powiedział Colon.

- Bardzo mała — przyznał Marchewa. — Myślę, że z chusteczką trochę przesadziliśmy. Colon wypluł ją.

- Decydujcie się szybko - poradził. - Noga mi drętwieje.

Vimes podniósł się z brudnego bruku dziedzińca i popatrzył ze zdumieniem na bibliotekarza. Właśnie odkrył coś, co przed nim zaszokowało już wielu ludzi. Zwykle jednak działo się to w mniej sprzyjających okolicznościach, takich jak bójka w Załatanym Bębnie w chwili, gdy małpolud chciał spokojnie podumać nad kuflem piwa. Vimes przekonał się mianowicie, że chociaż bibliotekarz wygląda jak wypchany gumowy worek, to jednak wypchany jest mięśniami.

- Zadziwiające - wymamrotał tylko.

Spojrzał na dwa zgięte pręty i poczuł, że mrok zasnuwa mu myśli.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest teraz Wonse? — zapytał.

- Iik! — Bibliotekarz podsunął mu pod nos pomięty arkusz pergaminu.
- Iik!

Vimes zaczął czytać.

Życzeniem... podczas gdy... przed każdym atakiem... dziewica czysta i wysoko urodzona... traktat między władcą a poddanymi...

- W moim mieście — warknął. — W moim przeklętym mieście! Złapał bibliotekarza za sierść i podciągnął go na wysokość wzroku.

- Która godzina? - zawołał.

-Uuk!

Długie ramię pokryte rudą sierścią rozwinęło się w górę. Wzrok Vimesa podążył za wyciągniętym palcem. Słońce wyglądało na takie ciało niebieskie, które zbliża się już do szczytu swej orbity i oczekuje długiego, spokojnego zjazdu w stronę pościeli mroku...

- Nie mam zamiaru na to pozwolić, zrozumiano?! — wrzasnął Vimes, potrząsając małpoludem.

- Uuk — tłumaczył cierpliwie bibliotekarz.

- Co? Aha. Przepraszam.

Vimes postawił go na ziemi, a orangutan rozsądnie nie wyrażał pretensji. Człowiek tak rozgniewany, że może, nie zauważając tego nawet, podnieść trzystufuntową małpę, ma najwyraźniej wiele na głowie.

Vimes tymczasem rozglądał się po dziedzińcu.

- Jest stąd jakieś wyjście? — zapytał. — Ale bez wspinania się na mury?

Nie czekając na odpowiedź, przebiegł dookoła, znalazł wąskie drzwiczki i otworzył je kopniakiem. Nie były zamknięte, ale kopnął je, jakby były. Bibliotekarz podążył za nim, podpierając się rękami.

Po drugiej stronie drzwi znaleźli kuchnię - prawie pustą, gdyż kucharze wreszcie stracili cierpliwość i uznali, że człowiek rozsądny nie pracuje w domu, gdzie paszcza do jedzenia jest większa od niego. Dwaj pałacowi gwardziści jedli zimne przekąski.

- Spokojnie - rzucił Vimes, kiedy się poderwali. - Nie chciałbym...

Ale oni nie chcieli słuchać. Jeden sięgnął po kuszę.

- Zresztą do diabła z tym wszystkim — burknął Vimes, wyrwał z bloku drewna rzeźnicki nóż i rzucił.

Rzucanie nożem jest sztuką, a w dodatku wymaga odpowiedniego noża. Inaczej próba kończy się tym, czym próba Vimesa, który niestety chybił.

Strażnik uchylił się, wyprostował i zobaczył fioletowy paznokieć, blokujący mechanizm spustowy. Obejrzał się, a bibliotekarz przyłożył mu w sam środek hełmu.

Drugi gwardzista odskoczył i gorączkowo zamachał rękami.

- Nie, nie, nie, nie! - zawołał. - To nieporozumienie! Co takiego pan mówił, że pan by nie chciał? Ładny małpiszonek!

- Ojoj - stwierdził Vimes. - Błąd.

Nie zwracając uwagi na wrzaski przerażenia, pogrzebał wśród narzędzi kuchennych i znalazł tasak. Nigdy nie czuł się zbyt pewnie z mieczem, ale tasak to inna sprawa. Tasak ma swoją wagę. Miecz posiada może jakąś szlachetność - chyba że to miecz Nobby'ego, który w jednym kawałku utrzymuje tylko rdza - ale tasak dysponuje wspaniałą zdolnością rąbania.

Opuścił lekcję biologii - temat: Małpiszon nie potrafi odbijać człowieka o podłogę, trzymając go za kostki — i wybiegł. Znalazł się na zewnątrz, na wybrukowanej przestrzeni wokół pałacu. Teraz mógł się zorientować, gdzie jest, mógł...

W górze zahuczało. Huragan dmuchnął w dół i przewrócił go na ziemię.

Król Ankh-Morpork z rozpostartymi skrzydłami przefrunął po niebie i na chwilę przysiadł na pałacowej bramie. Szpony wydzierały w kamieniu długie rysy, kiedy starał się utrzymać równowagę. Słońce błysnęło mu na

grzbiecie. Król wyciągnął szyję, ryknął, leniwie zionął kłębem płomieni i wzięcia! znowu.

Vimes wydał z gardła zwierzęcy - właściwie ssaczy - warkot i pognął pustymi ulicami.

Cisza zaległa w dziedzicznej rezydencji Ramkinów. Frontowe drzwi kołysały się na zawiasach, wpuszczając prostacki, źle wychowany wiatr, który włóczył się po pokojach, gapił na ściany i szukał kurzu na meblach. Prześliznął się nad schodami w górę i wdarł przez drzwi sypialni lady Ramkin. Zagrzechotał butelkami na toalecie i przerzucił kartki *Chorób smoków*. Ktoś, kto szybko czyta, mógłby poznać symptomy wszystkich, od abazji pięt po zygzakowate gardło.

Na dole, w niskiej, ciepłej i cuchnącej szopie, gdzie mieszkały bagienne smoki, zdawało się, że Errol na wszystkie zachorował. Siedział w samym środku swojej zagrody, kołysał się i popiskiwał cicho. Biały dym sączył mu się z uszu i dryfował nad podłogą. Z wnętrza wzdętego żołądka dobiegały złożone, wybuchowe odgłosy, jakby drużyna gnomów rozpaczliwie usiłowała wybić tunel w urwisku podczas burzy.

Rozszerzone nozdrza falowały mniej więcej samodzielnie, bez udziału jego woli.

Znowu zabrzmiał gastryczny grom. Errol zaskomlał boleśnie.

Pozostałe smoki wymieniły znaczące spojrzenia. Potem, jeden po drugim, ostrożnie ułożyły się na podłodze i zakryły oczy łapami.

Nobby przechylił głowę.

- Wygląda obiecująco - ocenił krytycznie. - Chyba mamy to, o co chodzi. Szansa, że człowiek z twarzą umazaną sadzą, z wysuniętym językiem i śpiewający *Pieśń o jeżu* trafi smoka w czułe miejsce będzie jakaś... Jak myślisz, Marchewa?

- Myślę, że jedna na milion.

Colon spojrział na nich podejrzliwie.

- Chłopcy, nie nabieracie mnie chyba, co? Marchewa wyrzwał na plac w dole.

- A niech to! - mruknął cicho.

- Co się stało? — zapytał sierżant i rozejrzał się nerwowo.

- Przywiązują kobietę do skały!

Wszyscy trzej stanęli na brzegu dachu. Gęsty, milczący tłum, jaki zebrał się na placu, także obserwował białą postać, wyrrywającą się tuzinowi gwardzistów.

- Ciekawe, skąd wzięli taki głaz? — zastanowił się sierżant. -Przecież miasto stoi na łąkach.

- Niezła dziewczyna - pochwalił Nobby, gdy jeden z gwardzistów zgiał się wpół i upadł. - A ten chłopak przez parę tygodni nie znajdzie sobie rozrywki na wieczór. Panna ma mocne kolana, to widać.

- Znamy ją? - spytał Colon. Marchewa zmrużył oczy.

- To lady Ramkin! — zawołał wstrząśnięty.

- Nigdy!

- Tak, to ona. W nocnej koszuli - potwierdził Nobby.

- Dranie! - Colon porwał łuk i sięgnął po strzałę. -Ja im dam czułości! Taka elegancka dama, to' hańba!

- Ehm... - wtrącił Marchewa, zerkając przez ramię. - Sierzancie...

- Do czego to dochodzi - mruczał do siebie Colon. - Przyzwoita kobieta nie może spokojnie przejść ulicą, żeby nie zostać zjedzona. No dobra, bandyci... Jesteście już... jesteście geografią...

- Sierzancie! — powtórzył z naciskiem Marchewa.

- Historią, nie geografią — poprawił Nobby. - Tak właśnie chciał pan powiedzieć. Historią! Jesteście już historią!

- Wszystko jedno — warknął Colon. - Przekonamy się, jak...

- Sierzancie!!

Nobby także się obejrzał.

- A niech to...-jęknął.

- Nie mogę spudłować. - Colon wymierzył starannie.

- Sierzancie!!!

- Zamknijcie się obaj. Nie mogę się skupić, kiedy wrzeszczycie mi nad...

- Sierzancie, on leci!

Smok przyspieszył.

Rozmyły się pod nim pijane dachy Ankh-Morpork; skrzydła drwiły z powietrza. Wyciągnął szyję, a ognie z nozdrzy ciągnęły się za nim jak wstęgi. Odgłos przelotu huczał na niebie.

Colonowi drżały ręce. Miał wrażenie, że smok celuje mu prosto w gardło, że leci szybko, za szybko... - To jest to! - zawołał Marchewa. Spojrzał jeszcze przelotnie w stronę Osi, na wypadek gdyby bogowie zapomnieli o swoich obowiązkach. Po czym dodał, powoli i wyraźnie:

- To szansa jedna na milion, ale może się udać!

- Niech pan strzela! - wrzasnął Nobby.

- Wybieram odpowiednie miejsce, mój chłopcze. Wybieram miejsce - bełkotał Colon. - Nie martwcie się, chłopcy, mówiłem przecież, że to moja szczęśliwa strzała. Strzała pierwszej klasy, nie ma co, mam ją od dzieciństwa, zdziwilibyście się, gdybym wam powiedział, do czego nią strzelałem, nie ma się o co martwić...

Urwał, a koszmar zbliżał się do niego na skrzydłach grozy.

- Tego... Marchewa - szepnął słabym głosem.

- Słucham, sierżancie?

- Czy twój dziadek nie wspomniał ci przypadkiem, jak wygląda takie czule miejsce?

I wtedy smok już się nie zbliżał, tylko był, sunął nad ich głowami — lśniąca mozaika łusek, przesłaniająca całe niebo.

Colon strzelił.

Patrzeli, jak strzała mknie prosto i pewnie.

Vimes zataczał się w biegu. Brakowało mu tchu i brakowało czasu.

Tak nie może być, myślał. Owszem, bohater zawsze przybywa na czas i zawsze w ostatniej chwili. Ale ta ostatnia chwila minęła jakieś pięć minut temu.

Nie jestem bohaterem. Nie mam kondycji, muszę się napić i zarabiam parę dolarów miesięcznie bez sortu pióropuszcowego. To nie jest płaca bohatera. Bohaterowie dostają królestwa i księżniczki, regularnie ćwiczą, a kiedy się uśmiechają, światło połyskuje im na zębach. Dranie.

Pot zalewał mu oczy. Zastrzyk adrenaliny, który doprowadził go tu z pałacu, przestał działać i teraz odbierał nieunikniony haracz.

Vimes potknął się, zatrzymał i złapał muru, żeby utrzymać równowagę. Dyszał ciężko. I wtedy właśnie zobaczył trzy postacie na dachu.

O nie, pomyślał. Przecież też nie są bohaterami! W co oni się tam bawią?

To była szansa jedna na milion. I kto może wiedzieć, czy gdzie indziej, w jednym z milionów możliwych wszechświatów, nie przyniosłaby sukcesu? Bogowie naprawdę lubią takie rzeczy. Ale Los, który potrafi zmieniać nawet wyroki bogów, miał dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć głosów.

W tym wszechświecie, na przykład, strzała odbiła się od łuski i z brzękiem odleciała w niepamięć.

Colon patrzył nieruchomo na mijający go szpiczasty smoczy ogon.

- Ona... chybiła... - wybełkotał. - Przecież nie mogła chybić! - Zaczerwienionymi oczami spojrzał na dwójkę kolegów. - To była piekielna, ostatnia, rozpaczliwa, jedna na milion szansa!

Smok poruszył skrzydłami, wykręcił cielskiem w miejscu na powietrznej osi i wymierzył łeb w stronę dachu.

Marchewa złapał Nobby'ego w pasie i położył sierżantowi dłoń na ramieniu.

- Jedna na milion, ostatnia pieprzona szansa... - kłął dalej Colon.

- Panie sierżancie!

Smok zionął ogniem.

Była to przepięknie wymierzona nitka plazmy. Przeszła przez dach niczym gorący nóż przez masło.

Przecięła klatki schodowe.

Zatrzeszczała na starych krokwiach, a one poskręcały się jak papier. Rozcięła rury.

Przebijała strop za stropem niby pięść rozgniewanego boga, aż wreszcie dosięgła wielkiej miedzianej kadzi, zawierającej tysiące garnców świeżo wydestylowanego, dojrzałego alkoholu typu whisky.

Przepaliła ją także.

Na szczęście szansa, że ktokolwiek przeżyje eksplozję, jaka wówczas nastąpiła, wynosiła dokładnie jeden do miliona.

Ognista kula wzniosła się jak róża. Wielka pomarańczowa róża z żółtymi pasemkami. Zerwała dach i owinęła go wokół zaskoczonego smoka, po czym poderwała go wysoko w górę w kipiącej chmurze połamanego drewna i kawałków rur.

Tłum patrzył ze zdumieniem, jak gorący podmuch porywa smoka w niebo. Nikt nawet nie zauważył Vimesa, który zdyszany i zasapany przeciskał się do przodu.

Przedarł się przez szereg gwardii pałacowej i jak najszybciej ruszył do środka placu. Nikt w tej chwili nie zwracał na niego uwagi. I nagle znieruchomiał.

Nie była to skała, ponieważ Ankh-Morpork wybudowano na łąkach. Był to raczej jakiś ogromny fragment dawnych murów, za-

pewne sprzed tysięcy lat, wykopany z fundamentów miasta. Ankh-Morpork było tak starożytne, że w znacznej większości wyrastało na Ankh-Morpork.

Głaz przeciągnięto na środek placu i przykuto do niego lady Sybil Ramkin. Sądząc z wyglądu, broniła się i walczyła, a Vimes przez moment czuł litość dla innych, którzy uczestniczyli w tej walce. Miała na sobie nocną koszulę i wielkie gumowe buty.

Spojrzała na niego z wściekłością.

- To pani!

Niezdecydowanie machnął tasakiem.

- Dlaczego...? - zaczął.

- Kapitanie Vimes — przerwała mu surowo. — Będę panu niezwykle wdzięczna, jeśli przestanie pan wymachiwać tym przedmiotem i wykorzysta go zgodnie z przeznaczeniem.

Vimes nie słuchał.

- Trzydzieści dolarów miesięcznie - mamrotał. - Za tyle zginęli. Trzydzieści dolarów. I jeszcze wstrzymywałem Nobby'emu dodatek. Ale musiałem przecież. U niego nawet arbuz by zardzewiał.

- Kapitanie Vimes! Zogniskował wzrok na tasaku.

- Aha - powiedział. - Tak jest. Oczywiście.

Tasak był mocny i stalowy, natomiast łańcuchy stare, żelazne i

przerdzewiałe. Uderzył mocno, krzesząc iskry z kamienia.

Tłum obserwował go w milczeniu, ale kilku gwardzistów ruszyło ku niemu biegiem.

- Co tam wyprawiasz, na demona? - zapytał jeden z nich, najwyraźniej pozbawiony wyobraźni.

- A co wy wyprawiacie? - warknął Vimes, podnosząc głowę.

- Co? - Patrzyli na niego, nie pojmując.

Vimes uderzył jeszcze raz. Kilka pętli łańcucha z brzękiem opadło na ziemię.

- No dobrze. Sam o to pro... - zaczął jeden z gwardzistów.

Vimes łokciem trafił go pod żebra; zanim zdążył upaść, Vimes kopniakiem trafił drugiego w kolano, co obniżyło pozycję podbródka w sam raz do uderzenia drugim łokciem.

- Właśnie - mruknął z roztargnieniem Vimes.

Rozmasował łokieć - bolał go potwornie.

Przerzucił tasak do drugiej ręki i znowu uderzył w łańcuchy.

Gdzieś w głębi umysłu zdawał sobie sprawę, że kolejni gwardziści biegną już w jego stronę, ale tym szczególnym, typowym dla gwardii biegiem. Znał go doskonale. Taki bieg mówił: jest nas tu z dziesięciu, więc niech ktoś inny dobiegnie pierwszy. Mówił: wygląda na to, że jest gotów zabijać, a nikt nam nie płaci za to, że pozwolimy się zabić; może jeśli pobiegniemy odpowiednio wolno, tamten zdąży uciec...

Nie warto złapaniem kogoś psuć sobie dnia.

Lady Ramkin uwolniła się wreszcie. Zabrzmiały wiwaty, szybko nabierając mocy. Nawet w obecnym stanie umysłów mieszkańcy Ankh-Morpork umieli docenić takie pokazy.

Lady Ramkin chwyciła kawał łańcucha i owinęła sobie wokół wielkiej pięści.

- Niektórzy z tych gwardzystów nie wiedzą, jak się traktuje... -zaczęła.

- Nie ma czasu, nie ma czasu... -Vimes pociągnął ją za rękę, ale równie dobrze mógłby ciągnąć górę.

Wiwaty ucichły nagle.

Za plecami Vimesa rozległ się dźwięk. Nie był szczególnie głośny, lecz wyjątkowo nieprzyjemnie przenikliwy — dźwięk czterech kompletów szponów uderzających równocześnie o bruk.

Vimes wyprostował się i obejrzał.

Sadza oblepiała skórę smoka. Kawałki drewna utkwiły tu i tam, i wciąż jeszcze się tliły. Czarne plamy pokrywały wspaniałe spiżowe łuski.

Smok opuszczał głowę, aż oczy znalazły się o kilka stóp od Vimesa i usiłowały skupić na nim spojrzenie.

Prawdopodobnie i tak nie warto uciekać, pomyślał Vimes. Nawet gdybym miał jeszcze siły.

Poczuł, że jego dłoń tonie w dłoni lady Ramkin.

- Dobra robota - pochwaliła. - Prawie się udało.

Zwęglone, płonące szczątki opadały na ziemię wokół gorzelni. Staw zmienił się w bagno odpadków przykryte warstwą popiołu. Spod niego, ociekając strużkami mułu, wynurzył się sierżant Colon.

Popełził do brzegu i podciągnął się, niczym jakaś morska forma życia, usiłująca w jednym podejściu załatwić całą ewolucję.

Nobby już tam był; leżał rozkraczony jak żaba i kapał wodą.

- Czy to ty, Nobby? - zapytał ucieszony sierżant Colon.

- To ja, sierżancie.

- Cieszę się, Nobby.

- Ale wolałbym, żeby to był ktoś inny, sierżancie. Colon wylał wodę z hełmu i nagle znieruchomiał.

- Co z młodym Marchewą? - zapytał. Nobby leniwie oparł się na łokciach.

- Nie wiem — powiedział. — W jednej chwili staliśmy na dachu, a w następnej już lecieliśmy w dół.

Obaj spojrzeli w szare wody stawu.

- Mam nadzieję - rzekł z namysłem Colon - że umie pływać.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie mówił. Ale kiedy się zastanowić, to w górach niewiele jest miejsc do pływania — zauważył Nobby.

- Ale są może przejrzyste błękitne jeziorka i głębokie górskie strumienie — odparł z nadzieją sierżant. — I lodowate stawy w ukrytych kotlinach. Nie wspominając już o podziemnych jeziorach. Musiał się nauczyć. Pewnie całymi dniami siedział w wodzie.

Przyglądali się brudnej szarej powierzchni.

- To przez ten Ochraniacz - stwierdził Nobby. - Pewnie nabrał wody i pociągnął go na dno.

Colon smętnie pokiwał głową.

- Potrzymam panu hełm — zaproponował Nobby po chwili.

- Przecież jestem twoim przełożonym!

- Owszem. Ale jeśli utknie pan tam na dole, zechce pan mieć na brzegu swojego najlepszego człowieka, gotowego rzucić się na ratunek.

- To... rozsądne - przyznał Colon po namyśle. - Słuszna uwaga.

- No właśnie.

- Ale jest pewien kłopot...

-Jaki?

- Nie umiem pływać.

- To jak się pan wydostał? Colon wzruszył ramionami.

- Unoszę się w sposób naturalny.

Raz jeszcze skierowali wzrok na wody stawu. Potem Colon spojrzał na Nobby'ego. Potem Nobby *zaczał* bardzo wolno odpinać hełm.

- Chyba nikogo już tam nie ma, prawda? - odezwał się za ich plecami Marchewa.

Odwrócili się. Właśnie wydłubał z ucha trochę błota. Za nim dymiły ruiny gorzelni.

- Pomyślałem, że lepiej wyskoczę szybko i zobaczę, co się dzieje - wyjaśnił Marchewa, wskazując furtkę prowadzącą z podwórza. Wisiała na jednym zawiasie.

- Aha - westchnął Nobby. - To dobrze.

- Tam jest zaułek - poinformował Marchewa.

- Ale bez żadnych smoków, co? — upewnił się podejrzliwie Co-lon.

- Ani smoków, ani ludzi. Nie ma nikogo - potwierdził niecierpliwie Marchewa. Dobył miecza. - Chodźmy! - zawołał.

- Dokąd? - spytał Nobby.

Wyjął zza ucha mokry niedopałek i przyglądał mu się z wyrazem najgłębszego smutku. Papieros był wyraźnie nie do odratowania. Mimo to Nobby spróbował go zapalić.

- Przecież chcemy walczyć ze smokiem - odpowiedział Marchewa.

Colon przestąpił z nogi na nogę.

- No, niby tak. Ale chyba możemy najpierw się przebrać?

- I napić czegoś ciepłego - dodał Nobby.

- I coś zjeść — zakończył Colon. - Talerz dobrej...

- Powinniście się wstydzić — upomniał ich Marchewa. — Tam czeka dama w niebezpieczeństwie i smok do stawienia mu czoła, a wy myślicie tylko o jedzeniu i piciu.

-Ja wcale nie myślę tylko o jedzeniu i piciu - obruszył się Colon.

- Być może, my jedni stoimy między tym miastem a całkowitym zniszczeniem!

- Tak, ale... - zaczął Nobby.

Marchewa wzniósł miecz i machnął nim nad głową.

- Kapitan Vimes by poszedł — stwierdził. - Wszyscy za jednego!

I wybiegł z podwórza.

Colon spojrzał zmieszany na kaprała.

- Ta dzisiejsza młodzież - mruknął.

- Wszyscy za jednego co? - spytał Nobby. Sierżant westchnął.

- No to chodźmy.

- Niech będzie.

Chwiejnym krokiem przeszli przez furtkę.

- Gdzie on poszedł? — Nobby rozejrzał się czujnie. Szeroko uśmiechnięty Marchewa wynurzył się z cienia.

- Wiedziałem, że mogę na was liczyć — powiedział. - Za mną!

- Jest coś dziwnego w tym chłopcu - zauważył Colon, kiedy utykając szli za Marchewa. - Zawsze jakoś potrafi nas przekonać, żebyśmy go posłuchali. Zauważyłeś?

- Wszyscy za jednego co? — powtórzył Nobby.

- Ma chyba coś takiego w głosie...

- Tak, ale wszyscy za jednego co?

Patrycjusz westchnął, włożył zakładkę i zamknął książkę. Sądząc po hałasach, na zewnątrz sporo się działo. Mało prawdopodobne, żeby pałacowa gwardia kręciła się w pobliżu. I bardzo dobrze. Gwardziści byli ludźmi dobrze przeszkolonymi i szkoda by było ich marnować.

Później będą mu jeszcze potrzebni.

Począł pchać do ściany i przycisnął nieduży kamienny blok, całkiem podobny do innych niedużych kamiennych bloków. Jednak żaden inny nieduży kamienny blok nie sprawiłby, żeby kamienna płyta odsunęła się ciężko.

Za nią znajdował się starannie dobrany zestaw niezbędnych rzeczy - żelazne racje, zmiana ubrania, kilka małych szkatulek pełnych szlachetnych

metali, drogich kamieni i narzędzi. Był też klucz. Nigdy nie buduj lochu, z którego nie mógłbyś wyjść.

Patrycjusz wziął klucz i podszedł do drzwi. Kiedy rygle zamka schowały się w swych dobrze naoliwionych kanałach, raz jeszcze zastanowił się, czy powinien powiedzieć Vimesowi o kluczu. Ale Vi-mes czerpał tak wielką satysfakcję z wyłamywania kraty... Powiedzieć mu o kluczu oznaczałoby zepsuć mu nastrój. Poza tym zburzyłoby to jego wizję świata. A Patrycjusz potrzebował Vimesa i jego wizji świata.

Otworzył drzwi i w ciszy ruszył przez ruiny pałacu. Mury zadygotały, kiedy po raz drugi w ciągu kilku minut zakołysało się całe miasto.

Wybuchły smocze zagrody. Okna wystrzeliły na zewnątrz, a drzwi porzuciły ścianę. Wirując powoli popłynęły w powietrzu na czele wielkiego kłębu czarnego dymu i zaryły się w rododendrony.

W szopie działo się coś wysokoenergetycznego i gorącego. Na zewnątrz wydobywał się dym: gęsty, oleisty i nieprzenikniony. Jedna ze ścian złożyła się do środka, potem druga upadła ociężale na trawnik.

Bagienne smoki wystrzeliły spośród gruzów niczym korki szampana, gorączkowo machając skrzydłami.

Wciąż wybuchały kłęby dymu. Ale coś pozostało wewnątrz: punkcik ostrego, białego światła. Podnosił się wolno.

Zniknął, kiedy mijał wyłamane okno, a potem, z kawałkiem dachu wciąż wirującym na głowie, Er roi wzniósł się ponad własny dym i wzleciał w niebo nad Ankh-Morpork.

Słońce połyskiwało na jego srebrnych łuskach, kiedy zawisł na wysokości stu stóp, obracając się powoli, balansując bez trudu na płomieniu...

Vimes, czekający na śmierć na placu, uświadomił sobie, że rozdziawia usta. Zamknął je.

W całym mieście zapanowała absolutna cisza. Słyszać było tylko szum lotu Errola.

Potrąfią przebudować własne organy, powtarzał sobie oszołomiony Vimes. Zależnie od okoliczności... Errol zrobił to na odwrót. Ale te jego cosie, no... geny, musiały to już zawierać. Był w połowie drogi do celu. Nic dziwnego, że ma takie krótkie skrzydła. Ciało musiało wiedzieć, że będą mu potrzebne tylko do sterowania.

Bogowie... Oglądam pierwszego na świecie smoka, który zionie ogniem do tyłu...

Zaryzykował krótkie spojrzenie przed siebie. Wielki smok zamarł, śledząc przekrwionymi ślepiami małego zwierzaka. Potem, z wyzywającym rykiem płomieni, okładając skrzydłami powietrze,

król Ankh-Morpork wzniósł się w niebo, zapominając zupełnie o zwykłych ludzkich istotach.

Vimes obejrzał się na lady Ramkin.

- Jak walczą? — zapytał szybko. — Jak smoki walczą ze sobą?

- Ja... to jest, zaraz, po prostu machają na siebie i dmuchają ogniem - odpowiedziała. - To znaczy smoki bagienne. Przecież nikt nie widział walki smoków szlachetnych. - Poklepała się po nocnej koszuli. - Muszę to wszystko zapisać. Gdzieś tu miałam notes...

- W nocnej koszuli?

- Zdziwiające, jakie pomysły nachodzą człowieka w łóżku. Zawsze to powtarzam

Płomień z rykiem trafił w miejsce, gdzie Errol był jeszcze przed chwilą. Ale już go nie było. Król spróbował odwrócić się w powietrzu. Mały smok okrążył go bez trudu, pozostawiając smugę dymu i splatając z niej na

niebie kocią kołyskę. Jego wielki przeciwnik kręcił się bezradnie w jej wnętrzu. Kolejne płomienie, gorętsze i dłuższe, uderzyły w Errola i chybiły.

Tłum obserwował walkę bez tchu.

- Witam, kapitanie - odezwał się przymilny głos. Vimes spojrzał w dół. Niewielka cuchnąca kałuża przebrana za Nobby'ego uśmiechała się z zakłopotaniem.

- Myślałem, że zginęliście — powiedział.

- Nie zginęliśmy — odparł Nobby.

- Aha. Dobrze. - Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

- A co pan myśli o walce?

Vimes podniósł głowę. Smugi dymu spiralami przesłaniały niebo.

- Obawiam się, że nie da rady - stwierdziła lady Ramkin. - O... Witaj, Nobby.

- Dzieńdoberek szanownej pani. — Nobby musnął to, co uważał za grzywkę.

- Co to znaczy: nie da rady? - oburzył się Vimes. - Wystarczy popatrzeć! Ani razu go jeszcze nie trafił!

- Owszem, ale Errol dotknął go już płomieniem kilka razy. Bez skutku. Obawiam się, że nie jest dostatecznie gorący. Oczywiście, świetnie się uchyla. Ale musi mieć szczęście za każdym razem, podczas gdy dużemu wystarczy mieć szczęście raz.

Przemyśleli jej argumenty.

- Chce pani powiedzieć — odezwał się Vimes — że to tylko... tylko na pokaz? Chce zrobić wrażenie?

- To nie jego wina - stwierdził Colon, materializując się tuż za nimi. -

Jest jak piesek. Nie przyszło mu nawet do głowy, biednemu maluchowi, że to prawdziwa walka. Nie pociągnie długo.

Oba smoki wyraźnie zdały sobie sprawę, że starcie przerodziło się w dobrze znany klatchiański pat. Z kolejnym pierścieniem dymu i strugą białego ognia rozdzieliły się i odfrunęły na kilkaset sążni.

Król wisiał w powietrzu, szybko machając skrzydłami. Wysokość. To jest najważniejsze. Kiedy smok walczy ze smokiem, wysokość jest sprawą kluczową...

Errol stał na ogniu. Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał.

Potem nonszalancko wystawił na boki tylne łapy, jakby szybowanie na własnych gazach żołądkowych było sztuką, którą smoki opanowały już miliony lat temu, wywinął salto i odfrunął. Przez chwilę był jeszcze widoczny jako srebrzysta smuga, przemknął nad murami miasta i zniknął.

Pożegnał go głośny jęk z dziesięciu tysięcy gardeł.

Vimes rozłożył ręce.

- Niech pan się nie martwi, szefuniu - pocieszył go Nobby. - Pewnie poleciał... no, żeby się czegoś napić. Albo co. Może to koniec pierwszej rundy. Albo co.

- Przecież zjadł nasz czajnik i wszystko — dodał niepewnie Colon. - Nie uciekłyby tak po zjedzeniu czajnika. To logiczne. Ktoś, kto potrafi zjeść czajnik, przed niczym nie musi uciekać.

- I moją pastę do zbroi - wtrącił Marchewa. - Kosztowała prawie dolara za puszkę.

- No właśnie - stwierdził Colon. - Przecież mówiłem.

- Posłuchajcie - rzekł Vimes z taką cierpliwością, na jaką tylko było go stać. — Errol to miły smok. Lubilem go tak samo jak wy. Świetny maluch, ale właśnie zrobił jedyną rozsądną rzecz, jaka mu pozostała. Na miłość bogów, przecież nie da się usmażyć tylko po to, żeby nas ratować. Życie tak

nie wygląda. Pogódźcie się z tym.

Nad nimi wielki smok frunął dumnie. Spalił pobliską wieżę. Zwyciężył.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - odezwała się lady Ram-kin. - Smoki zwykle walczą na śmierć i życie.

- W końcu urodził się jeden rozsądny - mruknął smętnie Vi-mes. - Bądźmy poważni: szansa, że smok wielkości Errola pokona coś tak ogromnego, jest chyba jedna na milion.

Zapadła chwila ciszy -jedna z tych, które następują, kiedy rozbrzmiewa jedna czysta nuta i świat nieruchomieje.

Strażnicy spojrzeli po sobie.

-Jedna na milion? - spytał nonszalancko Marchewa.

- Stanowczo - potwierdził Vimes. -Jedna na milion. Znowu znaczące spojrzenia...

-Jedna na milion - stwierdził Colon.

-Jedna na milion - przyznał Nobby.

- Zgadza się - dodał Marchewa. -Jedna na milion. I znowu milczenie. Strażnicy zastanawiali się, który z nich pierwszy to powie.

Sierżant Colon nabrał tchu.

- Ale może się udać - oświadczył.

- O czym ty mówisz? — zirytował się Vimes. — Nie ma...

Nobby szturchnął go znacząco pod żebro i wskazał coś na równinie.

Wyrastała tam kolumna białego dymu. Vimes zmrużył oczy. Przed czołem dymu, mknąc nad polami kapusty i zbliżając się szybko, pędził

srebrzysty pocisk.

Wielki smok także go zauważył. Wyzywająco zionął ogniem i zaczął nabierać wysokości, zgniatając powietrze swymi wielkimi skrzydłami.

Widać już było płomień Errola, tak gorący, że prawie błękitny. Teren przesunął się pod nim z niewiarygodną szybkością, a jednak smok ciągle przyspieszał.

Król w górze wysunął szpony. Niemal się uśmiechał.

Zderzą się, pomyślał Vimes. Niech bogowie mają nas w swej opiece, kiedy wybuchnie ogniowa kula.

Coś dziwnego działo się z polami. Kawałek za Errolem grunt tak jakby sam siebie przeorywał, wyrzucając w górę główki kapusty. Jakież krzewy eksplodowały w deszczu wiórów...

Errol w ciszy przefrunął nad murami; uniósł nos, złożył skrzydła w niewielkie lotki, przekształcił ciało w ostry stożek z płomieniem z tyłu. Jego przeciwnik dmuchnął jęzorem ognia; Vimes patrzył, jak Errol ledwie zauważalnym ruchem krótkiego skrzydła bez

trudu schodzi z drogi płomienia. A potem zniknął; w tej samej nie-samowitej ciszy pomknął w stronę morza.

- Spudło... - zaczął Nobby.

Powietrze rozerwało się nagle. Nieskończony grom zahuczał nad miastem, roztrzaskując dachówki i przewracając kominy. Porwał króla, przygniótł go i zakręcił na szczycie fali dźwiękowej. Vimes, zasłaniając rękami uszy, widział, że potwór, wirując, rozpaczliwie zionie ogniem i staje się ośrodkiem spirali wściekłych płomieni.

Magia trzeszczała mu na końcach skrzydeł. Ryczał jak przerażona syrena przeciwnie. A potem, potrząsając w oszołomieniu głową, zaczął szybować szerokim, kolistym torem.

Vimes jęknął. Smok przetrwał coś, co wyrywało kamienie z murów. Co

trzeba zrobić, żeby go pokonać? Nie można z nim walczyć, myślał. Nie można go spalić, nie można go powalić. Nic nie można mu zrobić.

Smok wylądował. Ale lądowanie było dalekie od doskonałości. Perfekcyjne lądowanie nie zdemolowałoby szeregu domków. Było powolne, zdawało się trwać w nieskończoność i zniszczyło spory kawałek miasta.

Machając niezgrabnie skrzydłami, kołysząc szyją i na oślep zionąc ogniem, smok przeorał szczątki krokwi i dachówek. W wrytej bruździe wybuchło kilka pożarów. Wreszcie znieruchomiał, prawie niewidoczny pod stosami byłej architektury.

Ciszę, jaka zapadła, przerwały krzyki kogoś, kto próbował ustawić ludzki łańcuch, by podawać wiadra z wodą.

Po chwili ludzie zaczęli się ruszać.

Ankh-Morpork z powietrza musiało wyglądać jak mrowisko ze strumieniami ciemnych figurek płynących w stronę wraku smoka.

Większość miała ze sobą jakąś broń.

Wielu miało włócznie.

Kilku miało miecze.

Wszyscy mieli tylko jeden cel.

- Wiecie co? - odezwał się głośno Vimes. — To będzie pierwszy na świecie demokratycznie zabity smok. Jeden człowiek, jeden cios.

- Trzeba ich powstrzymać! - zawołała lady Ramkin. - Nie może pan pozwolić, żeby go zabili.

Vimes zamrugął niepewnie.

- Słucham?

-Jest ranny!

- Droga pani, taki był przecież cel tej walki. Poza tym jest tylko ogłuszony.

- Przecież nie mogą go zabić w taki sposób! - upierała się lady Ramkin.
- Biedactwo!

- Więc co chce pani zrobić? - zapytał Vimes, tracąc panowanie nad sobą. — Dać mu trochę wzmacniającego oleju skalnego i ułożyć w wygodnym koszyku przy kominku?

- To rzeź!

-1 bardzo dobrze!

- Ale on jest smokiem! Robił to, co robią wszystkie smoki. Nigdy by tu nie trafił, gdyby ludzie zostawili go w spokoju!

Chciał ją zjeść, pomyślał Vimes, a ona wciąż potrafi myśleć w ten sposób. Zawahał się. Może coś takiego rzeczywiście daje człowiekowi prawo do wysłuchania jego opinii...

Sierżant Colon podszedł, kiedy tak patrzyli na siebie, bladzi ze złości. Z rozpaczliwym chlupotem przeskoczył z nogi na nogę.

- Lepiej niech pan tam idzie, kapitanie - powiedział. - Inaczej dojdzie do mordu!

Vimes machnął tylko ręką.

-Jeżeli o mnie chodzi - oznajmił, unikając wzroku Sybil Ramkin — sam się o to prosił.

- To nie on - zaprotestował Colon. - To Marchewa. Aresztował smoka.

Vimes znieruchomiał.

- Jak to: aresztował? - zdziwił się. — Niemożliwe. Nie mówicie chyba tego, co myślę, że mówicie, sierżancie?

- Możliwe, sir — odparł niepewnie Colon. - Możliwe. Wyskoczył na te gruzy jak strzała, sir, złapał smoka za skrzydło i powiedział „Wpadłeś, koleś”, sir. Nie mogłem uwierzyć, sir. Ale jest kłopot...

-No?

Sierżant znowu przeskoczył z jednej nogi na drugą.

- Zawsze pan mówił, sir, że nie wolno napastować więźniów...

Była to całkiem spora i ciężka belka. Przecinała powietrze dość wolno, ale kiedy kogoś trafiała, przewracał się i pozostawał trafiony.

- A teraz słuchajcie. - Marchewa postawił belkę pionowo i zsunął z głowy hełm. — Nie chcę powtarzać po raz drugi, jasne?

Vimes przecisnął się przez gęsty tłum. Marchewa obracał się wolno, trzymając belkę jak laskę. Jego spojrzenie przypominało promień latarni morskiej, a gdzie padło, tam ludzie opuszczali broń i wyglądali na zakłopotanych.

- Muszę was uprzedzić - mówił dalej Marchewa - że utrudnianie przedstawicielowi prawa wykonywania obowiązków jest poważnym wykroczeniem. A spadnę jak tona cegieł na następną osobę, która rzuci kamieniem.

Kamień odbił mu się od hełmu. Zabrzmiały krzyki i oklaski.

- Puść nas do niego!

-Słusznie!

- Nie chcemy, żeby jacyś strażnicy się tu rządzili!

- *Quis custodiet kustoszy?*

- Co? Właśnie!

Vimes złapał sierżanta za ramię.

- Idź i poszukaj jakiejś liny. Dużo lin. Jak najgrubszych. Możemy, boja wiem... związać mu skrzydła i założyć sznur na paszczę, żeby nie mógł zionąć.

Colon spojrzał z niedowierzaniem.

- Mówi pan poważnie, sir? Naprawdę go aresztujemy?

- Wykonać!

On już został aresztowany, myślał, przeciskając się do przodu. Osobiście wolałbym, żeby wpadł do morza, ale jest aresztowany i teraz musimy albo jakoś sobie z nim poradzić, albo go wypuścić.

Czuł, że nienawiść do potwora ulatnia się wobec rozwścieczonego tłumu. Co można z nim zrobić? Osądzić sprawiedliwie i stracić. Nie zabić - to robią bohaterowie na pustkowiu. W mieście nie warto nawet o tym myśleć. A właściwie można, ale wtedy lepiej od razu wypalić całą okolicę do gruntu i zacząć od początku. Trzeba działać... no, według regulaminu.

Właśnie. Próbowaliśmy już wszystkiego. A teraz możemy spróbować regulaminowo.

Poza tym, dodał w myślach, tam stoi funkcjonariusz Straży Miejskiej.

Musimy trzymać się razem. Nikt inny nie chce mieć z nami nic wspólnego.

Jakiś krępy osobnik podniósł cegłę i wziął zamach.

- Rzuć tą cegłą, a jesteś trupem - powiedział Vimes, po czym zanurkował w ścisku, a niedoszły miotacz rozglądał się zdziwiony.

Marchewa uniósł groźnie belkę, widząc, jak Vimes wspina się na stos gruzów.

- O... Dzień dobry, kapitanie - powiedział i opuścił ją. - Chcę zameldować, że aresztowałem tego...

- Tak, to widzę. Czy masz jakieś sugestie, co robić potem?

- Oczywiście, sir. Muszę mu odczytać jego prawa, sir.

- Ale poza tym?

- Właściwie nie, sir.

Vimes spojrzał na te części smoka, które wciąż były widoczne spod odłamków. Jak można zabić coś takiego? Trzeba by ciężko pracować cały dzień.

Spory kamień odbił się od jego półpancerza.

- Kto to zrobił?

Głos uderzył jak pejcz.

Tłum ucichł.

Sybil Ramkin wygramoliła się na ruiny. Oczy jej płonęły.

- Pytałam, kto to zrobił - powtórzyła. - Jeśli osoba, która to zrobiła, natychmiast się nie przyzna, bardzo się rozgniewam. Jak wam nie wstyd?

Słuchali jej uważnie. Kilka osób dyskretnie upuściło na ziemię ściskane w dłoniach kamienie i inne przedmioty. Wiatr szarpnął strzępami jej nocnej koszuli, kiedy przyjęła pozę mówcy.

- Oto mężny kapitan Vimes...

- O bogowie... - westchnął Vimes i naciągnął sobie hełm na oczy.

- .. i jego nieustraszeni ludzie, którzy dzisiaj zadali sobie trud, żeby przybyć tu i ratować wasze...

Vimes chwycił Marchewę za ramię i pociągnął go na drugą stronę stosu.

- Dobrze się pan czuje, kapitanie? - zainteresował się młodszy funkcjonariusz. - Jest pan całkiem czerwony.

- Przynajmniej ty nie zaczynaj — burknął Vimes. — Wystarczy mi tych uśmieszków Nobby'ego i sierżanta.

Ku jego zdumieniu Marchewa poklepał go przyjaźnie po plecach.

- Wiem, jak to jest - powiedział ze współczuciem. - W domu miałem dziewczynę, Blaszkę, a jej ojciec...

- Mówię ci po raz ostatni, że absolutnie nic nie łączy mnie...

Coś zagrzechotało obok nich. Zsunęła się nieduża lawina tynku i dachówek. Stos gruzu zafalował i otworzył jedno oko. Pływająca w przekrwionym jeziorze wielka czarna źrenica próbowała zogniskować na nich spojrzenie.

- Chyba powariowaliśmy - stwierdził Vimes.

- Ależ nie, sir - zaprotestował Marchewa. - Są liczne precedensy. W1135 aresztowano kurę za gđakanie w Święto Duchowego Ciasta. W okresie panowania reżimu Psychoneurotycznego Lorda Snapcase'a stracono kolonię nietoperzy za uporczywe naruszanie zakazu przebywania nocą poza domem. To w 1401. Sierpień, o ile dobrze pamiętam. To były wspaniałe czasy dla prawa - westchnął rozmarzony Marchewa. - W1321, wie pan, ukarano pewną niewielką chmurę za przesłonięcie słońca w kluczowym momencie ceremonii inwestytury Rozgorączkowanego Jarla Hargatha.

- Mam nadzieję, że Colon pospieszy się z... — Vimes urwał nagle. Musiał się tego dowiedzieć. — Jak? — zapytał. — Co można zrobić chmurze?

- Jarl skazał ją na ukamienowanie - wyjaśnił Marchewa. - Podobno zginęło trzydzieści jeden osób.

Wyjął swój notes i spojrzał groźnie na smoka.

- Jak pan myśli, słyszy nas?

- Chyba tak.

- To dobrze. - Marchewa odchrząknął i zwrócił się do ogłuszonego gada: - Mam obowiązek uprzedzić cię, że zostałeś aresztowany w związku ze śledztwem w niektórych lub wszystkich wymienionych niżej sprawach, a mianowicie: jeden (punkt jeden) a) dnia osiemnastego grune'a bieżącego roku przy Alei Narzeczonej na Mrokach bezprawnie wypuściłeś płomień w sposób zagrażający bezpieczeństwu mieszkańców, czego zakazuje paragraf siódmy Rozporządzenia o Procesach Przemysłowych z 1508; oraz jeden (punkt jeden) b) dnia osiemnastego grune'a bieżącego roku spowodowałeś bezpośrednio lub pośrednio zgon sześciu osób o nieustalonej tożsamości...

Vimes zastanawiał się, jak długo gruzy utrzymają smoka. Niezbędne byłoby kilka tygodni, jeśli oceniać po długości spisu zarzutów.

Tłum milczał. Nawet Sybil Ramkin słuchała w oszołomieniu.

- O co chodzi?! - zawołał Vimes w stronę zwróconych ku niemu twarzy. - Nigdy nie widzieliście aresztowania smoka?

- ...szesnaście (punkt trzy) b) nocą dwudziestego czwartego grune'a bieżącego roku dokonałeś podpalenia lub stałeś się przyczyną podpalenia nieruchomości znanej jako Stara Strażnica, Ankh--Morpork, której wartość wyceniono na dwieście dolarów; i szesnaście (punkt trzy) c) nocą dwudziestego czwartego grune'a bieżącego roku, przy próbie zatrzymania przez funkcjonariusza Straży pełniącego obowiązki służbowe...

- Chyba powinniśmy się spieszyć - szepnął Vimes. — Robi się niespokojny. Czy wszystko to jest konieczne?

- Cóż... Można chyba podsumować zarzuty łącznie - ustąpił Marchewa.
- W wyjątkowych okolicznościach, zgodnie z Ustawą Breggadla...

- Może cię to zaskoczy, ale to właśnie są wyjątkowe okoliczności,

Marchewo. A będą naprawdę wstrząsająco wyjątkowe, jeśli Co-lon zaraz nie przyniesie liny.

Coraz więcej gruzu osypywało się na boki - smok z trudem usiłował się podnieść. Huknęło, kiedy spadła z niego ciężka belka. Tłum rzucił się do ucieczki.

W tej właśnie chwili powrócił Errol. Leciał ponad dachami, popychany serią niewielkich eksplozji, pozostawiając po sobie ciąg dymnych pierścieni. Zanurkował w dół, zabrzęczał ponad tłumem i pierwsze szeregi cofnęły się lękliwie. Przez cały czas buczał jak syrena.

Vimes chwycił Marchewę i zbiegł ze stosu. Król rozpaczliwie próbował wyrwać się na wolność.

- Wrócił, żeby skończyć walkę! - krzyknął Vimes. - Pewnie tyle czasu zajęło mu hamowanie!

Errol zawisł nad powalonym smokiem, wyjąc tak ostro, że mógłby rozbijać butelki.

Wielki smok podniósł głowę w kaskadach tynkowego pyłu. Otworzył paszczę, ale zamiast włóczy białego ognia wydobył się z niej pisk jakby małego kotka. Owszem, kotka piszczącego do blaszanej wanny na dnie jaskini, ale jednak kotka.

Połamane belki opadły na boki, kiedy bestia niepewnie stanęła na nogach. Rozwinęła skrzydła, zasypując sąsiednie ulice gradem dachówek i chmurą kurzu. Niektóre zabrzęczały o hełm sierżanta Golona, który wracał biegiem z czymś, co wyglądało na zwinięty kawałek sznura do bielizny.

- On się podnosi! - krzyczał Vimes, ciągnąc sierżanta w bezpieczne miejsce. - Nie pozwól mu wstać, Errol! Nie pozwól! Lady Ramkin zmarszczyła czoło.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdziła. - One zwykle nie walczą w ten sposób. Zwycięzca prawie zawsze zabija pokonanego.

- Dawaj! - wrzeszczał Nobby.

- A potem i tak co drugi eksploduje z podniecenia.

- Popatrz, to ja! - darł się Vimes do Errola, który podfruwiał nad nimi swobodnie, nie zwracając na nic uwagi. - Kupiłem ci piłkę! Tę z dzwonkiem w środku! Nie możesz nam tego zrobić!

- Zaraz, chwileczkę. - Lady Ramkin chwyciła go za ramię. -Nie jestem pewna, czy całkiem czegoś nie pokręciliśmy.

Wielki smok wyskoczył w powietrze i z głośnym hukiem machnął skrzydłami, spłaszczając jeszcze kilka budynków. Ogromny łeb odwrócił się i zmętniałe ślepiec dostrzegły Vimesa.

Zdawało się, że przebiegają za nimi jakieś myśli.

Errol przemknął po niebie i zawisł opiekuńczo przed kapitanem, mierząc bestię spokojnym spojrzeniem. Przez chwilę wszyscy byli przekonani, że zmieni się w mały, latający i przypalony pączek, ale potem wielki smok spuścił wzrok i jakby nieco zakłopotany zaczął nabierać wysokości.

Wznosił się szeroką spiralą, przyspieszając w locie. Errol krążył wokół potężnego cielska niby holownik wokół liniowca.

- Wygląda... wygląda jakby go pilnował - zauważył Vimes.

- Obsłuż drania! - wrzeszczał entuzjastycznie Nobby.

- Załatw, Nobby - poprawił go Colon. - Chciałeś powiedzieć „załatw”.

Vimes poczuł na karku wzrok lady Ramkin. Obejrzał się i zobaczył wyraz jej twarzy.

Zaczął pojmować.

- Och - powiedział. Lady Ramkin przytaknęła.

- Naprawdę?

- Tak. Powinnam już wcześniej się domyślić. Oczywiście, taki gorący płomień...! zawsze są bardziej terytorialne od samców.

- Dlaczego nie walczysz z tym kundlem?! - wrzeszczał Nobby za znikającymi smokami.

- Suką, Nobby - poprawił go cicho Vimes. - Nie kundlem. Suką.

- Dlaczego nie walczysz z... Co?

- Należy do rodzaju żeńskiego - wyjaśniła lady Ramkin.

-Co?

- Chodzi o to, Nobby, że gdybyś chciał zastosować swoje ulubione kopnięcie, nie miałbyś w co kopnąć — powiedział Vimes.

- To dziewczyna — przetłumaczyła lady Ramkin.

- Przecież jest ogromna! - zdziwił się Nobby.

Vimes zakaszał gwałtownie. Szczurze oczka Nobby'ego podążyły ku lady Ramkin, która spłoniła się niczym zachodzące słońce.

- Piękna smocza figura, chciałem powiedzieć — poprawił się szybko.

- Ehm... Szerokie biodra, dobre do znoszenia jaj - stwierdził z przekonaniem sierżant Colon.

- Posągowa - dodał natychmiast Nobby.

- Zamknijcie się! — burknął Vimes.

Strzepnął kurz z resztek munduru, poprawił półpancerz i mocniej wcisnął na głowę hełm. Poklepał go stanowczo. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. To dopiero początek.

- Za mną! - polecił. - Ale żywo! Dopóki wszyscy jeszcze się na nie gapią.

- Ale co z królem? - dopytywał się Marchewa. - To znaczy królową?

Vimes odprowadził wzrokiem szybko malejące sylwetki.

- Naprawdę nie wiem — odparł. - Myślę, że teraz to już sprawa Errola. My musimy się zająć czymś innym. Colon zasalutował, wciąż nieco zdyszany.

- Gdzie idziemy, sir? - wysapał.

- Do pałacu. Któryś z was ma jeszcze miecz?

- Może pan wziąć mój, panie kapitanie — zaproponował Marchewa i wręczył broń dowódcy.

- Dobrze - rzucił Vimes. Spojrzał na swoich ludzi. - Idziemy.

Maszerowali za Vimesem przez opustoszałe ulice. Przyspieszył kroku. Ruszyli truchtem, żeby nie zostać w tyle. Vimes ruszył truchtem, żeby pozostać na czele.

Oddział ruszył kłusem.

Potem, jakby na bezgłośny rozkaz, popędzili biegiem.

Potem galopem.

Ludzie schodzili im z drogi. Wielkie sandały Marchewy dudniły po bruku. Iskry strzelały spod okuć butów Nobby'ego. Colon biegł cicho jak na takiego grubasa, jak zresztą często bywa z grubasami, z wyrazem całkowitego skupienia na twarzy.

Przebiegli przez ulicę Chytrych Rzemieślników, skręcili w Aleję Połudwiczą, wypadli na ulicę Pomniejszych Bóstw i pognali do pałacu. Vimes minimalnie prowadził; wypchnął z umysłu wszystkie myśli poza jedną: żeby biec i biec.

A przynajmniej prawie wszystkie. Głowa wibrowała mu i rezono-wała z umysłami wszystkich miejskich strażników we wszechświecie, wszystkich tępaków polerujących krawężniki w całym multiversum, którzy choć raz, z rzadka, próbowali zrobić to, co Słuszne.

Daleko przed nimi pałacowi gwardziści dobyli mieczy, spojrzeli jeszcze raz, zastanowili się, skoczyli za mur i zaczęli zatrzaskiwać wrota. Skrzydła spotkały się z hukiem w chwili, kiedy stanął przed nimi Vimes.

Zawahał się, dysząc ciężko. Przyjrzał się masywnej bramie. Wrota spalone przez smoka zastąpiono nowymi, jeszcze bardziej zniechęcającymi. Dobiegały zza nich odgłosy opadających na miejsca rygli.

Nie było czasu na półśrodki. Był przecież kapitanem, na miłość bogów. Oficerem. Takie rzeczy nie stanowią problemu dla oficera. Oficerowie już dawno wypróbowali i sprawdzili sposób rozwiązywania takich problemów. Ten sposób nazywał się sierżant.

- Sierżancie! - zawołał. Umysł wciąż wibrował mu uniwersalną policyjnością. - Przestrzelić ten zamek. Colon zawahał się.

- Niby jak, sir? Z łuku?

- Znaczy... - zająknął się Vimes. - Znaczy: otworzyć mi tę bramę!

- Ta-jest, sir! - Colon zasalutował. Przez chwilę przyglądał się wrotom.
- Zrozumiano! — warknął. - Młodszy funkcjonariusz Marchewa, przygotować się! Otworzyć bramę!

- Tak jest, sir!

Marchewa wystąpił naprzód, zasalutował, zwinął w pięść swoją wielką dłoń i zastukał delikatnie we wrota.

- Otwierać! - zawołał. - W imieniu Prawa! Po drugiej stronie zabrzmiały jakieś szepty i w połowie wysokości bramy uchyliło się lekko małe okienko.

- Dlaczego? - zapytał jakiś głos.

- Bo jeśli nie otworzycie, będziecie Utrudniać Funkcjonariuszowi Straży Miejskiej Pełnienie Obowiązków Służbowych, co jest karane grzywną nie niższą niż trzydzieści dolarów, miesiącem aresztu lub nadzorem kuratora sądowego i trzydziestoma minutami z rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem - wyjaśnił Marchewa.

Znowu usłyszeli stłumione szepty, odgłos odciąganych rygli, a potem wrota uchyliły się do połowy. Po drugiej stronie nie było nikogo.

Vimes przytknął palec do warg. Wskazał Marchewie miejsce przy jednym skrzydle, a Golona i Nobby'ego pociągnął do drugiego.

- Pchać - szepnął.

Pchnęli mocno. Za wrotami rozległy się przekleństwa i okrzyki bólu.

- Biegiem! - krzyknął Colon.

- Nie! - powstrzymał go Vimes.

Wszedł przez bramę. Czterej przygniecenii gwardziści patrzyli na niego z niechęcią.

- Nie - powtórzył. - Dość uciekania. Aresztować tych ludzi.

- Nie ośmielisz się! - zaprotestował jeden z nich. Vimes przyjrzał mu się z uwagą.

- Clarence, prawda? Clarence przez C? No cóż, Clarence przez C, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Albo oskarżymy was o Pomoc i Współudział, albo... - pochylił się i zerknął znacząco na Marche-wę - ...będziemy musieli zastosować środki przymusu bezpośredniego.

- I co ty na to, gówniarzu? — zawołał Nobby, aż podskakując z bojowego zapachu.

Świńskie oczka Clarence'a zerkwały to na Marchewę, to na twarz Vimesa. Nie było na niej litości. W końcu gwardzista podjął decyzję.

- Bardzo słusznie - pochwalił go Vimes. - Sierżancie, zamknijcie ich w wartowni.

Colon sięgnął po luk i wyprostował się z godnością.

- Słyszałeś, co powiedział szef? - warknął chrapliwie. - Jeden fałszywy ruch, a jesteś... jesteś... ekonomiką!

- Tak jest! Do skrzyni z nimi! - wołał Nobby. Ogarnął go taki zapach, że mógłby ogrzać całą dzielnicę. - Małże! - prychnął w stronę pleców gwardzistów.

- Pomoc i Współdział w czym, kapitanie? — zapytał Marche-wa, kiedy rozbrojeni gwardziści odmaszerowali posłusznie. - Pomagać i współdziałać trzeba w czymś.

- Myślę, że w tym przypadku ograniczymy się do ogólnego współdziału - odparł Vimes. - Wielokrotny i zuchwały współdział.

- Racja - poparł go Nobby. - Nie znoszę tych współdziałow-ców. Śmierdzenie!

Colon wręczył Vimesowi klucz od wartowni.

- Nie są tam całkiem zabezpieczeń, kapitanie — ostrzegł. — W końcu wyważą te drzwi.

- Mam nadzieję - mruknął Vimes. - Bo jak tylko znajdziemy jakiś ściek, wrzucę do niego ten klucz. Wszyscy gotowi? Dobrze. Za mną.

Lupine Wonse przekradał się pustymi korytarzami pałacu. Pod pachą trzymał *Przywoływanie smoków*, w dłoni ścisnął migoczący królewski miecz.

Zdyszany zatrzymał się w drzwiach.

Niewielka tylko część jego umysłu znajdowała się w stanie pozwalającym na jakieś rozsądne myśli, jednak przekonywała go ona usilnie, że nie mógł widzieć tego, co właśnie widział, ani słyszeć tego, co słyszał.

Ktoś go ścigał.

I widział Vetinarię spacerującego po pałacu. A wiedział, że były Patrycjusz jest bezpiecznie zamknięty. Zamek w lochu był nie do wyłamania. Pamiętał, że podczas budowy lochu Vetinari wielokrotnie nalegał na niewylamywalny zamek.

Coś poruszyło się w mroku na końcu korytarza. Wonse zajęczał cicho i wymacał za sobą klamkę. Wskoczył do pomieszczenia, zatrzasnął drzwi i oparł się o nie, z trudem łapiąc oddech.

Otworzył oczy.

Znalazł się w dawnej sali audiencji prywatnych. Patrycjusz siedział w swoim starym fotelu i założywszy nogę na nogę, obserwował go z łagodnym zaciekawieniem.

- To ty, Wonse - stwierdził.

Wonse podskoczył, szarpnął klamkę, wypadł na korytarz i biegł, dopóki nie dotarł do głównych schodów wznoszących się niby porzucony korkociąg wśród ruin środkowej części pałacu. Schody -wysokość — łatwość obrony - bezpieczeństwo. Potrzebował tylko paru minut spokoju. Wtedy im pokaże.

Górne poziomy okrywał głębszy mrok. Brakowało im tylko solidności konstrukcji. Budując swoją jaskinię, smok powyrywał filary i ściany. Komnaty rozwierały się żałośnie nad krawędzią otchłani, zwisające strzepy kotar i dywanów falowały w podmuchach z wybitych okien. Podłoga

kołysała się sprężysto jak trampolina pod nogami Wonse'a. Dopadł najbliższych drzwi.

- Pośpiech godzin pochwały - stwierdził Patrycjusz.

Wonse zatrzasnął mu drzwi przed nosem i bełkocząc pognął korytarzem.

Na moment powróciła przytomność umysłu. Zatrzymał się przy posągu. Nie słyszał żadnych odgłosów, żadnych pospiesznych kroków, żadnego zgrzytu drzwi ukrytego przejścia. Zerknął podejrzliwie na statuetkę i ukłął ją mieczem.

Kiedy nie zareagowała, otworzył sąsiednie drzwi, zatrzasnął je za sobą i podparł krzesłem. Znalazł się w jednym z górnych gabinetów, w tej chwili pozbawionym większej części umeblowania i czwartej ściany. W jej miejscu ziała głębia smoczniej jaskini.

Patrycjusz wynurzył się z cienia.

- Teraz, kiedy już się wybiegałeś... - zaczął. Wonse odwrócił się gwałtownie, wznosząc miecz.

- Nie istniejesz naprawdę - oświadczył. - Jesteś... duchem albo czymś takim.

- Nie jest to prawdą, jak sądzę - odpowiedział Patrycjusz.

- Nie możesz mnie powstrzymać! Zostało mi jeszcze trochę magicznych przedmiotów... I mam książkę! — Wonse wyjął z kieszeni skórzaną sakwę. — Sprowadzę następnego! Zobaczysz!

- Nalegam, żebyś zrezygnował - odezwał się łagodnie lord Vetinari.

- Aha, uważasz, że jesteś taki sprytny, taki opanowany, taki elegancki, bo ja mam miecz, a ty nie! Ale przekonasz się, że mam też coś więcej - oznajmił tryumfalnie Wonse. — Tak jest! Mam gwardię pałacową po swojej stronie! Posłuchają mnie, a nie ciebie! Nikt cię nie lubił, wiesz przecież. Nikt cię nigdy nie lubił!

Machnął mieczem tak, że ostra jak igła klinga zawisała o stopę od piersi Patrycjusza.

- Dlatego wrócisz do lochu. I tym razem dopilnuję, żebyś już tam został. Straż! Straż!

Na zewnątrz zabrzmiały czyjeś szybkie kroki. Drzwi załomotały, zatrzęsło się krzesło. Nastąpiła chwila ciszy, po czym i drzwi, i krzesło, rozpadły się w drzazgi.

- Zabrać go! - wrzasnął Wonse. - Wpuścić więcej skorpionów! Wsadźcie go do... Wy nie jesteście...

- Odłóż miecz - polecił Vimes.

Za nim Marchewa wybierał z pięści resztki drzwi.

- Właśnie! - Nobby wyjrzał zza pleców kapitana. - Pod ścianę i rozstawić nogi, macierzyńcu!

- Co? Po co ma rozstawiać nogi? - zaszeptał zdziwiony sierżant Colon.

Nobby wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. - Chyba dla zasady. Tak jest bezpieczniej.

Wonse przyglądał im się z niedowierzaniem.

- Aha, Vimes - odezwał się Patrycjusz. — Zechcesz...

- Zamknij się - rzucił mu Vimes. - Młodszy funkcjonariusz Marchewa?

-Sir?

- Odczytać więźniowi jego prawa.

- Tak jest, sir. - Marchewa wyjął notes, polizał kciuk i przerzucił kilka kartek. — Lupine Wonse, znany też jako Łupin Zygzak, Sekr.,w/z...

- Co? - zdumiał się Wonse.

- Obecnie zamieszkały w mieszkaniu znanym jako Pałac, Ankh--Morpork; mam obowiązek poinformować cię, że jesteś aresztowany pod zarzutem... - Marchewa spojrział z bólem na Vimesa -...licznych zbrodni zabójstwa za pomocą tępego narzędzia, a ściślej smoka, a także wielu innych przestępstw ogólnego współludzia-

łu, które zostaną szczegółowo ustalone w późniejszym terminie. Masz prawo milczeć. Masz prawo nie zostać łącznie wrzucony do stawu z piraniami. Masz prawo do odwołania się do wyroku bogów. Masz...

- To szaleństwo - stwierdził Patrycjusz.

- Mówilem chyba, żebyś się zamknął! - warknął Vimes, odwrócił się i pogroził palcem tuż przed nosem Patrycjusza.

-Jak myślicie, sierżancie? - szepnął Nobby. - Spodoba nam się w jamie ze skorpionami?

- ...odmówić zeznań, ale cokolwiek powiesz, będzie zanotowane, ehm, w tym oto moim notesie i może być użyte jako dowód... Głos Marchewy ucichł z wolna.

- Cóż, Vimes, mam nadzieję, że ta pantomima sprawia ci przyjemność - odezwał się w końcu Patrycjusz. - A teraz zaprowadźcie go do celi. Rano się nim zajmę.

Wonse niczego nie dał po sobie poznać. Nie było krzyku ani szeptu. Po prostu zamachnął się i skoczył na Patrycjusza.

Różne możliwości przemknęły Vimesowi przez głowę. Jako pierwsza pojawiła się sugestia, że niewtrącanie się to całkiem dobry plan. Niech Wonse zrobi, co ma zrobić, potem go rozbiją i niech miasto się oczyści. Tak. Świetny plan.

Całkowitą tajemnicą pozostało więc, dlaczego rzucił się przed siebie i machnął mieczem Marchewy od dołu, w niezbyt zręcznej próbie odbicia

ciosu.

Może miało to jakiś związek z działaniem według regulaminu.

Zabrzmiął brzęk, nawet niespecjalnie głośny. Vimes poczuł, że coś jasnego i srebrzystego przelatuje mu koło ucha i uderza o ścianę.

Wonse rozdziawił usta. Upuścił resztkę miecza i cofnął się, ściskając *Przywoływanie*.

- Pożalujecie tego - syknął. - Wszyscy pożalujecie.

I zaczął mamrotać coś pod nosem.

Vimes poczuł, że cały się trzęsie. Był prawie pewien, że wie, co świsnęło mu koło ucha i na samą myśl o tym jego dłonie wilgotniały od potu. Przybiegł do pałacu gotów zabijać; przed chwilą, właśnie przed chwilą, przynajmniej raz świat zdawał się działać tak, jak powinien, a on sam kierował wydarzeniami. Teraz miał tylko ochotę na drinka. I na miłą, przynajmniej tygodniową drzemkę.

- Daj spokój - powiedział. - Pójdiesz spokojnie? Mamrotanie nie cichło. Powietrze stało się gorące i suche. Vimes wzruszył ramionami.

- Jak chcesz - powiedział i odwrócił się. - Rzućcie mu przepisami, Marchewa.

- Tak jest, sir.

Vimes zbyt późno sobie przypomniał: krasnoludy słabo pojmują metafory. Mają za to niezwykle celne oko.

Prawa i Przepisy Porządkowe miast Ankh i Morpork trafiły sekretarza w sam środek czoła. Wonse zamrugął, zachwiał się i zrobił krok do tyłu.

Był to najdłuższy krok w jego karierze. Przede wszystkim trwał przez resztę jego życia.

Po kilku sekundach usłyszeli, jak uderzył o posadzkę pięć pięter niżej.

Po następnych kilku sekundach ich twarze wysunęły się znad nierównego brzegu podłogi.

- Kawał drogi — ocenił sierżant Colon.

- To fakt — zgodził się Nobby i sięgnął za ucho po niedopalek.

- Zabity przez jak jej tam... przez metaforę.

- No, nie wiem. Moim zdaniem wygląda to na posadzkę. Ma pan ogień, sierżancie?

- Dobrze zrobiłem, prawda? - dopytywał się Marchewa. - Sam pan powiedział...

- Tak, tak - potwierdził Vimes. - Nie przejmuj się.

Drżącą ręką podniósł sakwę, którą upuścił Wonse. Wysypał z niej stosik kamieni. Każdy miał otwór. Po co?

Jego uwagę zwrócił metaliczny brzęk za plecami. Patrycjusz trzymał resztkę królewskiego miecza. Kiedy kapitan się obejrzał, wyrwał właśnie ze ściany drugą połowę klingi. Pęknięcie było równe i gładkie.

- Kapitanie Vimes...

- Tak, sir?

- Pański miecz, jeśli wolno.

Vimes oddał broń. W tej chwili nic innego nie przychodziło mu jakoś do głowy. Pewnie już niedługo trafi do swojej własnej, osobistej jamy ze skorpionami.

Lord Vetinari uważnie obejrzał nieco zardzewiały miecz.

- Jak dawno pan go ma, kapitanie? - spytał.

- Nie jest mój, sir. Należy do młodszego funkcjonariusza Marchewy.

- Młodszego...?

- To ja, sir, wasza wysokość. - Marchewa zasalutował.

Patrycjusz bardzo powoli obracał w rękach klingę i wpatrywał się w nią jak zafascynowany. Vimes poczuł, że powietrze gęstnieje, jakby historia gromadziła się w tym właśnie punkcie, chociaż zupełnie nie miał pojęcia dlaczego. Była to jedna z tych chwil, w których Spodnie Czasu rozdwajają się i jeśli człowiek nie uważa, może trafić do niewłaściwej nogawki...

Wonse wstał w świetle cieni; lodowata dezorientacja spowijała mu umysł. Jednak w tej chwili potrafił myśleć tylko o jednym: o stojącej obok wysokiej, zakapturzonej postaci.

- Myślałem, że wszyscy zginęliście - wymamrotał. Było tu dziwnie cicho, a kolory dookoła zdawały się sprane, przyćmione. Coś zupełnie się nie zgadzało. - Czy to ty, bracie Odźwierny? - upewnił się nerwowo.

Postać wyciągnęła rękę. METAFORYCZNIE, odpowiedziała.

...i Patrycjusz oddał miecz Marchewie.

- Dobra robota, młody człowieku - pochwalił. - Kapitanie, sugeruję, żeby dał pan swoim ludziom wolne do jutra.

- Dziękuję, sir. No dobrze, chłopcy. Słyszeliście Jego Lordowską Mość.

- Ale nie pan, kapitanie. Musimy jeszcze chwilę porozmawiać.

- Oczywiście, sir - odparł niewinnie Vimes. Trzej jego podwładni

wyszli, rzucając swemu dowódcy spojrzenia pełne współczucia i żalu.

Patrycjusz podszedł do krawędzi podłogi i popatrzył w dół.

- Biedny Wonse - westchnął.

- Tak, sir. - Vimes wpatrywał się w ścianę.

- Wiesz, wolałbym go żywego.

-Sir?

- Poblądził, owszem, ale był bardzo użyteczny. Jego głowa jeszcze by mi się przydała.

- Tak, sir.

- Resztę, oczywiście, moglibyśmy wyrzucić.

- Tak, sir.

- To był żart, Vimes.

- Tak, sir.

- Chłopak nigdy tak naprawdę nie pojął, o co chodzi w ukrytych przejściach.

- Nie, sir.

- Ten młody człowiek... Marchewa, mówiłeś chyba?

- Tak, sir.

- Bystry chłopak. Podoba mu się w Straży?

- Tak, sir. Czuje się jak w domu, sir.

- Ocaliłeś mi życie.

-Sir?

- Przejdźmy się.

Ruszył przez zburzony pałac. Vimes podążał za nim. Wreszcie dotarli do Podłużnego Gabinetu. Panował tu porządek; Gabinet uniknął właściwie zniszczeń, wszystko pokryła jedynie warstwa kurzu. Patrycjusz usiadł i nagle wydało się, że siedzi tu cały czas. Vimes sam nie był pewien, czy w ogóle wychodził.

Patrycjusz sięgnął po plik dokumentów i zdmuchnął z nich kurz.

- To smutne - stwierdził. - Lupine był takim systematycznym człowiekiem.

- Tak, sir.

Lord Vetinari splótł palce i spojrzał na Vimesa ponad nimi.

- Dam panu pewną radę, kapitanie — powiedział.

- Tak, sir?

- Być może, dzięki temu łatwiej dostrzeże pan jakiś sens w świecie.

-Sir.

- Moim zdaniem życie sprawia panu tyle problemów, ponieważ wierzy pan, że są dobrzy ludzie i źli ludzie. Myli się pan, oczy-

wiście. Istnieją wyłącznie i niezmiennie jedynie źli ludzie, ale niektórzy stoją po przeciwnych stronach.

Skinął szczupłą dłonią w stronę miasta i podszedł do okna.

- Wielkie, falujące morze zła — powiedział niemal z dumą. - Naturalnie, w pewnych miejscach płytsze, ale w innych głębsze, o wiele głębsze. Ale tacy ludzie jak pan budują tratwy z zasad i nie-. określonych dobrych zamiarów, i mówią: to jest przeciwieństwo, to w końcu zwycięży.

Zadziwiające!

Przyjaźnie klepnął Vimesa po ramieniu.

- Tam, w dole — podjął — żyją ludzie, którzy pójdą za każdym smokiem, będą czcić każdego boga, dopuszczą do każdego występku. A wszystko to ze zwykłej monotonii, codziennego zła. To nie prawdziwie wybitna, twórcza ohyda wielkich grzeszników, ale rodzaj masowo produkowanego mroku duszy. Grzech, można powiedzieć, bez krzty oryginalności. Akceptują zło nie dlatego, że mówią mu „tak”, ale dlatego, że nie mówią „nie”. Przykro mi, jeśli to pana urazi — dodał, klepiąc Vimesa po ramieniu — ale my naprawdę jesteśmy wam potrzebni.

- Tak, sir? - zapytał spokojnie Vimes.

- Tak. Tylko my wiemy, jak wszystko może działać. Widzi pan, kapitanie, dobrzy ludzie są dobrzy tylko w obalaniu złych ludzi. W tym jesteście naprawdę dobrzy, przyznaję. Kłopot polega na tym, że to jedyna rzecz, w jakiej jesteście dobrzy. Jednego dnia biją dzwony i pada zły tyran, a następnego wszyscy narzekają, że od upadku tyrana nikt nie wywozi śmieci. Ponieważ źli ludzie umieją planować. To element charakterystyki, można powiedzieć. Każdy zły tyran ma plan, jak rządzić światem. Dobrzy ludzie jakoś sobie z tym nie radzą.

- Może. Ale myli się pan co do reszty! — zaprotestował Vimes. — Z powodu tego, że ludzie są wystraszeni, samotni i... — Urwał. Nawet w jego uszach brzmiało to mało przekonująco.

Wzruszył ramionami.

- Są tylko ludźmi - dokończył. -1 postępują jak ludzie. Sir. Lord Vetinari uśmiechnął się przyjaźnie.

- Naturalnie, naturalnie. Musi pan w to wierzyć, kapitanie. Inaczej by pan oszalał. Inaczej wydawałoby się panu, że stoi pan na wąskim moście nad otchłanią Piekieł. Inaczej sama egzystencja stałaby się mroczną agonią i jedyną pana nadzieją byłaby ta, że nie istnieje życie po śmierci. Doskonale rozumiem. - Zerknął na swoje biurko i westchnął. - A teraz - rzekł - mam

mnóstwo pracy. Obawiam się, że biedny Wonse był dobrym sługą, ale nieskutecznym władcą. Może pan iść. Aha, i niech pan przyprowadzi jutro swoich ludzi. Miasto musi okazać swoją wdzięczność.

- Musi co? - nie zrozumiał Vimes.

Patrycjusz przeglądał zwój pergaminu. Jego głos wrócił znów do roztargnionego tonu człowieka, który organizuje, planuje i kontroluje.

- Wdzięczność - powtórzył. - W każdym tryumfalnym zwycięstwie muszą być bohaterowie. Są niezbędni. Dopiero wtedy wszyscy są przekonani, że sprawa została załatwiona jak należy.

Spojrzał na Vimesa ponad krawędzią zwoju.

- Wszystko to jest częścią naturalnego porządku rzeczy — dodał.

Po chwili dopisał ołówkiem kilka uwag na dokumencie i podniósł głowę.

- Powiedziałem, że możesz już iść. Vimes zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

- Czy pan w to wierzy, sir? — zapytał. — W to nieskończone zło i czystą ciemność?

- Oczywiście, oczywiście. — Patrycjusz odwrócił kartkę. — To jedyny logiczny wniosek.

- Ale wstaje pan z łóżka co rano, sir?

- Hmm? Tak? O co ci chodzi?

- Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego, sir.

- Och, idź już sobie, Vimes. Bądź miłym facetem.

W mrocznej, pełnej przeciągów jaskini wyrąbanej w sercu pałacu bibliotekarz, podpierając się rękami, wspiał się na żalosną górę skarbów i spojrział na roztrzaskane ciało Wonse'a.

Sięgnął w dół i bardzo delikatnie wyjął *Przywoływanie smoków* ze sztywniejących palców. Zdmuchnął kurz i pogładził okładkę niczym przerażone dziecko.

Chciał już zejść ze stosu, ale zatrzymał się, schylił i ostrożnie podniósł spomiędzy błyszczących śmieci drugą książkę. Nie była je-

go, chyba że w najogólniejszym sensie, w którym wszystkie książki należały do jego dziedziny. Przewrócił kilka kartek.

- Zatrzymaj ją — odezwał się Vimes za jego plecami. — Zabierz. Schowaj gdzieś.

Orangutan skinął kapitanowi głową i zbiegł z góry skarbów. Stuknął Vimesa w kolano, otworzył *Przywoływanie smoków* i przerzucał strony, dopóki nie znalazł tej, której szukał. W milczeniu wręczył kapitanowi książkę.

Mrużąc oczy, Vimes przyjrzał się niekształtnym literom.

Jednakowoż smokki nie są niczym jednorożce. Zamieszkiwują w Krainie określonej przez Twoją Wyobraźnię wedle Woli. Być zatem może, iż Ktokolwiek by przyzywał je, otwiera dla nich ścieżynę do tego świata, przyzywa swego własnego Smoka Duszy.

Wszakże, jak mniemam, Czyste Serce może przywołać Smokka Potężnego i Zmusić do Dobra w tym świecie. I tak Wielkie Dzido rozpocząć się może, a Wszystko już przygotowane zostało. Sam pracowałem z siłą wszystkich, by Godnym Naczyniem się okazać...

Kraina wyobraźni, myślał Vimes. Więc to tam odeszły. Do naszych wyobrażeń. A kiedy przyzywamy je tutaj, kształtujemy je równocześnie. To jak wyciskanie surowego ciasta w formy. Ale nie dostajesz piernikowego ludzika, dostajesz to, czym jesteś. Swoją własną ciemność obleczoną w kształt...

Vimes raz jeszcze przeczytał fragment, po czym zajrzał na kolejne strony. Nie było ich dużo. Reszta książki była tylko zwęgloną masą.

Vimes oddał ją orangutanowi.

- Jakim człowiekiem był ten de Malachit? - zapytał.

Bibliotekarz rozważył tę kwestię, jak wypada komuś, kto zna na pamięć *Słownik biograficzny miasta*. Po czym wzruszył ramionami.

- Wyjątkowo świątobliwy? Małpa pokręciła głową.

- A może wyjątkowo zły?

Małpa wzruszyła ramionami i znowu pokręciła głową.

- Na twoim miejscu - poradził Vimes - schowałbym tę książkę w jakieś bardzo bezpieczne miejsce. A razem z nią książkę o Prawie. Obie są wściekle groźne.

-Uuk.

Vimes przeciągnął się.

- A teraz - powiedział - chodźmy się czegoś napić.

- Uuk.

- Ale tylko troszkę.

- Uuk.

-I ty płacisz.

- Iik.

Vimes zatrzymał się jeszcze i spojrzał w szerokie, łagodne oblicze.

- Powiedz - poprosił. — Zawsze chciałem wiedzieć. Czy to lepiej być małą?

Bibliotekarz zastanowił się głęboko.

- Uuk - stwierdził.

- O! Naprawdę?

Przyszła kolejna dzień. Salę od ściany do ściany wypełniali miejscy dygnitarze. Patrycjusz siedział na swoim twardym krześle, otoczony przez doradców. Wszyscy obecni prezentowali promienne, zastygłe uśmiechy ludzi skupionych na czynieniu dobra.

Lady Sybil Ramkin usiadła na boku, ubrana w kilka akrów czarnego aksamitu. Rodzinne klejony Ramkinów błyszcząły na jej palcach, szyi i w czarnych lokach dzisiejszej peruki. Efekt był porażający, niby widok sklepienia niebieskiego.

Vimes doprowadził swój oddział na środek sali i zatrzymał się z tupnięciem, trzymając hełm pod pachą, zgodnie z regulaminem. Ze zdumieniem odkrył, że nawet Nobby podjął pewien wysiłek - tu i tam na jego pancerzu dostrzegł sugestię lśniącego metalu. Colon nosił na twarzy wyraz niezwykłej powagi. A zbroja Marchewy jaśniała. Colon po raz pierwszy w życiu wykonał podręcznikowy salut.

- Wszyscy obecni, sir! - zameldował.

- Dziękuję, sierżancie - odparł chłodno Vimes. Odwrócił się do

Patrycjusza i uprzejmie uniósł brew. Lord Vetinari skinął dyskretnie ręką.

- Spocznijcie, czy co tam robicie, moi drodzy — powiedział. -Jestem pewien, że nie musimy pilnować ceremoniału. Co pan na to, kapitanie?

-Jak pan sobie życzy, sir.

- A teraz, moi drodzy... - Patrycjusz pochylił się nieco. - Dotarły do nas zadziwiające wieści o waszych wspaniałych wysiłkach podjętych w obronie miasta...

Vimes zamyślił się, nie słuchając pochwalnych banałów. Przez chwilę bawił się obserwacją twarzy doradców - słowa Patrycjusza wywoływały na nich całą gamę wyrazów. Oczywiście, taka uroczystość była absolutnie niezbędna. Po niej cała sprawa stanie się wyjaśniona i załatwiona. I zapomniana. Kolejny rozdział w długiej i bohaterskiej historii i tak dalej i tak dalej. Ankh-Morpork lubiło zaczynać nowe rozdziały.

Jego błędzący bezmyślnie wzrok natrafił na lady Ramkin. Mrugnęła. Vimes znów spojrzał przed siebie, a jego twarz stała się nieruchoma jak deska.

- .. .dowód naszej wdzięczności - dokończył Patrycjusz i wyprostował się.

Vimes uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą.

- Słucham? — spytał odruchowo.

- Powiedziałem, że staraliśmy się wymyślić jakąś właściwą rekompensatę, kapitanie Vimes. Liczni obywatele oddani naszemu społeczeństwu... - Patrycjusz spojrzał znacząco na doradców i lady Ramkin - ...i ja sam, ma się rozumieć, uznaliśmy, że należy się odpowiednia nagroda.

Vimes wciąż nie rozumiał.

- Nagroda? — powtórzył.

- Zwyczajowa za tak heroiczne czyny - wyjaśnił Patrycjusz trochę

zniecierpliwiony.

Vimes stanął na baczność.

- Naprawdę nie myślałem o tym, sir - oznajmił. - Oczywiście, nie mogę decydować za swoich ludzi.

Zaległo niezręczne milczenie. Vimes zauważył kątem oka, że Nobby szturcha sierżanta w bok. Zachęcony Colon wystąpił i zasalutował po raz drugi.

- Proszę o zgodę na zabranie głosu, sir - wymamrotał. Patrycjusz łaskawie skinął głową.

Sierżant odchrząknął. Zdjął hełm i wyciągnął z niego świstek papieru.

- Ehem - powiedział. — Pomyśleliśmy sobie, jeśli Wasza Miłość

pozwoli, że po uratowaniu miasta, a w każdym razie tak jakby, znaczy się... spróbowaliśmy, tego, człowiek na właściwym miejscu i w ogóle... Znaczy, pomyśleliśmy, że coś się nam należy. Jeśli Wasza Wysokość rozumie, co mam na myśli.

Zebrani pokiwali głowami. To było właśnie to, o co chodziło.

- Mówcie dalej - zachęcił Patrycjusz.

- No więc żeśmy się zastanowili - podjął sierżant. - Trochę to bezczelne, wiem, ale...

- Niech pan mówi, sierżancie. Nie musi pan przerywać. Wszyscy jesteście świadomi wielkiej wagi tej sprawy.

- Tak jest, sir. Dobrze, sir. Po pierwsze, pensje.

- Pensje? - powtórzył lord Vetinari. Popatrzył na Vimesa, który patrzył w przestrzeń.

Sierżant podniósł głowę znad kartki. Jego twarz była twarzą człowieka,

który postanowił załatwić sprawę do końca choćby nie wiem co.

- Tak, sir - potwierdził. - Trzydzieści dolarów miesięcznie. To niesprawiedliwe. Myśleliśmy... - Oblizał wargi i zerknął na dwóch kolegów, którzy zachęcali go dyskretnymi gestami. - Myśleliśmy o pensji zasadniczej, tego... trzydzieści pięć dolarów? - Spojrzał na kamienną twarz Patrycjusza. — I podwyżka co stopień? Chcielibyśmy pięciu dolarów.

Znowu oblizał wargi, wyprowadzony z równowagi miną Patrycjusza.

- Nie zgodzimy się na mniej niż cztery - oświadczył. - To nasze ostatnie słowo. Przykro mi, Wasza Wysokość, ale tak już jest.

Patrycjusz raz jeszcze spojrzał na nieruchome oblicze Vimesa, potem znów na strażników.

- Tego żądacie?

Nobby szepnął coś sierżantowi do ucha, po czym odskoczył do tyłu. Spocony Colon ścisnął swój hełm, jakby była to jedyna pewna rzecz na całym świecie.

-Jest jeszcze coś, Wasza Szacowność.

- Aha. — Patrycjusz uśmiechnął się z satysfakcją.

- Chodzi o czajnik. I tak nie był najlepszy, a potem Errol go zjadł. To prawie dwa dolary. - Przełknął ślinę. - Więc przydałby się nam nowy czajnik, jeśli to Waszej Lordowskiej Mości nie przeszkadza.

Patrycjusz pochylił się, ściskając poręcz krzesła.

- Chcę, żebyśmy się dobrze rozumieli - rzekł lodowatym tonem. - Mamy uwierzyć, że prosicie o drobną podwyżkę pensji i sprzęt kuchenny?

Marchewa zaszeptał coś w drugie ucho Golona.

Colon zwrócił na dygnitarzy parę wytrzeszczonych, załzawionych oczu. Krawędź hełmu sunęła mu przez palce jak łopatki młyńskiego koła.

- I jeszcze... - zaczął. - Czasami, pomyśleliśmy sobie, no wiecie, łaskawi panowie, po przerwie obiadowej albo kiedy jest spokojnie, na przykład pod koniec służby, i chcielibyśmy się trochę rozerwać, i uspokoić jakby...

Zamilkł.

- Tak?

Colon nabrał tchu.

- Tarcza i strzałki pewnie nie wchodzą w grę?

Gromową ciszę, jaka nastąpiła po tych słowach, przerwały zduszone parsknięcia.

Hełm wypadł Vimesowi z drżących palców. Półpancerz falował, kiedy tłumiony latami śmiech wyrywał się w głośnych, nieopanowanych wybuchach. Kapitan patrzył na doradców i śmiał się i śmiał.

Śmiał się z tego, jak poderwali się z miejsc, pełni gniewu i urażonej godności.

Śmiał się ze starannie nieruchomego wyrazu twarzy Patrycjusza.

Śmiał się, aż łzy stanęły mu w oczach.

Nobby wyciągnął szyję, by sięgnąć ucha Golona.

- Mówilem przecież - syknął. - Uprzedzałem, że na to się nie zgodzą. Wiedziałem, że strzałki to już przesada. A teraz rozzłościłmy wszystkich.

Kochana mamo i tato [pisał Marchewa], Nigdy byście nie zgadli, ale służę w Straży dopiero parę tygodni, a już jestem pełnym Funkcjonariuszem. Kapitan Vi-mes mówił, że sam Patrycjusz kazał, żebym nim został, i jeszcze że ma nadzieję, że będę długo i z sukcesami służył w Straży, a on będzie obserwował moją karierę z Zainteresowaniem. W dodatku dostałem dziesięć

dolarów podwyżki i na dodatek specjalną premię dwadzieścia dolarów, co je kapitan Vi-mes wypłacił z własnej kieszeni, jak twierdzi sierżant Colon. Pieniądze przesyłam z listem. Trochę sobie zostawiłem, bo wczoraj byłem odwiedzić Reet, a pani Palm powiedziała, że wszystkie dziewczęta też obserwują moją karierę z wielkim Zainteresowaniem i że mam przyjść na kolację, jak tylko dostanę dzień wolny. Sierżant Colon tłumaczył mi, jak się zaczyna zaloty, które są bardzo ciekawe i wcale nie takie trudne, jak się wydaje. Aresztowałem smoka, ale uciekł. Mam nadzieję, że pan Varneshi dobrze się czuje.

Jestem tutaj szczęśliwy jak nikt na całym świecie.

Wasz syn Marchewa

Vimes stanął przed drzwiami.

Zauważył pewne wysiłki zmierzające do poprawienia wyglądu rezydencji Ramkinów. Rosnące wokół domu krzaki zostały bezlitośnie wycięte. Starszy robotnik na drabinie przybijał stiuki do ścian, a inny łopatą dość przypadkowo wyznaczał linię, gdzie kończy się trawnik, a zaczynają dawne rabaty kwiatowe.

Vimes wsunął hełm pod pachę, przyglądał włosy i zapukał. Rozwahał, czy nie poprosić sierżanta Golona, by mu towarzyszył, ale szybko odrzucił ten pomysł. Nie zniósłby jego uśmieszków. Zresztą czego tu się bać? Przecież trzy razy spoglądał w paszczę śmierci. Nawet cztery, jeśli doliczyć ten, kiedy kazał lordowi Vetinari się zamknąć.

Ku jego zdumieniu drzwi otworzył po chwili lokaj tak stary, że chyba wskrzeszony pukaniem.

- Słucham?

- Kapitan Vimes, Straż Miejska - przedstawił się Vimes. Lokaj

zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- A tak - powiedział w końcu. - Jaśnie pani mówiła, zdaje się, że jaśnie pani jest ze swoimi smokami. Jeśli zechce pan zaczekać, zaraz...

- Znam drogę - przerwał mu Vimes i pomaszerował zarośniętą ścieżką.

Zagrody leżały w gruzach. Wokół leżały odrapane drewniane skrzynki z ceratowymi przykryciami. Kilka smutnych smoków bagiennych zionęło mu na powitanie z ich wnętrza.

Dwie kobiety chodziły pracowicie między skrzynkami. Dwie damy właściwie. Były zbyt obdarte jak na zwykłe kobiety. Żadna zwyczajna kobieta nie pozwoliłaby sobie na tak zaniedbany wygląd. Do noszenia takich ubrań potrzebna jest absolutna pewność siebie, która bierze się z wiedzy, kim był czyjś prapraprapradziadek. Chociaż, jak zauważył Vimes, były to niezwykle eleganckie ubrania — to znaczy były eleganckie kiedyś: ubrania kupione pewnie przez rodziców, ale tak kosztowne i tak dobrej jakości, że się nie przecierały i przekazywano je spadkobiercom jak starą porcelanę, srebrną zastawę i podagrę.

Hodowczynie smoków, pomyślał. Od razu widać. Jest w nich coś charakterystycznego. Może styl, w jakim noszą swoje jedwabne szale, stare tweedowe płaszcze i jeździeckie buty po dziadku. I zapach, oczywiście.

Niewysoka, chuda kobieta z twarzą przypominającą stare siodło wreszcie go zauważyła.

- Aha! - zawołała i wcisnęła pod chustkę zbłąkany kosmyk siwych włosów. Podała mu żylastą, smagłą dłoń. - Brenda Rodley. A to Rosie Devant-Molei. Prowadzi Słoneczne Schronisko.

Druga kobieta, zbudowana, jakby mogła jedną ręką podnosić konie pociągowe, a drugą je podkuwać, uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Samuel Vimes — przedstawił się niepewnie Vimes.

- Mój ojciec też był Sam - ucieszyła się Brenda. - Zawsze możesz

zaufać Samowi, mawiał. - Zagoniła smoka do skrzynki. - Pomagamy Sybil. Stara przyjaźń i te rzeczy, wie pan. Stado poszło w demony, naturalnie. Małe łobuzy rozleciały się po całym mieście. Moim zdaniem wrócą, kiedy zgłodnieją. Co za rodowód, prawda?

- Słucham?

- Sybil uważa, że to wybryk natury, ale moim zdaniem wyhodujemy taką linię za trzy, może cztery pokolenia. Znana jestem z moich ogierów, wie pan. A to będzie coś... Całkiem nowa odmiana smoka.

Vimes wyobraził sobie przecinające niebo naddźwiękowe smugi.

- Ee... - powiedział. - Rzeczywiście.

- No, ale musimy już lecieć.

- Tego... Czy lady Ramkin nie ma w domu? Dostałem od niej wiadomość, że moje przybycie jest niezwykle istotne.

-Jest gdzieś w budynku - odparła pani Rodley. - Powiedziała, że musi dopilnować czegoś ważnego. Ojej, ostrożnie z nim, Rosie, niemądra dziewczucho!

- Ważniejszego niż smoki? - nie dowierzał Vimes.

- Owszem. Nie wiem, co ją napadło. - Brenda Rodley sięgnęła do kieszeni za dużej kamizelki. - Miło mi było pana poznać, kapitanie. Zawsze przyjemnie spotkać nowych członków naszej gromady. Proszę mnie odwiedzić, gdyby kiedyś był pan w naszych okolicach. Z przyjemnością pana oprowadzę. - Wcisnęła mu do ręki przybrudzoną wizytówkę. - Teraz musimy iść. Słyszałam, że kilka próbuje budować gniazda na wieży Uniwersytetu. Nie można na to pozwolić. Musimy je ściągnąć, zanim się ściemni.

Vimes zerknął na wizytówkę, gdy kobiety, chrzestując po żwirze, szły do bramy obładowane siatkami i linami.

Napis głosił: *Brenda, lady Rodley, Dom Spadkowy, Zamek w Quirmie, Quirm*. To znaczy, uświadomił sobie, że po ścieżce, podobna do ruchomego

straganu ze starzyzną, kroczy księżna wdowa Quirmu, która posiada więcej ziemi, niż można zobaczyć z bardzo wysokiej góry w bardzo jasny dzień. Nobby'emu by się to nie podobało. Zapewne istnieje pewien specjalny rodzaj ubóstwa, na który mogą sobie pozwolić tylko bardzo, bardzo bogaci...

Tak zostaje się kimś ważnym na tej ziemi, pomyślał. Człowiek nie przejmuje się, co myślą inni, i nigdy, przenigdy nie ma wątpliwości.

Ruszył w stronę domu. Drzwi zastał otwarte — prowadziły do rozległego, ale ciemnego i zatechłego holu. W górze, w półmroku, straszyły ze ścian głowy zabitych zwierząt. Ramkinowie byli chyba zagrożeniem dla większej liczby gatunków niż epoka lodowcowa.

Vimes przeszedł przez kolejne mahoniowe drzwi.

Znalazł się w jadalni. Stał tu stół tego rodzaju, że osoby siedzące po dwóch końcach przebywały już w innych strefach czasowych. Jeden koniec całkowicie opanowały srebrne lichtarze.

Nakryty był dla dwóch osób. Bateria sztucców otaczała każdy talerz, a antyczne kieliszki migotały w blasku świec.

Straszliwe przecucie ogarnęło Vimesa w tej samej chwili, w jakiej dotarł do niego obłok *Captwation*, najdroższych perfum dostępnych w całym Ankh-Morpork.

- Witam, kapitanie. Jak to miło, że pan przyszedł.

Vimes odwrócił się powoli, z pozoru wcale nie poruszając stopami.

Za nim stała wspaniała lady Ramkin.

Vimes jak przez mgłę dostrzegł migoczącą w blasku świec błękitną suknię, masę włosów barwy kasztanów, lekko zaniepokojoną twarz, sugerującą, że cały batalion wykwalifikowanych malarzy i dekoratorów dopiero przed chwilą złożył rusztowania i poszedł do domu; słyszał ciche trzeszczenie, zdradzające, że pod tą suknią zwykły gorset poddawany był naprężeniom, występującym zwykle tylko w jądrach masywnych gwiazd.

-Ja, tego... - powiedział. - Gdyby pani, ee... Gdyby pani uprzedziła, ee. To ja, ee. Ubrałbym się bardziej odpowiednio, ee. Niezwykle, ee. Bardzo. Ee.

Ruszyła ku niemu niby migotliwa machina obłącznicza.

Jak we śnie pozwolił usadzić się przy stole. Musiał coś jeść, ponieważ służba pojawiała się znikąd, podając rzeczy nadziewane innymi rzeczami, a potem wracała, żeby zabrać talerze. Lokaj ożywał od czasu do czasu i rzadkimi winami napełniał kielich za kielichem. Żar świec wystarczyłby, żeby ugotować posiłek. A przez cały czas lady Ramkin mówiła pogodnie, choć z pewnym zakłopotaniem — o wielkości domu, o kłopotach z dużą posiadłością, o wrażeniu, że nadszedł czas, by Poważniej potraktować swoją Pozycję Społeczną. Zachodzące słońce wypełniało pokój czerwienią i w końcu Vimesowi zakręciło się w głowie.

Społeczeństwo, zdołał pomyśleć, nawet nie wie, co je czeka. O smokach nie było mowy ani razu, chociaż po pewnym czasie coś pod stołem położyło głowę na kolanach Vimesa i zaczęło się ślinić.

Mimo wysiłków nie potrafił podjąć rozmowy. Czuł się oskrzydłony, okrążony. Raz tylko kontratakował, może w nadziei że dotrze na spokojniejsze tereny, a stamtąd zdoła jakoś uciec.

-Jak pani myśli, gdzie odleciały? - zapytał.

Powstrzymana na moment lady Ramkin nie zrozumiała.

-Kto?

- Smoki. No wie pani. Errol i jego żo... jego samica.

- Na pewno w jakieś puste, górzyste okolice. To ulubione tereny smoków.

- Ale... Przecież ona jest istotą magiczną. Co się stanie, kiedy magia odejdzie?

Lady Ramkin uśmiechnęła się wstydliwie.

- Większość ludzi jakoś sobie radzi - powiedziała. Wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego dłoni.

- Pańscy ludzie uważają, że wymaga pan opieki - dodała, wyraźnie skrępowana.

- Naprawdę? - zdziwił się Vimes.

- Sierżant Colon mówił, że jego zdaniem wszystko między nami rozwinie się jak *maison enFlambe*.

- Naprawdę?

- I powiedział jeszcze coś - wyznała. - Zaraz, co to było? A tak: „To szansa jedna na milion”, mówił chyba, „ale może się udać”.

Uśmiechnęła się do niego.

Vimesa uderzyła nagle myśl, że w swojej szczególnej kategorii Sybil Ramkin jest całkiem piękna; była to kategoria kobiet, które w całym jego życiu choć raz uznały, że warto się do niego uśmiechnąć. Nie mogła trafić gorzej, ale za to jego nie było stać na nic lepszego. Więc może jakoś się to równoważy... Lat jej nie ubywa, ale komu ubywa? Ma też styl, pieniądze, zdrowy rozsądek, pewność siebie i wszystko to, czego jemu brakuje. A teraz otworzyła przed nim serce i jeśli jej pozwoli, może go całkiem pochłonąć. Ta kobieta jest jak miasto.

I w końcu, oblężony, postąpił tak, jak zwykle ankh-morporczy-cy: otwierali bramy, wpuszczali zdobywców i zamieniali ich w swoich.

Jak zacząć? Zdawało mu się, że czegoś oczekuje.

Wzruszył ramionami, sięgnął po kielich i poszukał odpowiedniej frazy. Tylko jedna pojawiła się w wibrującym szaleńczo umyśle.

- Uśmiecham się do ciebie - powiedział.

Dzwony rozmaitych świątyń wybiły własne godziny północy, żegnając odchodzący dzień.

(...a bliżej Osi, gdzie potężne zbocza Ramtopów łączyły się z masywem centralnym, gdzie niezwykle kudłate istoty wędrowały przez wieczne śniegi, gdzie zamiecie wyły nad zamarzniętymi szczytami, w górskiej kotlinie błyszczały światła samotnego klasztoru. Na dziedzińcu dwóch mnichów w żółtych szatach ułożyło ostatnią skrzynkę zielonych buteleczek na saniach, gotowych do pierwszego etapu niewiarygodnie trudnej podróży na dalekie równiny. Na skrzynce wypisano starannymi pociągnięciami pędzelka: „Sz. Pan G.S.P. Dibbler, Ankh-Morpork”).

- Wiesz, Lobsangu - odezwał się jeden z nich. - Stale się zastanawiam, co on z tym robi).

Kapral Nobbs i sierżant Colon stali oparci o ścianę w mroku niedaleko Załatanego Bębna. Wyprostowali się, kiedy wyszedł Marchewa z tacą w rękach. Troll Detrytus z szacunkiem usunął mu się z drogi.

- Macie, chłopcy - powiedział Marchewa. - Trzy piwa. Na koszt firmy.

- Do licha, nie wierzyłem, że ci się uda - stwierdził Colon, chwytając kufel. - Co mu powiedziałaś?

- Wy tłumaczyłem, że obowiązkiem praworządnych obywateli jest pomaganie Straży w każdych okolicznościach — odparł Marchewa. -1 podziękowałem za współpracę.

- A potem całą resztę - dodał Nobby.

- Nie, nic więcej nie mówiłem.

- To musisz mieć wściekle przekonujący głos.

- Co tam. Korzystajmy, chłopcy, póki to trwa - westchnął Colon.

Wypili w milczeniu. Była to chwila niedyskowego spokoju, kilka minut

wyrwane rzeczywistości prawdziwego życia. Była jak kęs zakazanego owocu i taką samą dawała rozkosz. Zdawało się, że nikt w mieście nie kradnie, nie zabija i nie wszczyna bójk. I przez moment można było uwierzyć, że ten cudowny stan rzeczy się utrzyma.

A gdyby nawet nie, zachowali przecież wspomnienia. Pamięć o biegu, o ludziach ustępujących z drogi. O minach okropnej gwardii pałacowej. I jeszcze, kiedy złodzieje, bohaterowie i bogowie zawiedli, o byciu na miejscu. O prawie dokonaniu tego, co było prawie właściwe.

Nobby odstawił kufel na poręczny okienny parapet, tupnął dla rozgrzewki i chuchnął w palce. Szybkie poszukiwania w mrocznych zakamarkach za uchem zostały nagrodzone niedopałkiem.

- Piękna chwila, co? - stwierdził z zadowoleniem Colon, kiedy błysk zapalniczki oświetlił całą trójkę.

Dwaj pozostali pokiwali głowami. Już teraz zdawało się, że wczoraj minęło wieki temu. Ale pewnych rzeczy nie da się zapomnieć, nieważne, co kto jeszcze robi, nieważne, co się wydarzy od dzisiaj.

-Jeśli już nigdy nie zobaczę żadnego przeklętego króla, to i tak będzie za szybko - oświadczył Nobby.

-Ja tam uważam, że to nie był prawdziwy król - odparł Marchewa. - A jeśli o królach mowa: ktoś chce chrapkę?

- Nie ma prawdziwych królów - uznał Colon, choć bez gniewu.

Dziesięć dolarów miesięcznie wiele zmieniło w jego życiu. Pani Colon całkiem inaczej traktowała mężczyznę, który przynosi do domu dziesięć dolarów więcej. Jej liściki na kuchennym stole stały się o wiele bardziej przyjazne.

- Nie, chodzi mi o to, że to przecież nic wielkiego nosić starożytny miecz - wyjaśnił Marchewa. - Albo znamię. No, na przykład, popatrzcie na mnie. Też mam znamię na ramieniu.

- Mój brat też ma - oświadczył Colon. - W kształcie statku.

- Moje jest bardziej podobne do korony.

- Aha, to znaczy, że jesteś królem - uśmiechnął się Nobby. - To chyba jasne.

- Nie rozumiem dlaczego - zaprotestował Colon. - Mój brat nie jest przecież admirałem.

- I mam jeszcze ten miecz - dodał Marchewa.

Wyciągnął broń z pochwy. Colon wziął ją do ręki i obejrzał dokładnie w świetle pochodni wiszącej nad drzwiami Załatanego Bębna. Klinga była zmechniała i krótka, w dodatku wyszczerbiona jak piła. Ale porządnie wykuta, a na ostrzu mogły kiedyś być jakieś inskrypcje, jednak od samego używania wytarły się do stanu nieczytelności.

- Niezły miecz - ocenił. - Dobrze wyważony.

- Ale nie dla króla - uznał Marchewa. - Królewskie miecze są długie, błyszczące i magiczne, wysadzone klejnotami, a kiedy się wzniesie, odbijają światło, *dzyń*.

- *Dzyń*. Tak - przyznał Colon. - Właściwie to powinny.

- Mówię tylko, że nie można tak sobie sadzać ludzi na tronach

z powodu takich drobiazgów — tłumaczył Marchewa. - Tak powiedział kapitan Vimes.

- Ale to przyjemna robota - zauważył Nobby. - Wygodne godziny pracy.

- Hmm?

Colon zagubił się na chwilę w niewielkim świecie domysłów. Prawdziwi królowie mają błyszczące miecze, to oczywiste. Tyle że... może... taki prawdziwy prawdziwy król, jak na przykład za dawnych dni, miałby

miecz, co ani trochę nie błyszczy, ale jest piekielnie skuteczny w rozcinaniu różnych rzeczy.

Tak sobie tylko pomyślał.

- Mówiłem, że królowanie to przyjemna robota - powtórzył Nobby. - Krótkie godziny pracy.

- Tak, tak. Ale i dni krótkie - ocenił Colon. W zadumie spojrzał na Marchewę.

- No tak. To też, rzeczywiście — dodał Nobby.

- Poza tym mój tato uważa, że być królem to bardzo ciężka praca - poinformował Marchewa. - Cale to wytyczanie, analiza złóż i w ogóle. - Wychylił kufel. - To nie dla takich jak my. My... - Rozejrzał się z dumą. - ...Strażnicy. Mam rację, sierżancie?

- Hmm? Co? A tak. - Colon wzruszył ramionami. I co z tego? Może wszystko obróciło się na lepsze. Skończył swoje piwo.

- Lepiej ruszajmy — zdecydował. — Która to godzina?

- Kolo dwunastej — odpowiedział Marchewa.

- Coś jeszcze?

Marchewa zastanowił się chwilę.

- I wszystko jest w porządku? - spróbował.

- Dobrze. Tylko sprawdzałem.

- A wiesz - odezwał się Nobby - tak to powiedziałaś, mały, że można by prawie uwierzyć, że to prawda.

Niech oko obserwatora odsunie się nieco... Oto Dysk, świat i zwierciadło światów, niesiony przez kosmos na grzbietach czterech ogromnych słoni, stojących na skorupie Wielkiego A'Tuina, Niebiańskiego Żółwia. Wokół Krawędzi tego świata ocean przelewa się w pustkę nieskończonym wodospadem. W Osi wyrasta dziesięciomilowa iglica Cori Celesti, gdzie na migoczącym wierzchołku bogowie rozgrywają gry losami ludzi...

Trzeba tylko wiedzieć, jakie są zasady i kim są gracze.

Nad dalekim brzegiem Dysku wschodziło słońce. Światło poranka płynęło po plamach mórz i kontynentów, ale czyniło to powoli, gdyż w obecności silnego pola magicznego światło jest leniwe i przyciężkawe.

W ciemnym półksiężycu, gdzie stare światło zachodzącego słońca ledwie zdążyło spłynąć z najgłębszych dolin, dwa punkciki, większy i mniejszy, wyleciały z cienia, przemknęły nisko nad płaszczyzną Oceanu Krawędziowego i z determinacją ruszyły przez niezgłębione, nakrapiane gwiazdami otchłanie kosmosu.

Może magia przetrwa. Może nie. Ale w końcu przecież nic nie trwa wiecznie.

[1] To nieprawda. Prawda jest taka, że każdy duży zbiór nawet zwyczajnych książek deformuje przestrzeń, o czym łatwo można się przekonać, odwiedzając jeden z tych naprawdę staroświeckich antykwariatów - jeden z tych, które wyglądają jak zaprojektowane przez M. Eschera, kiedy miał zły dzień, mają więcej schodów niż podestów i długie rzędy półek kończące się małymi drzwiczkami, z pewnością zbyt niskimi, żeby przeszedł przez nie pełnowymiarowy człowiek. Tłumaczy to następujące równanie: wiedza = potęga = energia = materia = masa. Dobra księgarnia to po prostu elegancka czarna dziura umiejąca czytać.

[2] W *Spisie słów*, od których oczy szczypię „figgin” definiowany jest jako maie chrupiące ciastko z rodzynekami. Słownik byłby wręcz bezcenny dla Najwyższego Wielkiego Mistrza, kiedy ten wymyślał przysięgę Bractwa, ponieważ znalazłby w nim także „welchet” (rodzaj kamizelki noszonej przez

niektórych zegarmistrzów), „gaskin” (płochliwy, sza-robrażowy ptak z rodziny kaczek) i „moule” (gra sprawnościowo-zręcznościowa przy użyciu żółwi).

[3] Zaimek używany przez krasnoludy dla określenia obu pici. Wszystkie krasnoludy mają brody i noszą do dwunastu warstw ubrania. Pleć jest mniej więcej opcjonalna.

[4] Tzn. ok. 55 roku życia.

[5] Dosł. *dezka-knik*, nadzorca kopalni.

[6] Jedną z zadziwiających reform wprowadzonych przez Patrycjusza było uczynienie złodziei odpowiedzialnymi za poziom przestępczości w mieście, z rocznymi budżetami, planowaniem rozwoju, a przede wszystkim ścisłą ochroną zawodu. W zamian za uzgodniony średni poziom dochodów z kradzieży, sami złodzieje pilnowali, by wszelkie nieautoryzowane występkę spotykały się z natychmiastową reakcją Niesprawiedliwości, która zwykle wyglądała jak kij nabijany na końcu gwoździ.

[7] Jest to łacińskie „tłumaczenie” słów „Mąkę my day, punk”, słynnego cytatu (właściwie dwóch) Clinta Eastwooda z filmu *Brudny Harry*. (przyp. tłum.)

[8] Dosł.: Witam! Witam! A cóż to się tutaj dzieje (w tym miejscu)?

[9] Posłuchaj, słoneczko [dosł.: spojrzenie wielkiego gorącego oka na niebie, którego płomienny wzrok sięga przez otwór jaskini], nie chciałbym spuszczać nikomu lania, więc jeśli chcesz grać w B'tdusz' ze mną, to ja zagranę w B'tdusz z tobą. W porządku?²

¹ Popularna gra krasnoludzka, w której dwaj gracze stają o kilka stóp od siebie i ciskają kamieniami w głowę przeciwnika.

² Dosi.: Wszystko jak należy podstemplowane i podparte?

[10] Dobrej nocy wszystkim (dosł.: Szczęście dla wszystkich tu obecnych na zakończenie dnia).

[11] Jak wykidajło, tyle że trolle używają większej siły.

[12] I mimów. To dość dziwna awersja, ale zdarza się. Każdy, kto miał workowate spodnie i pobieloną twarz, i próbował wykonywać swą sztukę w granicach niszczących murów Ankh-Morpork, bardzo szybko znajdował się w jamie ze skorpionami, na ścianie której wymalowano radę: „Naucz się Stów”.

[13] Byt za to entuzjastą okrucieństwa niezbędnego.

[14] Tylko do trzeciego łęgu, oczywiście. Potem są lochami.

[15] Gildia Straży Ogniowej została rozwiązana przez Patrycjusza rok wcześniej, w wyniku licznych skarg. Chodziło o to, że jeśli ktoś wykupił kontrakt u Gildii, jego dom był chroniony przed pożarem. Niestety, tradycyjny ankh-morporski etos szybko zatryumfował i strażacy nabrali zwyczaju zjawiania się grupami przy domach potencjalnych klientów i wygłaszania głośnych uwag w stylu: „Wściekle łatwopalnie to wygląda, nie?” i „Wystarczy pewnie jedna upuszczona zapałka, żeby wszystko to stanęło w ogniu jak fajerwerk”.

[16] Odmiana geranium.

[17] -Niektórzy uczestnicy zamieszek bywają nieźle wykształceni.

[18] Powiedzenie „Wypuść złodzieja, żeby złapać złodzieja” zastąpiło w tym okresie (po silnych naciskach ze strony Gildii Złodziei) o wiele starsze, typowo ankh-morporskie przysłowie: „Wykop głęboką dziurę, zamocuj kolce na ścianach, rozciągnij linki potykacze, zainstaluj wirujące ostrza napędzane energią wody, wsyp tłuczone szkło i wrzuć parę skorpionów, żeby złapać złodzieja”.

[19] Tridlin: krótki i zbędny obrzęd religijny, wykonywany codziennie przez Świątobliwych Balansujących Derwiszów z Innih, jak podaje *Spis stów, od których oczy szczypią*.

[20] Podobna do mgły typu „grochówka”, tylko gęściejsza, groźniejsza i ukrywająca rzeczy, o których człowiek woli nie wiedzieć.

[21] Trzy zasady Bibliotekarzy Czasu i Przestrzeni to: 1) Cisza; 2) Książki

muszą być zwrócone nie później niż z ostatnią wskazaną datą; i 3) Nie naruszać zasady przyczynowości.

[22] Liczne religie w Ankh-Morpork wciąż praktykowały składanie ofiar z ludzi, chociaż osiągnęły w tym poziom tak wysoki, że wcale nie potrzebowały praktyki. Prawo miejskie stwierdzało, że można w tym celu wykorzystywać jedynie skazanych przestępców, co jednak w niczym nie przeszkadzało, ponieważ większość religii odmowę ochotniczego zgłoszenia się na ofiarę uznawała za zbrodnię karaną śmiercią.